



ŚWIAT PO POWODZI

Wciąż dręczyło mnie to pytanie:
czy aby uratować jedną,
będę musiała poświęcić drugą?

KASSANDRA
MONTAG

Kassandra Montag

Świat po powodzi

Tłumaczenie:
Janusz Maćczak

Tytuł oryginału: *After the Flood*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2019

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Joanna Morawska

Korekta: Urszula Gołębiewska

Copyright © 2019 by Cassandra Montag. All rights reserved.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Projekt mapy: Nick Springer / Springer Cartographics LLC

Projekt okładki: Darren Holt, HarperCollins Design Studio

Ilustracja na okładce: shutterstock.com

Wszystkie prawa zastrzeżone

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

tel/fax 69196 2519

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327643278

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Mapka

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

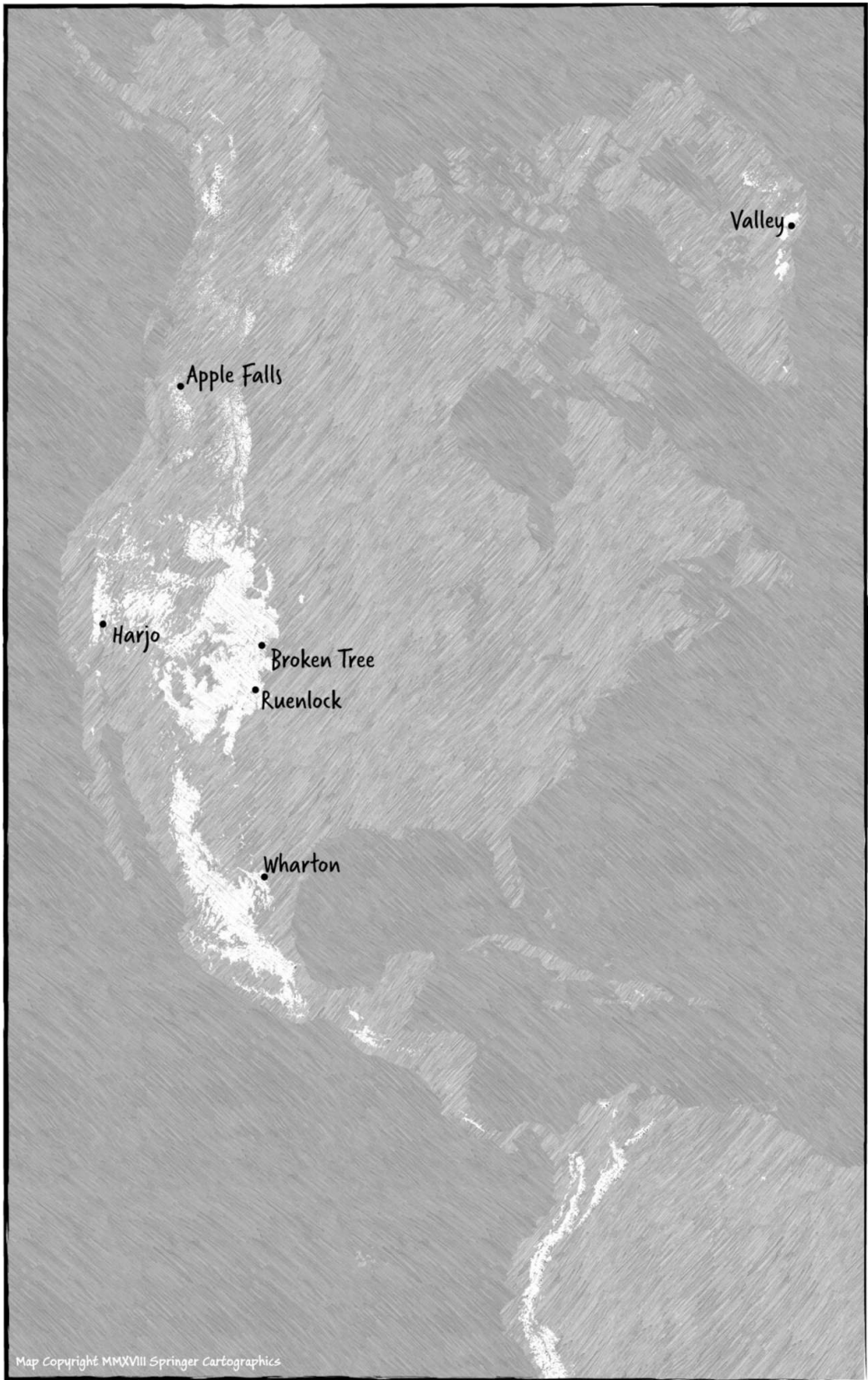
ROZDZIAŁ 58

PODZIĘKOWANIA

Dla Andrew

*Tylko to, co zostało całkowicie utracone, wymaga
nieustannego nazywania: panuje obsesja
przywoływania utraconej rzeczy, dopóki nie powróci.*

- Günter Grass



PROLOG

Dzieci myślą, że my powołujemy je do życia, ale tak nie jest. One istnieją gdzie indziej, przed nami, przed czasem. Przychodzą na świat i tworzą nas, najpierw nas łamiąc.

Uświadomiłam to sobie w dniu, gdy wszystko się zmieniło. Stałam na piętrze i składałam pranie, a plecy bolały mnie od ciężaru Pearl. Nosiłam ją w sobie, jak wielki wieloryb przechowuje połkniętego człowieka w bezpiecznej kryjówce brzucha, by później go wypluć. Wierciła się we mnie całkiem niepodobnie do ryby; oddychała przez moją krew, wtulona w moje kości.

Wody powodzi wokół naszego domu podniosły się do poziomu półtora metra, zalały drogi, trawniki, płoty, skrzynki pocztowe. Powódź zatopiła Nebraskę zaledwie przed kilkoma dniami, nadciągnęła przez prerię olbrzymią falą i ponownie uczyniła z tego obszaru śródlądowe morze, którym niegdyś był. Świat stał się archipelagiem gór wśród bezmiaru wód. Kilka chwil wcześniej wychyliłam się przez okno i ujrzałam w mętnej brudnej wodzie swoje zniekształcone odbicie, jakby rozciągnięto mnie,

a potem rozerwano na bezkształtne strzępy.

Złożyłam koszulę i wtedy przeraził mnie krzyk, który był niczym metalowe ostrze wbijające się między stawy. Moja pięcioletnia córeczka Row widocznie zorientowała się, co się dzieje, bo krzyczała:

- Nie, nie, nie! Nie bez mamusi!

Upuściłam pranie i podbiegłam do okna. Na wodzie unosiła się niewielka łódź motorowa z silnikiem terkoczącym na jałowym biegu. Mój mąż Jacob płynął do niej, używając tylko jednej ręki, a drugą przyciskał do boku wyrywającą się córkę. Usiłował ją podsadzić, ale uderzyła go łokciem w twarz. Mężczyzna stojący w motorówce wychylił się za burtę, żeby wyciągnąć Row z wody. Miała na sobie przyciasną kurtkę w szkocką kratę i džinsy. Naszyjnik z wisiorkiem kołysał się na jej szyi jak wahadło, gdy szamotała się z Jacobem. Rzucała się niczym ryba złowiona na wędkę, obryzgując mu twarz wodą.

Otworzyłam okno i wrzasnęłam:

- Jacob, co ty wyprawiasz?

Nie odpowiedział ani nawet nie spojrzał w moim kierunku. Córka zobaczyła mnie w oknie i zawołała do mnie, kopiąc mężczyznę, który przynosił ją nad burtę.

Walnęłam pięścią w ścianę przy framudze i znów do nich krzyknęłam. Jacob wgramolił się przez burtę

do łodzi, a tamten mężczyzna trzymał na rękach Row. Poczułam w czubkach palców płomienie paniki. Trzęsąc się cała, przecisnęłam się przez okno i skoczyłam do wody.

Uderzyłam nogami w grunt i obróciłam się na bok, by osłabić impet. Gdy się wynurzyłam, zobaczyłam Jacoba z twarzą zastygłą w bolesnym grymasie. Teraz on trzymał Row, która wierzgała i wołała:

- Mamusiu! Mamusiu!

Popłynęłam w stronę motorówki, odpychając na bok szczątki unoszące się na powierzchni wody. Blaszana puszkę, starą gazetę, martwego kota. Silnik ryknął, łódka zawróciła szybko, zalewając mi twarz falą. Jacob obejmował plecy córki, a ona wyciągała ku mnie rączki, drapiąc w powietrzu palcami.

Wciąż płynęłam w kierunku niknącej w oddali Row. Słyszałam jej przerażone krzyki, nawet gdy już nie mogłam dostrzec twarzyczki, ciemnego kręgu rozwartych ust, włosów targanych wiatrem wiejącym nad wodą.

ROZDZIAŁ 1

Siedem lat później

Nad naszą łodzią krążyły mewy, przywodząc mi na myśl Row. To, jak piszczała i wymachiwała rączkami, gdy po raz pierwszy próbowała chodzić; jak przez niemal godzinę stała całkiem nieruchomo, obserwując żurawie kanadyjskie, gdy zabrałam ją nad rzekę Platte, żeby zobaczyła ich migrację. Sama przypominała ptaka, ze swymi drobnymi kośćmi, z nerwowym, czujnym wzrokiem nieustannie lustrującym horyzont, jakby w każdej chwili mogła wzbić się do lotu.

Nasza łódź była zakotwiczona przy skalistym wybrzeżu niegdysiejszej Kolumbii Brytyjskiej, tuż na zewnątrz zatoczki powstałej, gdy woda wypełniła niewielką kotlinę pomiędzy dwoma górskimi szczytami. Wciąż jeszcze określaliśmy oceany ich dawnymi nazwami, jednak w rzeczywistości były teraz jednym bezmiarem wód usianym skrawkami lądów niczym okruchami spadłymi z nieba.

Świt dopiero przed chwilą rozjaśnił horyzont. Pearl zwinęła pościel pod płachtą namiotową na pokładzie. Urodziła się tam przed siedmioma laty, podczas

sztormu rozświetlanego błyskawicami białymi jak ból.

Wrzuciłam przynętę do wiklinowego wężerza na kraby. Pearl wyszła z namiotu, trzymając w jednej ręce węza bez łba, a w drugiej nóż. Kilka innych węży owinęła sobie wokół nadgarstków niczym bransoletki.

- Będziemy musiały zjeść je dziś wieczorem - powiedziałam.

Posłała mi ostre spojrzenie. W niczym nie przypomina siostry, nie ma drobnych kości ani ciemnych włosów. Row odziedziczyła po mnie czarne włosy i szare oczy, natomiast Pearl z kędzierzawymi kasztanowymi lokami i piegami na nosie jest podobna do ojca. Czasami myślę, że przybiera nawet taką samą postawę jak on: silną, stanowczą, ze stopami mocno wpartymi w ziemię, lekko zadartym podbródkiem, włosami zawsze potarganymi, nieco cofniętymi ramionami i wypiętą piersią, jakby prezentowała się światu bez cienia lęku czy obawy.

Przez sześć lat szukałam Row i Jacoba. Po ich zniknięciu wypłynęliśmy z dziadkiem łodzią o nazwie „Ptak”, którą zbudował, a wkrótce potem urodziła się Pearl. Gdybym tamtego pierwszego roku nie miała przy sobie dziadka, obie z Pearl nie zdołałybyśmy przetrwać. Łowił ryby, podczas gdy karmiłam córeczkę piersią; zbierał informacje od wszystkich, których napotykalismy, uczył mnie żeglowania.

Jego matka budowała kajaki, tak jak jej przodkowie.

Wspominał, jak przyglądał się, gdy formowała z drewna kształt przypominający klatkę piersiową, mieszczący ludzi w sposób, w jaki matka nosi w sobie dziecko, i pozwalający im bezpiecznie docierać morzem do brzegów. Jego ojciec był rybakiem, więc dziadek spędził dzieciństwo na przybrzeżnych wodach Alaski. Podczas katastrofalnej Stuletniej Powodzi wraz z tysiącami innych ludzi przeniósł się w głąb lądu i ostatecznie osiadł w Nebrasce, w której przez lata pracował jako cieśla. Zawsze jednak tęsknił za morzem.

Dziadek poszukiwał Jacoba i Row nawet wtedy, gdy już straciłam do tego serce. Czasami wlokłam się za nim, trzymając na rękach Pearl. W każdej osadzie oglądał łodzie na przystani, szukając jakiegokolwiek śladu obojga. Pokazywał ich zdjęcia w każdym barze i sklepie. Na pełnym morzu pytał wszystkich napotykanym rybaków, czy ich widzieli.

Ale dziadek zmarł, kiedy Pearl była jeszcze niemowlęciem, a to olbrzymie zadanie spadło nagle na mnie. Desperacja przywarła do mnie niczym druga skóra. W tamtym wczesnym okresie przytraczałam córeczkę do piersi starym szalem, przywiązywałam ją ciasno do siebie i kontynuowałam postępowanie dziadka: przeszukiwałam przystanie, wypytywałam miejscowych, pokazywałam ludziom zdjęcia. Przez pewien czas dodawało mi to energii – miałam inny cel

niż tylko przetrwanie, coś znaczącego dla mnie więcej niż wciągnięcie kolejnej ryby do naszej małej łódki. Coś, co napełniało mnie nadzieją i obiecywało osiągnięcie harmonii.

Rok temu przybyliśmy z Pearl do małej osady wciśniętej w północne pasmo Gór Skalistych. Ujrzałam tam porozbijane witryny sklepowe i pokryte pyłem, zaśmiecone drogi. Było to jedno z ludniejszych miasteczek, jakie odwiedziłam. Mieszkańcy spieszyli po głównej ulicy zastawionej różnymi straganami. Minęliśmy stoisko pełne wygrzebanych na śmietniskach rzeczy, które przed powodzią przywieziono w ten górzysty rejon. Były tam kartony po mleku napełnione benzyną i naftą, biżuteria, którą można stopić i wykorzystać inaczej, para taczek, żywność w puszkach, wędki, pojemniki z odzieżą.

Na straganie obok sprzedawano artykuły zrobione albo odnalezione po powodzi: rośliny, nasiona, gliniane garnki, świece, drewniane wiadro, flaszki alkoholu z lokalnej gorzelni, noże wykonane przez miejscowego kowala. Handlowano tam też paczuszkami ziół z nabazgranymi sloganami reklamowymi: „Kora białej wierzby na gorączkę!”, „Aloes na oparzenia!”.

Niektóre przedmioty wyglądały na skorodowane wskutek długotrwałego pozostawiania pod wodą. Kupcy płacili ludziom, żeby nurkowali do starych

domów i wydobywali rzeczy, których nie odszukano przed powodzią i które od tego czasu nie uległy zniszczeniu. Zardzewiały śrubokręt, ciężka od pleśni poduszka pokryta żółtymi plamami.

W stoisku naprzeciwko tamtych dwóch oferowano tylko buteleczki z przeterminowanymi lekarstwami i pudełka amunicji. Każdego z obydwu boków straganu strzegła kobieta uzbrojona w karabin maszynowy.

Wcześniej włożyłam wszystkie ryby, jakie udało mi się złowić, do torby, którą teraz niosłam na ramieniu, ściskając jej pasek, gdy szłyśmy główną ulicą w kierunku factorii. Drugą ręką trzymałam dłoń Pearl. Jej rude włosy były tak suche, że zaczynały wypadać. A jasnobrązowa skóra się łuszczyła - nie od słońca, lecz z powodu wczesnego stadium szkorbutu. Musiałam koniecznie wymienić ryby na owoce dla niej i lepszy sprzęt wędkarski dla siebie.

W factorii wysypałam zawartość torby na ladę i zaczęłam się targować ze sklepikarką, tęgą czarnowłosą kobietą bez dolnych zębów. Ostatecznie stanęło na tym, że za moich siedem ryb dostanę pomarańczę, nic, żyłkę wędkarską i podpłomyk. Gdy już wsadziłam te towary do torby, rozłożyłam na ladzie przed sklepikarką zdjęcia Row i zapytałam, czy ją widziała.

Kobieta długo przyglądała się fotografii. Potem

powoli pokręciła głową.

- Jesteś pewna? - spytałam, przekonana, że jej chwilowy bezruch świadczył o tym, że jednak spotkała Row.

- Żadna dziewczyna nie wygląda jak ta tutaj - rzekła z silnym akcentem, po czym odwróciła się i dalej pakowała kupione ode mnie ryby.

Ruszyliśmy z Pearl główną ulicą z powrotem w kierunku przystani. Sprawdzę statki, powiedziałam sobie. W miasteczku roiło się od ludzi, więc Row mogła być tutaj, chociaż sklepikarka nigdy jej nie widziała. Szliśmy, trzymając się za ręce, omijając stragany kupców, którzy zaczepiali nas i nawoływali: „Świeże cytryny! Kurze jaja! Sklejka za pół ceny!”.

Przed sobą ujrzałam dziewczynę z długimi czarnymi włosami, ubraną w niebieską sukienkę.

Zatrzymałam się gwałtownie i wpatrzyłam w nią. Niebieska sukienka należała do Row: miała takie same „tureckie” wzory, marszczenia przy rąbku, dzwonkowe rękawy. Ogarnęło mnie wrażenie, że cały świat nagle się zawalił, a powietrze stało się zbyt rzadkie do oddychania. Jakiś mężczyzna obok nalegał, żebym kupiła od niego chleb, lecz jego głos zdawał się dochodzić z oddali. Gdy przyglądałam się tej dziewczynie, przepełniła mnie oszałamiająca radość.

Pobiegłam alejką ku niej, przewracając wózek

z owocami i ciągnąc za sobą Pearl. Ocean na przystani lśnił krystalicznym błękitem, wydał mi się nagle czysty i świeży.

Chwyciłam dziewczynę za ramię i odwróciłam do siebie.

- Row! - zawołałam w nadziei, że znów ją ujrzę, porwę w objęcia.

Inna, obca twarz spojrzała na mnie gniewnie.

- Nie dotykaj mnie - mruknęła dziewczyna i szarpnięciem wyswobodziła rękę.

- Przepraszam - wymamrotałam, cofając się.

Dziewczyna czmychnęła, oglądając się trwożnie przez ramię.

Stałam na tętniącej życiem ulicy, wokół mnie wirował pył. Pearl odwróciła głowę ku mojemu biodru i zakasłała.

To ktoś inny, powiedziałam sobie, usiłując się z tym pogodzić. Owładnęło mną rozczarowanie, ale je odepchnęłam. Jeszcze ją odnajdziesz, tak, na pewno ją odnajdziesz, mówiłam do siebie.

Ktoś pchnął mnie mocno i zerwał mi z ramienia torbę. Pearl upadła na ziemię, a ja zatoczyłam się w bok i uchwyciłam się straganu z używanymi oponami.

- Hej! - wrzasnęłam na złodziejkę, która uciekała już główną ulicą i skręciła za budkę z belami tkanin.

Pogoniłam za nią, przeskakując przez niewielki

wózek pełen kurcząt i omijając starszego człowieka z laską.

Biegłam, rozglądając się i wypatrując tej kobiety. Ludzie mijali mnie, jakby nic się nie stało, wir ich ciał i głosów przyprawiał mnie o mdłości. Wciąż jej szukałam, miałam wrażenie, że trwa to wieki. Światło słońca przygasło, rzucało na grunt długie cienie. Biegałam w kółko, póki niemal nie zemdlałam. Zatrzymałam się nieopodal miejsca, w którym doszło do tej kradzieży. Popatrzyłam wzdłuż drogi na Pearl stojącą tam, gdzie wcześniej upadła, obok stoiska z oponami.

Nie widziała mnie pośród ludzi i straganów. Z lękiem wodziła wzrokiem po tłumie, podbródek jej drżał, trzymała się za ramię, jakby zraniła je podczas upadku. Przez cały ten czas czekała, porzucona, mając nadzieję, że wrócę. Owoc w torbie, który dla niej zdobyłam, był tego dnia jedynym moim powodem do dumy. Jedyną rzeczą, którą mogłam uznać za dowód tego, że należycie opiekuję się córką.

Przyglądając się jej, poczułam się wyzuta z sił. Gdybym zachowała czujność, ta złodziejka nie zdołałaby tak łatwo zerwać mi torby z ramienia. Dawniej byłam bystra i uważna. Teraz przygniatał mnie żal, a optymistyczna nadzieja odnalezienia Row wydawała mi się szaleństwem.

Z wolna dotarło do mnie, dlaczego ta niebieska

sukienka wydała mi się tak znajoma, dlaczego jej widok szarpnął mi serce niczym hak. Owszem, Row miała taką samą, ale Jacob nie zapakował jej, kiedy odebrał mi córeczkę. Znalazłam tę sukienkę w komodzie w pokoju dziecięcym i później sypiałam z nią przez wiele dni, wtulałam w nią twarz, by wdychać zapach córki, ścisakałam w palcach materiał. Utkwiła mi w pamięci, ponieważ była czymś, co pozostało mi po córce. Poza tym, uświadomiłam sobie, Row byłaby już znacznie starsza, za duża na tę sukienkę. Urosła. Wiedziałam to, jednak w moim umyśle pozostał obraz pięciolatki z wielkimi oczami i piskliwym śmiechem. Nawet gdybym się na nią natknęła, to czy od razu rozpoznałabym w niej córkę?

Uznałam, że to zbyt wiele. Przyptyw rozczarowania zalewał mnie za każdym razem, gdy docierałam do jakiejś faktorii i nie uzyskiwałam żadnych odpowiedzi, nie znajdowałam żadnych śladów. Jeżeli miałyśmy z Pearl przetrwać w tym świecie, musiałam skupić się tylko na nas dwóch. Odsunąć od siebie wszystkich i wszystko poza tym.

Tak więc przestałyśmy szukać Row i Jacoba. Pearl czasami pytała mnie, dlaczego zrezygnowałyśmy z poszukiwań, a ja mówiłam jej prawdę - że nie mogłam dłużej tego ciągnąć. Czułam, że oni gdzieś nadal żyją, jednak nie potrafiłam pojąć, dlaczego nie usłyszałam o nich żadnej wieści w tych małych

społecznościach, które ocalały z powodzi, tkwiąc wysoko na zboczach gór, otoczone przez wodę.

Teraz po prostu dryfowałyśmy bez żadnego celu podróży. Każdy dzień był taki sam i zlewał się z następnym niczym rzeka wpadająca do oceanu. Co noc leżałam bezsennie, wsłuchując się w oddech młodszej córki, w miarowy rytm jej ciała. Wiedziałam, że tylko ona trzyma mnie przy życiu. Codziennie lękałam się, że napadną na nas piraci albo że nie złowimy ryb w sieci i umrzemy z głodu. Nocami dręczyły mnie koszmary, wtedy gwałtownie potrząsałam Pearl i budziłam nas obie. Wszystkim tym obawom towarzyszyła nikła nadzieja, wyzierająca ze szczelin pomiędzy nimi.

Zamknęłam więcierze na kraby i wyrzuciłam za burtę, tak aby zanurzyły się na głębokość dwudziestu metrów. Gdy lustrowałam wzrokiem wybrzeże, wezbrał we mnie dziwny niepokój, maleńka bańka lęku. Brzeg był bagnisty, pełen ciemnych krzewów, a w pewnej odległości od wody drzewa gęsto porastały górskie zbocze. Wyrosły już ponad dawną linię lasu; były to głównie młode topole, wierzby i klony. W ląd wcinała się niewielka zatoka, w której niekiedy rzucały kotwicę statki kupieckie albo czatowały okręty pirackie. Powinnam zadać sobie trud zbadania zatoczki i upewnienia się, że ta wyspa jest opuszczona. Na lądzie nie można uciec tak

szybko jak na morzu. Przygotowałam się na to. Musiałyśmy poszukać wody pitnej na tej wyspie, bo inaczej nie przeżyłybyśmy kolejnego dnia.

Gdy przyglądałam się brzegowi, Pearl też tam popatrzyła.

- To wygląda na to samo wybrzeże z tamtymi ludźmi - powiedziała, żeby mi dokuczyć.

Od kilku dni wciąż mówiła o piratach, których zobaczyłyśmy w oddali napadających na jakąś łódź. Odpłynęłyśmy stamtąd, a ja patrzyłam przygnębiona, z ciężkim sercem, jak wiatr pcha nas poza zasięg wzroku napastników. Pearl miała mi za złe, że nie spróbowałyśmy pomóc ofiarom, więc starałam się jej przypomnieć, że musimy unikać kontaktów z innymi ludźmi. Jednak pod całym tym trzeźwym rozumowaniem odczuwałam obawę, że moje serce skamieniało, gdy wokół mnie wezbrała woda - że kiedy powódź zalała ziemię, wypełnił mnie strach, wypychając wszystko inne, i ostrugał mi serce do niewielkiego twardego kształtu, którego już nie potrafię rozpoznać.

- Jak miałybyśmy zaatakować statek pełen piratów?

- zapytałam. - To by się równało samobójstwu.

- Nawet nie spróbowałaś. W ogóle cię to nie obchodzi!

Przecząco pokręciłam głową.

- Obchodzi mnie bardziej, niż myślisz. Tyle tylko, że

nie zawsze jest pora na to, by troszczyć się o innych.

Pragnęłam jej wyznać, że jestem wykończona. Może to dobrze, że nie odnalazłam Row. Może nie chciałam się dowiedzieć, co bym zrobiła, żeby tylko znów być z nią.

Pearl nic nie odpowiedziała, więc dodałam:

- W dzisiejszych czasach każdy troszczy się o siebie.

- Nie lubię cię - oświadczyła, odwracając się do mnie plecami.

- Nie musisz - burknęłam.

Zamknęłam oczy i ścisnęłam w palcach nasadę nosa. Usiadłam obok Pearl, lecz ona nadal patrzyła w przeciwną stronę.

- Czy ubiegłej nocy znów miałaś te sny? - spytałam, starając się zachować miły, łagodny ton, jednak w moim głosie nadal pobrzmiwała nuta irytacji.

Pearl kiwnęła głową, wyciskając krew z ogona węża przez otwór po uciętym łbie.

- Nie zamierzam pozwolić, by to się nam przytrafiło. Będziemy trzymały się razem. Zawsze - powiedziałam.

Delikatnie odgarnęłam jej włosy z twarzy, a przez usta Pearl przemknął cień uśmiechu.

Wstałam i sprawdziłam zbiornik na wodę pitną. Był niemal pusty. Zewsząd otaczała nas woda, lecz nie nadawała się do picia. Wskutek odwodnienia bolała

mnie głowa, a skraje pola widzenia zaczynały się rozmazywać. Przez większość dni powietrze było wilgotne, niemal codziennie padały deszcze, jednak od dłuższego czasu panowała susza. Będziemy musiały poszukać górskich strumieni i przegotować pochodzącą z nich wodę. Napełniłam bukłak Pearl resztką świeżej wody i podałam jej.

Przestała się bawić bezgłowym wężem, powoli zważyła w ręce bukłak.

- Dajesz mi wszystką wodę - powiedziała.

- Już trochę wypiałam - skłamałam.

Popatrzyła na mnie; przejrzała mnie na wylot. Potrafiłam ukrywać różne rzeczy przed sobą, ale nigdy przed nią.

Przypięłam do paska nóż, a potem obie popłynęłyśmy wpław do brzegu, zabierając ze sobą wiaderka na małże. Martwiłam się, że grunt okaże się zbyt wilgotny, by mogły być w nim małże, i że ugrzęźniemy na bagnach, zanim znajdziemy bardziej suche miejsce w południowej nasłonecznionej części wyspy. Błotnista równina była usiana niewielkimi otworami. Zaczęłyśmy kopać, używając do tego drewna wyrzuconego na brzeg, ale po kilku chwilach Pearl cisnęła swój patyk.

- Niczego nie znajdziemy - poskarżyła się.

- Doskonale - warknęłam. Ręce i nogi ciążyły mi ze zmęczenia. - Zatem wejdź na zbocze i spróbuj

znaleźć strumień. Poszukaj wierzb.

- Wiem, czego szukać - odparła.

Odwróciła się na pięcie i niezdarnie pobiegła w górę zbocza. Biedaczka poruszała się tak, jakby nadal znajdowała się na łódce kołysanej przez fale, dlatego stawiała stopy zbyt mocno i chwiała się na boki.

Kopałam dalej, wkrótce wokół mnie wyrosły sterty błota. Natrafiłam na muszlę, wrzuciłam małża do wiaderka. Wydało mi się, że pośród wycia wiatru i szumu fal słyszę czyjeś głosy dobiegające zza załomu górskiego zbocza. Zaniepokojona przysiadłam na piętach, nasłuchując. Zesztywniałam z napięcia, wyteżyłam słuch, ale niczego nie usłyszałam. Zawsze odnosiłam wrażenie, że na łądzie wyczuwam rzeczy, których tam nie ma - słyszę piosenkę, chociaż nikt nie śpiewa, widzę dziadka, który przecież już nie żyje. Jak gdyby przebywanie na łądzie cofało mnie do przeszłości i wszystkich wiążących się z nią spraw.

Pochyliłam się do przodu, zanurzyłam dłonie w błocie. Wrzuciłam do wiaderka następną muszlę; wpadła ze stukotem. W chwili, gdy znalazłam kolejnego małża, powietrze przeszył cichy, ostry krzyk. Zamarłam, uniosłam głowę i powiodłam wzrokiem po okolicy, wypatrując Pearl.

ROZDZIAŁ 2

Na zboczu, kilka metrów od podnóża góry, przed kępą krzaków i stromą skalną ścianą jakiś żylasty mężczyzna trzymał od tyłu Pearl i przystawiał jej nóż do gardła. Dziewczynka stała nieruchomo, czarne oczy spoglądały spokojnie, ręce miała opuszczone wzdłuż ciała i nie była w stanie dosięgnąć noża przymocowanego przy kostce nogi.

Na twarzy mężczyzny widniały desperacja i wzburzenie. Wstałam powoli, krew dudniła mi w uszach.

- Podejź do mnie! - zawołał.

Miał obcy akcent, którego nie potrafiłam określić; twardo, urywanie wymawiał spółgłoski.

- Dobrze - odrzekłam. Ruszyłam z uniesionymi rękami, aby pokazać, że nie zamierzam próbować żadnych sztuczek.

Gdy dotarłam do nich obojga, powiedztał:

- Rusz się, a będzie po niej.

Skinęłam głową.

- Mam statek - oznajmił. - Pomożecie go naprawić. Rzuć nóż na ziemię.

Narastała we mnie panika, gdy odpięłam nóż

i cisnęłam w kierunku mężczyzny. Wsadził go do pochwy przy pasie i wyszczerzył się w uśmiechu, ukazując szczerbate uzębienie. Skórę miał opaloną na czerwonobrazowo, a włosy zrudziałe od słońca. Na jego ramieniu był wytatuowany tygrys. Piraci robili sobie tatuaże, często przedstawiające zwierzęta, ale nie mogłam sobie przypomnieć, która z załóg używa wizerunku tygrysa.

- Nie bójcie się. Zaopiekuję się wami. Statek jest tam.

Poszłam za mężczyzną po zboczu góry krętą ścieżką wiodącą do zatoczki. Ostra trawa drapała mi kostki i kilka razy potknęłam się o kamienie. Mężczyzna odsunął nóż od szyi Pearl, ale trzymał dłoń na jej ramieniu. Chciałam sięgnąć ręką i wyrwać córeczkę z jego chwytu, ale znów przystawiłby ostrze do gardła, zanim zdążyłabym ją odciągnąć. Przez głowę błyskawicznie przelatywały mi możliwe scenariusze wydarzeń - mężczyzna uzna, że potrzebuje tylko jednej z nas, albo kiedy dotrzemy do jego statku, okaże się, że przeciwników jest zbyt wielu, bym mogła podjąć walkę.

Mężczyzna zaczął gadać o kolonii swojej bandy znajdującej się na północy. Chciałam, żeby się zamknął, tak abym mogła jasno pomyśleć. Z jego ramienia zwisała menażka i kołysała się przy biodrze. Słyszałam chłopot płynu w niej, a moje pragnienie

przewyższyło nawet strach. Spieczone usta łaknęły wody, korciło mnie, żeby sięgnąć do manierki i odkręcić korek.

- To ważne, że mamy teraz nowe państwa. Ważne dla... - Mężczyzna wyrzucił przed siebie rękę, jakby chciał uchwycić w powietrzu brakujące słowo. - Zorganizowania - dokończył i kiwnął głową, wyraźnie zadowolony. - Właśnie tak to się zawsze działo, na samym początku, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w jaskiniach. Gdyby ludzie nie byli zorganizowani, wszystkich nas by wykończono.

Istniały inne bandy, które próbowały utworzyć nowe państwa, zeglując od jednego skrawka lądu do następnego, ustanawiając bazy wojskowe na wyspach, w portach, napadając na innych piratów i zakładając kolonie. Większość zaczynała od jednego statku, który przejmował inne, w końcu podejmowali próby podbicia osad na lądzie.

Mężczyzna obejrzał się na mnie przez ramię, a ja tępo kiwnęłam głową, z udawanym podziwem i szacunkiem. Byliśmy niespełna kilometr od naszej łodzi. Gdy zbliżyliśmy się do załomu zbocza góry, grunt po naszej stronie gwałtownie się obniżył - szliśmy teraz wzdłuż stromej skalnej ściany. Pomyślałam, żeby chwycić Pearl, zeskoczyć z urwiska do wody i popłynąć do łódki, ale odległość była zbyt wielka, jak na rozfalowany ocean. Poza tym nie

wiedziałam, czy pod powierzchnią wody pod nami nie kryją się skały.

Mężczyzna zmienił temat, zaczął opowiadać o należących do jego ludzi statkach reprodukcyjnych. Wymagano, by każda więziona na nich kobieta mniej więcej co rok rodziła dziecko, żeby powiększyć liczebność pirackich załóg. Czekano, aż dziewczyny dostaną pierwszej miesiączki, wtedy przenoszono je na statek reprodukcyjny. Do tego czasu trzymano je w niewoli w kolonii.

Łowiąc ryby, mijałam statki reprodukcyjne. Rozpoznawałam je po flagach z czerwonym okręgiem na białym tle. Te flagi stanowiły ostrzeżenie dla łodzi, żeby się nie zbliżały. Ponieważ na łodzi choroby szybko się rozprzestrzeniały, piraci uznali, że niemowlęta będą bezpieczniejsze na statkach. Często rzeczywiście tak było, z wyjątkiem przypadków, gdy na pokładzie wybuchała zaraza, uśmiercając niemal wszystkich, a wtedy taki statek widmo dryfował, póki nie roztrzaskał się o górski szczyt i nie zatonął.

- Wiem, co sobie myślisz - ciągnął mężczyzna. - Ale my, czyli Upadli Opaci, postępujemy, jak należy. Nie można stworzyć państwa bez ludzi, bez podatków i bez tych, którzy wymuszają ich płacenie. Właśnie to daje nam organizowanie się. To twoja córka? - zapytał nagle.

Zaskoczona, przecząco pokręciłam głową.

- Znalazłam ją kilka lat temu na jakimś wybrzeżu - odpowiedziałam.

Jeśli nie pomyśli, że jesteśmy rodziną, nie będzie tak skory do rozdzielenia nas.

Pokiwał głową.

- Jasne. Jasne. One się przydają.

Gdy zaczęliśmy okrążyć górę, wiatr zmienił kierunek i teraz dotarły do nas głosy znad zatoki, hałas i gwar ludzi naprawiających statek.

- Wyglądasz jak dziewczyna, którą znam, z jednej z naszych kolonii - rzekł do mnie mężczyzna.

Ledwie go słuchałam. Gdybym rzuciła się do przodu, mogłabym złapać go za prawą rękę, wykręcić mu ją za plecy i sięgnąć po mój nóż w jego pochwie.

Dotknął dłonią włosów Pearl. Serce mi zamarło. Z nadgarstka mężczyzny zwisał łańcuszek z wisiorkiem z ciemnego drewna węzowego w kształcie żurawia. Naszyjnik Row. Dziadek wyrzeźbił dla niej ten wisiorek tamtego lata, kiedy pojechaliśmy oglądać żurawie. Wisiorek był bezbarwny, z wyjątkiem kropki z czerwonej farby, którą dziadek umieścił między oczami a dziobem ptaka.

Zatrzymałam się.

- Skąd to masz? - spytałam.

Krew dudniła mi w uszach, a całe ciało drżało jak skrzydła kolibra.

Mężczyzna popatrzył na swój nadgarstek.

- To tamtej dziewczyny, o której ci mówiłem. Jest urocza. Dziwne, że przetrwała aż tyle czasu. Nie wygląda na to... - Przerwał i wskazał nożem w kierunku zatoki. - Pospiesz się, nie mamy całego dnia.

Rzuciłam się na niego i kopnęłam go w prawą nogę. Zachwiał się, upadł, a ja rąbnęłam go łokciem w pierś, aż stracił oddech. Nadepnęłam mu na dłoń, w której trzymał nóż, chwyciłam go i przystawiłam mężczyźnie do piersi.

- Gdzie ona jest? - zapytałam niewiele głośniej od szeptu.

- Mamo... - odezwała się Pearl.

- Odwróć się - powiedziałam. - Gdzie ona jest? - powtórzyłam.

Wepchnęłam mu nóż głębiej między żebra, czubek ostrza przebił skórę. Mężczyzna zacisnął zęby, na skronie wystąpiły mu krople potu.

- W dolinie - wydyszał. - W Valley.

Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku zatoki.

- A jej ojciec?

Zdezorientowany zmarszczył czoło.

- Nie było z nią żadnego ojca. Pewnie umarł.

- Kiedy ją widziałeś?

Zacisnął powieki.

- Nie wiem. Jakiś miesiąc temu. Potem

przyłynęliśmy prosto tutaj.

- Czy ona wciąż tam jest?

- Była, kiedy odpływałem. Nie osiągnęła jeszcze odpowiedniego wieku...

Skrzywił się i spróbował zaczerpnąć tchu.

Prawie powiedział, że nie osiągnęła jeszcze odpowiedniego wieku, by przeniesiono ją na statek reprodukcyjny.

- Czy ją skrzywdziłeś?

Nawet teraz wyraz zadowolenia przemknął przez jego twarz, błysnął w oczach.

- Niezbyt się skarżyła - powiedział.

Wbiłam w niego nóż aż po rękojeść, a potem pociągnęłam ostrze w górę i wypatroszyłam go jak rybę.

ROZDZIAŁ 3

Zabrałyśmy zabitemu manierkę i zepchnęłyśmy ciało z urwiska. Gdy biegłyśmy z powrotem do łodzi, wciąż myślałam o jego kompanach, zastanawiałam się, kiedy zaczną go szukać. Pomyślałam, że wiatr jest na tyle silny, by popchnąć nas szybko na południe. Gdy „Ptak” dopłynie za następną górę, trudno będzie nas wytropić.

Kiedy znalazłyśmy się znów w łodzi, podniosłam kotwicę, a Pearl wciągnęła żagle i pomknęłyśmy naprzód. Wybrzeże za nami malało w oczach, jednak wciąż nie potrafiłam uspokoić oddechu. Ukryłam się przed Pearl w namiocie, cała dygotałam, jakbym dostała przedśmiertnych drgawek. Wcześniej już brałam udział w starciach, przeżywałam momenty napięcia z zdobytą bronią, ale nigdy dotąd nie zabiłam. Zamordowanie tego mężczyzny było jak przejście przez drzwi prowadzące do innego świata. Miałam wrażenie, że już kiedyś tam trafiłam, ale zapomniałam o tym i nie chciałam sobie przypomnieć. To zabójstwo nie dało mi poczucia siły; sprawiło tylko, że poczułam się jeszcze bardziej samotna.

Żeglowałyśmy na południe przez trzy dni, póki nie dotarłyśmy do Apple Falls, małego portu handlowego wtulonego w podnóże góry, która znajdowała się dawniej na terenie Kolumbii Brytyjskiej. Wody w manierce wystarczyło nam tylko na jeden dzień, ale pod wieczór drugiego dnia spadł drobny deszczyk, dzięki czemu nie zachorowałyśmy z odwodnienia i zdołałyśmy dopłynąć do Apple Falls. Rzuciłam kotwicę, po czym zerknęłam na Pearl. Stała na dziobie, patrząc na port.

- Nie chciałam, żebyś to widziała - powiedziałam, przyglądając się jej bacznie.

Od tamtego zdarzenia rzadko się do mnie odzywała.

W milczeniu wzruszyła ramionami.

- On zamierzał nas skrzywdzić. Nie sądzisz, że powinnam była to zrobić? Uważasz, że był dobrym człowiekiem? - zapytałam.

- Po prostu mi się to nie spodobało. Nie podobało mi się nic z tego, co się stało - odrzekła cicho. Zamilkła, jakby się zastanawiała, a potem powiedziała: - Zdesperowani ludzie.

Spojrzała na mnie nieco zbyt uważnie. Kiedy mnie pytała, dlaczego ludzie są tacy okrutni, mówiłam jej zawsze, że zdesperowani popełniają desperackie czyny.

- Tak - odrzekłam.

- Czy teraz spróbujemy ją odszukać?

- Tak. - Potwierdzenie wyrwało mi się z ust, zanim zdałam sobie sprawę, że już to postanowiłam.

Instynktowna reakcja. Po prostu obraz w moim umyśle ukazujący Row w niebezpieczeństwie i mnie ruszającą ku niej, niemającą żadnego wyboru, a tylko jeden kierunek.

Uświadomienie sobie tego zaskoczyło mnie, jednak Pearl nie okazała żadnego zdziwienia. Po prostu popatrzyła na mnie i spytała:

- Czy Row mnie polubi?

Podeszłam do niej, przykucnęłam i objęłam ramionami. Jej włosy pachniały morską wodą i imbirem. Wtuliłam w nie twarz. Ciało Pearl było tak kruche i bezbronne jak tamta noc, w którą ją urodziłam.

- Na pewno - odpowiedziałam.

- Czy nic nam się nie stanie? - spytała.

- Poradzimy sobie świetnie.

- Powiedziałaś, że każdy jest samotny. Nie chcę być samotna - oświadczyła.

Poczułam ucisk w piersi i przyciągnęłam Pearl bliżej do siebie.

- Nigdy nie będziesz samotna - obiecałam.

Pocałowałam ją w czubek głowy. - Lepiej je policzmy - powiedziałam, wskazując stojące na pokładzie wiadra z rybami.

Ważąc na dłoni każdą martwą rybę, wciąż myślałam o Row, samotnej gdzieś tam daleko. Jedna część mnie zastanawiała się, ile jest warta każda ryba, a druga wyobrażała sobie córkę samą na jakimś wybrzeżu. Czy Jacob umarł? A może ją porzucił? Na tę myśl ręce zatrzęsły mi się z lodowatej wściekłości. On porzuczał ludzi; właśnie tak zawsze postępował.

Ale jej by tego nie zrobił, usiłowałam przekonać samą siebie, czując się znów wciągana w wir nienawiści, która nocami nie dawała mi zasnąć przez lata po jego odejściu. Dawniej byłam zaślepiona przez miłość, a teraz wiedziałam, że zaślepia mnie nienawiść. Musiałam się skupić. Pamiętać o Row, a zapomnieć o nim.

Przez ostatnie trzy dni żeglugi część mnie nieustannie myślała o zaginionej córce. Miałam wrażenie, że całe ciało snuje plany dotarcia do niej, podczas gdy świadomość koncentruje się na mocowaniu liny przy bloczku albo wciąganiu kołowrotkiem żyłki wędki - codziennych drobnych czynnościach dających mi poczucie zakorzenienia. Odkrycie, że Row żyje, wywoływało we mnie przejmujący dreszcz strachu i szok, a zarazem sprowadzało na mnie dziwny zwierzęcy spokój, gdy krzątałam się po łodzi, jakby to był kolejny zwykły dzień. Właśnie o tym marzyłam, na to miałam nadzieję, ale też tego się lękałam, bo jeśli Row żyje,

muszę ją odszukać, ryzykując wszystkim. Czy którakolwiek matka porzuca dziecko potrzebujące pomocy? Jednak czy zabranie Pearl na tę niebezpieczną wyprawę nie będzie rodzajem porzucenia jej? Porzucenia spokojnego życia, które razem sobie wywalczyłyśmy i stworzyłyśmy.

Załadowałyśmy łososie i halibuty do czterech koszy. Już wcześniej na łodzi wypatroszyłyśmy oraz uwędziłyśmy łososie, ale halibuty były świeże, złowione tego ranka, co mogło być atutem podczas dobijania targu.

Port trafnie nazwano Apple Falls, czyli Kaskada Jabłek, ponieważ na leśnej wycince między dwoma szczytami zasadzono drzewa jabłoni. Strażnicy na dwóch wieżach umieszczonych na wierzchołkach gór pilnowali tego sadu i strzelali do złodziei. Miałam nadzieję, że uda się nam prehandlować ryby za przynajmniej pół kosza jabłek, trochę zboża i nasion. Ostatnio w poprzedniej faktorii miałyśmy tylko trzy koszyki ryb. Ledwie zdołałyśmy wymienić je na linę, olej i mąkę, których potrzebowałyśmy. Teraz chciałam dostać trochę nasion warzyw, żebym mogła uprawiać na pokładzie jeszcze kilka gatunków. Obecnie miałyśmy tylko na wpół uschniętą sadzonkę pomidorów. Wiedziałam, że Beatrice, moja stara przyjaciółka mieszkająca w Apple Falls, da mi lepszą zapłatę za ryby, niż dostałabym w jakimkolwiek

innym porcie.

Drobne fale pluskały przy brzegu będącym stromym zboczem góry z torfowym występem, na którym przez lata sklecono z drewnianych desek pomost do cumowania, obecnie w połowie zanurzony pod wodą.

Przybiłyśmy do niego, po czym uiściłam opłatę portową w postaci skrzynki skrawków metalu, którą znalazłam, łowiąc ryby na płyciźnie. „Ptak” był jedną z najmniejszych łodzi na przystani, ale solidnie zbudowaną. Dziadek zaprojektował ją jako prostą i łatwą w manewrowaniu. Maszt z prostokątnym żaglem, ster z rumplem, bosak oraz wiosła po obydwu burtach. Na pokładzie znajdował się rodzaj namiotu ze starych chodników i plastikowych plandek, w którym spałyśmy w nocy. Dziadek zbudował tę łódź z drzew rosnących na naszym podwórzu w Nebrasce, na początku Sześćioletniej Powodzi, kiedy zrozumieliśmy, że ucieczka jest jedyną szansą ocalenia.

W okresie, kiedy się urodziłam, woda zatopiła już wybrzeża na całym świecie. Wiele krajów utraciło wskutek tego połowę swoich terytoriów. Migranci uciekali w głąb lądów, nagle Nebraska stała się gwarnym, zatłoczonym obszarem. Nikt jednak nie wiedział, że najgorsze miało dopiero nadejść – wielka powódź trwająca sześć lat. Poziom wody podniósł się

wyżej, niż ktokolwiek mógłby przewidzieć, zmieniając całe kraje w dno oceanu, a każde ich miasto w nową Atlantyde.

Jeszcze przed Sześćioletnią Powodzią zaczęły się gwałtowne trzęsienia ziemi i nieustanne uderzenia tsunami. Sam grunt zdawał się naładowany niszczycielską energią. Kiedy wyciągałam rękę, wyczuwałam w powietrzu żar niczym puls niewidzialnego zwierzęcia. Słyszeliśmy w radiu pogłoski o tym, że morskie dno pękło i woda z głębi ziemi wnika do oceanu. Ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, co naprawdę się stało. Wiedzieliśmy tylko, że woda wokół nas wzbiera, jakby chciała pogrzebać nas w wodnym grobie.

Ludzie nazwali okres, kiedy zniknęły wybrzeża, Stuletnią Powodzią. Ta powódź nie trwała dokładnie stu lat, ale nikt nie miał pojęcia, kiedy się zaczęła. W przeciwieństwie do wojny, tutaj nie było żadnej oficjalnej proklamacji, żadnej daty, którą moglibyśmy zapamiętać jako początkową. Jednak powódź potrwała około stu lat, nieco dłużej od ludzkiego życia. Dziadek mawiał, że kiedy urodziła się jego matka, Nowy Orlean jeszcze istniał, a gdy umarła, już go nie było.

Po Stuletniej Powodzi doszło do szeregu migracji i walk o zasoby. Matka opowiadała mi historie o tym, jak upadły wielkie miasta, gdy wysiadły elektryczność

oraz internet. Na progach domów w stanach Indiana, Iowa i Kolorado pojawili się przerażeni, znużeni ludzie dźwigający swój dobytek, prosząc, by ich wpuszczono.

Pod koniec Stuletniej Powodzi rząd przeniósł się w głąb lądu, jednak sprawował już tylko ograniczoną kontrolę nad krajem. Kiedy miałam siedemnaście lat, w radiu podano wiadomość o zamordowaniu prezydenta. Ale po miesiącu jakiś migrant przechodzący przez naszą okolicę powiedział, że prezydent zbiegł w Góry Skaliste. A jeszcze później usłyszeliśmy, że dokonano wojskowego zamachu stanu i rozwiązano sesję Kongresu, po czym członkowie rządu uciekli. W tym czasie globalna łączność już uległa zerwaniu, cała nasza wiedza o świecie została zredukowana do plotek, więc przestałam ich słuchać.

Kiedy zaczęła się Sześćioletnia Powódź, miałam dziewiętnaście lat i niedawno poznałam Jacoba. Pamiętam, jak stałam obok niego, oglądając relację telewizyjną na żywo z zalania Białego Domu. Nad powierzchnię wody wystawała tylko flaga na dachu. Każda fala coraz bardziej ją moczyła, aż wreszcie flaga zwiśla na maszcie. Wyobrażałam sobie wewnątrz Białego Domu, twarze spoglądające z licznych portretów na ścianach, wodę wpływającą korytarzami do wszystkich pomieszczeń, jednych

rozbrzmiewających rozpaczliwymi krzykami, a innych pogrążonych w martwej ciszy.

Razem z matką ostatni raz oglądałyśmy telewizję drugiego roku Sześćioletniej Powodzi, gdy byłam już w ciąży, oczekiwałam narodzin Row. Widziałyśmy materiał filmowy przedstawiający mężczyznę leżącego w gumowym pontonie. Trzymał na brzuchu butelkę whisky i uśmiechał się w niebo, podczas gdy ponton unosił się na wodzie obok szczytu jakiegoś wieżowca, a wokoło wirowały śmieci. Matka mawiała, że tyle różnych reakcji, ilu ludzi.

Dotyczyło to też mojego ojca. To on nauczył mnie, co oznacza ta powódź. Przywykłam już do urywającej się łączności, do tłumów ludzi tłoczących się w darmowych jadłodajniach. Ale kiedy miałam sześć lat, wróciłam wcześniej ze szkoły z bólem głowy. Drzwi szopy ogrodowej były otwarte, dostrzegłam przez nie tylko tułów i nogi ojca. Podeszłam bliżej, zajrzałam do środka i zobaczyłam jego twarz. Powiesił się na krokwi.

Pamiętam, że krzyczałam i cofnęłam się. Każda komórka w moim ciele wydawała się ostrym odłamkiem szkła; nawet oddychanie sprawiało ból. Wbiegłam do domu, szukając mamy, ale była jeszcze w pracy. Tamtego miesiąca runęły wieże telefonii komórkowej, więc po prostu usiadłam na frontowej werandzie i czekałam, aż mama wróci do domu.

Usiłowałam obmyślić, jak mam o tym powiedzieć, lecz słowa wciąż mi umykały, umysł wzdragał się przed straszną rzeczywistością. Minęło już tyle czasu, a ja ciągle czuję się jak tamta dziewczynka czekająca bez końca na werandzie, z umysłem pustym niczym opróżniona miska.

Po powrocie matki znalazłyśmy na stole pustą torbę na zakupy i notkę ojca: „Półki w sklepie były ogołoczone. Przepraszam”.

Myślałam, że gdy będę miała własne dzieci, lepiej go zrozumiem, pojmę rozpacz, która pchnęła go do samobójstwa. Ale nie rozumiałam. Tylko jeszcze bardziej znienawidziłam ojca.

Pearl szarpnęła mnie za rękę i wskazała wózek z jabłkami stojący tuż obok przystani.

Skinęłam głową.

- Powinno się nam udać zdobyć parę - powiedziałam.

W osadzie panował zgiefk, roiły się w niej chmary ludzi, toteż Pearl nie odstępowała mnie ani na krok. Zawiesiliśmy kosze z rybami na dwóch długich żerdziach, które mogłyśmy nieść na ramionach, i ruszyliśmy długą ścieżką wijącą się między dwiema górami.

Doznałam ulgi, znalazłszy się znów na lądzie. Ale gdy otoczył mnie tłum, poczułam nowy rodzaj paniki,

odmienny od tej, jakiej doświadczałam, płynąc samotnie po morskich falach. Niedające się opanować wrażenie bycia obcą, która musi na nowo nauczyć się zmieniających się wciąż zasad obowiązujących w każdej faktorii.

Pearl nie przeżywała takich ambiwalentnych uczuć jak ja, nie miotała się między ulgą a strachem. Nienawidziła przebywania na lądzie, a jedyną zaletę stanowiła dla niej możliwość zapolowania na węże. Już jako niemowlę nie cierpiała lądu, nie chciała usnąć, kiedy obozowałyśmy nocą na brzegu. Czasami, gdy odwiedzałyśmy jakiś port, dostawała mdłości i szła popływać, by uspokoić nerwy.

Na tej wyspie było pełno pniaków ściętych drzew oraz gęstego poszycia z traw i krzaków. Ludzie tłoczyli się na ścieżce, jakiś stary człowiek wpadł na dwóch młodych mężczyzn niosących kanu, matka popychała przed sobą dzieci. Wszyscy mieli brudne, podarte ubrania, a woń tylu ludzi żyjących razem w ścisłości przyprawiała mnie o zawrót głowy. Większość osób, jakie widywałam w portach, było starszych od Pearl, a Apple Falls nie stanowiło pod tym względem wyjątku. Śmiertelność niemowląt znów wzrosła. Przechodnie na ulicach rozmawiali o groźbie wymarcia gatunku ludzkiego, o środkach niezbędnych do odbudowania populacji.

Ktoś zrzucił na ziemię jeden z koszyków Pearl, a ja

przekląłam go i szybko pozbierałam ryby. Minęliśmy główną faktorię, potem przeszliśmy przez odkryte targowisko, na którym w powietrzu unosił się zapach kapusty i świeżo zerwanych owoców. Podążyliśmy ścieżką dalej na północ w kierunku namiotu Beatrice, przez peryferie miasteczka zabudowane chatami skleconymi z desek, kamieni, kawałków metalu. Na błotnistym podwórzu przed jedną z takich bud siedział mały chłopiec i sprawiał ryby. Miał na szyi obrożę ze smyczą przywiązaną do metalowego słupa.

Chłopiec odwzajemnił moje spojrzenie. Plecy miał pokryte niewielkimi sińcami wyglądającymi jak ciemne kwiatki. W progu chaty stanęła kobieta z rękami skrzyżowanymi na piersi i przyglądała mi się uważnie. Odwróciłam wzrok i szybko poszłam dalej.

Namiot Beatrice stał na południowym skraju góry, ukryty pośród kępy kilku sekwoi. Beatrice powiedziała mi kiedyś, że strzeże ze śrutówką tych swoich drzew przed złodziejami, bo czasami budził ją w nocy dźwięk uderzenia siekierą w pień. Wyznała też, że zostały jej tylko cztery naboje.

Przykucnęliśmy, zsuwając żerdzie z ramion.

- Beatrice! - zawołałam.

Przez chwilę panowała cisza, zaniepokoiłam się, że namiot już nie należy do niej, że umarła.

- Beatrice - powtórzyłam.

Wytknęła głowę przez otwór wejściowy namiotu i uśmiechnęła się. Nadal miała długie siwe włosy splecione w warkocz spadający na plecy, a ogorzałą od słońca twarz porytą jeszcze głębszymi zmarszczkami.

Wyskoczyła z namiotu i chwyciła Pearl w objęcia.

- Zastanawiałam się, kiedy znów was zobaczę - powiedziała.

Rzucała spojrzenia to na Pearl, to na mnie, przyglądała się nam uważnie. Wiedziałam, że obawia się, iż kiedyś nie wrócimy już zahandlować, podobnie jak ja bałam się, że pewnego dnia zjawię się, by dobić kolejnego targu, a w jej namiocie będzie mieszkał ktoś inny, zaś imię Beatrice pozostanie tylko wspomnieniem.

Uściskała mnie, a potem odsunęła na odległość ramion i popatrzyła mi w oczy.

- Co się stało? - spytała. - Wyglądasz jakoś inaczej.

- Wiem, gdzie ona jest, Beatrice. Potrzebuję twojej pomocy.

ROZDZIAŁ 4

Namiot Beatrice był najbardziej komfortowym miejscem, w jakim przebywałam w ciągu minionych siedmiu lat, odkąd z dziadkiem wypłynęliśmy łodzią z naszego domu. Na trawiastym podłożu leżał orientalny dywan, pośrodku namiotu stał niski stolik, a z boku na łóżku polowym piętrzyła się sarta kilku narzut. Wokół ścian stały kosze i wiadra z różnymi drobiazgami – szpagatem, zwojami lin, jabłkami, pustymi plastikowymi butelkami.

Beatrice, żyłasta i zwinna, uwijała się w namiocie jak mrówka. Była ubrana w długą szarą tunikę, luźne spodnie i sandały.

- Najpierw handel, potem rozmowa – powiedziała, wciskając mi w dłonie maleńką filizankę z wodą. – No więc co tam masz? – spytała, zaglądając do naszych koszy. – Tylko ryby, Myro?

- Ale nie tylko łososie – odrzekłam. – Jest też kilka halibutów, dużych i ładnych. Z tego zrobisz wielki filet – powiedziałam, wskazując największego halibuta, którego ułożyłam na wierzchu.

- Żadnego drewna wyłowionego z morza, żadnego metalu, żadnego futra...

- Niby skąd miałam wziąć futro?

- Mówiłaś, że twoja łódź ma pięć metrów długości. Mogłabyś trzymać na niej kozę albo nawet dwie. Miałabyś mleko, a później futro.

- Hodowanie żywego inwentarza na morzu to koszmar. Takie zwierzęta nie żyją długo. Nie na tyle, by urodzić młode, więc cała sprawa jest właściwie niewarta zachodu - odpowiedziałam.

Ale pozwalałam, by mnie rugała, bo wiedziałam, że tego potrzebuje. Powodował nią instynkt macierzyński, przyjemność karcenia, a potem pocieszania.

Beatrice pochyliła się i poszperała pośród ryb.

- Mogłabyś z łatwością na łodzi garbować skóry. Masz tam tyle słońca.

Ostatecznie uzgodniłyśmy, że wymienię wszystkie ryby na drugą sadzonkę pomidorów, kilka metrów bieżących bawełny, nowy nóż i dwie małe torebki zarodków pszennych. Uzyskałam więcej, niż się spodziewałam, a było to możliwe tylko dlatego, że Beatrice traktowała nas aż nazbyt szczerze. Ona i dziadek zaprzyjaźnili się przed laty, a po jego śmierci proponowała mi coraz bardziej hojne warunki handlu, co budziło we mnie zarówno wdzięczność, jak i wyrzuty sumienia. Chociaż w wielu faktoriach byłam znana jako godna zaufania rybaczką, ledwie nam się udawało wyżyć z transakcji wymiennych.

Beatrice wskazała nam niski stół. Usiadliśmy z Pearl przy nim na ziemi, ona zaś wyszła na zewnątrz, by rozpaść ogień i przyrządzić kolację. Zjadliśmy łososa, którego dostarczyłam, z gotowanymi ziemniakami, kapustą i jabłkami. Gdy tylko Pearl skończyła, zwinęła się w kłębek w kącie namiotu i zasnęła, a my z Beatrice zaczęliśmy cicho rozmawiać, podczas gdy zapadał nocny mrok.

Beatrice nalała mi filiżankę herbaty z mięty i jakichś ziół, których listki unosiły się na powierzchni napoju. Odniosłam wrażenie, że moja stara przyjaciółka zbiera się, by o coś zapytać.

- A więc gdzie ona jest? - rzuciła w końcu.

- W miejscu zwanym Valley. Słyszałaś o nim?

Skinęła głową.

- Kiedyś tylko raz zahandlowałam z kupcami stamtąd. To mała osada, mieszka w niej może kilkaset osób. Ludzie, którzy tam docierają, zazwyczaj nie wracają. Leży na uboczu, otoczona burzliwym morzem.

Rzuciła mi przeciągłe spojrzenie.

- Gdzie to jest? - spytałam.

- Skąd zdobyłaś tę informację? Czy jest wiarygodna?

- Dowiedziałam się od pirata z bandy Upadłych Opatów. Nie sądzę, by kłamał. Powiedział mi już większość z tego, zanim...

Urwałam, nagle zakłopotana. Przez twarz Beatrice przemknął błysk zrozumienia.

- Czy był pierwszym, którego zabiłaś?

Przytaknęłam.

- Pojmał nas.

- Opłaciły się te lekcje walki - powiedziała, chociaż w jej głosie zabrzmiał raczej smutek niż satysfakcja.

Dziadek nauczył mnie żeglowania i łowienia ryb, ale walczyć nauczyła mnie Beatrice. Po śmierci dziadka ćwiczyłyśmy obie pod drzewami w pobliżu jej namiotu, w odległości kilku kroków od siebie, ja naśladowałam jej ruchy. We wczesnym okresie migracji jej ojciec nauczył ją walki na noże. Beatrice nie oszczędzała mnie podczas naszych lekcji. Podstawiała mi nogę i wykręcała rękę za plecy, niemal ją łamiąc.

Ujęłam w dłonie stojącą przede mną filiżankę z parującą herbatą, ogrzewając je. Poczułam, że moje ciało nieruchomieje, niemal się uspokaja, jednak wciąż szalał we mnie huragan emocji, jakbym wewnątrz rozpadała się na kawałki.

- Czy możesz mi pomóc? - spytałam. - Masz jakieś mapy tamtych okolic?

Wiedziałam, że ma mapy - mogłaby kupić za nie drewno i ziemię - właśnie dlatego musiała nocami spać ze śrutówką pod ręką. Nigdy nie słyszałam o Valley, ale słyszałam o niewielu miejscach.

Gdy Beatrice nic nie odpowiedziała, dodałam:

- Nie chcesz, żebym tam popłynęła.

Ponieważ nie znałam się na nawigacji, pływałam tylko pomiędzy faktoriami wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, które dobrze poznałam podczas żeglowania z dziadkiem.

- Beatrice, jej grozi niebezpieczeństwo - powiedziałam. - Jeżeli są tam Upadli Opaci, Valley jest teraz kolonią. Wiesz, ile lat ma Row? Prawie dwanaście. Lada dzień mogą ją przenieść na statek reprodukcyjny.

- Jacob z pewnością ją chroni. Może płacić dodatkowe daniny, żeby ustrzec ją przed odesłaniem na ten statek.

- Pirat powiedział, że nie ma z nią ojca.

Beatrice popatrzyła na Pearl, która zwinięta w kłębek spała na boku, z pogodną twarzą. Jeden ze schwytyanych przez nią węży wysunął łeb z kieszeni jej spodni i popęłznął po nodze.

- A co z nią? - zapytała Beatrice. - Co będzie, jeśli wyruszysz na tę wyprawę i stracisz także ją?

Wstałam i wyszłam z namiotu. Noc zrobiła się zimna. Ukryłam twarz w dłoniach. Chciałam jęknąć, ale zagryzłam usta i zacisnęłam powieki tak mocno, że zaboląły.

Beatrice też wyszła i położyła dłoń na moim ramieniu.

- Jeśli nie spróbuję... - zaczęłam. Powietrze przeciął odgłos skrzydeł przelatujących nad nami nietoperzy, po czym ujrzałam ich czarne sylwetki na tle księżyca. - Beatrice, ona jest tam całkiem sama. To jedyna szansa uratowania jej. Kiedy wyślą ją na statek reprodukcyjny, już jej więcej nie odnajdę.

Nie dodałam, że nie mogę postąpić tak jak ojciec. Nie mogę zostawić jej samotnej na jakimś ganku, kiedy ona mnie potrzebuje.

- Wiem - powiedziała Beatrice. - Wiem. Wróćmy do środka.

Nie przybyłam do Beatrice tylko po to, żeby mi pomogła, ale dlatego, że była jedyną osobą, która mogła mnie zrozumieć. Która знаła całą moją historię, od samego początku. Nikt inny spośród żyjących nie wiedział, jak poznałam Jacoba. Gdy miałam dziewiętnaście lat nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zaczęła się Sześćioletnia Powódź. Tego dnia, kiedy go poznałam, suszyłam w słońcu na frontowej werandzie plasterki jabłek. Tamtego lata temperatura przekraczała codziennie trzydzieści osiem stopni, więc suszyliśmy na werandzie owoce, a z pozostałych, które zerwaliśmy, robiliśmy przetwory. Pokroiłam dwadzieścia jabłek na cienkie plasterki, rozłożyłam je na wszystkich deskach werandy, a potem weszłam do domu, żeby sprawdzić te, które smażyłam nad paleniskiem. Rankami

pracowałam u farmera w południowej części miasteczka, ale po południu wracałam i pomagałam mamie w domu. W tamtym czasie już tylko dorywczo pracowała jako pielęgniarka - odbywała wizyty domowe albo leczyła chorych w prowizorycznych klinikach, oferując opiekę i wiedzę medyczną w zamian za żywność.

Kiedy wyszłam znowu na dwór, zobaczyłam, że rząd plasterków jabłek zniknął, a jakiś mężczyzna znieruchomiał pochylony nad werandą, z jedną ręką na plasterku, a drugą rozchylającą torbę na ramieniu.

Odwrócił się i zaczął uciekać, a ja popędziłam za nim przez werandę. Pot ściekał mi po plecach, płuca płonęły z wysiłku, ale dogoniłam go, rzuciłam się na niego i oboje runęliśmy jak dłudzy na trawnik sąsiadów. Wyrwałam mu torbę. Prawie się nie bronił, tylko zasłonił rękami twarz.

- Przypuszczałem, że będziesz szybka, ale nie aż tak - wydyszał.

- Wynoś się stąd - mruknęłam, wstając.

- Czy możesz oddać mi torbę?

- Nie - odparłam i odwróciłam się na pięcie.

Jacob westchnął i popatrzył w bok. Na jego twarzy malowało się łagodne przygnębienie. Odniosłam wrażenie, że przywykł do porażek i dość łatwo się z nimi godzi. Później tamtego wieczoru zastanawiałam się, dlaczego bez lęku puściłam się

w pościg za nieznanym człowiekiem, skoro zazwyczaj starałam się unikać obcych, z obawy przed napaścią. Uświadomiłam sobie, że z jakiegoś powodu wiedziałam, iż on mnie nie skrzywdzi.

Tamtej nocy spał w opuszczonej szopie sąsiada, a rano pomachał do mnie. Potem obserwował, jak pieliałam ogródek przed domem. To, że się przyglądał, i zmysłowy dreszcz, jaki to we mnie budziło, sprawiało mi przyjemność.

Kilka dni później przyniósł bobra, którego złapał w sidła przy pobliskiej rzece, i położył go u moich stóp.

- Zgoda? - zapytał.

Skinęłam głową. Odtąd siadywał ze mną, kiedy pracowałam, a ja polubiłam rytm jego opowieści i dziwny sposób, w jaki zawsze się kończyły, z odcieniem irytacji zmieszanej z zachwytem.

Katastrofa zbliżyła nas do siebie. Nie wiem, czy zakochalibyśmy się w sobie, gdyby nie owo idealne połączenie nudy i przerażenia - przerażenia, które graniczyło z podnieceniem i szybko nabrało erotycznego zabarwienia. Dotyk jego ust na mojej szyi, skóra już wilgotna od potu, żar w powietrzu sprawiający, że co kilka godzin padał deszcz, a ziemia, na której leżeliśmy, stawała się rozmokła, chociaż zaraz osuszała ją słońce. Moje serce biło już szybciej, niż powinno, zmysły znajdowały ukojenie

tylko w jeszcze gwałtowniejszym rozplómienu.

Jedyné zdjęcie na naszym ślubie zrobiono polaroidem, który matka pożyczyla od byłego pacjenta. Staliśmy w blasku słońca na frontowej werandzie, brzuch miałam już zaokrąglony od ciąży, i tak mocno mrużyliśmy powieki, że oczy wyglądały jak szparki. Właśnie tak pamiętam tamte dni: upał i światło. Upał nigdy nie ustawał, ale blask słońca przygasał tak szybko podczas każdej burzy, że miało się wrażenie przebywania w pokoju, w którym ktoś wciąż zapala i gasi światło.

Beatrice zaprowadziła mnie z powrotem do namiotu. Podeszła do biurka wciśniętego między łóżko polowe a półkę z garnkami. Poszperała w jakichś papierach, wyjęła zrolowaną mapę i rozłożyła przede mną na stole. Wiedziałam, że mapa nie będzie całkiem dokładna. Żadne dokładne mapy jeszcze nie istniały, jednak niektórzy żeglarze próbowali nakreślić kontury większych lądów, jakie obecnie wynurzały się nad powierzchnią wód.

Beatrice wskazała ląd w górnej środkowej części mapy.

- To była Grenlandia. Valley znajduje się w tym południowo-wschodnim rogu.

Wskazała na małą kotlinę otoczoną z obu stron przez urwiska i morze. Na wodach wokół tego niewielkiego skrawka ziemi widniał napis: „Góry

lodowe". Nic dziwnego, że pomimo kilkuletnich poszukiwań nie zdołałam odnaleźć Row; nie dopuszczałam do siebie myśli, że ona może przebywać aż tak daleko.

- To miejsce jest chronione przez naturalne ukształtowanie terenu i bronione przez piratów, więc dziwię się, że Upadli Opaci założyli tam kolonię. Kupcy z Valley mówili, że z powodu odizolowanego położenia jest tam bezpieczniej niż gdzie indziej. Ale trudno tam dotrzeć. Tutaj - pokazała na Morze Labradorskie - jest Piracki Korytarz.

Słyszałam o Pirackim Korytarzu. Na tym ponurym obszarze burzliwych wód czaili się piraci, którzy często rabowali uszkodzone albo zabłąkane statki. Kiedy odwiedzałam porty, puszczałam mimo uszu opowieści o tym miejscu, bo nie przeszło mi przez myśl, że będę musiała popłynąć w tamte okolice.

- Banda Czarnej Lilii trzyma tam kilka statków - powiedziała Beatrice. - Krążą wieści, że kilka innych płynie jeszcze dalej na północ.

Czarna Lilia była największą bandą piracką, z flotą liczącą co najmniej tuzin statków, a być może jeszcze więcej. Ta flota składała się ze starych tankowców, które zaopatrzone w żagle, oraz z niewielkich łodzi poruszanych wiosłami przez niewolników. Symbolem bandy był wizerunek królika tatuowany na szyjach. W faktoriach huczało od plotek o wielu osadach,

które napadli, o daninach, jakie ściągali ze swoich kolonii, zmuszając mieszkańców do zapracowywania się niemal na śmierć.

- Poza tym - kontynuowała Beatrice - będziesz musiała poradzić sobie z Upadłymi Opatami.

- Ale skoro Valley już jest kolonią Upadłych Opatów, pozostawili do jej strzeżenia tylko kilku ludzi. Mogę wydostać stamtąd Row, a potem odpłyniemy w nieznane, zanim reszta powróci.

Beatrice uniosła brwi.

- Myślisz, że zdołasz sama ich pokonać?

Potarłam skroń.

- Może uda mi się niepostrzeżenie wśliznąć, a potem wymknąć.

- Jak zamierzasz tam dotrzeć? - spytała.

Z łokciem na stole wsparłam czoło na dłoni, para z herbaty ogrzewała mi twarz.

- Zapłacę ci za tę mapę - oświadczyłam.

Czułam się tak znużona, że marzyłam tylko o tym, by wyciągnąć się na ziemi i zasnąć.

Beatrice przewróciła oczami i pchnęła mapę ku mnie.

- Nie masz łodzi nadającej się na taki rejs. Nie masz odpowiedniego wyposażenia. A co, jeśli Row już tam nie ma? - zapytała.

- Mam w Harjo pewien kredyt, za który mogę kupić drewno do zbudowania nowej łodzi. Postaram się

nauczyć nawigacji, a złowione ryby wymienię na ekwipunek.

- Nowa łódź będzie kosztować majątek. Wpadniesz w długi. A co z załogą?

- Popłyniemy tam same.

Beatrice westchnęła i potrząsnęła głową.

- Och, Myro.

Pearl poruszyła się przez sen. Popatrzyliśmy na nią, a potem na siebie. W oczach przyjaciółki widniały czułość i smutek. Ujęła moją rękę, żyły na jej dłoniach były jaskrawoniebieskie jak morze.

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka siedziałyśmy z Beatrice w trawie przed namiotem i sporządzałyśmy przynęty z nici, którą znalazła w porzuconej chacie stojącej nieco wyżej na zboczu góry. Przywiązywałam jaskrawoczerwoną nitkę do haczyka, słuchając opowieści o czasach sprzed zniknięcia pod wodą dawnych wybrzeży. Beatrice urodziła się w San Francisco i była jeszcze dzieckiem, kiedy miasto zatopiła powódź, a jej rodzina uciekła w głąb lądu. Czasami, gdy mówiła, orientowałam się, że usilnie stara się przypomnieć sobie, jak wyglądało życie w dniach jej młodości, zanim zaczęły się wszystkie te migracje, ale właściwie nie potrafi. Jej opowieści wydawały się historiami o miejscu, które nigdy nie istniało.

Jej sąsiedzi po prawej, mieszkający w niewielkiej ziemiance wykopanej w zboczu góry, właśnie się kłócili i dobiegały do nas podniesione, gniewne głosy. Beatrice opowiedziała mi o Upadłych Opatach i o ich początkach. Byli bandą Latynosów, pochodzili przeważnie z Karaibów oraz ze Środkowej i Południowej Ameryki. Zaczynali podobnie jak wiele

innych band pirackich - jako prywatna grupa militarna wynajmowana przez rządy podczas Sześćioletniej Powodzi, kiedy wojny domowe nieustannie pustoszyły kraje. Po upadku wszystkich oficjalnych państw grupa przekształciła się w rodzaj związku żeglarzy, bractwa usiłującego utworzyć nowy kraj.

- Niedawno, w zeszłym tygodniu widziałyśmy, jak na północ stąd piraci przejęli niewielką łódź - oznajmiłam. - Należała do rodziny rybaków. Słyszałam ich krzyki i... - Urwałam, przyjrzałam się przynęcie, mrużąc oczy, po czym odgryzłam nitkę. - Odpłynęłyśmy stamtąd - dokończyłam.

Tamtego dnia z ciężkim sercem ujęłam rumpel i skręciłam, kierując nas na południe, z dala od krzyków napadniętych ofiar. Nawet na pełnym morzu czułam się osaczona, uwięziona w pułapce, z niewielką możliwością wyboru.

- Nie miałam z tego powodu wyrzutów sumienia - wyznałam. - To znaczy, miałam, ale nie tak wielkie jak dawniej.

Zapragnęłam dodać: odnoszę wrażenie, jakbym wewnątrz otępiała. Jakby wszystko we mnie stwardniało, zużyło się i nie pozostały mi już żadne uczucia.

Beatrice przez chwilę milczała. W końcu rzekła:

- Niektórzy powiadają, że piraci w ciągu kilku lat

opanują morza.

Słyszałam to już wcześniej, ale nie podobało mi się, że mówi o tym Beatrice, której nie interesowały spiskowe teorie ani katastroficzne spekulacje. Tymczasem ona ciągnęła dalej, przekazując wieści z leżącej na południu faktorii o tym, jak rządy usiłują zorganizować ochronę i dystrybucję zapasów, jak wojny domowe niszczą zasady prawa i zasoby.

Powiedziała mi, że niektóre nowe państwa przyjęły pomoc ze strony piratów, dobrowolnie stając się koloniami kontrolowanymi przez korsarskich hersztów. Piraci obiecują takim rodzącym się społecznościom ochronę i dostarczają im dodatkowe środki - żywność i wyposażenie, które kradną albo wyszukują. Ale ta pomoc nie jest bezinteresowna. Owe państwa z pewnością będą musiały za nią zapłacić - dodatkowymi porcjami zbóż z nowo wybudowanych młynów, najlepszymi warzywami z ogrodów. Czasami takie państwo zostaje zmuszone do wysłania kilku swoich ludzi, żeby pracowali jako strażnicy na statkach reprodukcyjnych i w koloniach. Piraci na swoich statkach krążą między koloniami i zabierają wszystko, czego potrzebują, a kiedy odpłyną, strażnicy siłą narzucają mieszkańcom swoje prawa.

Nasze rozmowy przebiegały zawsze według tego samego schematu. Namawiała mnie, żebym

przeprowadziła się na ląd, a ja nakłaniałam ją do przeniesienia się na wodę. Ale nie tym razem.

Zaczęła mi opowiadać o czymś, co przydarzyło się w ubiegłym tygodniu jej sąsiadom. Powiedziała, że w środku dnia rozległy się wrzaski dobiegające od strony ich ziemianki. Dwaj mężczyźni krzyczeli i wskazywali na dziewczynkę, która stała pomiędzy matką a ojcem. Mała wyglądała na jakieś dziewięć, może dziesięć lat. Jeden z mężczyzn wystąpił naprzód, chwycił ją i wykręcił jej ręce do tyłu, gdy próbowała uciec do matki.

Ojciec rzucił się ku córce, ale drugi mężczyzna rąbnął go pięścią w brzuch. Ojciec zgiął się wpół, a tamten kopniakiem powalił go na ziemię.

- Proszę - rzekł ojciec błagalnym tonem. - Oddam wam pieniądze. Zapłacę.

Mężczyzna kopnął go z góry w pierś, a ojciec zwinął się z bólu i przekręcił na bok, ręce mu się trzęsły i wzbijały niewielkie obłoczki pyłu.

Dziewczynka zawołała do rodziców, naprężyła ręce za plecami, usiłując wyrwać się do nich. Mężczyzna, który kopnął ojca, uderzył ją mocno w twarz, a potem sznurem skrępował z tyłu ręce w nadgarstkach. Jego towarzysz podniósł ją, zarzucił sobie na ramię i odwrócił się.

Już nie krzyknęła, ale Beatrice słyszała jej cichy płacz, gdy napastnicy ją wynosili.

Godzinę później miasteczko znów zaroilo się od ludzi, na piaszczystych ścieżkach zatupotały kroki, rozbrzmiały jasne głosy dzieci nawołujących się nawzajem. Sąsiad Beatrice z chałupy po drugiej stronie ulicy wychylił się z otwartego okna i wywiesił na wieszaku mokrą ścierkę do naczyń. Wszyscy zachowywali się, jakby nic się nie stało, jakby niedawno nie odebrano rodzicom dziecka.

Beatrice teraz potrząsnęła głową.

- Prawdopodobnie to była jakaś sprawa osobista. Może odbierano w ten sposób prywatny dług i nikt nie chciał się wtrącać. Tamci nie kontrolują naszej miejscowości, lecz mimo to...

Urwała. Nasze ręce znieruchomiały, haczyki leżące na kolanach połyskiwały w świetle słońca. Beatrice gorączkowo szukała odpowiednich słów.

- Mimo to się niepokoję - dokończyła wreszcie. - Organizujemy tutaj ruch oporu. Mogłabyś przyłączyć się do nas. Pomóc nam.

- Nie przyłączam się do żadnych grup. Nie zamierzam pozostać na lądzie i czekać, aż ktoś mi ją zabierze - oświadczyłam, wskazując głową Pearl, która wcześniej złapała węża i wrzuciła go do jednego z naszych koszy.

Teraz podeszła i usiadła obok nas, ze wzrokiem utkwionym w trawę. W rękach trzymała następnego nieruchomego węża.

- Wiesz, oni wybudowali bibliotekę - powiedziała cicho Beatrice z bólem w głosie.

- Kto? - spytałam.

- Upadli Opaci. W jednej ze swoich baz w Andach, w Argali. Ta biblioteka ma nawet okna. I półki. Są w niej książki ocalone z czasów przed katastrofą, a także nowe, przepisywane. Ludzie podróżują wiele kilometrów, żeby ją zobaczyć. Kilkoro przyjaciół powiedziało mi, że tamci zbudowali ją, aby zademonstrować zaangażowanie w przyszłość. W kulturę.

Beatrice zacisnęła usta. Przed powodzią była nauczycielką. Wiedziała, jak ważne są dla niej książki. Jak bardzo cierpiała, kiedy szkołę zamknięto, a uczniowie rozpiechli się po kraju. Wiedziała też o kochanku, którego banda piratów zabiła przed trzema laty na jego łodzi rybackiej. Od tamtej tragedii bała się wody i skrywała ten lęk pod maską miłości do lądu.

- We wszystkim tkwi odrobina dobra - powiedziała.

Pomyślałam o tamtym piracie na wybrzeżu, który mówił o nowych państwach, o potrzebie zorganizowania ludzi. Już wcześniej słyszałam ten argument w barach i faktoriach. Słyszałam o tym, że bogactwo piratów może pomóc szybciej odbudować społeczeństwo. Że zmuszanie ludzi do życia bez struktur społecznych cofnęłoby nas cywilizacyjnie.

Opisałam Pearl, jak wygląda biblioteka.

- Czy chcesz popłynąć do takiego miejsca? - zapytałam ją.

- Dlaczego miałabym chcieć? - odparła, próbując owinąć sobie opierającego się węża wokół nadgarstka.

- Mogłabyś się uczyć - powiedziałam.

Zmarszczyła brwi, usiłując wyobrazić sobie bibliotekę.

- Tam?

Wciąż na nowo natykałam się na ten problem: Pearl w ogóle nie pragnęła tego, za czym ja tak bardzo tęskniłam. Nie mogła pragnąć, skoro nie miała o tym żadnego pojęcia ani wyobrażenia.

W jej przypadku martwiła mnie utrata nie tylko danej rzeczy, lecz nawet pragnienia tej rzeczy. Powinniśmy móc zachować przynajmniej pragnienia, pomyślałam. A może powodem było to, gdzie i kiedy się urodziła. Może nie mogła pragnąć czegoś takiego jak wiedza, skoro przyszła na świat tak zdegenerowany.

Beatrice nie powiedziała już nic więcej. Kiedy skończyłyśmy sporządzanie przynęt, weszłam do jej namiotu, żeby się spakować. Wsypałam ziarno do płóciennego worka i wepchnęłam go na dno wiadra. Włożyłam sadzonkę pomidorów do koszyka i owinęłam go kocem, który podarowała mi Beatrice.

Pomyślałam o Row, wyobraziłam sobie jej nadgarstki skrępowane sznurem, jej krzyki uciszane brutalnie albo ignorowane. Zadrżałam.

Beatrice wręczyła mi zrolowaną mapę.

- Nie mam dla ciebie nawet kompasu.

- Dałaś mi więcej, niż mogłam mieć nadzieję - odrzekłam.

- Jeszcze jedno - powiedziała.

Wyjęła z kieszeni jakieś zdjęcie i włożyła mi do ręki. Przedstawiało Jacoba i Row, a zrobiono je na rok przed tym, nim córka zawołała moje imię z tamtej odpływającej szybko motorówki. Dziadek dał tę fotografię Beatrice, żeby mogła wypytywać handlarzy przybywających do Apple Falls, czy ich widzieli. Na tej fotografii kasztanowe włosy Jacoba połyskiwały złościście w blasku słońca. Kwadratowy podbródek z dołkiem oraz krzywy nos, złamany podczas dziecięcej bójki na szkolnym boisku, nadawały twarzy męża twardy wyraz. Row była delikatnej budowy, z wąskimi spadzistymi ramionami i błyszczącymi szaroniebieskimi oczami. Odziedziczyła oczy po mnie, o migdałowym wykroju, z opadniętymi powiekami. Przypominały barwę morze. Miała zakrzywioną bliznę w kształcie ostrza kosy, biegnącą nad brwią i przez skroń. W wieku dwóch lat upadła i rozcięła sobie czoło o skrzynkę na narzędzia.

Pogładziłam kciukiem twarz córki na zdjęciu.

Zastanawiałam się, czy Jacob zbudował dla nich obojga dom w Valley. Przed laty często mówił, że chciałby wybudować dom dla mnie. Pracował jako cieśla, tak jak mój dziadek. Razem zaczęli budować łódź, lecz po pewnym czasie zajmował się tym już tylko dziadek. Przez kilka tygodni wysłuchiwałam ich krzyków i kłótni, a potem nagle zapanował spokój. To było dwa miesiące przed tym, nim Jacob odpłynął z Row.

Beatrice odgarnęła mi za ucho pasmo włosów, po czym przytuliła.

- Wróc - wyszeptała.

Szeptała mi to słowo na pożegnanie przy każdej wizycie. Z tego, jak długo tym razem mnie obejmowała, wyczułam, że nie sądzi, bym wróciła.

ROZDZIAŁ 6

Razem z Pearl wciągnęliśmy żagiel, wzięliśmy kurs na południe i popłynęliśmy wzdłuż nieregularnej linii brzegowej. Krążyły słuchy, że dalej na południe, w ośrodku handlowym w Harjo, miasteczku w dawnych górach Sierra Nevada, można dostać więcej drewna do budowy łodzi. Zamierzałam wykorzystać kredyt w tamtejszej faktorii na zakup drewna i zaoferować moje umiejętności rybackie w zamian za pomoc przy budowie większej łodzi. Moja niewielka łódka nie poradziłaby sobie na burzliwych północnych wodach. Ale nawet jeśli udałoby mi się zbudować większą łódź, czy umiałabym nawigować i żeglować nią? Wprawdzie zawsze można znaleźć zdesperowanych ludzi, którzy dołączą do załogi, jednak nie potrafiłam znieść myśli o rejsie z obcymi, którym nie mogłabym w pełni zaufać.

Przymocowałam haczyk do żyłki, przywiązałam ją do wędziska, a potem tak samo sporządziłam drugą wędkę. Planowałam, że później, wieczorem, powędkujemy z burty, a może nawet zwolnimy bieg łodzi, zarzucimy wędy ciągnione i spróbujemy złowić

łososie. Pearl siedziała obok mnie, przygotowywała przynęty, sortowała haczyki według wielkości i wrzucała je do odpowiednich przegródek.

- Kto jest na tej fotce? - zapytała, wskazując zdjęcie Row i Jacoba siedzących na koszu z linami.

- Przyjaciel rodziny - odrzekłam.

Przed laty, gdy spytała o swojego ojca, powiedziałam, że zmarł, zanim się urodził.

- Dlaczego pytałaś tamtego mężczyznę o ojca?

- Jakiego mężczyznę? - rzuciłam.

- Tego, którego zabiłaś.

Znieruchomiałam z dłońmi nad wiaderkiem z przynętami.

- Sprawdzalam go - odparłam. - Chciałam się przekonać, czy kłamie.

Niebo na wschodzie pociemniało i nadciągały ku nam zwały chmur. W odległości kilku kilometrów horyzont zamglila ściana deszczu. Wiatr się wzmógł i wydał żagiel, przechylając łódź na bok. Poderwałam się na nogi. Był środek popołudnia. Dzień wstał dziś bezchmurny, ze sprzyjającym stałym wiatrem, liczyłam, że przeplniemy na południe wiele kilometrów bez halsowania.

Dotarłam do masztu i zaczęłam refować żagiel, zmniejszając jego powierzchnię, ponieważ wiatr był zbyt silny. Na wschodzie prawie dwumetrowe fale uderzały o brzeg, spieniona biała woda kotłowała się

pod ciemnym niebem. Zdarzało się nam już wcześniej stawiać czoło szkwałom, gdy wiatr ciskał łodzią, grożąc jej wywróceniem. Ale ten wiał prosto na zachód, odpychał nas od wybrzeża. Porwał z pokładu jakąś szmatę, która przeleciała obok i zniknęła z oczu.

Sztorm zbliżał się z narastającym rykiem przypominającym łoskot pociągu. Zdałam sobie sprawę, że znajdziemy się w samym jego centrum. Pearl przelazła przez namiot i stanęła przy mnie. Widziałam, że powstrzymuje chęć trwożliwego przytulenia się do mnie.

- Robi się coraz gorzej - rzekła drżącym głosem.

Niczego nie bała się bardziej niż sztormów, była żeglarką lękającą się morza. Wyznała mi kiedyś, że obawia się roztrzaskania łodzi. I przebywania na otwartym oceanie.

- Schowaj sprzęt wędkarski do namiotu - poleciłam jej. Wiatr porywał i tłumił moje słowa. - Przymocuj namiot śrubami.

Próbowałam poluzować szot, żeby zmniejszyć napięcie talii żagla, ale przerdzewiały bloczek się zaciął. Gdy w końcu puścił, gwałtowny podmuch wichury pchnął mnie na maszt, a lina wyleciała z bloczka i zatrzepotała na wietrze. Uchwyciłam się masztu, gdy „Ptak” przechylił się w lewo i wzbierające fale obryzgały pokład.

- Zostań w namiocie! - krzyknęłam do Pearl, lecz wiatr zagłuszył mój głos.

Przecisnęłam się przy bocznej ścianie namiotu, pobiegłam w kierunku steru, ale poślizgnęłam się i uderzyłam w górną część nadburcia. Zerwałam się na nogi i zaczęłam naciągać linkę utrzymującą ster, tak aby łódź samoczynnie żeglowała pod wiatr.

Huknął grom, tak głośno, że poczułam go w kręgosłupie, a mózg zawibrował w czaszce. Niebo rozświetliła błyskawica, w łódź uderzyła fala, więc musiałam przytrzymać się rumpla. Opadłam na czworaki, popęzłam w kierunku namiotu i wsadziłam głowę do środka w momencie, gdy o burtę „Ptaka” rozbiła się kolejna fala, spryskując pokład pianą.

Przytuliłam do siebie Pearl, nakryłam swoim ciałem, obejmując jedną ręką, a drugą trzymając się pionowego metalowego pręta wwierconego w pokład. Łódź kołysała się gwałtownie, woda wlewała się do namiotu, a nami oboma rzucało jak koralikami potrząsanymi w słoju. Modliłam się, żeby nie pękł kadłub.

Pearl skuliła się w ciasny kłębek, ja zaś czułam szybkie bicie jej serca przy moim ramieniu niczym trzepotanie skrzydełek kolibra. Wiatr wiał prosto z zachodu, spychał nas z przybrzeżnych wód na otwarty Pacyfik. Jeżeli oddalimy się jeszcze bardziej od brzegu, nie wiedziałam, jak zdołamy wrócić do

jakiegokolwiek portu handlowego.

Ogarnęło mnie jakieś mroczne uczucie – wściekłość albo strach, a może żal. Przypominało ostry przedmiot tkwiący w żołądku, jakbym połknęła odłamek szkła. Przez głowę przemknęły niewyraźne niczym cienie obrazy obu córek. Wciąż dręczyło mnie to pytanie: czy aby uratować jedną, będę musiała poświęcić drugą?

Matka umarła, gdy byłam w czwartym miesiącu ciąży, oczekując narodzin Pearl. Tamtego dnia stałam przy oknie na piętrze, trzymając dłoń na brzuchu, i rozmyślałam o stanie przedrzucawkowym, odklejeniu się łożyska, porodzie pośladowym – wszystkich tych okropnych rzeczach, o których myślałam także wcześniej, kiedy miałam urodzić Row. Ale teraz, gdy nie było już żadnych szpitali, nawet prowizorycznych, które jeszcze do niedawna działały w porzuconych budynkach, każde z tych powikłań wydawało się wyrokiem śmierci. Wiedziałam, że matka pomoże mi przy urodzeniu Pearl, tak jak pomogła przy Row, lecz mimo to tym porodem bardziej się niepokoiłam.

Już od co najmniej miesiąca nie mieliśmy internetu ani elektryczności i codziennie obserwowaliśmy horyzont, obawiając się, że powódź nadejdzie, zanim dziadek ukończy budowę łodzi.

Za naszym domem, na trawniku przed budynkiem sąsiada rosła jabłoń. Widziałam przez okno, że matka musiała wspiąć się na palce, żeby zerwać jabłka. Przez ramię miała przewieszony koszyk, a jej włosy lśniły w blasku słońca. Żółte i pomarańczowe liście oraz czerwone jabłka wyglądały tak wesoło, niemal nierealnie – jak gdybym uznawała je już za coś utraconego, czego nigdy więcej nie zobaczę.

W oddali za matką ujrzałam szarą ścianę piętrzącą się ku niebu. W pierwszej chwili ogarnęło mnie osłupienie, byłam zbyt zszokowana, by zareagować, chociaż przecież właśnie na to czekaliśmy. Ale powódź nie miała jeszcze tutaj dotrzeć. Powinniśmy mieć jeszcze miesiąc albo dwa. Tak właśnie mówili wszyscy na ulicach – sąsiedzi oraz ludzie pchający wózki sklepowe wypełnione dobytkiem, migrujący na zachód w kierunku Gór Skalistych.

Nie pojmowałam, dlaczego jest tak cicho, lecz zaraz uświadomiłam sobie, że znajdujemy się pośród ogłuszającego ryku walących na nas mas wody, huku zderzania się ze sobą drzew wyrwanych z korzeniami, przewróconych szop, pojazdów niesionych zawrotnym nurtem. Było tak, jakbym niczego nie słyszała ani nie czuła i mogła tylko patrzeć na tę nadciągającą olbrzymią falę, ten widok wodnego wału hipnotyzował mnie, paraliżował inne zmysły.

Chyba krzyknęłam. Przycisnęłam dłonie do szyby. Dziadek, Jacob i Row wbiegli na piętro zobaczyć, co jest powodem tego zgiełku. Staliśmy razem przy oknie, trzymając się za ręce, sparaliżowani szokiem, czekając na nadejście fali. Wał wodny narastał, wydawało się, że sama ziemia pragnie zemsty, potoki wody rozlewały się po równinach niczym nacierający wojownicy. Row wgramoliła mi się na ręce, a ja trzymałam ją jak dawniej, kiedy była niemowlęciem; oparła głowę na moim ramieniu, a nogami oplotła mnie w pasie.

Matka podniosła wzrok, zobaczyła nadciągającą falę i upuściła koszyk z jabłkami. Pobiegła w kierunku naszego domu, przecięła ulicę, minęła jeden z sąsiednich budynków, prawie już dotarła na podwórze, gdy fala runęła na nią i zalała masą spienionej białej wody.

Straciłam matkę z oczu, a woda kotłowała się z rykiem wokół domu. Wstrzymaliśmy oddechy, gdy fala powodzi wzrosła, wspięła się po zewnętrznych drewnianych ścianach, roztrzaskała szyby okien i wlała się do środka. Wypełniła wnętrze domu, jak kukurydza wypełnia silos. Budynek zadrżał, zatrząsł się i myślałam, że rozpęknie się na kawałki, a gwałtowny nurt nas rozdzieli. Woda się podnosiła, wspinała się po kolejnych stopniach schodów wiodących na strych.

Znów wyjrzałam przez okno, modląc się, bym ponownie zobaczyła matkę, żeby wynurzyła się dla zaczerpnięcia oddechu. Jednak gdy woda się uspokoiła i powierzchnia się wygładziła, matka nie wypłynęła.

Poziom wody sięgał mniej więcej metr poniżej okna na piętrze. Przez kilka następnych tygodni brodziliśmy w niej i pływaliliśmy, szukając ciała matki, lecz nie udało się go odnaleźć. Dowiedzieliśmy się później, że powódź przerwała zaporę w odległości niespełna kilometra od naszego domu. Wcześniej wszyscy twierdzili, że zapora wytrzyma.

Po śmierci matki wciąż przyłapywałam się na tym, że pragnę opowiedzieć jej o zmianach zachodzących we mnie i wokoło: o pierwszych kopnięciach Pearl i o tym, że powódź zalała prerię wszędzie jak okiem sięgnąć. Odwracałam się, by się do niej odezwać, i wtedy przypominałam sobie, że nie żyje. Bałam się, że właśnie tak ludzie popadają w obłęd.

Zaledwie miesiąc później Jacob odpłynął, zabierając Row. Zostaliśmy we dwoje z dziadkiem. Siedzieliśmy na strychu, w tym pustym pomieszczeniu długości domu, które powoli wypełniała budowana przez dziadka łódź.

Miesiąc po ucieczce Jacoba roztrzaskaliśmy ścianę strychu ciężkim dwuręcznym młotem i wypchnęliśmy łódź z budynku na wodę. Miała pięć metrów długości,

półtora metra szerokości, wyglądała jak wielkie kanu z małym namiotem na rufie, z pojedynczym żaglem na maszcie pośrodku. Załadowaliśmy na łódź zapasy zgromadzone w ciągu minionego roku - butelki wody, puszki z żywnością, lekarstwa, opatrunki, torby z zapasowymi ubraniami i butami.

Pożeglowaliśmy na zachód, w kierunku Gór Skalistych. Początkowo powietrze było rozrzedzone i miałam wrażenie, że trudno mi oddychać, jakby płuca wciąż łaknęły więcej tlenu. Po trzech miesiącach obudziły mnie bóle porodowe. Silny wiatr huśtał łodzią niczym kołyską, a mnie rzucało pod namiotem. Zaciskałam zęby, otulałam się kocami i płakałam w chwilach przerw między kolejnymi skurczami.

Pearl urodziła się lśniąca, blada i cicha. Jej skóra wyglądała jak woda. Jakby córeczka wyłoniła się z morskiej głębi, by mnie spotkać. Przytuliłam ją do piersi i potarłam kciukiem jej policzek, a ona zaczęła zawodzić.

Kilka godzin później, gdy wzeszło słońce, a Pearl ssła moją pierś, usłyszałam nad nami krzyki mew. Karmienie Pearl piersią wydawało mi się zarówno podobne, jak i niepodobne do tego, jak dawniej karmiłam Row. Usiłowałam zachować w sobie poczucie ich obu, lecz nie potrafiłam - wciąż to jedna, to druga mi się wyslizgiwała. Chociaż w głębi duszy

wiedziałam od dawna, że taka zamiana jest niemożliwa, jednak teraz uświadomiłam sobie, że miałam nadzieję, iż Pearl zdoła zastąpić mi Row. Przycisnęłam nos do czoła córeczki i wdychałam tę nową świeżość. Opłakiwałam utratę nadziei, utratę, którą przeczuwałam, jeszcze zanim się wydarzyła.

W ostatnich dniach przed śmiercią dziadek zaczął coraz częściej mówić od rzeczy. Czasami zwracał się do ludzi, których znał w przeszłości. Czasami przemawiał jakby przez sen, co mogłabym uznać za piękne, gdybym nie była tak bardzo zmęczona.

- A teraz powiedz mojej dziewczynie, że ptasie pióro może udźwignąć dom - powiedział.

Nie wiedziałam, kogo ma na myśli, mówiąc „moja dziewczyna” - moją matkę, mnie, Row czy Pearl. Wszystkie nas nazywał „swoimi dziewczynami”.

- Komu mam to powiedzieć?

- Rowenie.

- Jej tu nie ma.

- Owszem, jest, ona tu jest.

To mnie zirytowało. Większość ludzi, do których przemawiał, już nie żyła.

- Row nie jest martwa - rzekłam.

Dziadek odwrócił się do mnie, na jego twarzy widniało zaskoczenie, szeroko otwarte oczy miały niewinny wyraz.

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Ona jest tuż

obok.

Tydzień później dziadek zmarł w nocy. Rano właśnie skończyłam karmić Pearl i ułożyłam ją w małym drewnianym pudle, które dziadek dla niej zbił. Podpełzłam do miejsca, w którym spał, i wyciągnęłam rękę, żeby go obudzić. Gdy go dotknęłam, poczułam, że jest zimny. Jego skóra nie była jeszcze ziemista, a tylko nieco blada, bo krew przestała krążyć. Poza tym wyglądał tak samo jak zawsze, kiedy spał: miał zamknięte oczy, lekko rozchylone usta.

Przykucnęłam na piętach i spoglądałam na niego. Zaszokowało mnie, że mógł umrzeć tak zwyczajnie, niepostrzeżenie. Nigdy się nie spodziewałam, że odejdzie we śnie. Pearl zakwiliła, więc poppełzłam z powrotem do niej.

Wciąż rozmyślałam o tym, że jesteśmy teraz same. Nie pozostał mi nikt, komu mogłabym zaufać, oprócz tego niemowlęcia, które we wszystkim zależało ode mnie. Panika chwyciła mnie za gardło. Popatrzyłam na kotwicę leżącą tuż obok. Słyszałam o ludziach, którzy rzucali się z łódek do morza, uwiązani do swoich kotwic. Lecz ja nie mogłabym tak postąpić. Było to równie niemożliwe jak to, że wody cofną się z lądów, a ludzie odzyskają dawny poziom cywilizacji. Wzięłam Pearl na ręce i wyszłam z brezentowego namiotu w poranne słońce.

Powiedziałam sobie, że dziadek nadal będzie mi towarzyszył, kierował mną. To on nauczył mnie, jak żyć; nie mogę teraz go zawieść. Nie mogę zawieść Pearl.

Kiedy wspominam tamte dni i utratę ludzi, których kochałam, myślę o tym, jak bardzo pogłębiła się moja samotność: jakby opuszczano mnie do studni, woda wznosi się wokół mnie, a ja drapię paznokciami w kamienne ściany, sięgam ku światłu słońca. Rozmyślam o tym, że można przywyknąć do przebywania na dnie studni i nie dostrzec liny, którą ci rzucają.

ROZDZIAŁ 7

Gdy sztorm ucichł, wyszliśmy z namiotu by ocenić szkody. Straciłyśmy całą deszczówkę ze zbiornika. Osunęłam się przed nim na kolana i zakłęłam. Fale przelewające się przez burtę napełniły zbiornik morską wodą. Będziemy musiały całkiem go opróżnić i jak najszybciej dopłynąć z powrotem na ląd, zanim się odwodnimy. Miałyśmy niewielki żelazny zapas wody, którą przechowywałam w plastikowych butelkach przywiązanych do pokładu w namiocie, ale to wystarczy tylko na kilka dni.

Pearl nie odstępowała mnie nawet na krok, gdy brodząc z chlupotem w wodzie, szłyśmy przez pokład w kierunku dziobu. Trzymała rękę przy boku; widniał na niej siniak – widocznie upadła, kiedy usiłowała wgramolić się do namiotu, niosąc wędki i przynęty. Przykucnęłam przed nią, ucałowałam swój palec i dotknęłam siniaka. Przez usta córki przemknął cień uśmiechu. Odgarnęłam jej włosy z twarzy, potem ujęłam w dłonie i pocałowałam w czoło.

- Poradzimy sobie - powiedziałam.

Skinęła głową.

- A może wzięłabyś wiadro, ręcznik i zaczęła

wybierać wodę z pokładu - zaproponowałam. - Ja sprawdzę ster.

Dotarłam na rufę, obejrzałam rumpel i płetwę sterową. U podstawy obejmują steru widniało pęknięcie, był przekrzywiony na bok. Nade mną łopotał nasz jedyny żagiel, rozdarty pośrodku. Jego dolny metrowy odcinek powiewał na słabym wietrze. Sztorm porwał bosak i sadzonkę pomidorów, którą dostałyśmy od Beatrice, ale reszta zapasów przetrwała, przechowywana wewnątrz kadłuba albo przywiązana w namiocie.

Zakląłam i potarłam twarz. Pomyślałam, że tracimy czas. Jak miałyśmy zbudować nową łódź, skoro nie wiedziałam nawet, gdzie się znajdujemy?

- Wiosła ocalały! - zawołała do mnie Pearl.

Opierając ręce o górną część nadburcia, spoglądała w dół na wiosła przywiązane mocno do burt łodzi.

Ośloniłam dłonią oczy przed słonecznym blaskiem, zmrużyłam je przed błyskami na wodzie i popatrzyłam na wschód. Albo przynajmniej w kierunku, który uważałam za wschodni. Zerknęłam na słońce, a potem znów na ocean. Jak długo trwał sztorm? Wydawało mi się, że wieczność, lecz w rzeczywistości mogło to być zaledwie pół godziny. Nie potrafiłam określić, jak daleko na zachód nawałnica zepchnęła nas ze zwykłego kursu, który wiódł zawsze trzy kilometry od wybrzeża, prosto na

północ albo na południe, wzdłuż skrawków lądu wynurzonych nad wodą.

Mniej więcej półtora kilometra na wschód od nas dryfowały ku nam szczątki innej łodzi. Wyteżyłam wzrok, a potem wzięłam z namiotu lornetkę.

To była kiedyś tratwa ratunkowa zbudowana z różnych odpadów. Kilka opon przywiązanych wokół kilku par drzwi pozbijanych gwoździami. Kilkanaście metrów od niej na wodzie unosiła się kabina ciężarówki przechylona na bok, a obok kołysał się jaskrawożółty nadmuchiwany ponton. Oprócz tego cała pobliska powierzchnia wody była śmietnikiem plastikowych torebek i butelek.

- Przynieś sieć - poleciałam.

Miałam nadzieję, że w tych różnych opakowaniach znajdziemy żywność i wodę.

- Tam jest człowiek - powiedziała Pearl, wskazując na szczątki.

Znów spojrzałam przez lornetkę w tamtym kierunku. Jakiś mężczyzna trzymał się kurczowo tratwy z opon i drzwi. Młócił nogami wodę i zaciskał powieki przed falami zalewającymi mu twarz.

Córka popatrzyła na mnie wyczekująco.

- Nic o nim nie wiemy - powiedziałam, odgadując jej myśli.

Skrzywiła się drwiąco.

- Ta tratwa nie wygląda na statek piracki.

- Nie tylko piratów powinniśmy się obawiać, lecz wszystkich obcych.

Ogarnęło mnie nerwowe napięcie. Do tej pory nie przyjąłam nikogo na pokład „Ptaka” i teraz też tego nie chciałam. Wzdragałam się na samą myśl o kimś, kto spałby obok nas pod namiotem. Kto dzieliłby z nami posiłki, pił naszą wodę.

Spojrzałam na tamtego mężczyznę, potem znów na Pearl. Miała stanowczy wyraz twarzy osoby, która już podjęła decyzję.

- Nie mamy wystarczającej ilości jedzenia ani wody
- oświadczyłam.

Pearl uklękła pod namiotem i wyjęła gliniany dzbanek z jaskrawoniebieską glazurą, w którym trzymała węże. Podniosła pokrywkę, chwyciła małego, cienkiego węża tuż poniżej łba, a gad wyszczerzył zęby jadowe i wysunął język, który wyglądał jak powiewająca czerwona wstążka. Z uśmiechem podsunęła mi go pod oczy. Wąż kłapnął paszczą. Teraz przykucnęła na pokładzie, odcięła gadowi łeb, po czym trzymając go za ogon nad wodą, ścisnęła go kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki i przesunęła nimi od ogona do szyi, wysączejąc jego krew do oceanu.

- Możemy go zjeść - rzekła.

Dotychczas nie proponowała swoich węży jako posiłków. Odwróciłam się znowu ku wrakowi tratwy

i mężczyźnie, znajdującym się teraz w odległości zaledwie niespełna kilometra od naszej łodzi. Czułam przez skórę, że ten człowiek sprowadzi na nas jakieś kłopoty. Wszystkie ścięga w ciele miałam napięte jak linki na bloczkach.

Ale nie umiałam rozstrzygnąć, czy powodem paniki jest zagubienie się na oceanie, czy perspektywa wzięcia na pokład obcego człowieka. Obydwa te lęki mieszały się ze sobą jak krew w wodzie i nie potrafiłam ich rozdzielić. Pomyślałam, że mogłabym zawrócić i odstawić nieznanego do któregoś portu handlowego, ale jeśli błędnie ocenię czas, a ten rejs potrwa dłużej, niż się spodziewałam, nie spadnie deszcz... Zadrżałam na myśl o nas usychających z pragnienia niczym suszone śliwki na słońcu.

Tratwa z uczepionym jej mężczyzną zaczynała odpływać, porywana przez prąd. Widok tego człowieka w wodzie przypomni mi, jak dziadek, łowiąc ryby w rzekach Nebraski, śpiewał: „Uczynię was rybakami ludzi”. Rozsiadał się wygodnie w łódce w cieniu parasola przymocowanego do burty i z fajką tkwiącą w kąciku ust śpiewał, chichocząc do siebie. Zawsze uważał wszystko za jednocześnie poważne i zabawne. Ta melodia teraz rozbrzmiewała mi w głowie, podczas gdy tratwa z nieznanym odpływała coraz dalej, i wydało mi się to rodzajem napomnienia. Zirytowana zacisnęłam zęby. Chciałam,

żeby dziadek prowadził mnie, a nie prześladował.

- Podaj mi linę - rzekłam do Pearl.

Mężczyzna był półprzytomny, więc wskoczyłam do wody i popłynęłam do niego. Obwiązałam go liną w pasie, wróciłam z powrotem do łodzi. Wgramoliłam się na pokład, a potem wyciągnęliśmy go z wody, zapierając się o nadburcie.

Nieznajomy miał przy sobie tylko plecak. Gdy wciągnęliśmy go na pokład, zaczął charczeć i wykasływać wodę, leżąc na boku, skulony w pozycji płodowej. Pearl przykucnęła przy nim i zajrzała mu w twarz. Jego potargane czarne włosy sięgały prawie do ramion. Miał szeroki tors, długie, muskularne nogi i ręce, skórę ciemnobrązową od słońca. Grubo ciosane rysy o twardym wyrazie znamionowały człowieka nawykłego do samotnej żeglugi. Mimo to był przystojny, w spokojny, poważny sposób przywodzący na myśl fotografię kogoś z innej epoki. Gdy otworzył oczy i spojrzał na mnie, zaskoczył mnie ich jasnoszary kolor.

- Kochanie, podaj mi butelkę wody - zwróciłam się do córki.

Zerwała się na nogi i przyniosła ją. Nachyliłam się, by wsączyć mężczyźnie do ust kilka kropli, ale gwałtownie cofnął głowę.

- To woda - powiedziałam łagodnie i pokazałam mu butelkę.

Sięgnął po nią, ale ją odsunęłam.

- Dam ci tylko trochę. Nie chcemy, żebyś wymiotował.

Przyklękłam nad nim i skapnęłam mu na wargi kilka kropel wody. Zlizał ją szybko i popatrzył na mnie błagalnie. Wlałam mu do ust więcej, pół butelki. Gdy to robiłam, skurcz ścisnął mi żołądek i pomyślałam o upale, niewielkich zapasach wody, które nam zostały, i kilometrach dzielących nas od brzegu.

Mężczyzna usiadł wygodnie, opierając się plecami od nadburcie, i zamknął oczy. Zostawiłyśmy go, żeby się zdrzemnął. Złowiłyśmy w sieć - tyle, ile zdołałyśmy - rzeczy z rozbitej tratwy, które unosiły się na wodzie, i rozłożyłyśmy je na pokładzie. Nie były zbyt przydatne. Kilka butelek wody, dwie zepsute ryby i torba z suchym ubraniem. Wyłowiłyśmy też kilka kawałków drewna, żeby wykorzystać je do naprawienia steru. Przywiązałyśmy tratwę nieznajomego do rufy „Ptaka”, by móc holować ją za sobą na wypadek, gdybyśmy kiedyś jej potrzebowali.

Spuściłam żagiel i obejrzałam rozdarcie. Kiedy po dwóch godzinach skończyłam go zszywać, był nierówny, pomarszczony wzdłuż szwu, ale uznałam, że wytrzyma, dopóki nie dotrzemy do brzegu, a wtedy będę mogła kupić więcej nici i płótna.

Podeszłam do śpiącego mężczyzny i trąciłam go nogą w but. Obudził się przestraszony, osłaniając się rękami.

- Już prawie zmierzch - powiedziałam. - Czy możesz obdrzeć ze skóry dwa węże?

Skinął głową.

Pearl przyniosła wiaderko węgla w pobliże podstawy masztu, przy którym leżał mężczyzna, i wsypała węgiel do płaskiej patelni z rodzaju tych, jakich używaliśmy dawniej do pieczenia urodzinowych ciast. Na szczęście wieczór nie był wietrzny. Kiedy wiał wiatr, musiałyśmy jeść surowe potrawy albo naruszać zapasy suszonego mięsa czy podpłomyków. Usiadłam przed patelnią z pudłem podpałki i ułożyłam na węglach gałązki oraz liście. Pearl rozpałała ogień za pomocą krzemienia i noża.

- Nie musiałyście. Jestem wam wdzięczny - powiedział mężczyzna.

Miał cichy, czysty głos, brzmiący jak odległy dźwięk dzwonów.

Zastanawiałam się, czy mamy go związać, zanim pójdziemy spać. Skurcz niepokoju w moim żołądku nie ustępował.

- Czy mógłbyś mi pomóc wciągnąć żagiel? - spytałam.

- Chętnie - odrzekł.

Skończył obdzierać węże ze skóry, a Pearl rzuciła

je na rozżarzone węgle. Słońce wisiało nisko na niebie, roztaczając nad wodą złocisty blask. Od czasu powodzi zdawało się zachodzić o wiele szybciej, gdy wodna linia horyzontu się podniosła.

- A tak w ogóle, jestem Daniel.

- Myra, Pearl. Co masz w plecaku?

- Kilka map i instrumentów.

- Instrumentów?

- Do nawigacji i sporządzania map. Jestem kartografem.

A więc potrafi nawigować, pomyślałam.

Pearl długim patykiem wygarnęła jednego węża z węgli i położyła zwiniętego na pokładzie przed sobą, żeby ostygł. Był przypalony i na sam jego widok żołądek podjechał mi do gardła. Miał ostry, gryzący zapach. Mięso węży jest twarde jak podeszwa, przez co nigdy za nim nie przepadałam.

- Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem - oświadczył Daniel.

- Ach, tak? - rzuciłam.

Szturchnęłam patykiem drugiego węża, wciąż leżącego na węglach. Chciałam dowiedzieć się od Daniela raczej tego, czy tak daleko od brzegu można napotkać ławice jakichś ryb i czy da się je złowić.

- Kobietę, z którą mieszkałem przez rok w Sierra Madre. Ona też nie ufała ludziom.

- Dlaczego uważasz, że ci nie ufam?

Potarł dłonią brodę.

- Gdybyś była jeszcze trochę bardziej spięta, twoje mięśnie połamałyby ci kości.

- Czy ona powinna była ufać ludziom?

Wzruszył ramionami.

- Może niektórym.

- A teraz?

- Umarła pod koniec zeszłego roku.

- Przykro mi.

Pearl ugryzła na próbę kawałek węża i żuła zaciekle. Powiew wiatru przyniósł odór tego mięsa. Pearl rozłożyła na pokładzie rozprostowanego węża, pocięła go na trzy równe kawałki i dwa rzuciła nam.

- Dla kogo sporządzasz mapy? - zapytałam.

- Dla każdego, kto zechce. Dla rybaków, urzędników nowych państw.

- Piratów?

Rzucił mi ostre spojrzenie.

- Nie. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Sądziłabym, że z takim fachem powinieneś pływać lepszą łodzią. Mapy są droższe od drewna.

- Powiedzmy po prostu, że miałem pecha.

Przyjrzałam mu się bacznie. Coś przede mną ukrywał.

Pearl jęknęła cicho, a ja zrozumiałam, dlaczego podczas naszej rozmowy była tak milcząca. Podniosła swoją chusteczkę i przesunęła palcem wzdłuż

rozdarcia przy brzegu.

- Podarła się - rzekła cicho. - Podczas sztormu.

- Podaj mi ją - powiedziałam i wyciągnęłam rękę.

Podniosła się ciężko i przyniosła mi chusteczkę. Przyjrzałam się rozdarciu.

- No cóż, łatwo da się naprawić, ponieważ rozdarcie jest blisko skraju. Możemy złożyć ją w ten sposób, zszyć wokoło i zawiązać nitkę na zwykły węzeł, a wtedy nie będzie się nawet strzępić, tylko stanie się jeszcze mocniejsza.

Kiwnęła głową i ostrożnie dotknęła chusteczki.

- Dzisiejszej nocy też będę z nią spała - oświadczyła.

Ta czerwona chusteczka do nosa należała dawniej do dziadka. Kiedy umarł, zakryłyśmy mu nią twarz, a gdy wrzucaliśmy ciało do morza, wiatr niemal ją porwał, ale chwyciłam chusteczkę w powietrzu. Pearl wyszarpnęła mi ją z ręki i odtąd się z nią nie rozstawała, nawet śpiąc.

- Cenisz drobne rzeczy - rzekł Daniel, przyglądając się nam.

Powiedział to tęsknym tonem, jakby coś sobie przypominał. Odwrócił głowę i popatrzył na morze, a jego twarz spowił cień.

Nieoczekiwany wyraz czułości na twarzy Daniela coś we mnie poruszył. Odprężyłam się. W tym mężczyźnie było coś, co zaczynało rozwiewać moje

obawy. Może to, jak spokojnie patrzył mi w oczy, szczerść słów, brak uroku. Jacob był uroczy; udawał szczerego i prostolinijnego, a zarazem skrywał prawdziwe myśli. Daniel sprawiał wrażenie człowieka, który dobrowolnie przyjmuje na siebie winę, a nie ucieka przed nią, który rozważnie podejmuje decyzje.

Postanowiłam, że nie zwiążę go na noc, jednak będę spała czujnie.

- Muszę - odrzekłam.

- Nikt niczego nie musi - powiedział i znów popatrzył na morze.

ROZDZIAŁ 8

Daniel obliczył naszą pozycję i ocenił, że jeśli będziemy przez cztery dni płynąć na południowy wschód, znajdziemy się w pobliżu Harjo. Naprawił też ster, podczas gdy my zajęłyśmy się łowieniem ryb. Po kilkugodzinnej obserwacji ptaków i wody przymocowałyśmy sieć do downriggera i zaczęłyśmy ciągnąć ją za łodzią jak włók, by złowić makrele. Dopiero po dwóch dniach udało nam się cokolwiek złapać. Do tego czasu dniami i nocami burczało nam w brzuchach z głodu, a kiedy wreszcie lina przy downriggerze się naprężyła, gwałtownie przełknęłam ślinę, by stłumić wzbierający mi w gardle jęk ulgi.

Wysypałyśmy na pokład pełną sieć makreli, czarne paski na ich grzbietach skrzyły się w świetle słońca. Każda ryba ważyła co najmniej cztery kilogramy. Brałam je do rąk, rozkoszując się ich ciężarem. Wypatroszyłam je, jedną po drugiej, a Pearl rozstawiła trójnóg do wędzenia.

Wciąż miałam Daniela na oku i starałam się zachowywać czujność. Ale zaczynałam czuć się w jego towarzystwie coraz swobodniej. Miałam wrażenie, jakby był z nami już od dawna. Przez

większość czasu milczeliśmy i słuchaliśmy łopotu żagla na wietrze albo odległych plusków ryb czy nurkujących ptaków. Byliśmy tylko my troje, niebo i bezkres morza.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Harjo, tym częściej żeglowaliśmy nad dawnym światem, w rejonach, gdzie Pacyfik przechodził w wody falujące nad zatopionymi miastami Kalifornii. Wcześniej często zdarzało mi się pływać w tego rodzaju miejscach, ponieważ musiałam trzymać się blisko nowych linii brzegowych, lecz zawsze dręczyła mnie myśl, że żegluję nad miastami, czy raczej nad masowymi grobami, którymi się stały. Tylu ludzi zmarło nie tylko podczas powodzi, lecz w trakcie migracji - z wyziębienia, odwodnienia, głodu. Ludzi o stopach pokrwawionych od prób wspięcia się na góry, by uciec przed falami powodziowymi. Porzucających dobytek na zboczach, tak jak niegdyś czynili to osadnicy pokonujący szlak oregoński.

Niektóre miasta znalazły się tak głęboko pod wodą, że już nikt nigdy ich nie ujrzy. Inne, zbudowane na wyżej położonych terenach, można było penetrować, jeśli miało się maskę do nurkowania i odporność na koszmarne widoki. Wieżowce wystawały nad powierzchnią oceanu niczym metalowe wyspy.

Dawniej nurkowałam do tych podwodnych miast, by polować na ryby z harpunem, ale ostatnio robiłam

to tylko w ostateczności. Nie lubiłam zbyt długo przebywać w wodzie; w istocie nie lubiłam przypominać sobie, jak niegdyś wyglądał świat. Pewnego razu zanurkowałam i płynęłam przez dawne miasto przycupnięte na zboczu w Górach Skalistych. W ruinach domów zamieszkały ryby, kryły się pośród wodorostów i anemonów. Zanurkowałam niżej do wnętrza jakiegoś biurowca bez dachu. W pokoju unosiło się w wodzie kilka biurka i szafek, a wokół nich pływały przedmioty niemal nierozpoznawalne. Obrośnięty muszlami pąkli kubek ze zdjęciem twarzy dziecka – zapewne prezent urodzinowy, który niegdyś można było zamówić przez internet.

Zanurkowałam jeszcze głębiej. Rozpierzchła się przede mną ławica skalarów, spośród których upolowałam jednego harpunem. Gdy zawróciłam, by wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza, zwój liny, który nosiłam owinięty wokół ramienia, zahaczył o ułamana kłamkę szafki na dokumenty. Szarpnęłam linę i odsunęłam szafkę od ściany, przy której stała. Z cienia wytoczyła się po podłodze ludzka czaszka i zatrzymała się kilkanaście centymetrów ode mnie. W rozwartych szczękach coś się poruszyło. Mieszkało tam jakieś stworzenie.

Ponownie gwałtownie pociągnęłam linę, by się wyswobodzić, i szafka upadła w moją stronę. Odepchnęłam ją, żeby mnie nie przygniotła, a wtedy

lina wyslizgnęła się z ułamanej klamki. W miejscu, w którym przed chwilą stała szafka, dwa szkielety leżały na bokach, twarzami do siebie, jakby się obejmowały. Jak para kochanków zmorzonych snem. Jeden ze szkieletów nie miał czaszki, ale z jego pozycji zwróconej ku drugiemu odgadłam, że opierał głowę na piersi tamtego. Domyśliłam się, że tych dwoje ludzi położyło się tak, by oczekiwać swego losu, a kiedy koniec nadszedł, postanowili objąć się nawzajem. Przy szkieletach falowały zetlałe ubrania. Wszędzie wokół nich walały się na podłodze kamienie. Mój pozbawiony tlenu mózg dopiero po chwili pojał ze zgrozą, że widocznie napełnili kieszenie kamieniami i wypchali nimi ubrania, by móc umrzeć, leżąc i obejmując się. Być może wyszeptali do siebie ostatnie słowa, zanim utonęli. Najwyraźniej nadpływająca fala nie rozdzieliła ich, nie rozerwała uścisku. W przeciwnym razie martwe ciała unosiłyby się w wodzie, odległe od siebie o kilometry, zanim poszłyby na dno.

Upuściłam harpun i popłynęłam ku powierzchni. W następnej faktorii wymieniłam ryby na sieci i odtąd nurkowałam tylko wtedy, kiedy nie udawało się nic w nie złowić.

Nie wiedziałam, jak rozmawiać z Pearl o tym, co leży pod nami. O farmach, które karmiły kraj. O niewielkich domach zbudowanych wzdłuż cichych

uliczek dzielnic mieszkaniowych w okresie wyżu demograficznego po drugiej wojnie światowej. O szczęśliwych chwilach przeżywanych w tych domach. O całej historii tego, jak poruszaliśmy się przez czas, zmieniając planetę podług naszych potrzeb.

Pogrzebanie tej historii, pozbycie się jej na zawsze, wydawało mi się okrucieństwem. Często spoglądałam na Pearl i myślałam o wszystkim, czego nigdy nie pozna. O muzeach, fajerwerkach w letnie noce, płynach do kąpieli. Te rzeczy niemal całkiem zniknęły już w czasie, gdy urodziła się Row. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dalece żyłam po to, by dać córce rzeczy, które ceniłam. Nie zauważyłam, że przyjemność, jaką z nich czerpałam, stępieła z wiekiem.

Ale innymi razy, kiedy morze spowijała ciemność tak głęboka, że miałam wrażenie, jakbym już umarła, wydawało mi się czymś dobrym, że życie przed powodzią istniało aż tak długo. Jak bezimienny cud.

Trzeciego dnia rejsu Pearl wciągnęła Daniela w swoje zabawy: grę w klasy kawałkiem węgla na pokładzie, nadawanie nazw każdej chmurze czy dziwnej fali. Nazajutrz przez większość popołudnia padał deszcz, więc siedzieliśmy w namiocie opowiadając sobie różne historie. Pearl nakłoniła

Daniela do opowieści o miejscach, które odwiedził, a o których nigdy nawet nie słyszałyśmy. Te relacje wydawały się zupełnie niewiarygodne, nie wiedziałam, czy są prawdziwe, a Pearl o to nie pytała.

Pewnego ranka uszczelniałam konopiami pęknięcie w nadburciu, a oni grali zakrętkami z plastikowych butelek. Wyrysowali węglem na pokładzie kwadraty i na przemian wbijali do nich zakrętki kijkami.

Daniel zapytał moją córkę:

- Dlaczego tak bardzo lubisz węże?

- Bo potrafią pożerać istoty większe od siebie - odpowiedziała.

Zakrętka Daniela wyleciała poza kwadrat, Pearl zachichotała triumfalnie.

- Ciekaw jestem, czy tobie pójdzie lepiej - rzekł.

- Przekonasz się - odparła, po czym w skupieniu przygryzła wargę.

Wbiła swoją zakrętkę do kwadratu i zaczęła wiwatować, wznosząc ręce i podskakując w kółko.

Przyglądanie się im napełniło mnie nieoczekiwane poczuciem ciepła rozchodzącym się wolno po całym ciele. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na obrazek ponownie złożony w całość z rozrzuconych puzzli.

- Co zrobisz, kiedy dotrzemy do Harjo? - spytałam Daniela.

Wzruszył ramionami.

- Może pobędę tam przez jakiś czas, jeśli znajdę

pracę.

Wciąż myślałam o tym, że potrzebujemy nawigatora. Odkąd się dowiedziałam, że Daniel zna się na nawigacji, rozważałam poproszenie go, żeby został z nami i pomógł nam dopłynąć do Valley. Czułam, że mogę mu ufać - albo może po prostu chciałam mu zaufać, ponieważ go potrzebowałam? Wyraźnie coś ukrywał. Poznawałam to po tym, jak zmieniał się wyraz jego twarzy, ilekroć zadawałam mu jakieś pytania, jakby spuszczał zasłonę odgradzającą mnie od niego.

Nigdy z nikim nie żeglowałyśmy, lubiłam tę naszą samotność. Była prosta i znajoma. Teraz przeżywałam irytującą rozterkę: jedna część mnie pragnęła, żeby Daniel z nami został, a druga chciała się go pozbyć.

Nazajutrz rano na horyzoncie wyłoniło się Harjo z ostrymi górskimi szczytami przeszywającymi chmury. Przy brzegu rosły młode sosny i krzaki, a na zboczu góry widniały szałas i chaty.

Daniel zgarbiony pod namiotem zaczął pakować przyrządy nawigacyjne, rozłożył przed sobą kompas, protractor, cyrkiel, mapy. Odwróciłam się od majaczącego w oddali Harjo, serce mi się ścisnęło, gdy przyglądałam się, jak wkładał ostrożnie każdy przyrząd do plecaka. Zadałam sobie w duchu pytanie, czy naprawdę chcę dotrzeć na czas do Row. Nawet

gdyby Daniel nauczył mnie nawigacji, nie stać mnie było na kupno niezbędnych instrumentów.

Po zaledwie kilku godzinach dopłynęliśmy do brzegu, na którym mewy zjadały na wpół zgniłe ryby. Pearl wbiegła pośród ptaki, skrzecząc i machając rękami jak skrzydłami. Mewy wzleciały wokół niej w powietrze niczym biały obłok, a ona zawirowała, wzbijając stopami strugi piasku, z jej kieszeni powiewała czerwona chusteczka. Ten widok przypomniał mi Row obserwującą żurawie, a także nogi ojca wiszącego na sznurze. Nie mogłam już robić tylko tego, co chcę. Ze ściśniętym sercem odwróciłam się do Daniela.

- Czy nie zostałbyś z nami? - zapytałam.

Przerwał ustawianie drewnianego trójnoga przy nadburciu i spojrzał na mnie.

- Płyniemy do miejsca zwanego Valley - mówiłam dalej pospiesznie. - Podobno to nowa osada i jest tam bezpiecznie.

Skrzywiłam się w duchu, wypowiadając to kłamstwo. Miałam nadzieję, iż Daniel jeszcze nie wie, że Valley stało się kolonią Upadłych Opatów.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Nie mogę - odparł miękkim tonem. - Przykro mi. Już nie podróżuję z innymi ludźmi.

Starłam się skryć rozczarowanie.

- Dlaczego?

Pokręcił głową i potarł kciukiem kawałek zwęglonego drewna przed sobą, z którego na pokład posypał się popiół.

- To skomplikowane.

- Czy mógłbyś przynajmniej zastanowić się nad moją propozycją?

Znów przecząco pokręcił głową.

- Posłuchaj, jestem wam wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłyście, ale... uwierz mi, nie chciałabyś zbyt długo przebywać w moim towarzystwie.

Odwróciłam się i zaczęłam wrzucać do wiadra wędzone makrele.

- Zamierzam wymienić je w faktorii. Możesz później spotkać się tam z nami, jeśli chcesz dostać swoją część zysku - powiedziała, podejmując ostatnią próbę przekonania go, w nadziei, że zmieni zdanie.

- Te makrele należą do was. Jestem wam winien o wiele więcej niż to - odrzekł.

Cholerna racja, pomyślałam.

- Pomogę ci, zaniosę je do faktorii, a potem się rozstaniemy - powiedział.

Zawołałam do Pearl, żeby poszła z nami do Harjo. Weszliśmy po kamiennych schodach wiodących w górę zbocza do miasteczka wciśniętego między skupisko szczytów.

Harjo tętniło ruchem i gwarem głosów. Ze stoku

spływała niewielka rzeka, która wpadała wodospadem do morza. Odkąd przed rokiem byłam w tym miejscu leżącym tak daleko na południe, wzniesiono tutaj drugie tyle domów. W górnej części zbocza budowano młyn, a obok stała nowa chata z bali, z napisem drukowanymi literami na fasadzie: „HOTEL”. W ubiegłym roku w osadzie właśnie rozpoczęto uprawę kukurydzy, ziemniaków i pszenicy, więc miałam nadzieję nabyć w faktorii ziarno po przyzwoitej cenie.

Faktoria mieściła się w piętrowym kamiennym budynku. Przystanęliśmy przed nim, Daniel podał mi wiadro z makrelami.

- Dokąd teraz pójdziesz? - spytałam.

- Najpierw? Do baru. Wypić kolejkę, rozpytać miejscowych o pracę. - Przerwał i potarł szczękę. - Wiem, że uratowałyście mi życie. Przykro mi, że nie mogę z wami popłynąć.

- Mógłbyś - odparłam. - Tylko nie chcesz.

Rzucił mi spojrzenie, którego nie potrafiłam rozszyfrować; wyrażało zarówno żal, jak i napomnienie. Nachylił się do Pearl i pociągnął za chusteczkę wystającą z kieszeni jej spodni.

- Nie zgub tej chusteczki, bo przynosi szczęście - powiedział.

Pacnęła go w dłoń.

- Nie kradnij mi jej! - rzuciła żartobliwie.

Jego twarz zadrgała niemal niedostrzegalnie, lekkim napięciem mięśni.

- Uważaj na siebie - rzekł cicho.

Z faktorii wyszło kilka osób, ustąpiłam im z drogi.

- Musimy już iść - powiedziałam.

Skinął głową i odwrócił się.

Był dla mnie kimś obcym. Nie wiedziałam, dlaczego poczułam ukłucie żalu, gdy patrzyłam, jak odchodzi.

Okazało się, że za kredyt, który miałam w faktorii w Harjo, mogę kupić mniej, niż sądziłam. Stałam przy ladzie i przestępowałam z nogi na nogę, tłumiąc irytację.

Sprzedawczyni, kobieta w średnim wieku z twarzą pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami, w okularach z tylko jednym szkłem, utykając, wyszła zza lady i zajrzała do mojego wiadra.

- Kiedy ostatnio tu byłam, powiedziano mi, że mój kredyt ma równowartość mniej więcej dwóch drzew - rzekłam do niej.

- Koszty się zmieniły, moja droga. Ceny ryb spadły, a ceny drewna wzrosły.

Wskazała wiszącą na ścianie tabelę zawierającą szczegółowe równowartości, na przykład: dwadzieścia metrów bieżących płótna równa się dziesięciu metrom ziarna. Zestawienie obejmowało zakres rzeczy od tak małych, jak guziki, do wielkich,

jak statki. Kobieta na widok makrel mlasnęła językiem.

- Och, cudownie. Musisz być świetną rybaczką. Niełatwo złowić ich tyle w tych wodach. To ty w zeszłym roku przyniosłaś mi żaglice, prawda?

- Chcę pomówić o drewnie...

- Nie chciałyś kupować ani budować tutaj, moja droga. Miasto bardzo szybko się rozbudowuje. Burmistrz właśnie wprowadził ograniczenie wyřębu drzew. Juř prawie nie mamy młodych sosen, a od trzech tygodni nie nadeszły żadne dostawy drewna. Na twoim miejscu popłynęłabym dalej na południe.

Ogarnęła mnie rozpacz. Ile jeszcze czasu zajmie zdobycie drewna, nie mówiąc juř o zbudowaniu łodzi? Czy wtedy Row wciąż jeszcze będzie w Valley?

- Czy macie tu składowisko odpadów?

- Tak, niewielkie, za bazarem Clarence. Dokąd płyniesz, jeśli wolno spytać?

Zważyła makrele i wrzuciła je do pojemnika przy wadze. Wpadły z głośnym łupnięciem.

- Na północ. Tam, gdzie kiedyś była Grenlandia - odpowiedziałam.

Rozejrzałam się po sklepie. Zobaczyłam, że Pearl patrzy na ogłoszenie przyczepione do ściany przy drzwiach wejściowych.

Kobieta znów mlasnęła językiem.

- Nie dotrzesz tam w jakiejś szalupie ratunkowej.

Morze jest zbyt burzliwe. Gdybyś spytała mnie o radę, powiedziałabym, żebyś trzymała się tej okolicy. Richardsowie wspomnieli, że kilkanaście kilometrów stąd na południe znaleźli przy brzegu na wpół zatopiony tankowiec. Zamierzają spróbować wydobyć go z wody i wyremontować. Wiesz, zawsze właśnie o czymś takim marzyłam: o ładnym, dużym zbiornikowcu, w którym mogłabym spędzić resztę życia.

Wykorzystałam kredyt na zakup płótna na nowy żagiel. Długo targowałyśmy się ze sprzedawczynią o cenę makreli. W końcu uzgodniłyśmy, że wymienię je na dwuipółmetrową linę, kurczaka, dwie torebki mąki oraz trzy słoiki kiszzonej kapusty i kilka monet bitych w Harjo. Razem z Pearl kupowałyśmy na południu świeże owoce, żeby uniknąć szkorbutu, ale czasami za całe wiadro makreli dostawałyśmy tylko trzy pomarańcze. Kiszoną kapustę można dłużej przechowywać, jest też o wiele tańsza, ale by ją zdobyć, trzeba znaleźć miejscowość, w której uprawia się to warzywo.

Podalam Pearl pudełko ze słoikami z kiszoną kapustą, żeby je niosła, a ona powiedziała:

- Więc ją zdobyłaś.
- To mój jedyny dzisiejszy sukces - mruknęłam.

Zadźwięczał dzwoneczek nad drzwiami, gdy do sklepu wszedł kolejny klient. Poczułam zapach

owoców, ślinka napłynęła mi do ust. Rozejrzałam się i zobaczyłam mężczyznę niosącego do lady skrzynkę brzoskwiń. Ich woń oszołomiła mnie, napełniając tęsknotą.

- Musimy powiedzieć Danielowi o tym ogłoszeniu - rzekła Pearl.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Wieczorami próbowałam nauczyć ją czytać, używając dwóch książek, jakie miałyśmy - instrukcji obsługi suszarki do włosów i powieści Edith Wharton *Świat zabawy* - ale nie wiedziałam, czy te lekcje odniosły jakikolwiek skutek.

Ogłoszenie dotyczyło pracy dla geodety. Były na nim rysunki przedstawiające kompas, cyrkiel i protractor oraz napis: „Szybki zarobek!”.

- Przeczytałaś to? - spytałam z niedowierzaniem.

Pearl spiorunowała mnie wzrokiem.

- Oczywiście. Gdzie jest ten bar?

- Dość daleko stąd. Poza tym Daniel z pewnością już sam natknął się na to ogłoszenie.

- Ty też tylko udajesz, że nie chcesz znów się z nim spotkać! - rzuciła Pearl.

Potrząsnęła pudełkiem i słoiki zadzwoniły o siebie.

Pomimo rozczarowania, jakie odczuwałam, uśmiechnęłam się. Ona zawsze potrafiła mnie rozbroić. Nigdy nie umiałam czytać w jej myślach nawet w połowie tak dobrze jak ona w moich.

ROZDZIAŁ 9

Bar mieścił się w zrujnowanej blaszanej budzie ze słomianym dachem. Przez brudne okna o szybach z plastikowych plandek wnikało niewiele światła. W ciemnym wnętrzu bezcielesne głosy wznosiły się i mieszały w mroku, pośród obrzydliwego smrodu brudu i potu.

Wokół prowizorycznych stołów stały odwrócone wiadra, taborety, drewniane skrzynki służące za krzesła. Na kontuarze leżał kot, wylizując sobie czarny ogon, a barman starą poszewką na poduszkę wycierał słoiki używane zamiast szklanek.

Daniel siedział przy stoliku z młodym mężczyzną o wyglądzie nastolatka, który uciekł z domu – niechlujnym, zawadiackim, sprawiającym wrażenie kogoś, kto jest zdolny do wszystkiego i nigdzie dłużej nie zagrzeje miejsca. Daniel ze zmarszczonym czołem, z zaciśniętymi pięściami leżącymi na stole, pochylony do przodu słuchał młodszego towarzysza. Twarz miał zwróconą w stronę drzwi, jakby usiłował się odizolować od harmideru panującego w barze.

Znalazłyśmy się w jego polu widzenia, lecz nas nie zauważył. Pearl chciała podejść do niego, ale

chwyciłam ją za ramię.

- Zaczekaj - powiedziałam.

Zamówiłam przy kontuarze bimber, barman postawił przede mną filiżankę z bursztynowym płynem. Pchnęłam do niego po blacie miedziaka bitego w Harjo, z wtopioną weń literą H.

Kiedy młody mężczyzna przestał mówić, Daniel odchylił się do tyłu na krześle, skrzyżował ramiona na piersi, ściągnął brwi, zacisnął usta w wąską linię. Jego towarzysz wstał i ruszył do wyjścia. Rozważyłam, czy też się nie wymknąć. Przyszłam tu, żeby zobaczyć się z Danielem, przekonać go, by nam pomógł, ale nie chciałam mieszać się w nie swoje sprawy.

Pearl rzuciła się w jego kierunku, zanim zdążyłam ją powstrzymać. Na jej widok drgnął, zmusił się do uśmiechu i usiłował przybrać przyjazny wyraz twarzy.

- Na tym ogłoszeniu był nawet rysunek twoich przyrządów - mówiła podekscytowana Pearl, wymachując rękami.

Daniel posłał mojej córce smutny uśmiech, jaki często miał na ustach w jej obecności.

- Jestem ci wdzięczny, że przyszłaś mi o tym powiedzieć - rzekł.

Nie patrzył na mnie, wyczułam napięcie emanujące z jego ciała niczym żar.

- Powinnyśmy już iść - powiedziałam, kładąc dłonie na ramionach Pearl.

Od sąsiedniego stolika podniósł się stary człowiek, podszedł do nas, zataczając się, położył sękatą dłoń na moim ramieniu. Uśmiechnął się szeroko, ukazując nieliczne zęby, i wycelował palec w moją twarz.

- Widzę, co cię czeka - oznajmił chrapliwym głosem, zionąc alkoholem i wonią zgnilizny.

- Miejscowy wróżbita - wyjaśnił Daniel, wskazując starca głową. - Mnie już przepowiedział przyszłość.

- Jaką? - spytałam.

- Powiedział, że dwa razy oszukam śmierć, a potem utonę.

- Nieźle - orzekłam.

- Ty. - Starzec znów wskazał palcem na moją twarz. - Na twojej łodzi wyląduje morski ptak i złoży jajko, z którego wykluje się wąż.

Zerknęłam na niego.

- Co to znaczy?

- Znaczy to, co znaczy - rzekł stary człowiek, pochylając się do przodu.

Poczułam w głowie pustkę, jakby myśli straciły wszelkie punkty zaczepienia. Padł na mnie blady strach. Dlaczego ten wróżbita mówił o węzłach i ptakach? Po chwili jednak otrząsnęłam się z lęku. Te zwierzęta należały do nielicznych stworzeń, które nie wyginęły. Starzec zapewne wspominał o nich we

wszystkich przepowiedniach. Lecz w moim umyśle pojawiły się twarze córek, ich życie wydało mi się czymś kruchym i niepewnym, co może łatwo szczeznąć.

- Myro - powiedział Daniel. Dotknął mojego ramienia, a ja odsunęłam się, zaskoczona. - To nic nie znaczy.

- Wiem - odparłam. Rozejrzałam się po ciemnym barze, po niewyraźnych zarysach głów pochylonych nad napojami, po znużonych ciałach zgarbionych przy stołach. - Powinnyśmy już iść.

- Zaczekaj... Czy... czy mogę zostać jeszcze przez jedną noc na waszej łodzi? - zapytał.

Obrzuciłam go gniewnym wzrokiem.

- Żebyś nie musiał płacić za hotel?

Przechylił głowę na bok.

- Rano pomogę ci przy łowieniu ryb.

- Poradzę sobie sama.

- Mamo, przestań. Możesz zostać, Danielu - rzekła Pearl.

Spojrzałam na nią, a ona w odpowiedzi uniosła brwi.

- Z kim rozmawiałeś? - spytałam.

- Po prostu ze starym znajomym - odpowiedział. - Proszę tylko o jeszcze jedną noc. Lubię być z wami.

Zmierzył włosy Pearl, a ona zachichotała. Skrzyżowałam ramiona na piersi i zmierzyłam go

chłodnym spojrzeniem, żałując, że nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy tak, jak umiem odczytywać wygląd morza.

- Ale nadal nie chcesz popłynąć z nami? - zapytałam.

Na jego twarzy odmalował się ból.

- Nie powinienem.

Spuścił wzrok na swoje dłonie na stole, wyczułam, że Daniel się nam opiera. Jakby były w nim dwa magnesy - jeden odpychający go od nas, a drugi przyciągający.

Zanim wróciliśmy na noc na łódź, poszukaliśmy na brzegu drewna na opał. W większości miasteczek obowiązywało prawo, że wszelkie rzeczy niewielkie lub uszkodzone, takie jak drewno wyrzucone przez morze, należą do znalazcy. Wszystkie większe przedmioty traktowano jako własność miejscowej społeczności - trzeba je było kupić. Jeśli przyłapano kogoś na przywłaszczeniu sobie wartościowego drewna, przydatnego do budowy domu, mógł zostać wtrącony do więzienia albo nawet powieszony.

Nasza trójka rozdzieliła się i rozproszyła po plaży, przetrząsając piasek w poszukiwaniu drewna wyrzuconego na brzeg albo gałęzi na podpałkę. Podniosłam strzęp brudnej szmaty, wyrwałam kępę suchej trawy i wepchnęłam je do kieszeni. Daniel

podszedł do mnie, niosąc kilka patyków i starą papierową torbę.

- Zastanawiałem się, czy nie zrezygnowałabyś z tej podróży - rzekł.

- Dlaczego miałabym zrezygnować? - spytałam.

- Przebycie Atlantyku to trudne wyzwanie. Wasza łódź nadaje się do żeglowania u wybrzeży Oceanu Spokojnego. Zbudowanie innej będzie kosztowne. - Kopnięciem zrzucił piasek z jakiegoś kamienia. - Wcześniej w barze omawiano wieść, że piracka banda Czarnej Lilii ma nowego herszta, który stosuje już broń biologiczną. Psy zarażone wścieklizną, koce z zarazkami czarnej ospy. Jego ludzie wywołują epidemię, która uśmierca połowę ludności danego miasteczka, a potem opanowują je i przekształcają w kolonię. Teraz rozważają podbicie miejscowości leżących na północy.

- Tak, słyszałam o tym - mruknęłam.

Schyliłam się i podniosłam porzucony but. Wyjęłam z niego sznurowadło, wsadziłam do kieszeni, a but cisnęłam na piasek.

- Wiem, Valley wydaje się miłym miejscem, ale... czy warto podejmować ryzyko? - zapytał Daniel.

Popatrzyłam na niego. Nasze spojrzenia się spotkały, zobaczyłam, że on wie, iż mam inny powód tej podróży. Jego pytanie wytrąciło mnie z równowagi. Zdałam sobie sprawę, że nigdzie na

plaży nie widzę córki.

- Gdzie Pearl?

Odwrócił się i spojrzał przez ramię.

- Myślałem, że jest gdzieś tam.

Omiotłam wzrokiem plażę. Była pusta, z wyjątkiem dwojga ludzi w pewnej odległości, za skupiskiem głazów. Ciarki przeszły mi po plecach. Słyszałam o dzieciach, które po prostu znikają. Rodzice odwracają się na chwilę, a ich już nie ma. Porwania były nową formą kradzieży kieszonkowych i dla tych, którzy potrafili ich dokonywać, najwyraźniej równie łatwą.

- Pearl! - zawołałam, starając się zachować spokój.

- Może wróciła na łódź? - rzucił Daniel beztroskim tonem, który mnie rozwścieczył.

- Oczywiście, że nie - odparłam, piorunując go wzrokiem. - Pearl! - krzyknęłam.

- Uspokój się...

- Nie mów mi, żebym się uspokoiła! - wrzasnęłam na niego. - Co możesz wiedzieć o utracie dziecka?

Puściłam się pędem po piasku, wołając córkę. Po lewej wznosiła się stroma skalna ściana, a po prawej aż po horyzont rozpościerał się ocean. Przeskoczyłam przez stertę wodorostów i pobiegłam dalej, nawołując Pearl. Na plaży panowała upiorna cisza, wszystko znieruchomiało. Nawet niewielka łódź w odległości półtora kilometra od brzegu wyglądała na

zakotwiczoną, tkwiła w miejscu, niczym element namalowanego pejzażu.

Przestałam biec i szybko zatoczyłam krąg. Pearl nie miała gdzie zniknąć. Wyglądało, jakby została uniesiona w niebo. W mojej piersi wezbrała panika. Słyszałam za sobą kroki Daniela, a jeszcze dalej krzyki mew.

Pearl wypełzła ze szczeliny w skalnym zboczu, pęknięcia u podnóża góry mającego zaledwie metr szerokości. Trzymała w rękach wiązkę drewna wyrzuconego przez morze.

- W tej grocie jest mnóstwo drewna! - zawołała do nas.

Wzięłam gwałtowny wdech. Jej drobna sylwetka mająca na tle ciemności wydała mi się zarówno znajoma, jak i obca. Ktoś zrodzony ze mnie, ale będący odrębną istotą.

Pobiegłam, chwyciłam ją w objęcia, a potem odsunęłam i ujęłam pod brodę, żeby na mnie spojrzała.

- Musisz trzymać się w zasięgu wzroku - powiedziałam.

- Znalazłam drewno.

- Pearl, mówię poważnie.

Daniel dołączył do nas.

- Ona zawsze reaguje przesadnie - rzekła do niego, gdy weszłam do szczeliny i podniosłam naręcze

drewna.

Wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy.

- Nie - odparł. - Wcale nie.

ROZDZIAŁ 10

Rozpaliliśmy na pokładzie niewielki ogień w metalowej pokrywie pojemnika na śmieci. Upiekliśmy pół kurczaka, którego kupiłam, ja zaś zaczęłam robić mały bochenek chleba. Pearl przyniosła z namiotu dwie niewielkie patelnie oraz kubek wody ze zbiornika.

Gdy kurczak się piekł, zaszło słońce. Przysięgłabym, że poczułam wtedy dolatujący od lądu zapach lilii. Daniel i Pearl wyśmiali mnie, gdy im o tym powiedziałam. Kpili ze mnie, że jestem marzycielką, że uroiłam to sobie. Ale spowodowała to po prostu bliskość lądu, która ożywiała wspomnienia – woni świeżo skoszonej trawy albo kwitnących kwiatów; oczekiwania w południe na pocztę. Wszystkie te wspomnienia były jak ból fantomowy. Może to prawdziwy powód, dla którego pozostawałyśmy na wodzie.

Pearl odtańczyła dla Daniela gigę, po czym pokazała mu dwa ulubione węże, które wysunęły wąskie łby nad krawędź glinianego dzbanka, gdy uniosła pokrywkę. Potem poprosiła go o opowieść. Opowiedział o tym, jak dorastał na Górnym Półwyspie

stanu Michigan i w dzieciństwie całymi godzinami wędrował po lasach, a raz natknął się na łosia.

- Co to łos? - przerwała mu.

Daniel bezradnie popatrzył na mnie.

- No, to są duże... - zaczął.

- Tak duże jak wieloryb? - spytała.

- No... może jak mały wieloryb. Ale mają futro i rogi.

Zdezorientowana Pearl zmarszczyła brwi. Widziałam, że próbuje to sobie wyobrazić, ale nie ma żadnego punktu odniesienia.

- To coś jak olbrzymia koza z bardzo dużymi rogami - powiedziałam, zanim podjął opowieść.

- Wtedy łos ściągnął uszy, pochylił nisko łeb i natarł na mnie. - Daniel zrobił dłońmi szybki gest, Pearl podskoczyła. - Był tylko kilka metrów ode mnie, nie mógłbym uciec. Więc podniosłem ręce i wrzasnąłem na niego.

Zachichotała.

- Co wrzasnąłeś?

- Odczep się ode mnie, ty bydlaku! Spadaj! Wynos się! - Odgrywał wymachiwanie rękami i wrzask. - To było dość głupie, ale zadziałało. Udałem większego, niż jestem.

Na twarzach obydwójga zamigotał blask ognia, spowijając wszystko ciepłym światłem. Przysłuchiwałam się im, ugniatając ciasto z mąki

z wodą na patelni. Pomyślałam, że towarzystwo innej osoby dobrze wpływa na córkę.

- A czy teraz są jakieś łosie? - spytała.

Przecząco pokręciłam głową.

- Wszystkie wyginęły.

- Może gdzieś zostało jeszcze kilka - powiedziała.

- Może - rzekł.

Zjedliśmy kurczaka, natomiast chleb upiekłam w dwóch patelniach, jednej na drugiej, tworzących rodzaj małego pieca. Gdy zapadł zmrok, Pearl zwinęła się w kłębek w namiocie, a my z Danielem siedzieliśmy w blasku księżyca, przy żarze dogasającego ognia. Wiatr porywał nasze głosy.

- Czy powodem tego, że podróżujesz już tylko samotnie, jest śmierć tej kobiety, o której mi wspomniałeś? - spytałam.

- W pewnym stopniu. A także to, że obecność innych ludzi zanadto komplikuje sprawy.

Przechyliłam głowę na bok, a Daniel westchnął i mówił dalej:

- Podczas Sześćioletniej Powodzi mieszkaliśmy z mamą sami. Chorowała na cukrzycę. Kiedy ruszyła fala powodziowa, zebrałem duży zapas insuliny, podróżując do miejscowych szpitali, które nie zostały jeszcze splądrowane ani zatopione. Zgromadziłem całkiem sporo. Jednak większość skradziono, zanim wypłynęliśmy. Pożeglowaliśmy na zachód i przez

jakiś czas sobie radziliśmy, ale dwa lata później mama zmarła wskutek powikłań cukrzycowych.

Kiedy przypomniałam sobie, co wrzasnęłam do niego niedawno na plaży, ogarnął mnie wstyd. Spuściłam wzrok i przejechałam paznokciem po drewnianym pokładzie.

- To był trudny czas... - Urwał i popatrzył na morze. Światło księżyca odbijało się w falującej wodzie, rzeźbiąc na czarnej powierzchni zakrzywione srebrzyste pasma przypominające ostrza kosy. - Świadomość, że jej koniec nadchodzi... że nie mogę nic zrobić, nie ma już do zdobycia żadnej insuliny. Próbowaliśmy skorygować dietę. - Z gardła Daniela wydobył się chrapliwy dźwięk, przypominający odchrząknięcie. - Ale to było nierealne w sytuacji, gdy na świecie zostało tak niewiele żywności. Każdy chwycił, co mógł zdobyć.

Pamiętałam tamte dni, podekscytowanie, kiedy w szafce w porzuconym domu sąsiada znajdowało się pudełko płatków zbożowych. A potem rozczarowanie, gdy pudełko okazywało się puste, jego zawartość zabrał już ktoś inny.

Ludzie rabowali stacje benzynowe i sklepy. Zapełniali inne budynki - szkoły, biblioteki, opuszczone fabryki. Tylu ich spało stłoczonych w rzędach, jedni przy drugich, w drodze do miejsc, których jeszcze nie wybrali. Większość z nich była

przestraszona, zachowywała się uprzejmie. Ale nie wszyscy, więc rzadko opuszczało się swój dom.

- Przykro mi - wyszeptałam, podniosłam wzrok na Daniela i serce mi się ścisnęło na widok bólu na jego twarzy.

Wzruszył ramionami.

- Takie rzeczy przydarzały się wszystkim, nieprawdaż?

Przytaknęłam. Przeniknął mnie dziwny dreszcz. Spoglądając Danielowi w oczy, poczułam się, jakbym traciła kontrolę nad własnym ciałem, jakbym unosiła się w morzu tak słonym, że mnie podtrzymuje.

Przypomniałam sobie, że w tamtym okresie nie tylko wyszukiwaliśmy żywność, lecz także nauczyliśmy się sami ją sobie zapewniać. Kiedy słońce najsilniej przygrzewało, obsiałyśmy z Row warzywami trawnik przed domem. Pamiętałam, jak kiedyś stała w tym ogródku, trzymając w ręku zerwaną rzodkiewkę, a na jej twarzy oświetlonej blaskiem słońca widniał radosny uśmiech. Nawet w tych czasach zamętu zdarzały się szczęśliwe chwile - ja zaś poświęcę resztę życia, by się powtórzyły.

- Nie wybieram się do Valley tylko dlatego, że to miejsce wydaje się miłe - wyznałam, zaskakując sama siebie. - Tam jest moja córka. Moja druga córka.

Nawet jeśli ta informacja zdziwiła Daniela, nie okazał tego. Zachował obojętny wyraz twarzy, gdy

mówiłam mu, że Jacob odebrał mi Row, że przez lata nie miałam o nich żadnych wieści, dopiero przed kilkoma tygodniami dowiedziałam się, iż córka jest przetrzymywana w kolonii Valley i że muszę spróbować ją ocalić. Wydostać stamtąd, zanim zostanie przeniesiona na statek reprodukcyjny, bo wówczas bezpowrotnie stracę szansę odzyskania jej.

- Zdaję sobie sprawę z ryzyka - powiedziałam łamiącym się głosem. Rzuciłam okiem na Pearl śpiącą w namiocie. - Znam je. Ale po prostu... po prostu muszę spróbować. - Wzruszyłam ramionami, odwróciłam wzrok, a potem znów popatrzyłam na Daniela. Spojrzał mi w oczy, jego twarz skrywał cień. - Na myśl, że mogłabym nie podjąć tej próby, ogarnia mnie uczucie bezwładu i pustki.

Potrząsnęłam głową, po czym potarłam skronie.

- Popłynę z wami - powiedział głosem ledwie słyszalnym na tle plusku fal uderzających o burzę łodzi.

- Co?

- Pomogę wam tam dotrzeć.

- To nie dlatego ci o tym opowiedziałam - odrzekłam.

Lecz nie byłam tego taka pewna. W głębi duszy wiedziałam, że to ostatnia karta, którą mogę zagrać. Albo może pragnęłam jakiejś ludzkiej więzi na tym bezkresnym ciemnym oceanie. Nie potrafiłam tego

rozstrzygnąć.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie? - spytałam.

Odwrócił wzrok, sięgnął po patyk i pogrzebał nim w żarzących się węgielkach.

- Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem - powiedział. - Ja... byłem samotny. Poza tym dobrze byłoby popłynąć na północny wschód. Jeszcze nigdy nie żeglowałem w tamte strony.

Powróciło uczucie niepokoju, które wcześniej ogarnęło mnie w barze; przytłumiło ulgę, jaką poczułam, gdy zaofiarował się nam towarzyszyć. Poruszyłam się i przechyliłam na bok, opierając się na rękę. Dlaczego zmienił zdanie? Nie mogłam uwierzyć, że po prostu chciał pomóc mi odszukać Row. Usiłowałam odepchnąć od siebie ten niepokój. Zawsze masz problem z zaufaniem ludziom, napomniałam sama siebie.

Znów popatrzyłam na Daniela. Miał zamknięte oczy, odchyłoną do tyłu głowę opierał o nadburcie. Wyglądał tak niewinnie, lecz w to też nie potrafiłam uwierzyć.

ROZDZIAŁ 11

Po utracie Row, a przed urodzeniem Pearl, żałowałam, że nie mam drugiego dziecka. Część mnie pragnęła Pearl bardziej niż czegokolwiek na świecie, lecz druga część czuła, że temu nie sprostim, nie będę potrafiła spojrzeć jej w twarz. Wszystko wydawało się takie kruche i niepewne.

Nie mogłam żałować urodzenia moich dzieci, ale też nie mogłam się od nich uwolnić – od tego, jak mnie otworzyły, odsłoniły. Nigdy nie czułam się tak bezbronna, jak po porodzie... ani tak silna. Ta bezbronność była większa od doświadczanej przeze mnie kiedykolwiek w obliczu śmierci, która wydawała mi się tylko pustym bezmiarem, a nie spadaniem w przepaść – a właśnie tak czułam się każdego dnia, usiłując chronić Pearl w tym okrutnym świecie.

Największa różnica pomiędzy opieką nad Row a opieką nad Pearl nie polegała na tym, że z tą pierwszą przebywałam na lądzie, a z drugą na wodzie – lecz na tym, że po śmierci dziadka zostałam z Pearl całkiem sama. Z Row niepokoiłam się, że spadnie ze schodów, kiedy bawiłyśmy się na strychu, a z Pearl obawiałam się, że wypadnie za burtę łodzi, gdy

zarzucałam przynętę. Ale tylko w przypadku Pearl nie było przy mnie nikogo, kto pomógłby mi jej strzec. Konieczność nieustannego pilnowania jej doprowadzała mnie na skraj wytrzymałości, szarpała nerwy.

Kiedy Pearl była niemowlęciem, nosiłam ją niemal zawsze ze sobą w nosidełku, nawet gdy spała. Ale kiedy nauczyła się chodzić, czuwanie nad nią zaczęło sprawiać trudności. Podczas sztormów przywiązywałam ją do siebie liną, by mieć pewność, że fala nie zmyje jej z pokładu. Wymogłam na niej, żeby w portach trzymała się blisko mnie, nauczyłam ją pływać.

Wszystkiego musiała nauczyć się wcześniej: pływania, picia koziego mleka, siadania na nocniczku, pomagania mi przy naprawianiu żyłek wędkarskich. Umiała pływać już w osiemnastym miesiącu życia, lecz porządnie chodzić zaczęła dopiero jako trzylatka. Wcześniej pomykała po pokładzie na czworakach niczym krab. Miała dzieciństwo z rodzaju tych, o jakich czytałam w opowieściach z pogranicza: o małych dzieciach, które o szóstej rano doły krowy, a o dziewiątej polowały z dubeltówką.

To początkowo sprawiało, że współczułam jej bardziej niż Row. Wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że urodzenie się później, gdy już wiodłyśmy życie na wodzie, może być atutem. Pearl jako mała

dziewczynka potrafiła pływać lepiej, niż ja kiedykolwiek będę umiała, z instynktownym wyczuciem fal.

Tak więc obecność Daniela na pokładzie „Ptaka” sprawiła, że poczułam się, jakby zdjęto mi ciężar z pleców. Zauważyłam, że pilnuje Pearl w taki sam sposób jak ja, stale obserwuje ją kątem oka, nasłuchuje jej ruchów. Żeglowaliśmy wciąż na południe. Nocami wszyscy troje spaliśmy w namiocie, wiatr gwizdał nad nami, fale kołysały łodzią jak kołyską. Spałam na boku, z Pearl przytuloną do piersi, Daniel zaś leżał po drugiej stronie. Pewnej nocy ostrożnie położył dłoń na mojej talii, a gdy się nie poruszyłam, objął ramieniem nas obie, jego mocny uścisk dawał nam pokrzepienie i poczucie bezpieczeństwa.

Czasami w takie spokojne noce wyobrażałam sobie, że nasza trójka zapomni o Valley i będzie wieść ciche, proste życie na morzu. Zaczęłam niecierpliwie wyczekiwać chwil, kiedy Daniel znajdzie się obok mnie: gdy oboje staniemy przy sterze albo podczas ulewy skulimy się razem w namiocie. Mogliśmy w milczeniu naprawiać linę, z głowami pochylonymi nad postrzępionymi włóknami, które szybko splataliśmy; ta bliskość napełniała mnie spokojem.

Ale wtedy przypominałam sobie Row: to, jak ciągnęła za sobą kocyk po drewnianej podłodze,

z głową przechyloną na bok, z zaciekawioną, psotną miną. Albo jak przysuwała do okna niski stolik, siadała na nim wyprostowana i obserwowała ptaki. Nadawała im nazwy według ich kolorów: czerwony ptaszek, czarny ptaszek. Doznawałam wrażenia, że jest tuż przy mnie. W moim ciele wzbierała fala ciepła, pchała mnie w kierunku Valley, jakbym nie miała żadnego wyboru.

Z jednej z sieci, którymi łowiłam tego ranka, wybrałam sardynki i kałamarnicę, po czym wrzuciłam je do pojemnika na żywe przynęty – dużego glinianego dzbanka, w którym dawniej przechowywaliśmy w kuchni mąkę. Teraz trzymałyśmy ten dzbanek przywiązany obok zbiornika na wodę i napełnialiśmy go żywymi przynętami tylko wtedy, gdy nie brakowało nam mięsa.

Kiedy zbliżaliśmy się do wierzchołków zatopionych gór Ameryki Środkowej, wciąż lustrowałam wzrokiem horyzont. Gdy znaleźliśmy się w odległości mniej więcej dwudziestu pięciu kilometrów od najbliższego wybrzeża, daliśmy sygnał jakiemuś statkowi kupieckiemu, machając kwadratową niebieską flagą z wizerunkiem ryby pośrodku. Flaga tamtego statku powiewała na wietrze: fioletowa, z brązową spiralą przypominającą muszlę ślimaka.

Zwyczaj komunikowania się na morzu za pomocą flag rozpowszechnił się, jeszcze zanim wyruszyliśmy z dziadkiem w rejs. Żeglarze powiadali, że piraci Czarnej Lilii jako pierwsi zaczęli wciągać flagi na maszty, aby w ten sposób identyfikować swoje statki, a później aby nakłaniać do poddania się te, które atakowali.

Tak więc sporządziliśmy flagę rybaków – wycięliśmy z białego podkoszulka rybę i naszyliśmy ją na niebieską poszewkę na poduszkę. Skoro tylko Pearl zaczęła chodzić, nauczyłam ją rozróżniania trzech rodzajów flag, ponieważ chciałam, żeby na morzu była moją drugą parą oczu i powiadamiała mnie, kto się do nas zbliża, jeśli musiałam zająć się łowieniem. Nauczyła się więc, że niektóre flagi są jednokolorowe: białe ostrzegają o niebezpieczeństwie, czarne oznaczają chorobę na pokładzie, a pomarańczowe – odmowę spełnienia żądania. Inne identyfikują typ statku: kupiecki, rybacki czy reprodukcyjny. Ostatnim rodzajem są flagi z symbolami podobnymi do herbów, informujące o przynależności do nowych państw.

Chociaż piraci Czarnej Lilii jako pierwsi wprowadzili ten system komunikacji, byli też pierwszymi, którzy zaczęli wykorzystywać go do niecznych celów. Krążyły słuchy, że często żeglują pod fałszywą flagą, by móc bez wzbudzenia podejrzeń

zbliżyć się do przeciwnika, a tuż przed przypuszczeniem ataku wciągają na maszt piracką banderę.

Dlatego gdy teraz podpływaliśmy do statku kupieckiego, bacznie obserwowałam ich flagę, opierając dłonie o nadburcie, w obawie, że spuszcza ją i zastąpią piracką.

- Chyba powinnaś się odprężyć - rzekł do mnie Daniel. - Nie możesz wciąż być przesadnie czujna.

- Zawsze unikałam tego rejonu Pacyfiku, bo słyszałam, że jest opanowany przez piratów.

- Sądziłem, że nie docierałaś tutaj, bo nie umiesz nawigować - powiedział z uśmiechem i musnął mi ramię grzbietem dłoni.

Zerknęłam na niego, tłumiąc uśmiech, wiatr dmuchnął mi włosy na twarz.

- Gdy już dobijemy targu z załogą tego statku kupieckiego, powinniśmy zarzucić włok i popłynąć trochę dalej na wschód, by złowić żaglice.

Popatrzył na morze.

- Po czym potrafisz to poznać?

Wskazałam w kierunku wschodnim na stado fregat lecących nisko i nurkujących do wody w odległości kilku kilometrów od nas. Dziadek nauczył mnie obserwowania ptaków.

- Widziałam też ławice tuńczyków i makreli. Wody tutaj są ciepłe. Żaglice osiągną wagę do czterdziestu

kilogramów. Warto dla nich zboczyć z kursu.

- Dobrze. Musimy tylko zachować ostrożność, żeglując tak blisko wybrzeża bez zamiaru zawinięcia do portu.

Wiedziałam, że niepokoją go wierzchołki gór znajdujące się tuż pod powierzchnią morza, ryzykowaliśmy, iż osiadziemy na mieliźnie i rozprujemy kadłub łodzi. Czasami widziało się ciemniejsze obszary wody w miejscach, gdzie kryła góry, a kiedy płynęło się nad nimi i popatrzyło w dół, można było dostrzec skalne szczyty spoglądające z głębin niczym twarze z zamierzchłej epoki. Ocean kotłował się nad nimi, jego prądy wirowały pośród skał, tworzyły się znów rafy koralowe, powstawały nowe morskie stworzenia przystosowane do życia w ciemności.

Zanim w tym nowym świecie w pełni rozwiną się te nowe gatunki, mnie już na nim nie będzie, rozsypię się w proch. Ale rozmyślałam o nich i o przyszłości, zastanawiałam się, jakich czasów dożyje Pearl - miałam nadzieję, że będą lepsze.

Podpłynęliśmy do burty statku kupieckiego, wymieniliśmy ryby na kilka metrów bieżących bawełny, nici, węgiel drzewny i kozie mleko. Kiedy zapytałam o drewno, odpowiedziano mi, że jeśli chcemy nabyć je za rozsądną cenę, musimy popłynąć jeszcze dalej na południe. Serce mi się ścisnęło. Nie

możliśmy sobie pozwolić na kolejną stratę czasu, jeszcze bardziej zbacząc z kursu.

Kiedy oddaliliśmy się od statku kupieckiego, popłynął na północny wschód, do niewielkiego portu na wybrzeżu, a Daniel skierował łódź na południowy wschód, ku rejonowi, w którym, jak sądziłam, mogliśmy natrafić na żaglice. Pearl bawiła się na pokładzie z węzłem, a ja reperowałam więcierze na kraby, związując drutem pęknięte metalowe pręty. Zawsze było coś do naprawienia. Ster, żagiel, kadłub, pokład, takielunek czy przynęty. Wszystko ciągle się psuło, a ja ledwie mogłam nadążyć, czas wciąż przeciekał mi przez palce.

Płynęliśmy w kierunku tamtych nurkujących ptaków. Razem z Pearl łowiłyśmy na wabiki zrobione z jaskrawych, kolorowych wstążek na haczykach. Woda była przejrzysta, wiał miarowy wiatr. Jeden z tych uroczych żeglarskich dni, gdy miałam wrażenie, że frunę. Tuż pod powierzchnią dostrzegłam żaglicę, płetwa grzbietowa w kształcie żagla przecinała wodę niczym płetwa rekina. Zarzuciłam wędkę z żywą kałamarnicą na haczyku jako przynętą.

Pozwoliłam, aby żyłka dryfowała, tylko od czasu do czasu poruszałam nią lekko, obserwowałam wodę i czekałam, uważając, by znęcić żaglicę, lecz jej nie spłoszyć. Dopiero po dwóch godzinach ryba chwyciła

przynętę, szarpnęła żyłkę tak gwałtownie, że niemal wciągnęła mnie do morza. Zaparłam się przy nadburciu, ściskając wędzisko, aż zbieleły mi kostki palców.

Daniel przyskoczył, żeby mnie podtrzymać.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, pomagając mi wkręcić wędzisko w uchwyt w górnej części nadburcia.

Pokręciłam głową.

- Nie możemy stracić tej ryby.

Żaglica płynęła zadziwiająco szybko, jej płetwa grzbietowa cięła powierzchnię wody. Szarpnęła tak potężnie, że pociągnęła łódź za sobą, zataczała półkola na końcu linki, a potem zaczęła się szamotać i wyskoczyła w górę, rozbryzgując wokół siebie strugi wody.

W zasięgu wzroku nie było żadnego brzegu. Świat stał się tak płaski i niebieski, że jego widok męczył oczy. Taki bezmiar dezorientował, przytłaczał. Nawet chmury wydawały się cienkie jak gaza.

Wokół łodzi krążył rekin, podpływał bliżej, po czym znów się oddalał. Początkowo pomyślałam, że podąża tropem ławicy makreli pod nami, ale potem uświadomiłam sobie, że poluje na naszą żaglicę.

- Musimy ją szybko wciągnąć - powiedziałam.

- Przecież mówiłaś chyba, że lepiej pozwolić im się zmęczyć, zanim zaczniesz się je wciągać. Jak mamy

poradzić sobie z tą wielką rybą?

Włożyłam skórzane rękawice.

- Wyciągniecie ją na powierzchnię, a ja złapię za miecz. Gdy już będę trzymała, chwycisz rybę za żagiel i pod brzuch i pomożesz wydobyć z wody.

Kij mojej wędki był tytanowym prętem ogrodzenia, który dziadek przerobił na wędzisko. Nie pękł ani nawet nie wygiął się pod ciężarem żaglicy. Ale uchwyt zamontowany na nadburciu skrzypiał i trzeszczał, groziło, że odpadnie.

Daniel zaczął kręcić kołowrotkiem, natężając się przy każdym obrocie, aż pot wystąpił mu na skronie. Ryba nadal walczyła, wyskakiwała w górę, wiła się w powietrzu. Potem rzucała się, uderzała o burtę łodzi, obryzgując nam twarze. Zamrugałam, gdy słona woda zalała mi oczy i straciłam rekina z pola widzenia.

Gdy żaglica znalazła się na tyle blisko, bym mogła ją chwycić, wychyliłam się za burtę, sięgając do niej. Ryba szamotała się na lince, wynurzyła głowę, załśnił haczyk w pysku.

Złapałam ją za miecz, lecz niemal wymknął mi się z rąk, śliski niczym sopel. Wokół nas unosiła się siarkowa woń koralowców i wodorostów. Pomyślałam przelotnie, że widocznie znajdujemy się tuż nad wierzchołkami zatopionych gór.

Daniel zablokował kołowrotek, przechylił się przez

nadburcie i chwycił rybę za żagiel. Kątem oka znów spostrzegłam rekina. Uderzył w kadłub, łódź lekko się zakołysała.

Strach ścisnął mi gardło. Rekin zanurkował głębiej, jego sylwetka stała się niewyraźna, a potem zniknęła pod wodą. Żaglica rzucała się rozpaczliwie, skrzela trzepotały, a łuski drżały, odbijając światło słońca w kalejdoskopowych rozbłyskach. Wydawało się, że pojawienie się rekina nawet ją przejęło przerażeniem.

Wytrzeszczyła oczy, rzuciła się tak gwałtownie, że jej miecz wysliznął mi się z rąk, i z pluśnięciem wpadła znowu do morza.

- Cholera - wymamrotał Daniel, sięgając do wody, żeby ponownie złapać rybę za płetwę.

- Daniel, nie! - zawołałam.

Rekin z rozwartą paszczą przebił powierzchnię wody, chwycił zębami przedramię Daniela i gwałtownie potrząsnął łbem, a potem znów się zanurzył. Mężczyzna krzyknął, pochylił się do przodu i zaczął wypadać za burtę.

ROZDZIAŁ 12

Chwyciłam Daniela za tył koszuli, zaparłam się o nadburcie, po czym pociągnęłam go mocno. Oboje zatoczyliśmy się do tyłu i upadliśmy na pokład. Z jego ręki tryskała krew, wpływała w szpary między deskami.

- Pearl, przynieś jakąś szmatkę! - krzyknęłam.

Krwi było tak dużo, że nie widziałam rany. Z przedramienia zwisały strzępy skóry i ścięgna. Czy miał przeciętą jakąś tętnicę? Zmiażdżoną kość?

Pearl wpadła do namiotu i wróciła pędem z kawałkiem bawełnianej tkaniny, którą kupiłam w Harjo. Przycisnęłam go do przedramienia Daniela.

- Będzie dobrze - rzekłam. - Musimy tylko powstrzymać krwotok.

Zacisnął powieki. Zbladł, oddychał szybko i płytko.

- Pearl, przyciskaj szmatkę - poleciłam.

Podczas gdy trzymała ją przy ranie, zdjęłam skórzany pasek i obwiązałam ramię Daniela nad łokciem. Nożem zrobiłam w pasku nową dziurkę, a potem zacisnąwszy go, zapięłam. Przykucnęłam na piętach, by lepiej przyjrzeć się Danielowi. Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Oddychaj głęboko - powiedziałam. - Postaraj się uspokoić.

Rozległ się odgłos tarcia drewnianego kadłuba o skałę, dudnienie narastające do głuchego huku. Łódź zakołysała się gwałtownie, upadłam na bok.

Daniel otworzył oczy.

- Góra! Góra! - rzucił rozpaczliwie.

Zerwałam się na nogi, pobiegłam na rufę i wyjrzałam za nadburcie. Tuż pod nami majaczyły w ciemnej toni wierzchołki gór pokryte licznymi szczelinami, ostrymi skalnymi iglicami i sterczącymi pękami koralowców. Osiadaliśmy na górskim szczycie.

Szarpnęłam rumpel, skręcając ster maksymalnie w prawo, poczułam, że łódź zaczyna się poruszać. Silny poryw wiatru wydał żagiel, pomknęliśmy naprzód. Zobaczyłam przed dziobem kilka skalnych wierzchołków sterczących jakiś metr nad powierzchnią wody. Musieliśmy natychmiast skrócić jeszcze bardziej w prawo.

- Żagiel! - zawołałam do Pearl, ale ona była już przy boczku i przeciągała przez niego linę.

Dołączyłam do niej, szarpnęłam linę i zaczęłam rozwiązywać węzeł.

Pearl trzęsły się ręce, łzy ciekły po twarzy.

- Zatonimy! - krzyknęła.

- Nic nam się nie stanie - odrzekłam.

Zostawiłam węzeł, wyciągnęłam z pochwy nóż i przecięłam linę. Żagiel zwiotczał, stracił wiatr.

Lecz było już za późno. Skalny szczyt wystawał z wody na trzydzieści centymetrów zaledwie sześć metrów przed nami. Objęłam córkę i mocno przytuliłam.

Gdy przepływaliśmy nad górą, „Ptak” przechylił się w lewo, woda chlusnęła na pokład, a Daniel potoczył się ku nadburciu. My z Pearl poturlaliśmy się w stronę masztu i uchwyciliśmy się go. Łódź prześliznęła się po wierzchołku góry z hukiem pękającego drewna.

Kadłub znów opadł z łoskotem na wodę, łódź niemal się wyprostowała. Podbiegłam do Daniela, chwyciłam go pod pachy i oparłam o nadburcie. Przycisnął zranioną rękę do piersi, zagryzając zęby. „Ptak” zaczął się przechylać na prawą burtę. Nabieraliśmy wody. Wstałam i omiotłam wzrokiem horyzont, mając nadzieję ujrzeć ląd, lecz niczego nie dostrzegłam.

- Pearl, przynieś wiadro i pochodnię - poleciłam.

Otworzyłam klapę w pokładzie, zajrzałam w puste miejsce pomiędzy nim a dnem kadłuba. Płatanina krzyżujących się desek zasłaniała mi widok, ale usłyszałam szum wpadającej do środka wody. Pearl podała mi wiadro i pochodnię, czyli gałąź, której koniec był owinięty kawałkiem materiału i osłonięty

plastikową torebką chroniącą przed zamknięciem. Zerwałam torebkę, a Pearl skrzesała ogień krzemieniem i nożem.

Zeskoczyłam w otwór klapy i wpadłam nogami w wodę. Płomień oświetlał przestrzeń wokół mnie w promieniu zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, rzucał głębokie cienie między krzyżujące się deski. Po prawej dostrzegłam dziurę w pobliżu dna kadłuba. Woda wewnątrz sięgała już siedemdziesięciu centymetrów. Mogliśmy zatonać za godzinę albo nawet wcześniej.

Wygramoliłam się z otworu klapy i wzięłam od Pearl wiadro. Już przywiązała sznurek do jego rączki. Spuściłam wiadro do otworu, a potem wyciągnęłam. Woda chlupocząc, wyciekała nad brzegiem.

- Pearl, gdy będę wybierała wodę, spakuj do plecaków żywność oraz instrumenty Daniela. I napełnij butelki wodą pitną ze zbiornika.

- Wszystko się nie zmieści.

- Więc zostaw mąkę.

- Dobrze - odrzekła Pearl.

Zniknęła w namiocie. Zaczęła wyjmować plecaki i rzucać na pokład przed sobą.

Wciąż spuszczałam i wyciągałam wiadro, aż rozboleły mnie ręce i plecy.

- Jasna cholera - wymamrotałam.

Nie zyskiwałam nam ani trochę czasu. Wylałam

wodę przez burtę; zakrzywiona struga zaśniła w świetle słońca, roziskrzona jak kryształ. Zamknęłam oczy, a potem je otworzyłam. „Ptak”, pomyślałam, przypominając sobie, jak dziadek budował tę łódź, jak przesuwiał po drewnie zgrubiałymi dłońmi.

Uczepiona tratwy patrzyłam na tonącego „Ptaka”. Daniel i Pearl siedzieli na niej, przytrzymując się krawędzi, żeby nie zrzuciły ich fale. Tratwa mogła unieść tylko dwie osoby, nie zanurzając się pod wodę. Ulokowałam na niej Pearl, żeby była bezpieczna, i Daniela, żeby przestał mnie wkurzać krwawieniem do morza. Każde z nas nosiło plecak z zapasami.

Łódź zakołysała się i przechyliła na bok, a potem wydawało się, że wyrównała, gdy napełniła ją woda. Miałam wrażenie, jakby woda wlewała się we mnie, czułam całą sobą ten bezlitosny ciężar. Ale potem rozległ się bulgot, łódź zanurzyła się pod powierzchnię i zniknęła jak moneta, którą wrzuca się do sadzawki, wypowiadając życzenie. Wzięłam wdech. „Ptak” był ostatnią rzeczą wiążącą mnie z matką i dziadkiem, bez niego poczułam się samotna, odcięta od nich. Stłumiłam szloch, mocniej uchwyciłam się tratwy.

W drugiej ręce trzymałam nóż, wciąż wypatrywałam w wodzie rekina.

- On zaczeka, aż się zmęczymy - powiedział z niepokojem w głosie przyglądający mi się Daniel.

Spiorunowałam go wzrokiem. Ty pierwszy się zmęczysz, pomyślałam. Byłam niemal gotowa ulec pokusie wciągnięcia Daniela do wody, gdybym znów zobaczyła rekina.

- Powiedziałam ci, żebyś nie sięgał po tę zaglicę - warknęłam.

- A ja ci mówiłem, że powinniśmy trzymać się kursu i popłynąć prosto do portu - odparował. - Nie można żeglować tak blisko linii brzegowej.

Pearl wydała cichy zduszony dźwięk, hamowane łkanie. Od pierwszego uderzenia łodzi w skały nie przestawała drżeć. Sięgnęłam ręką w górę i ujęłam jej dłoń o zbielałych kostkach, którą trzymała się kurczowo skraju tratwy.

- Pearl, kochanie. Poradzimy sobie.

- Nie chcę, żebyś była w wodzie! Tam jest rekin! - krzyknęła.

- Mam nóż - odparłam i uniosłam go. Błysnął w słońcu. Zmusiłam się do uśmiechu. - Nic złego się nam nie stanie.

Łzy Pearl spływały na rękę, w której trzymałam jej dłoń. Fala ochlapała mi twarz i łyknęłam słoną wodę. Poczułam, że wzbiera we mnie furia. Przeklęłam siebie w duchu. Nie powinnam była wpuścić Daniela na pokład naszej łodzi.

Cały takielunek, przynęty, większość zapasów, świeża woda w zbiorniku - wszystko to utonęło, opadło na dno morza. Nawet gdybyśmy dotarli do lądu, nie miałam niczego, co mogłabym wymienić na żywność czy nowy sprzęt wędkarski.

- Myra, coś widzę - odezwał się Daniel.

- Zamknij się.

- Myra...

- Powiedziałam, żebyś się zamknął - rzuciłam, mocniej ściskając w ręce nóż.

- To statek - rzekł i sięgnął do plecaka po lornetkę.

- Daj mi ją - zażądałam.

Popatrzyłam przez szkła, lustrowałam horyzont, aż natrafiłam na statek. Był większy niż kuter rybacki, mniej więcej wielkości statku kupieckiego. Wciąż spoglądając przez lornetkę, zmrużyłam oczy i wypatrywałam flagi.

- Nie wiem, co to za jedni - powiedziałam.

O dziwo, zdawało się, że płyną prosto ku nam, chociaż wątpiłam, czy mogli nas już zobaczyć. Znajdowali się w odległości pięciu kilometrów, a my byliśmy tylko małą plamką na bezkresnym morzu. Mało prawdopodobne, by mogli widzieć naszą tratwę, chyba że nas szukali.

Przygryzłam usta wyschnięte od soli i słońca. Popatrzyłam w kierunku statku, lecz bez lornetki byłam w stanie dostrzec tylko drobny cień na

horyzoncie. Ten statek mógł nas uratować albo skazać na los gorszy niż ryzyko dryfowania na tratwie na pełnym morzu.

- Powinniśmy do nich zasygnalizować - rzekł Daniel, sięgając do plecaka po białą flagę.

- Nie wiemy, kim oni są - powtórzyłam. - Wolałabym raczej szukać szansy na otwartym morzu niż zostać zakuta w łańcuchy pod pokładem statku pirackiego.

- Warto zaryzykować - zawyrokował.

Obrzuciłam go gniewnym spojrzeniem. Pomyślałam, że warto z jego punktu widzenia. Ranny nie przeżyłby długo na pełnym morzu, natomiast Pearl i ja mogłybyśmy przetrwać przynajmniej kilka dni, a gdyby prądy morskie były sprzyjające, może dotarłybyśmy do wybrzeża.

Zdawało się, że czyta w moich myślach, kiedy powiedział:

- Nie wytrzymacie długo. Od brzegu dzieli nas nadal kilkanaście kilometrów. To rzadko uczęszczany akwen. Nieprędko pojawi się ktoś inny.

Znów popatrzyłam na tamten statek. Przypomniałam sobie rozmowę z matką na strychu. Siedziałyśmy na najwyższym stopniu schodów, podczas gdy dziadek montował „Ptaka”. Rozmawiałyśmy o najnowszych wieściach, jakie usłyszałyśmy, dotyczących tego, jak daleko dotarła

fala powodziowa, które budynki w miasteczku należy omijać. Jacoba nie było w domu, poszedł na spotkanie z jakimiś nowymi przyjaciółmi, których nie znałam. Minęła nas Row dźwigająca wiadro z wodą i postawiła je obok innych rozmieszczonych pod ścianami strychu. Miejski wodociąg wyłączono przed tygodniem, więc zbieraliśmy deszczówkę we wszystkie kubły i miski. Córka przyklęknęła przed wiadrem, nachyliła się nad nim i uśmiechnęła do odbicia w wodzie.

- Cześć - rzekła do siebie i zachichotała.

Dziadek posłał jej uśmiech, poklepując burtę „Ptaka”.

- To będzie dobra łódka jak na początek - powiedział.

Jego słowa mnie zaskoczyły. Nie myślałam, że kiedykolwiek porzucimy tę łódź, skoro budowa kosztowała nas tyle pracy. Byłam taka młoda, w przeciwieństwie do dziadka nie nawykłam do utrat i tymczasowości. Nie wiedziałam, jak je przewidzieć ani zaakceptować.

Teraz serce waliło mi szybko, więc odetchnęłam głęboko, by się uspokoić. Nie ma innego wyboru, jak tylko podążać naprzód, powiedziałam sobie.

- Podaj mi drut - zażądałam.

Podciągnęłam się na tratwę, ale nogami młóciłam w wodzie. Przebiłam drutem tkaninę flagi

i obwiązałam nim wiosło, tworząc prowizoryczną żerdź.

Kiedy Daniel zdrową ręką uniósł flagę, poczułam w żołądku zimny ciężar, jakbym czekała na wyrok. Obserwowałam statek, gdy stawał się coraz większy, i narastało we mnie przeczucie, że spotkanie z nim odmieni wszystko.

ROZDZIAŁ 13

Gdy statek się zbliżył, przestraszyłam się, że nas staranuje. Zanim znaleźliśmy się w cieniu jego kadłuba, dostrzegłam przelotnie kilku żeglarzy poruszających się po pokładzie. Statek miał dwa żagle i długość około dwudziestu metrów. Na burcie przy dziobie była wymalowana czarnymi drukowanymi literami nazwa „SEDNA”. Przypominał żaglowce kupieckie, które jako dziecko widywałam w książkach historycznych. Miał niewielką nadbudówkę rufową, z małym kanu wiszącym na bocznej ścianie, i kozę w zagrodzie na pokładzie.

Kiedy czekaliśmy na podpłynięcie statku, Daniel pobladł, a teraz oczy mu się zamykały.

- Nie śpij - rzuciłam do niego ostro.

Pearl nadal kurczowo trzymała się brzegu tratwy i otwartymi szeroko oczami obserwowwała zbliżający się statek. Miałam gardło spieczone z odwodnienia; przełknęłam z wysiłkiem i zamrugałam, żeby przejaśniło mi się w głowie. Wydawało mi się, że nawet moja krew zmętniała od znużenia.

Gdy statek znalazł się w odległości trzech metrów, z jego nadburcia spuszczone do morza sznurową

drabinkę.

- Musimy do niej dopłynąć - powiedziałam do obydwójga.

Pearl z przerażenia wytrzeszczyła oczy, a półprzytomny Daniel kiwnął głową.

Zakląłam pod nosem.

- Popłynę kolejno z każdym z was - zdecydowałam.

- Chodź, Pearl.

Objęła mnie chudymi rączkami, popłynęliśmy do drabinki. Skłoniłam Pearl, by zaczęła po niej wchodzić, i wróciłam po Daniela.

Był bardzo ciężki, na dodatek niemrawo poruszał się w wodzie. Przeszył mnie lęk, że oboje utoniemy, że jego ciężar pociągnie mnie na dno. Szaleńczo młóciłam rękami wodę, wlokąc go za sobą. Gdy dotarliśmy do drabinki, uchwycił się jej zdrową ręką.

- Wejź pierwszy - powiedziałam.

Nie wiedziałam, czy gdyby spadł, zdołałabym go uratować, ale uświadomiłam sobie z zaskoczeniem, że próbowałabym.

Daniel wspiął się po drabince sprawniej, niż się spodziewałam, powoli, ale miarowo. Przeczuwałam, że zemdleje, gdy tylko dostanie się na pokład, więc wchodziłam szybko, w głowie wirowały mi myśli o Pearl samej tam na górze.

Gdy przełaziłam przez nadburcie, jakiś mężczyzna chwycił mnie za rękę. Przestraszyłam się, chciałam

pchnąć go oburącz w pierś, odsunąć, ale napotkałam życzliwe spojrzenie czarnych oczu.

- Hej, spokojnie, ja tylko pomagam ci wejść. To nadburcie jest wysokie - powiedział i zniósł mnie z niego na pokład.

Był przystojny, miał kościstą, ale przyjazną twarz, czarne włosy, jasnobrązową skórę. Nosił bandanę na szyi i sznurowane skórzane buty.

- Jestem Abran - rzekł, ściskając mi dłoń. - Witam na „Sednie”. Cieszę się, że zdążyliśmy do was dotrzeć.

Mówiąc, gestykulował szybko obiema rękami.

- Myra - przedstawiłam się i rozejrzałam po załodze, próbując wyrobić sobie o niej opinię. - A to Pearl i Daniel.

- Zazwyczaj odbieramy przybyszom broń - oznajmił Abran, gdy moja ręka pomknęła do noża w pochwie przy pasku. - Ale chcemy przyjąć was na naszym statku w dobrej wierze - oświadczył, przyglądając mi się uważnie. - Właściwie trochę o tobie wiemy. Mamy wspólną przyjaciółkę: Beatrice w Apple Falls.

Zaskoczona, szeroko otworzyłam oczy.

- Beatrice - powtórzyłam cicho.

- Mówiła, że masz zawsze obfite połowy. Nie spodziewaliśmy się, że teraz złowimy ciebie - powiedział Abran.

On i kilku innych zachichotali. Rzuciłam im

gniewne spojrzenie.

- Później w Myer's Port - Abran wskazał za siebie w kierunku odległej przystani - kilku kupców oznajmiło, że dobili z tobą godziwego targu, więc postanowiliśmy was dogonić. Obawiałem się, że was nie odszukamy. Wayne dostrzegł wasz statek, a potem wyglądało, że zniknęliście. Macie szczęście, że już wcześniej płynęliśmy za wami.

Świat był obecnie taki mały, a ponieważ odwiedzałam rokrocznie te same osady handlowe, często o tej samej porze roku, zostałam stałą klientką. Nazwiska godnych zaufania rybaków i kupców przekazywano sobie w faktoriach przy szklaneczkach whisky czy kurząc fajki.

- Co to za statek? - zapytałam.

Był o wiele za duży jak na przeciętny kuter rybacki, a nie miał ostentacyjnie bogatego wystroju, jaki widuje się zazwyczaj na statkach kupieckich.

- Stanowimy społeczność - wyjaśnił Abran, a ja zmierzyłam go sceptycznym spojrzeniem. - Ale najpierw powinniśmy udzielić mu pomocy medycznej - rzekł, wskazując na Daniela. - Jessa i Wayne...

Spojrzał na młodą kobietę i mężczyznę w średnim wieku, którzy stali nieopodal, przyglądając się nam. Jessa była drobna, miała trójkątną twarz o jasnej cerze. Wayne, blondyn o włosach tak spłowiałych od słońca, że wyglądały na białe, miał na ramionach

niewielkie tatuaże.

- Oni uratują to, co zostało z waszej tratwy - dokończył Abran.

Skinęłam głową. Abran poprowadził nas przez pokład do nadbudówki na rufie. Była kwadratowa, z jednym pomieszczeniem przedzielonym zasłoną. W części, do której weszliśmy, naprzeciwko drzwi stał długi stół, a w przeciwległej ścianie znajdowało się małe okno. Przy ścianie równoległej do stołu ciągnął się rząd półek i koszy pełnych map, książek, lin, bloczków.

Przez okno wpadał blask słońca, rzucając na stół świetlny kwadrat. Czułam się dziwnie, przebywając na statku kołysanym przez fale, ale nie czując na ciele powiewu wiatru.

- Jeżeli używa się topora zamiast miecza, zadaje się cios z większą siłą - dobiegł zza zasłony czyjś głos.

- Uhm - mruknął drugi, kobiecy głos tonem matki puszczającej mimo uszu słowa syna.

Abran wystąpił naprzód i odciągnął zasłonę, odsłaniając maleńką kuchnię. Chłopiec w wieku mniej więcej siedemnastu lat mieszał w misce coś pachnącego jak pomidory w zalewie octowej. Ten słodki, lecz ostry zapach wywołał u mnie skurcz żołądka z głodu. Obok chłopca stała na taborecie kobieta w średnim wieku i szukała czegoś w szafce nad blatem kuchennym.

- To Marjan - powiedział Abran, wskazując na nią.
- Jest naszą kwatermistrzynią i kucharką. A to Behir -
dodał, wskazując młodzieńca. - To są Myra, Daniel
i Pearl.

Marjan odwróciła się na taborecie i uśmiechnęła do
nas.

- Witajcie. Wreszcie was znaleźliśmy.

Miała kanciastą twarz, brązową skórę, błyszczące
czarne oczy i czarne włosy splecione w warkocz
spadający na plecy. Coś w wyrazie jej twarzy,
w spokojnej, pewnej postawie przypomniało mi
Beatrice. Poczulałam przypływ smutku.

Behir z szerokim uśmiechem podszedł do nas,
wyciągając rękę na powitanie. Emanował
serdecznością. Wyglądał jak wyższa, szczuplejsza
wersja matki, z takimi samymi lśniącymi oczami
i przyjaznym zachowaniem.

Marjan zeszła ze stołka, położyła na ladzie torebkę
z ziarnem. Ruszyła ku nam, potknęła się o stołek
i niemal upadła, ale Behir złapał ją za łokieć
i podtrzymał.

- Nic ci się nie stało? - spytał z taką czułością, że
przeniknął mnie ciepły prąd, jaki czułam, ilekroć
Pearl zrobiła coś z troski o mnie.

Spotykałam tak niewiele matek nadal mających
dzieci. Zdawało się, że zawsze natrafiałam na jedne
bez drugich - na bezdzietne matki albo sieroty.

Patrzyłam na tych dwoje, napawając się ich widokiem, póki Abran nie wymówił mojego imienia.

- Co? - spytałam.

- Czy mogłabyś ułożyć Daniela na stole? Ja w tym czasie przyniosę igłę, nici, czyste szmatki.

Upuściłam plecak na podłogę i pomogłam Danielowi położyć się na stole. Wskazałam Pearl stołek w kącie, a ona usiadła na nim, przyciągnęła kolana do piersi i oparła na nich podbródek. Była zadziwiająco spokojna, wodziła wzrokiem wokół, obserwując Abrana.

Abran powoli, delikatnie oderwał opatrunek z przedramienia Daniela, uważając, by przy tym nie naruszyć ciała. Daniel zagryzł zęby i zacisnął powieki.

- Marjan, czy możesz przynieść whisky?! - zawołał Abran. Spojrzał na mnie. - Mamy trochę środków przeciwbólowych, ale są tylko dla załogi - wyjaśnił przepraszającym tonem.

Skinęłam głową, zaskoczona tym, że w ogóle wspomniał o środkach przeciwbólowych. Tylko bogaci ludzie posiadali lekarstwa, a jeszcze rzadziej napomykano o nich obcym, z obawy przed sprowokowaniem kradzieży.

Marjan przyniosła do stołu glinianą flaszkę i uniosła głowę Danielowi, żeby mógł się napić.

Abran poluzował opaskę uciskową na ramieniu

Daniela, po czym uszczypnął mu palce, które powoli się zaróżowiły, gdy powróciło normalne krążenie.

- Rekin naruszył tętnicę łokciową, dlatego straciłeś tyle krwi. Jednak wygląda na to, że rana zaczyna się już goić. Nie jest tak głęboka, jak można by przypuszczać. Głównie rozerwał ci skórę i kilka mięśni. Zawsze jestem rad, gdy sytuacja okazuje się nie tak zła, jak się wydawała. Zszyjemy ci ranę i zdezynfekujemy alkoholem - powiedział.

Jego gadatliwość mnie zirytowała.

- Czy jesteś lekarzem? - spytałam.

- Byłem - odrzekł.

I umilkł. Wypytywanie ludzi o przeszłość sprawia, że otwierają się albo zamykają. A ja zawsze byłam ciekawa ich reakcji.

Zanurzył igłę we flaszce z alkoholem, a potem nawłókł na nią bardzo cienką nić. Podał mi szmatkę, którą starałam krew z ręki Daniela.

Abran nachylił się, tak że jego twarz znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od przedramienia Daniela. Działał powoli: najpierw wygładził rozerwaną skórę, potem zszył poszarpane brzegi rany. Gdy ręka Daniela się zagoi, będzie wyglądać jak gmatwanina blizn.

- Dokąd płynęliście? - zapytał Abran.

- Do Andów. Zahandlować - odpowiedziałam.

- My też się tam udajemy. Chcemy znaleźć miejsce

do osiedlenia się. Wy zamierzacie pozostać na wodzie?

To pytanie mnie rozdrażniło. Miałam nadzieję, że Pearl nie odezwie się i niczego nie chlapnie. Im mniej będą o nas wiedzieli, tym lepiej. Przynajmniej dopóki nie dowiem się o nich więcej.

- Jak już powiedziałem, usłyszeliśmy o tobie - mówił dalej. - O tym, że jesteś dobrą rybaczką. Godną zaufania. Żeglujesz tam i z powrotem wzdłuż nadbrzeżnych miasteczek, zawsze masz wiele na wymianę. Prowadzisz drobną, niezależną działalność. To obecnie rzadkość. I staje się coraz trudniejsze w sytuacji, gdy wszyscy inni łączą się w wielkie zespoły.

Podniósł wzrok znad ręki Daniela i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

- Skąd zdobyliście taki duży statek? - spytałam. - Przypuszczam, że one też stają się coraz bardziej poszukiwane przez wielkie zespoły.

Abran zmierzył mnie wzrokiem, a potem znów spojrzał na rękę Daniela. Rozumiał, o co naprawdę pytam.

- Miałem trochę pecha, a potem trochę szczęścia, dzięki któremu zdobyłem wartościowe artykuły na wymianę. To dało mi dodatkowe drewno i pozwoliło zatrudnić kilku dobrych skutników. Następnie zebrałem zacną załogę i tak oto żeglujemy. -

Wyprostował się, po czym wytarł szmatką igłę. – Nie handlujemy z piratami.

Z kuchni dobiegł brzęk garnków, odgłosy nalewania wody i dorzucania węgla do pieca. Z za zasłony napłynął zapach gotowanego mięsa. Abran popatrzył na Pearl siedzącą cicho w kącie.

– A co ty myślisz o naszym statku? – zapytał ją swobodnym, przyjaznym tonem osoby nawykłej do obcych przybyszów.

– Jest ładny – odrzekła cichym głosem.

W plecaku coś się poruszyło.

– Co tam masz? – spytał ostro Abran.

– Węże – odpowiedziała.

Popatrzył na mnie.

– Pearl! – jęknęłam. – Zabrałaś węże? Mogliśmy zamiast nich zapakować mąkę! – Spojrzałam na Abrana. – Przepraszam. Ona odcina łąby jadowitym węzom, więc te są niegroźne. Możemy oddać je wam do zjedzenia.

– Nie! – sprzeciwiła się.

– Pearl! – rzekłam surowym tonem.

Abran posłał mi niepewny uśmiech.

– Później porozmawiamy o regułach obowiązujących na tym statku. Rzeczywiście mamy zasadę dzielenia się wszystkim.

Ogarnął mnie niepokój. Słyszałam o ludziach przetrzymywanych na statkach jako niewolnicy, by

w ten sposób spłacili swoje długi. Załoga „Sedny” uratowała nas, nakarmiła i udzieliła nam schronienia, więc staliśmy się ich dłużnikami.

- Chcielibyśmy możliwie jak najszybciej podjąć podróż - powiedziałam. - Jak możemy się wam odplacić?

- O tym też pomówimy później - odparł Abran, ścierając wilgotną ściereczką świeżą krew z ręki Daniela. - Chwilowo pacjent potrzebuje odpoczynku. Opuchlizna jest czymś normalnym, ale krwawienie nie. Powiadom mnie, jeśli zauważysz jakieś oznaki infekcji.

Dostrzegłszy na mojej twarzy niepokój, pokrzepiająco ścisnął mi ramię.

- Będzie dobrze - zapewnił. Klasnął w dłonie, a potem odgarnął z twarzy kosmyk włosów. - A teraz co powiesz na to, żebym oprowadził cię po statku? W ten sposób lepiej nas poznasz.

Uśmiechnął się do mnie serdecznie i rozłożył ręce w zapraszającym geście. Emanował żywą energią, charyzmą, co wzbudziło we mnie niepokój. Po chwili uświadomiłam sobie, dlaczego. Przypominał mi Jacoba.

ROZDZIAŁ 14

Pearl chciała zostać z Danielem, więc wybrałam się bez niej z Abranem na zwiedzanie statku. Zanim wyszliśmy z kabiny, zajrzeliśmy do kuchni, w której Marjan gotowała na rozżarzonych węglach potrawkę z kurczaka. Pomieszczenie wypełniał dym i ulatniał się przez wielki otwór w suficie.

Abran oprowadził mnie po pokładzie. Minęliśmy zagrodę kozy i trzy duże metalowe zbiorniki na wodę lśniące w świetle słońca. Miałam nadzieję, że zanim opuścimy statek, Pearl będzie mogła wypić trochę koziego mleka, ale nie zapytałam o to. Nie chciałam, żeby nasz dług wobec tych ludzi jeszcze bardziej wzrósł.

Lukiem w pokładzie zeszliśmy do wnętrza kadłuba i tam przeszliśmy przez szereg niewielkich pomieszczeń rozdzielonych cienkimi ścianami. W łazience stały nocnik, miednica, dzbanek z wodą. Naprzeciwko łazienki znajdował się magazyn ze sprzętem wędkarskim, a obok kabina kapitańska Abrana, wielkości dużej garderoby, z wąskim łóżkiem przy ścianie i komódką. Największa była kwatery załogi, wypełniona łózkami piętrowymi oraz półkami

na ubrania i rzeczy osobiste. Na dolnej pryczy leżał, jęcząc, jakiś mężczyzna. Skórę na jego nodze pokrywała zaogniona czerwona wysypka.

- John jest chory - wyjaśnił cicho Abran. Czym prędzej wyszliśmy stamtąd.

W tylnej części podpokładzia stały sterty skrzynek wypełnionych po brzegi różnymi drobiazgami: zapasowymi zwojami lin, drewnem, pękniętymi bloczkami i elementami takielunku. Weszliśmy do sąsiedniego magazynu, na nasz widok poderwał się mężczyzna grzebiący w pojemniku pełnym niewielkich metalowych części.

- To jest Thomas - przedstawił go Abran. - A to Myra. Thomas jest naszym bosmanem.

Thomas przeszedł kilka kroków ku nam, utykając na lewą nogę. Spostrzegł, że się przyglądam, spojrzał na nią i wyjaśnił:

- Złamana kostka źle się zrosła.

Miał ciemnobrązową skórę i krótko ostrzyżone czarne włosy. Z uśmiechem ucisnął mi dłoń.

- Nie mogę znaleźć metalowej obejmy do flagsztoka - powiedział.

- Zapasowa powinna być w tamtej skrzynce - odrzekł Abran, wskazując ręką.

Thomas poszperał w skrzynce, wyjął z niej metalową obejmę i wyszedł z magazynu.

Nie mogłam oderwać oczu od skrzynek

z puszkowaną kapustą, worków z mąką, cukrem, solą, fasolą i kukurydzą oraz pojemników z herbatą i soloną wieprzowiną ustawionych w sterty na półkach. Do najniższych półek były przymocowane wiadra z wodą. Próbowałam sobie wyobrazić, jak by się żyło na takim statku zaopatrzonym w tak wielkie zapasy różnorodnej żywności. Nie trzeba byłoby jeść codziennie tylko ryb i podplomyków, póki nie dopłynię się do jakiejś faktorii. Czułam się bezpiecznie i spokojnie, stojąc w tym pomieszczeniu pełnym starannie zmagazynowanej, oznakowanej żywności.

- Mnóstwo jedzenia - rzekłam cicho, dotykając puszki z kapustą.

- Racjonujemy ją rozważnie, handlujemy z solidnymi kupcami, którzy dają nam uczciwe ceny. Każdy na statku ma pracę i dobrze ją wykonuje - powiedział Abran.

Dał znak, żebyśmy poszli dalej, zaprowadził mnie do zbrojowni. Na półkach piętrzyły się tam strzelby, noże, bomby, łuki, strzały oraz kilka pałek. Odwróciłam się i spojrzałam na Abrana, oczekując wyjaśnień.

Wzruszył ramionami.

- Każdy statek musi móc się obronić - rzekł tylko.

- Tak, ale gdzie to wszystko zdobyliście? Taki arsenał w dzisiejszych czasach...

Urwałam i umilkłam. Ta broń była warta więcej niż „Ptak”. Połyskiwała metalicznie w słabym świetle lampy naftowej trzymanej przez Abrana.

- Ukradłem ją - odrzekł.

Podniosłam na niego wzrok, czekając, by powiedział coś więcej.

- Znalazłem skład broni zakopanej przez załogę jakiegoś statku pirackiego. Rezerwowo arsenał. Skrzynki oznaczono symbolem korsarskiej flagi, więc je zabrałem.

Nadal milczałam i przyglądałam mu się, rozważając jego słowa. Było czymś zwykłym, że piraci składowali swoje zasoby - zwłaszcza cenne, jak broń czy lekarstwa - w tajnych kryjówkach, aby móc wrócić po nie, jeśli ich statek zostanie obrabowany. Natomiast niezwykle było odnalezienie takiej kryjówki.

- Jak udało ci się to znaleźć? - zapytałam.

Statek zaskrzypiał przy zwrocie w prawo, podłoga się przechyliła, a broń na półkach zabrzęczała.

- Miałem szczęście - odrzekł Abran. - Zobaczyłem kilku piratów na zboczu góry, nieco powyżej miejsca, w którym mieszkałem. Zabawili tam przez pewien czas. Wiedziałem, że nie ma tam niczego, co mogłoby na tak długo przykuć ich uwagę: żadnej wody ani zwierzyny do upolowania. Tak więc, kiedy odeszli, poszedłem obejrzeć to miejsce.

Uśmiechnął się, przechylając głowę na bok, kosmyk

czarnych włosów opadł mu na czoło.

- Kilka razy w życiu dopisało mi szczęście. Miejmy nadzieję, że nie opuści mnie jeszcze przez jakiś czas.

Przyjrzał mi się uważnie, na jego ustach wciąż igrał lekki uśmiech.

- Dokąd żeglowaliście? - zapytałam.

- W pobliże dawnej Alaski, przez Morze Karaibskie i wokół Andów. Teraz szukamy miejsca do osiedlenia się.

- Osiedlenia się? Dlaczego? Mając taki statek?

- Nie zamierzamy spędzić całego życia na morzu. - Powiesił lampę naftową na haku u sufitu. - Pragniemy założyć wspólnotę. Chcę stworzyć społeczność ludzi kultywujących określone wartości. Społeczność, w której każdy pracuje i każdy ma szansę na lepsze życie.

- Co to będzie za miejsce? - spytałam, usiłując skryć uśmiech.

Cofnęłam się o krok i oparłam plecami o półkę. Kolba leżącej na niej strzelby wbijała mi się w łopatkę.

- Wiem, wydaję się idealistą - powiedział. - Ale żeby mieć nadzieję, trzeba zaryzykować idealizm.

Podszedł o krok bliżej, a ja poczułam emanujący od niego zniewalający urok. Szeroko rozpostarł ręce, jakby zapraszał mnie do jakiejś wspólnej idei.

- Poza tym my, ludzie, nie jesteśmy stworzeni do

życia na wodzie - dorzucił.

- Nie wiem, czy kwestia tego, do czego jesteśmy stworzeni, naprawdę ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Abran znieruchomiał, a potem zdjął lampę naftową z haka.

- Powinniśmy wrócić na pokład. Sprawdzić, jak czuje się Daniel.

- Przepraszam. Nie zamierzałam kpić. Przypuszczam, że po prostu jestem cyniczna.

- Możesz uważać, że nie żywisz żadnych przekonań ani nadziei, lecz tak nie jest. Lepiej bądź ich świadoma, ponieważ już je masz - powiedział.

Odwrócił się i wyprowadził mnie ze zbrojowni. Weszliśmy po drabince na pokład.

- Pojmuję twoje obawy - oświadczył.

Podszedł do nadburcia, oparł się o nie i powiódł wzrokiem po morzu.

- Jakie obawy?

- Twoje... twoje wahanie. Twój opór przed zaufaniem nam. Nie chcemy ci niczego odebrać. W gruncie rzeczy szukamy jeszcze kilkorga ludzi, którzy dołączyliby do naszej załogi.

Milczałam przez chwilę, a potem spytałam:

- Dlaczego mielibyście chcieć, żebyśmy do was dołączyli?

- Pamiętasz, jak powiedziałem, że każdy tutaj ma

pracę? No więc potrzebujemy kogoś, kto potrafi łowić ryby. Mieliśmy rybaka, ale... ee... już go z nami nie ma. – Abran wydawał się zdenerwowany, pospiesznie kontynuował: – Jak wcześniej mówiłem, słyszeliśmy relacje o was, o matce i córce, które zawsze mają dobre połowy, nawet kiedy inni rybacy wracają z pustymi sieciami. Masz reputację osoby, która umie odczytywać znaki wody.

Tak właśnie nazywał to dziadek. Odczytywanie znaków wody. Mówił, że woda wyjawia mi wszystko, co skrywa. Muszę tylko słuchać i reagować. Szukaliśmy głębokiego zlewiska: w zimie łowiliśmy w przeręblu sandacze albo w lecie zarzucaliśmy obok kumkających żab wędkę na okonie. A w ciche, bezwietrzne dni dziadek uczył mnie też odczytywania znaków wód oceanu, wspominał czasy, gdy łowił ryby z brzegów Alaski. Mawiał, że Nebraska tworzyła niegdyś dno oceanu. Nietrudno było w to uwierzyć, mając wszędzie wokół siebie tylko wiatr, niebo i rozfalowane trawy. Lecz to nie znaczyło, że dziadek nie tęsknił nadal za morzem. Kiedy powódź dotarła do Nebraski, zwykł wyglądać przez okno, mamrocząc: „Morza opadają, a potem znów przybierają”.

Poczułam na sobie wzrok Abrana, uniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy. Nagle, zaskakująco, przeniknęła mnie tęsknota. Zapragnęłam życia na

takim statku. Chciałam piętrowych łóżek, skrzynek z jedzeniem zmagazynowanych pod pokładem. Ale pomyślałam o Row samotnej w Valley i poczułam się, jakby przygniótł mnie nieubłagany ciężar.

- A więc, czy rozważysz tę propozycję? - Abran musnął palcem moje przedramię, wyrywając mnie z zadumy.

W duchu nastroszyłam się gniewnie. Niczego nie wiedzieliśmy o tych ludziach. Byłam pewna, że Abran nie powiedział mi całej prawdy o tym, jak wszedł w posiadanie tamtej broni w zbrojowni. Ale część mnie zastanawiała się, czy mogłabym podjąć ryzyko zaufania im. Zastanawiałam się, czy zdołałabym przekonać ich do zmiany kursu i popłynięcia do Valley. Taki statek poradziłby sobie na północnych morzach. I tak już straciłam kilka tygodni.

- Tak - odpowiedziałam. - Rozważę ją.

ROZDZIAŁ 15

Podczas kolacji Pearl zajadała się potrawką z kurczaka. Uniosła talerz i wsypała sobie do ust ostatnie kawałeczki, jak wlewa się wodę z dzbanka do miski. Potrawka była z marchewką i selerem, których nie jadłam od co najmniej dwóch lat. Staralam się ukryć to, jak bardzo jestem wygłodniała, lecz nikogo nie zwiodłam. Gdy z Pearl opróżniłyśmy talerze, Marjan natychmiast chwyciła chochlę, pytając, czy chcemy dokładki.

- Tak - odrzekła łakomie Pearl; resztki potrawy ściekały jej po brodzie.

Marjan zaśmiała się i nałożyła następną porcję. Zastanawiałam się, czy jadają tak dobrze co wieczór, czy tylko gdy mają gości i chcą wyrzucić na nich wrazenie.

Siedzieliśmy wokół stołu w kabinie rufowej. Spostrzegłam nad drzwiami drewnianą tablicę z napisem: „Charakter człowieka jest jego przeznaczeniem”. Stłumiłam śmiech.

- Co cię rozbawiło? - zapytał Wayne.

- Nie sądzicie, że okoliczności też mają na to wpływ? - spytałam, wskazując na szyld.

- Może nie zawsze tworzymy nasze przeznaczenie, ale decydujemy, jak mu sprostać - powiedział Abran.

- Albo decydują o tym bogowie - dodała Marjan z nikłym uśmiechem igrającym na ustach.

Thomas i Wayne zachichotali. Wyglądało, że to żart zrozumiały tylko w ich gronie.

- Chętnie dowiedziałbym się, co ci bogowie sobie myśleli - rzekł Thomas, potrząsając głową.

- Wtedy, kiedy nadeszły powodzie? - spytałam.

- Kiedy nas stworzyli - powiedział Thomas.

W kabinie zapadła cisza, w której słychać było tylko stukanie drewnianych łyżek w glinianych miskach. Po kilku chwilach Jessa zaczęła mówić o konieczności naprawy pęknięcia w grotmaszcie, a potem rozmowa zeszła na to, co trzeba kupić w następnej faktorii. Toczyła się lekko, więc odprężyłam się, obserwowałam poufałe, swobodne zachowanie tych ludzi. Wyczuwałam ciepłą atmosferę panującą wśród członków załogi zgromadzonych przy tym stole. Przechyliłam głowę na bok, przyglądając się, jak gestykują, wzruszają ramionami, wybuchają krótkim śmiechem i od czasu do czasu przewracają oczami.

Pomyślałam, że są jak rodzina. W dzisiejszych czasach nieczęsto widywałam taką zgodną wspólnotę. Od tak dawna żyłam samotnie, że ich towarzystwo krępowało mnie, a także napełniło

tęsknotą. Przypomniałam sobie, jak dawniej w domu gromadziliśmy się wieczorami przy stole oświetlonym blaskiem świec, a przez okna padało na nas jeszcze zamglone światło zmierzchu. Jak matka podawała nam miseczki z owsianką albo pieczonymi ziemniakami. Jacob, Row, dziadek, mama i ja żartowaliśmy o pogodzie, wspominaliśmy minione lata, rozmawialiśmy o przyszłości. Światło wokół nas przygasało, świat kurczył się do nas pięciorga, do naszych głosów drżących niczym płomień świec, gdy wiedliśmy rozmowy do późnej nocy.

Zastanawiałam się teraz, jak każdy z tych członków załogi dostał się na ten statek i co robił przedtem, jakie mają sekrety, jak dobrze je ukrywają. Co się zdarzy, jeśli rzeczywiście do nich dołączymy? Spostrzegłam, że Daniel przygląda mi się, gdy obserwuję załogę. Na jego twarzy malowało się zatroskanie, jakby potrafił czytać w moich myślach.

- Wiem, że rozważasz przyłączenie się do nich - rzekł do mnie tak cicho, żeby nikt nie mógł usłyszeć.

- Co o tym myślisz?

- To zły pomysł.

- Dlaczego?

Daniel tylko pokręcił głową i odchylił się do tyłu na krześle, przyciskając zranioną rękę do piersi.

Temat rozmowy załogi się zmienił. Thomas opowiadał o swoim starym przyjacielu, który mieszka

teraz w Harjo.

- Przyznał się do handlowania z piratami. Twierdzi, że inaczej by sobie nie poradził.

Thomas mówił cicho, z żalem w głosie. Zachował wrażliwość, łagodność i ufność, które przypomniały mi dawny świat sprzed powodzi.

Wayne walnął dłonią w stół, aż zakołysały się miski, a wszyscy ucichli.

- To bzdura! Kompletna bzdura! Inaczej by sobie nie poradził? Mógłby równie dobrze własnoręcznie podrzynać gardła. Gwałcić dzieci... - Wayne wskazał na Pearl, a ona spojrzała na niego otwartymi szeroko oczami.

- Dość - rzekł Abran, wstając.

Wsparł się dłońmi o blat stołu, mierząc Wayne'a gniewnym spojrzeniem.

- Nie, nie dość - odparł Wayne i odepchnął krzesło do tyłu tak gwałtownie, że się przewróciło. - Nie powiedziałem nawet połowy.

Wielkimi krokami wymaszerował z kajuty. Był tak barczysty, że ledwie mógł zmieścić się w drzwiach, nie obracając się bokiem, i tak wysoki, że musnął włosami górną część futryny.

- Wayne stracił żonę - wyjaśnił cicho Abran, znów siadając.

- Nie po prostu stracił - dodała Jessa. - Zamordowano ją na jego oczach.

Nie spytałam, kto ją zabił. Ale wiedziałam, że Abran nie kłamał, gdy powiedział, że nie handluje z piratami. Albo jeśli handlowali, większość załogi o tym nie wiedziała.

Gdy sprzątałismy ze stołu po kolacji, Marjan wyszła z talerzem jedzenia. Po kilku minutach wróciła do kabiny i wyszeptała coś do Abrana.

Zamknął oczy, skinął głową.

- John - powiedział Thomas.

Załoga znieruchomiała i umilkła. Miałam wrażenie, jakby z pokoju wyssano powietrze.

Abran znów kiwnął głową.

- John zmarł dziś wieczorem. Jeszcze tej nocy urządzimy morski pogrzeb.

Podszedł i nachylił ku mnie głowę, tak abym mogła go usłyszeć, gdy rzekł cicho:

- Spodziewaliśmy się tego, niemniej to cios. - Rozejrzał się po załodze. Wszyscy poruszali się powoli, jakby przygnieci zwięszoną grawitacją. - John pływał z nami od niemal roku. Był dobrym żeglarzem.

- Przykro mi. Co go...

- Posocznica. Zaczęła się od miejscowego zakażenia w stopie. Zranił ją, nastąpiwszy na coś ostrego. - Abran potrząsnął głową. - Zawsze chodził po pokładzie boso.

Wszyscy wyszliśmy z kabiny. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, niebo się zachmurzyło. Flaga „Sedny” łopotała teraz na wietrze: kwadrat szarej tkaniny z czerwonym słońcem pośrodku. Krzyki mew opadały i wznosiły się wokół nas, gdy Marjan owijała ciało Johna w płótno żaglowe. Usta zmarłego zastygły w grymasie bólu. Zastanawiałam się, od jak dawna cierpiał, skoro jego twarz zapomniała wszelkich innych wyrazów. Wyobraziłam go sobie dygoczącego od gorączki rozpalającej żarem ciało, oddychającego płytko, z wysiłkiem.

Wayne szarpnął bujny jasny wąs i rzucił gniewnie:

- Płótno na cały żagiel?

- Możemy mu je poświęcić - odparła Marjan.

- Był jednym z nas - dodał Abran.

Wayne skrzyżował ramiona na piersi, skinął głową i spuścił wzrok.

Zaskoczyli mnie. Ten pokaz lojalności wydał mi się niemal przesadną rozrzutnością. Za płótno na cały żagiel można było dostać dwa pełne kosze ryb.

Kiedy już owinięto zmarłego w płótno, każdy członek załogi wyszeptał do niego pożegnanie. Abran podszedł jako ostatni i wymówiwszy pożegnalne słowa, zwrócił się do załogi:

- John wierzył w to, w co my wierzymy: spokojną przystań, miejsce, w którym się osiedlimy. W którym zbudujemy coś, co, jak wiemy, podtrzyma nas

i będzie trwać także po naszej śmierci. Możemy uczcić jego pamięć, realizując ten plan.

Następnie Thomas z Wayne'em przenieśli ciało Johna nad nadburciem i wrzucili do morza. Wpadło z pluskiem do ciemnej toni, która zamknęła się nad nim. Nigdy nie pogodzę się z tym, jak szybko woda może pochłonąć człowieka; zawsze będzie mnie to przerażać.

Później niektórzy z załogi pozostali na pokładzie; rozmawiali szeptem albo w milczeniu stali samotnie. Marjan dotykała palcami naszyjnika na szyi, jakby to był różaniec. Po pewnym czasie wróciła do kuchni pozmywać naczynia, a ja zaproponowałam, że pomogę.

Gdy znów wyszłam na pokład pod czarne niebo, zobaczyłam na dziobie statku Pearl z Danielem, którzy rozmawiali i śmiali się. Córka cofnęła się i zawirowała krótko; światło gwiazd wydobyło z mroku jej sylwetkę. Zmarszczyła nos, jak zawsze, gdy uznała coś za naprawdę zabawne. Zastanawiałam się, czy Row też z takim entuzjazmem śmieje się i płąsa.

Na drugim końcu pokładu Abran naciągał linę przy bloczku. Skinął mi głową, a ja się uśmiechnęłam. Wkrótce będzie chciał usłyszeć odpowiedź. Zamknęłam oczy, żałując, że nie jesteśmy z Pearl nadal na „Ptaku”, tylko zostałyśmy wrzucone

w całkiem odmienne życie ludzi, o których nic nie wiem. Zawsze spodziewałam się ze strony innych zagrożenia, nawet gdy byłam młodsza.

Kiedyś jako siedemnastolatka szłam ulicą w odległości kilku przecznic od mojego domu; poszukiwałam w opuszczonych budynkach jedzenia i ciepłych ubrań. Wyważałam okna z popękkanymi szybami albo dostawałam się do środka przez drzwi kuchenne. Wiele domów na tej ulicy stało pustych, mieszkańcy przenieśli się już do wyżej położonych miejsc. W ubiegłych latach w Nebrasce roiło się od migrantów, ale w tamtym czasie cały stan sprawiał już wrażenie miasta widma.

Przechodząc obok krokusów rosnących na frontowym trawniku, przystanąłam i schyliłam się, żeby zerwać kilka. Za sobą ujrzałam idącego ku mnie mężczyznę. Był niechlujnie ubrany, twarz miał lekko poczerwieniałą od alkoholu albo choroby. Wcześniej tego dnia minęłam go w parku. Wymieniliśmy wtedy spojrzenia, a potem szybko poszliśmy w przeciwne strony.

Czy teraz mnie śledził? Upuściłam kwiaty i szybko ruszyłam ulicą. Skręciłam za róg, zmierzając do domu.

Mężczyzna szedł za mną, przyspieszył kroku. Myśli kłębiły mi się chaotycznie w głowie. Czy powinnam pobiec? Ale wtedy on zacznie mnie gonić;

prawdopodobnie nie zdołam przed nim uciec. Lepiej stawić mu czoło.

Gdy był zaledwie kilka kroków za mną, wyszarpnęłam nóż zza paska i odwróciłam się gwałtownie.

Zatrzymał się, unosząc rękę.

- Nie zamierzam sprawić ci kłopotów - powiedział.

Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął śliwkę i położył na betonie pomiędzy nami.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że masz piękne oczy. - Umilkł, jakby się z czymś zmagał. Przygryzł usta, a na twarzy miał wyraz takiej udręki, że ścisnęło mi się serce. - Przypominają mi oczy córki.

Oddalił się szybko, zostawiwszy śliwkę, drobny podarunek.

Zatknęłam nóż z powrotem za pasek i ugryzłam śliwkę. Była słodsza od wszystkiego, co jadłam od wielu miesięcy.

Śmiech Pearl przywrócił mnie znów do teraźniejszości, na pokład „Sedny”. Trzepotała rękami jak ptak, szaleńczo chichocząc. Pomyślałam o załodze tego statku i o tym, że zwykle zachowywałam się, jakbym miała przeciwko sobie cały świat. W każdej chwili byłam gotowa wyciągnąć nóż. Dziadek zwykł mówić, że z takim nastawieniem czasami osiągnę to, czego potrzebuję, ale nie zawsze.

Teraz zdecydowałam, że to może być dobre

rozwiązanie. Mogłabym łowić dla nich ryby. Mogłabym przekonać ich, żeby popłynęli na północ.

Jeszcze przez kilka chwil przyglądałam się Pearl. Unosiła zdrową rękę Daniela, usiłując go nakłonić, żeby się okręcił. Roześmiała się, gdy udał, że traci równowagę i upada na nadburcie. Lubiłam patrzeć na Pearl z pewnej odległości, tak jak teraz. Stać na uboczu, obserwując, jak zachowuje się beze mnie. Było to jak spoglądanie przez okno w jej przyszłość: właśnie taka będzie Pearl, kiedy mnie zabraknie.

ROZDZIAŁ 16

Gdy już ułożyłam Pearl do łóżka, spotkałam się z Danielem na górnym pokładzie, w pobliżu dziobu statku. Na niebie mrugały gwiazdy, czyste i błyszczące jak diamenty rozrzucone na czarnym aksamicie. Świeciły jaskrawo, nie przyćmiewane przez żadne inne światła. Wokół nas rozbrzmiewały nocne odgłosy morza: plusk fal o burtę, jęk liny w metalowych bloczkach, skrzypienie fału napinającego się na lekkim wietrze.

- Trzeba zmienić ci opatrunek - powiedziałam do Daniela.

- Nie przeczę, że ci ludzie być może są uczciwi, jednak nie uważam, że powinniśmy z nimi zostać - rzekł cichym głosem.

- Dlaczego jesteś tak przeciwny temu pomysłowi?

- A co z Valley? - zapytał, odwracając się od wody ku mnie.

- Nadal chcę tam dotrzeć - oświadczyłam spokojnie.

- Zamierzasz ich przekonać, żeby tam popłynęli, prawda?

- A jeśli tak, to co?

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

- Jeżeli spróbujesz ich namówić, czy powiesz im, że Valley to kolonia Upadłych Opatów?

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam mu badawczo w twarz oświetloną blaskiem księżyca.

- Nie powiedziałam ci, że tą osadą władają Upadli Opaci, a tylko, że jest kolonią.

- Pogadałem w Harjo z kilkoma ludźmi - rzekł, po czym odwrócił się ode mnie i oparł łokciami o nadburcie.

- Wiem. Widziałam. O czym jeszcze rozmawiałeś w Harjo?

- Załoga tego statku szuka bezpiecznego miejsca do osiedlenia się. Tobie chodzi o coś innego.

- Valley może być odpowiednim dla nich miejscem. Jest chronione przed atakami przez naturalne ukształtowanie terenu, ponieważ leży w kotlinie między dwiema górami. Poza tym trudno tam dotrzeć, więc nie byłiby narażeni na liczne napaści.

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

- Danielu, nie mogę im wyjawić, dlaczego chcę się dostać do Valley, bo nie zdołam namówić ich na ten rejs. Popłyną tam tylko, jeśli będą uważać to miejsce za bezpieczne, nadające się do osiedlenia.

Nie mogłam powiedzieć im prawdy - że zamierzam uratować córkę i że Valley to niebezpieczne miejsce.

Ponieważ gdyby było bezpieczne, przed czym miałabym ją ratować? Zorientowałam się, że Abran jest ostrożny, zależy mu przede wszystkim na zachowaniu trwałości jego wspólnoty. Nie mogłam być słabym ogniwem, a jednocześnie liczyć, że zdołam przekonać ich do zmiany kursu. Musiałam wkręcić się do tej społeczności, stać się dla nich kimś niezbędnym.

- Sądzisz, że mam czas i środki, by zbudować łódź porównywalną z tym statkiem? - rzuciłam.

- Czyż nie taki był twój pierwotny plan?

- Czy zgodziłeś się popłynąć ze mną, ponieważ wiedziałeś, że nie zdołam się tam dostać? Wiedziałeś, że ten plan się nie powiedzie? Jak daleko, według ciebie, mogłam dotrzeć? W którym momencie zamierzałeś mnie porzucić? - mówiłam, podnosząc głos.

Zacisnęłam w pięści dłonie trzymane przy bokach. Thomas i Jessa rozmawiający w pobliżu rufy popatrzyli na nas.

Daniel potrząsnął głową i parsknął cichym, gniewnym śmiechem.

- Być może o tym nie wiesz, ale kiedy podróżuje się w dużej grupie, sprawy bardzo szybko się komplikują. Może nie powinienem był zgodzić się na ten rejs z tobą.

„Sedna” pochyliła się na fali, rzuciło nas do przodu.

Statek mknął przez noc niczym samotna ryba w bezkresnym stawie. Przygryzłam usta i położyłam dłoń na dłoni Daniela spoczywającej na nadburciu.

- Proszę - powiedziałam.

Cofnął rękę i przyjrzał mi się uważnie.

- Nie chcę opłakiwać kolejnej straty - rzekł.

Odwrócił się, jakby zamierzał się oddalić, a potem obrócił się z powrotem do mnie.

- Rzecz w tym, że w dużej grupie, takiej jak ta, ludzie zaczynają dążyć do różnych celów.

Czekałam, żeby mówił dalej. Statek skrzypiał na wodzie jękliwym dźwiękiem elementów naprężających się i trących o siebie.

- Pamiętasz, powiedziałem ci wcześniej o kobiecie, którą mi przypominasz? No więc przed trzema laty ona i ja na Karaibach dołączyliśmy do załogi dużego statku, liczącej około dziesięciu osób. Zajmowaliśmy się głównie zdobywaniem metalu, mięsa, drewna, futer. Kilkoro z nas umiało zastawiać sidła. Jedna osoba trochę łowiła, lecz nie przynosiło to nam nigdy zbyt dużych zysków. Połowa załogi postanowiła więc przekształcić nasz statek w reprodukcyjny i nawiązać współpracę z piratami.

Zesztywniałam, a Daniel przełknął z wysiłkiem i milczał chwilę, zanim podjął opowieść.

- Przymieraliśmy głodem, statek niszczał, my zaś nie potrafiliśmy go naprawić. Nie mogliśmy osiąść na

ładzie, nie mając wystarczających środków, by zakupić teren do osiedlenia się. Nie mieliśmy żadnych perspektyw, równie dobrze moglibyśmy unosić się pośród gwiazd w przestrzeni kosmicznej. Jednak Marianne... Marianne nie zamierzała siedzieć cicho. Gwałtownie sprzeciwiła się temu projektowi. Oboje chcieliśmy zejść na brzeg w najbliższym miasteczku z faktorią i wieść życie żebraków, robić cokolwiek, byle tylko opuścić statek. Ale w noc przed zawinięciem do portu kilku członków załogi pobiło mnie i zamknęło pod pokładem. Potem zgwałcili Marianne. Słyszałem to nad sobą przez deski pokładu. Przez całą noc szarpałem krępujące mnie więzy, aż rozorałem nadgarstki do krwi, słuchając jej krzyków. Rano zapadła cisza. Kiedy wyprowadzili mnie na pokład, Marianne już nie było. Wyskoczyła za burtę, z kotwicą przywiązaną do kostki nogi.

Przez moment nie mogłam wydobyć głosu. Daniel przesuwał ręką po nadburciu, jakby chciał wytrzeć je do czysta. Ujęłam jego dłoń i przykryłam swoją.

- Tak mi przykro - powiedziałam.

- Zabiłem ich - rzekł Daniel. W oczach miał cierpienie i udrękę. - Następnego ranka, kiedy mnie wypuścili, ja... wpadłem w szal. Zabiłem ich wszystkich.

Przebiegł mnie zimny dreszcz, lecz nadal trzymałam dłoń Daniela.

Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

- Nie myślę, że cokolwiek takiego zdarzy się tutaj. Ci ludzie są na to zbyt dobrzy. Ale... coś pójdzie źle.

Nie potrafiłam temu zaprzeczyć. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Zamrugałam, by je powstrzymać, i powiedziałam, starając się zapanować nad napiętym głosem:

- Danielu, Row jest tam sama. Muszę jej pomóc.

Skinął głową i położył swoją drugą dłoń na mojej.

- Czy nadal chcesz z nami popłynąć? - spytałam.

Przez chwilę nie odpowiadał. Chmury na niebie się przesunęły, blask księżyca rozświetlił morze.

- Dałem ci słowo.

- Sytuacja się zmieniała. Jeśli chcesz, możesz nas opuścić - rzekłam, mając nadzieję, że tego nie zrobi.

Daniel przecząco pokręcił głową.

- Nie opuszczę was.

ROZDZIAŁ 17

Nazajutrz rano niebo miało odcień łagodnej szarości, a w tej jego części, w której wkrótce wzejdzie słońce, nad wodą rozpościerała się pomarańczowa poświata. Stałam na pokładzie; obudziły mnie wcześniej skurcze głodu w brzuchu. Chociaż poprzedniego wieczoru dobrze podjadłam, wiedziałam, że upłynie kilka dni, zanim żołądek nasyci się po tak długim wyposzczeniu.

- Wczesnie wstałaś.

Odwróciłam się i zobaczyłam idącego ku mnie Abrana. Miał zmierzwione, nieuczesane włosy, a skórę miękką, delikatną od snu, jeszcze nie wysmaganą wiatrem, nie ogorzałą od ostrego morskiego powietrza.

Przez kilka chwil oboje staliśmy w milczeniu, przyglądając się wschodowi słońca. Rzucało na wodę różowy blask, a ja wyobraziłam sobie, że czuję jego ciepło, nawet zanim w pełni wyłoniło się spod horyzontu.

- Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za zbyt wścibskiego, ale... czy ty i

Daniel jesteście parą?

Uniosłam brwi, jakbym wątpiła, czy pyta serio.

Abran zaczerwienił się, lecz kontynuował:

- Nigdy nie mieliśmy na statku pary. Mamy wspólne pomieszczenie sypialne i nie jestem pewien, czy uda się nam przystosować...

- Nie jesteśmy parą - odpowiedziałam.

- Och... no tak. To dobrze.

- I postanowiliśmy zostać z wami.

Wyczułam, że Abran się uśmiecha, ale nie odwróciłam się do niego. Próbowałam wymyślić jakiś sposób napomknięcia mu o Valley, aby się przekonać, czy w ogóle bierze pod uwagę możliwość zmiany trasy.

- To wspaniała wiadomość - powiedział.

- Daniel zna się na nawigacji - oznajmiłam.

- Wiem. Marjan rozmawiała z nim o tym. Rybaczka i nawigator. Co za szczęśliwy traf. My z Thomasem zajmujemy się nawigacją, ale nie najlepiej nam to idzie. Dobrze będzie mieć na pokładzie specjalistę.

- Z takim nawigatorem jak Daniel nie musicie ograniczać się do Pacyfiku i Morza Karaibskiego.

- To znaczy?

- To znaczy, że moglibyście wziąć pod uwagę inne rejony do osiedlenia się oprócz Ameryki Południowej. W południowowschodniej części Grenlandii jest miasteczko o nazwie Valley. Słyszałam, że zamieszkuje je pokojowo nastawiona społeczność, że

to dobre miejsce, by tam osiąść...

Abran pokręcił głową.

- Żeby tam dotrzeć, trzeba by przebyć Piracki Korytarz. Ten obszar jest uważany za niebezpieczniejszy od Morza Karaibskiego.

- Nie sądzisz, że część z tego to zmyślane opowieści?

- Nie warto ryzykować - rzucił ostrym tonem, ucinając tę kwestię.

Wezbrała we mnie irytacja. Wzięłam wdech, aby się opanować, i posłałam Abranowi sztywny uśmiech, lecz on mnie przejrzał.

- Przepraszam - rzekł - ale jestem odpowiedzialny za tych ludzi. Nie mogę podejmować niepotrzebnego ryzyka.

- Rozumiem - powiedziałam.

Miałam wrażenie, że tonę. Ogarnęło mnie dziwne uczucie bezradności. Będę musiała spróbować nakłonić go w inny sposób. Może jeśli dalej na południe wpadniemy w jakieś tarapaty, zdołam przekonać Abrana, że północ wcale nie jest gorszą opcją. Ale stracę przy tym tyle czasu. Czułam się, jakbym miała w sobie tykający zegar, który przyspiesza mi puls i wywołuje wir myśli w głowie.

- Posłuchaj... chociaż w gruncie rzeczy należało wyjaśnić ci to wcześniej - rzekł Abran. - Mamy kilka zasad.

Kiwnęłam głową i przygryzłam usta. Oczywiście. Powinnam była zapytać o te zasady. Na każdym statku obowiązują reguły, które nowi członkowie załogi muszą zaakceptować.

- Są w kabinie, spisane. Chciałbym, żeby każde z was podpisało się pod tym zbiorem zasad. Nawet Pearl. Po dziewiątej w nocy nie wolno palić żadnych świateł. Posiłki jada się w kabinie o ósmej rano, w południe i o szóstej wieczorem. W nieparzyste dni myjemy się gąbkami wodą ze zbiornika, jeżeli mamy jej wystarczająco dużo do picia. Żadnych kradzieży ani zarabiania na lewo. Takiego jak ukrywanie kilku ryb, aby zahandlować na własną rękę w faktorii. Najważniejsze decyzje podejmuje się większością głosów. Dezercja z pola walki albo jakakolwiek próba buntu jest karana porzuceniem na bezludnej wyspie. Straciliśmy już w ten sposób kilku członków załogi. To z grubsza wszystko.

- A proponowanie zmiany kursu statku....

Abran się zaśmiał.

- To nie zdrada. A przynajmniej mam nadzieję, że nie muszę obawiać się jej z twojej strony - powiedział, trącając mnie żartobliwie łokciem.

- Musieliście już wcześniej zostawiać ludzi na bezludnych wyspach?

- Dwaj faceci chcieli sami o wszystkim zdecydować. Zaczęło się od drobnych spraw: z kim mamy

handlować, gdzie łowić, do którego portu zawinąć. Ale potem to poszło dalej. Ingerowali w wydzielanie żywności i nafty, w zmiany kursu, a wszystko to bez zamiaru zwołania głosowań. W końcu postanowili się mnie pozbyć. Thomas dowiedział się o tym i powiadomił mnie. Wyszliśmy ich na wysepce w północnozachodniej części Gór Skalistych. Zostawiliśmy im trochę zapasów.

Gdy się nie odezwałam, Abran uśmiechnął się i dodał:

- Perspektywa takiej kary nie działa na każdego. Ale wydaje mi się, że na ciebie podziała.

Miałam nadzieję, że się nie myli, lecz nadal czułam skurcz w gardle.

Tego ranka Daniel rozstawił w kabinie przyrządy do nawigacji i obliczył nasze położenie: trzy tysiące kilometrów od Alahany, miasteczka w Andach. Chcieliśmy zawinąć do tamtejszego portu i dokonać wymiany handlowej w faktorii, zanim popłyniemy dalej na południe.

W odległości półtora kilometra z wody wyskoczyła płaszczka. Czasami widuje się karankсы - znane z tego, że lubią bardziej przejrzyste przybrzeżne wody - pływające z płaszczkami, ukrywające się pośród nich, aby łatwiej polować. Siedziałam na pokładzie z wiadrzem sardeli, które nadziewałam na haczyki. Zamierzałam spróbować złowić karankсы na

małe rybki i jaskrawe wabiki, a potem użyć trałowania dennego, by pozyskać krewetki i dorsze, zanim znajdziemy się zbyt blisko wybrzeża. Downrigger „Sedny”, zamocowany w pobliżu steru statku, był znacznie większy i mocniejszy niż mój dawny na „Ptaku”, ogromnie chciałam go wypróbować. Może jeśli uda mi się połów, będę później mogła znów poruszyć w rozmowie z Abranem kwestię Valley.

Abran przeszedł obok i pomachał do mnie, wchodząc do kabiny. Ten jego uroczy, znamionujący pewność siebie gest znów przypomniał mi Jacoba. Sądziłam, że podobieństwo Abrana do Jacoba odstręczy mnie od niego, lecz tak się nie stało. Przeciwnie, sprawiło, że wydawał mi się dziwnie bliski, znajomy. Jakbyśmy znali się już od dłuższego czasu. Abran zwykł żartować z tego, że spędzam wiele godzin, pracując na pokładzie i tylko z rzadka pozwalam sobie na przerwy, a ja kpiłam, że wygląda zawsze na zapracowanego, lecz w gruncie rzeczy niewiele robi. Wtedy on chichotał, wyciągał rękę i popychał mnie delikatnie. Ilekroć z nim rozmawiałam, ogarniało mnie poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Pearl obserwowała Jessę z Wayne'em, którzy w pobliżu grotmasztu przeciągali linę przez nowy bloczek i talię.

- To nie tak powinno się robić - oznajmiła. - Oni się na tym nie znają.

Jessa i Wayne popatrzyli na nas gniewnie.

- Czy mogę pójść powiedzieć im, jak należy to zrobić? - zapytała mnie Pearl.

- Nie - odparłam.

Jessa podeszła do nas, wskazując na węże owinięte wokół nadgarstków Pearl.

- Czy ona musi je nosić? - spytała.

- Nie widzę w tym żadnego problemu - powiedziałam.

Pearl spiorunowała Jessę wzrokiem i pogładziła palcem jednego z węży.

- To niehigieniczne. One są martwe - rzekła Jessa.

- Charlie nie jest - zaprzeczyła Pearl.

Charlie był węzem, którego trzymała żywego w glinianym dzbanku w kwaterze pod pokładem.

- Węże nie psują się tak szybko jak ryby, po zabiciu można je trzymać nawet kilka godzin, jeśli od razu nie ściągnie się skóry - oznajmiłam.

Z kabiny wyszła Marjan i ruszyła ku nam.

- Ich mięso zgnije. Potrzebujemy go. To złamanie zasad - powiedziała Jessa.

- Czy to mięso jest zepsute? - zapytała mnie Marjan.

- Nie. Nie pozwolę, żeby się zepsuło. Ona po prostu lubi łapać węże i bawić się z nimi. Wkrótce je

uwędzę, gdy skończę z tymi wabikami.

- To nieefektywne - sprzeciwiła się Jessa.

Marjan uniosła rękę.

- Nie musi takie być. Dziewczynka lubi te węże, a ich mięso nie jest zepsute. Zatem wszystko w porządku.

Wydawało się, że Jessa zamierza dalej się spierać, ale tylko przewróciła oczami i odwróciła się na pięcie. Marjan uśmiechnęła się lekko, wzruszając ramionami.

- Czy mogę w czymś ci pomóc? - spytała mnie. - Już skończyłam tkać.

Skinęłam głową.

- Nadziej te ryby na haczyki w pobliżu ogonów, żeby, kiedy będziemy ciągnęli je w wodzie za statkiem, wyglądały, jakby płynęły.

- To cudownie mieć dziecko na pokładzie. Ona przypomina mi moją córkę - wyznała Marjan, spoglądając na Pearl, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok mnie, ubrana w płaskie skórzane sandały, luźną bawełnianą tunikę i spodnie. - Jest taka pełna życia.

- I wojownicza - dorzuciłam.

Marjan dotknęła swojego naszyjnika, pogładziła palcem jeden z małych drewnianych koralików. Widywałam podobne u innych ludzi. Kiedy tracili kogoś bliskiego, dodawali nowy koralik. Naszyjnik

Marjan składał się z trzech koralików.

Spostrzegła, że się przyglądam.

- Miała siedem lat, gdy powódź dotarła do Arkansas - powiedziała.

Pospiesznie odwróciłam wzrok. Właściwie nie chciałam usłyszeć jej opowieści; nie byłam pewna, jak bardzo chcę się zbliżyć do tych ludzi. Obawiałam się ich. Przede wszystkim obawiałam się przyjaznego nastawienia. Budziło we mnie coś, czego nie potrafiłam określić - coś, co wydawało się twarde, a zarazem delikatne, niczym jakaś żyjąca pod ziemią istota, o której zapomniałam. Coś, co zmarniało bez tlenu i pielęgnowania, ale przetrwało.

- To się stało, gdy zmierzaliśmy na zachód, w stronę Gór Skalistych. Ona... ona poniosła śmierć w trakcie tej podróży. Woda wyrwała mi ją z objęć. Potem gwałtowna fala powodziowa rozdzieliła mnie i Behira z jego ojcem i bratem.

Marjan umilkła. Odniosłam wrażenie, że w duchu wciąż na nowo powtarza sobie tę historię, bezskutecznie usiłując odnaleźć jakiś sens w tym, co się zdarzyło.

- Oni już nie wypłynęli na powierzchnię. Ja... nie sądzę, by przeżyli. Gdybyśmy byli wtedy z nimi... - Potrząsnęła głową. Twarz miała ściągniętą bolesnym grymasem, ale oczy suche, bez łez. - Być może to by niczego nie zmieniło.

- Bardzo mi przykro - wyszeptałam.

Marjan w zamyśleniu pokiwała głową i posłała mi nikły uśmiech, jakby chciała mnie pocieszyć.

- Uważaj na córeczkę - powiedziała.

- Będę uważała - odrzekłam ze ściśniętym sercem.

Zamilkłyśmy, z głowami pochylonymi nad haczykami; małe rybki wiły się w naszych palcach. Abran wyszedł z kabiny. Obie popatrzyłyśmy na niego. Uśmiechnął się do nas i wspiął się na maszt, żeby ustawić żagiel. Nadal miał na szyi bandanę.

- Lubi cię - zauważyła Marjan.

- Wydaje się, że on lubi wszystkich - powiedziałam.

- Hm, niezupełnie. Ale jest dobrym kapitanem. Traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie. Tę nową społeczność. Już od czterech lat obmyśla ją i przygotowuje. Powoli gromadzi środki, kompletuje dobrą załogę. Czasami jednak... przygniata go presja odpowiedzialności. Cały ten projekt tak łatwo może runąć.

Przyjrzała mi się kątem oka, jakby mnie oceniała, próbowała rozstrzygnąć, czy będę słabym ogniwem tej wspólnoty.

Skończyłyśmy nadziewać sardele na haczyki i przeciągnęłyśmy żyłki przez oczka wędzisk, a potem zarzuciłyśmy wędki za burtę statku.

- Abran zna inny możliwy sposób biegu spraw - powiedziała Marjan. - Inny sposób życia. To go

napędza.

Miałam ochotę oświadczyć, że ja też coś o tym wiem. Wiem, jak żyć w pewien sposób i jak potem żyć bez niego.

ROZDZIAŁ 18

Podczas śniadania do kabiny wpadł Abran.

- W porządku, oni są już w odległości paruset metrów. Czy mamy przygotowane kosze?

Marjan wskazała kosze z rybami stojące rzędem przy ścianie w pobliżu zasłony kuchennej. Abran klasnął w dłonie.

- Dobrze, wkrótce pierwsza wymiana. Tamci ludzie są świetni, powinniśmy dostać trochę wartościowych rzeczy.

Wcześniej, o świcie, Abran dostrzegł zaprzyjaźniony statek i sygnalizacją flagą wezwał go do dokonania transakcji handlowej. Przed śniadaniem uganiałam się po pokładzie - oglądałam ryby, które złowiłam, wędziłam je i ładowałam do koszy. Ludzie na tamtym statku byli przyjaciółmi Abrana, już wielokrotnie z nimi handlował, a teraz liczył nie tylko na korzystną cenę za ryby, lecz również na usłyszenie wieści z południa.

- Ogromnie się cieszę, że znów ich zobaczę - rzekł do mnie. - Słyszałem pogłoski, że zostali zaatakowani przez bandę piratów.

Gdy podpłynęli wystarczająco blisko, rzuciliśmy im

linę, nasze statki przycumowały do siebie. Ich niemal dorównywał wielkością „Sednie”, ale wyglądał na bardziej zniszczony i zaniedbany. Miał dziurawe żagle, w części takielunku brakowało lin i bloczków, a drewno kadłuba było suche, popękane.

We troje z Abranem i Wayne'em spuściliśmy na wodę kanu i powiosłowaliśmy do tamtego statku. Obaj mężczyźni wspięli się na pokład po sznurowej drabince, którą nam spuszczone, a ja pozostałam w łódce z koszami ryb. Wayne zrzucił linę z burty statku, żeby móc wciągnąć kosze. Kiedy wszystkie znalazły się na pokładzie, ja też weszłam po drabince.

Gdy przełaziłam przez nadburcie, uderzyły we mnie odór zepsutych ryb, smród kału i woń zgnilizny. Zerknęłam na Abrana, zobaczyłam, że jest zaszokowany. Pokuśtykał ku nam niski, korpulentny starszy mężczyzna z białymi włosami i bladą skórą, pokrytą czerwonymi plamami poparzeń od słońca, ubrany w wytartą bluzę. Miałam wrażenie, że to statek widmo, zastanawiałam się, czy na pokładzie jest ktoś jeszcze.

- Witaj, Robercie - rzekł Abran, ściskając dłoń mężczyzny. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Zbyt dawno - powiedział tamten wysokim, piskliwym głosem przypominającym rzenie konia.

- Przywieźliśmy ryby na wymianę - oznajmił Abran, wskazując dumnym gestem kosze.

- Wspaniale - orzekł Robert, przyglądając się rybom. - Od wielu dni nic nie jadłem.

Zesztywniałam z napięcia. On niewątpliwie kłamał. Nawet Abran przestał być tak wylewny. Przyjrzał się uważnie swemu staremu przyjacielowi i jego czoło przecięła pionowa zmarszczka.

- A ty co masz na wymianę? - zapytał, rozglądając się po statku.

- Niestety nic - odparł Robert.

- Ale przecież zasygnalizowałeś gotowość dokonania transakcji - rzekł Abran.

Istotnie, kiedy wciągnęliśmy na maszt flagę oznaczającą wymianę handlową - dwie żółte dłonie na niebieskim tle - tamci w odpowiedzi wywiesili taką samą.

- Nie powinniście byli nas przyzywać, skoro nie macie niczego do zaoferowania - powiedział Wayne.

Robert tylko się uśmiechnął i milczał. Na całym statku było zbyt cicho. Zapragnęłam zbiec po drabinie z powrotem do kanu.

- Mary! - zawołał Robert w stronę kabiny w nadbudówce rufowej.

Z kabiny wyszła kobieta. Na jej widok stłumiłam jęk. Wyłupiono jej oczy, w oczodołach miała białą pomarszczoną tkanę bliznowatą z siecią naczynek krwionośnych przypominających wąskie czerwone rzeki. Stała w drzwiach kabiny, twarzą do nas, jakby

na pokaz. Była tęga; od dawna nie widziałam nikogo tak dobrze odżywnionego.

Abran cofnął się o krok, niemal się potknął. Twarz miał ściągniętą grymasem szoku.

- Mary... - wyszeptał. Popatrzył na Roberta. - Kto to zrobił?

- Ostatnio nie wiecie się nam zbyt dobrze, mój przyjacielu - oświadczył Robert. Splótł dłonie przed sobą, sprawiał wrażenie osobliwie zadowolonego. - Polegamy teraz na miłosierdziu innych ludzi - rzekł i rozłożył szeroko ramiona.

Abran przyjrzał mu się bacznie.

- Co się z tobą stało? Zachowujesz się inaczej niż zwykle.

Abran miał napięte mięśnie, wyglądał, jakby był gotowy w każdej chwili rzucić się na przyjaciela. Serce waliło mi w piersi jak młot.

Robert wzruszył ramionami.

- Nie radziliśmy sobie sami. Ryb jest zbyt mało.

Ślepa kobieta ruszyła ku nam, a za jej plecami z kabiny wyszedł mężczyzna z obrzynem w rękach. Abran cofnął się jeszcze o krok, rozłożył ręce i popchnął za siebie Wayne'a i mnie.

- Robercie, nie rób tego. Reszta mojej załogi czeka w gotowości - powiedział.

Wayne, odsunąwszy rękę Abrana, wyciągnął pistolet z kabury.

- Wayne, uspokój się!

- Myślę, że wszyscy wiemy, co się teraz stanie - rzekł Robert. - Znaleźliście się już na pokładzie mojego statku. Jak wasza załoga zdoła ściągnąć was z powrotem, naszpikowanych kulami?

Wayne odbezpieczył pistolet, wycelował, a Abran zaklął i pchnął mu rękę w dół.

- Nie chcemy was skrzywdzić. Potrzebujemy tylko coś do jedzenia - oznajmił Robert z uśmiechem, klepiąc się po brzuchu.

Abran powiódł szybko spojrzeniem po statku, szukając jakiejś drogi ucieczki. Dłonie mi zlodowaciały i zrobiły się lepkie od potu. Twarz Abrana przybrała gniewny wyraz; ściągnął brwi, zacisnął szczęki. Pomyślałam, że jest porywczy, postąpi, jak zechce. Mówił wciąż o stabilności, ponieważ nie miał jej w sobie i musiał się nią otaczać. Odniosłam wrażenie, że świat mi się wymyka, że muszę wyciągnąć rękę i go pochwycić.

- Złowię inne ryby - szepnęłam do Abrana. - Złowię dla nas jeszcze więcej.

Wzrok miał wciąż utkwiony w Robercie, wydawało się, że mnie nie usłyszał. W krótkiej, pełnej napięcia chwili, gdy słońce paliło nam plecy, a woda mieniła się od jego blasku, pomyślałam, że zaatakuje Roberta; był spięty, jakby miał na niego skoczyć. Ale ta chwila minęła, a Abran uniósł rękę.

- Dobrze. Dobrze - wycedził przez zęby.
- Abran... - zaczął Wayne.
- Do drabinki! Już! - ryknął Abran, odwracając się ku niej.

Oczy Wayne'a się zwęziły. Z pistoletem w dłoni przelazł przez nadburcie na drabinkę.

Robert znowu się uśmiechnął, pochylił się, wyjął z kosza rybę i zważył w rękach. Wezbrała we mnie furia, ale cofnęłam się i usiłowałam pociągnąć Abrana na drabinkę.

- Nadal zamierzacie żeglować na południe? - zapytał Robert, gdy Abran przerzucił nogę nad nadburciem.

Abran rzucił mu gniewne spojrzenie.

- W Andach nie zostały żadne dobre tereny - oznajmił Robert. - To mój prezent dla ciebie, stary przyjacielu. Okruch wiedzy. Nie płyńcie na południe. Nie da się zliczyć, ilu ludzi pożeglowało tam w poszukiwaniu miejsca do osiedlenia się. Połowa ich załóg umierała po drodze, a pozostali przybywali do przepelnionych miasteczek albo skalistych brzegów, do których nie mogli nawet przybić. Będziecie musieli popłynąć gdzie indziej. - Na twarzy Roberta pojawił się uśmiech przypominający raczej złośliwy grymas. - Nie wiem tylko dokąd.

ROZDZIAŁ 19

Gdy wróciliśmy na „Sednę”, Wayne zaczął się pieklić, mówić o zemście, o zbombardowaniu i zatopieniu tamtego statku. Abran zniknął w swojej kwaterze, pozostawiając Marjan zadanie uspokojenia Wayne’a.

- To tylko parę koszy ryb - rzekła do niego. - Najlepiej, jeśli po prostu odpłyniemy. Gdy znów się na nich natkniemy, możesz być pewien, że poczęstujemy ich czymś innym niż rybami.

Pomimo tych słów widziałam, że jest wściekła. Mówiła ostrym głosem, oczy się jej zwężyły i gwałtownie tarła w palcach paciorki naszyjnika.

Przez następne dwa tygodnie wszyscy byliśmy zajęci pracą na statku: naprawą pękniętego masztu, połowem ryb, reperowaniem sieci i żegluga na południe. Gdy zapytałam Abrana, czy nie powinniśmy rozważyć uwagi Roberta o sytuacji na południu, pokręciwszy głową, odwrócił się ode mnie.

W trakcie pracy odwiedzałyśmy z Pearl innych członków załogi, ale Daniel trzymał się na uboczu. Rozmawiał tylko z moją córką o mapach i tabelach, uczył ją posługiwania się sekstantem i kompasem. Kiedyś weszłam do kabiny po dodatkowy szpagat.

Stałam przy półkach, szperając w skrzynkach. Daniel pojawił się za mną, położył dłonie na moich ramionach i zapytał, jak się czuję. Gdy odwróciłam się do niego, ogarnęło mnie dziwne zakłopotanie, natychmiast się odsunęłam.

- Dobrze - odpowiedziałam. - Ale nie mogę uwierzyć, że nadal płyniemy na południe po tym, co się...

- On wciąż uważa to za najlepsze wyjście. Jest kapitanem.

Skinąwszy głową, wróciłam na pokład sprawdzić żyłki wędkarskie. Kilka godzin później złowiłyśmy z Pearl dwa karankсы, a kiedy zarzuciłyśmy sieć do trałowania dennego, zagarnęłyśmy dziesięć kilogramów krewetek, kilka dorszy i skorpen. Wsypałyśmy połów do wiader i koszy, a Marjan z Thomasem pomogli nam rozstawić trójnog do wędzenia.

- Wiedziałem, że będziemy radzi z tego, że się do nas przyłączyłaś - powiedział Abran, przyglądając się rybom.

Wyciągnął rękę, dotknął mojego ramienia i uśmiechnął się.

Odpowiedziałam mu uśmiechem. Nie spodziewałam się, że tak szybko spełnię obietnicę, ale byłam za to wdzięczna losowi. Mogłam teraz wykorzystać swoją mocną pozycję we wspólnocie.

Często przyłapywałam Abrana na przyglądaniu się Pearl i mnie, gdy łowiłyśmy. Czułam na plecach jego wzrok niczym dotyk słońca. Kiedy się odwracałam, by na niego spojrzeć, odwracał głowę. Wciągając kołowrotkiem żyłki albo oskrobując ryby, myślałam o brzmieniu jego głosu o poranku, lekko schrypniętym od snu. Przy stole podczas śniadań bezwiednie przyglądałam się dłoniom Abrana. Wówczas kierowałam uwagę z powrotem na opowieści Pearl o starych mapach świata sprzed powodzi, które znalazła.

Nocami, kiedy nie mogłam usnąć, zastanawiałam się, jak zareagowałby Abran, gdybym zapukała do jego drzwi. Słyszałam nad nami na górnym łóżku chrapanie Daniela, jego ciężki oddech. We śnie prawie się nie poruszał, jakby jego umysł wyparowywał z ciała, pozostawiając go pustym, otępiałym i nieruchomym. Ja w przeciwieństwie do niego rzucałam się i przewracałam w łóżku, moje sny wydobywały się z nieświadomości, sprawiając, że młóciłam rękami i nogami, zaciskałam zęby, a w końcu budziłam się, by nasłuchiwać odgłosów wydawanych przez sen przez innych ludzi.

Tego wieczoru cała załoga była w dobrym nastroju z powodu udanego połowu. Po kolacji Wayne wyjął zrobioną domowym sposobem gitarę: drewniane pudło z otworem pośrodku i mocno naciągniętymi

nad nim strunami. Wayne zagrał kilka starych irlandzkich ballad. Abran wyjął z magazynu butelkę bimbru, którą zaczęto podawać wokół stołu. Nawet Marjan, której prawie nigdy nie widziało się zajętej czymkolwiek innym niż pracą, porzuciła wyplatanie słomianego kapelusza, by posłuchać gry Wayne'a, i śmiała się z prób Pearl zatańczenia gigi. Statek skrzypiał i jęczał, pchany wiatrem na prawą burzę, podłoga przechylała się lekko, lampa naftowa kołysała się na haku. Thomas z Danielem pograżyli się w rozmowie, a Pearl stała przed Wayne'em i klaskała po każdym utworze.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nasz statek nazywa się „Sedna”? - zagadnął ją Behir.

Pearl kiwnęła głową.

- Ona nie powinna słuchać tej historii. Jest jeszcze dzieckiem. - Abran pociągnął kolejny łyk whisky.

Mówił trochę bełkotliwie i siedział rozparty niedbale na krześle. Dotąd nie widziałam go tak rozluźnionego.

Wayne odłożywszy gitarę na stół, zachichotał.

- Nie ma już dzieci. Poza tym ta historia jest właśnie o dziecku.

Powiedział to niemal z groźbą w głosie. Wyczuwałam tę groźbę już wcześniej w portowych tawernach czy sklepach. Kose spojrzenia i zaciśnięte usta ludzi patrzących na Pearl. Widok dzieci był

zarówno przypomnieniem utraty, jak też swoistym jej zaprzeczeniem, kierował myśli ku życiu przed powodzią, kiedy wszyscy mogliśmy być trochę bardziej delikatni i wrażliwi. W tamtych czasach dzieci oznaczały przyszłość, ale czy obecnie w ogóle pragnęliśmy jeszcze przyszłości? Już samo to pytanie było kłopotliwą zdradą naszych ciał i historii, niepowstrzymanego marszu naprzód przez czas. Kim byliśmy bez ludzi, którzy przyjdą po nas?

Odwróciłam się od Wayne'a i spytałam Abrana:

- Kto nazwał statek „Sedna”?

- Thomas wybrał tę nazwę - odpowiedział. - On jest ze mną najdłużej, pomógł mi zapoczątkować cały ten projekt.

Thomas uśmiechnął się do mnie.

- Zważywszy na okoliczności, chcieliśmy mieć Matkę Morza po swojej stronie - rzekł z rozbawieniem.

Pearl wgramoliła się na krzesło obok Behira.

- Żyła sobie kiedyś olbrzymia dziewczynka - zaczął opowieść - która była córką boga. Ale z powodu ogromnego wzrostu stale dokuczał jej głód, tak bardzo, że zaatakowała swoich rodziców, by ich zjeść. Chcąc się obronić, musieli się jej pozbyć. Ojciec wziął córkę na kajak i powiedział, że zawiezie ją na odległą wyspę. Ale gdy znaleźli się na pełnym oceanie, wyrzucił ją za burtę, żeby utonęła.

Dziewczynka uczepiła się boku kajaka, błagając o życie, lecz ojciec odciął jej palce. Opadła na dno morza, odtąd włada potworami mieszkającymi w głębinach. A palce zmieniły się w fokę, morsa i wieloryby. Sedna jest mściwą morską boginią, więc jeśli jej nie zadowolisz, doświadczysz jej gniewu w postaci burzliwych fal, nie wypuści ryb, które mogłabyś złowić.

Behir uniósł ręce i złowrogo poruszał palcami, a Pearl zachichotała.

- Jak wygląda? - zapytała.

- Ma węże zamiast włosów i niebieską skórę - odpowiedział.

- Chcę tak wyglądać. Co się stało z jej rodzicami?

- Nie wiem na pewno. Opowieść o tym nie wspomina.

- Myślę, że oni też skończyli w morzu - oświadczyła Pearl.

Marjan zaczęła sprzątać talerze ze stołu. W powietrzu nadal unosił się gęsty zapach warzyw i ryb. Odkąd dołączyłyśmy do załogi „Sedny”, Pearl przybrała na wadze, ale zmieniła się także pod innymi względami. Stała się mniej ponura i nieufna, bardziej otwarta w kontaktach z ludźmi, wreszcie beztroska.

Po zachodzie słońca Thomas, Jessa, Behir i Wayne opuścili kabinę, żeby zająć się wieczornymi

obowiązkami, a Daniel zaoferował się, że zaprowadzi Pearl na dół do kwatery i położy ją spać. Abran schował niezjedzone ryby, a my z Marjan pozmywałyśmy i wytarłyśmy naczynia. Milczeliśmy, napawając się ciszą po gwarze kolacji.

Gdy skończyłyśmy zmywanie, ruszyłyśmy obie do drzwi.

- Myro - odezwał się Abran. - Czy możesz jeszcze chwilę zostać?

Usiadłam obok niego.

- Chciałem się dowiedzieć, jak ci idzie - rzekł.

Odstawił na stół kubek z bimbrem, zrobiony z matowobrazowej cynowej puszki, i zaczerwienił się.

Odpowiedziałam, że dobrze, i czekałam na dalszy ciąg. Abran sprawiał wrażenie, że w istocie chodzi mu o coś innego.

- Czy mogę cię zapytać... o Daniela... Jak go poznałaś?

- Uratowałam go po sztormie.

- Ufasz mu?

- A dlaczego miałabym nie ufać?

Abran wzruszył ramionami.

- Coś mnie w nim niepokoi. Spędza tyle czasu, ślęcząc nad mapami i notatkami.

- Jest pracowity i sumienny - wstawiłam się za Danielem.

Abran skinął głową, zamilkł na chwilę, po czym

powiedział:

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana tym, że nie płyniemy tam, dokąd chciałaś.

- Nic nie szkodzi - rzuciłam szybko. - Po prostu słyszałam korzystne opinie o tym miejscu. Czy sądzisz, że Robert mówił prawdę o sytuacji na południu?

- Całkiem możliwe - odparł Abran, trąc dłonią twarz.

Miał wygląd skrzywdzonego chłopca, zagubionego i samotnego, w jego oszołomionym wzroku odbijało się zdumienie tym, co zaszło na statku Roberta.

- Czy to on wyłupił oczy tamtej kobiecie? - zapytałam.

- Nie. Mary jest jego siostrzenicą. Pogłoski, które do mnie dotarły, okazały się prawdziwe. Widocznie zostali napadnięci przez piratów, którzy oznajmili, że oszczędzą ich, jeśli staną się statkiem żebraczym. Piraci torturują członków załóg, dopóki kapitanowie nie przystaną na ich warunki. W przeciwnym razie Robert by nie uległ. - Abran pokręcił głową. - Nie Robert, jakiego znałem.

- Słyszałam tylko o statkach reprodukcyjnych - oświadczyłam.

- Banda Czarnej Lilii dopiero od niedawna zaczęła stosować fortel statków żebraczych, a inne pirackie szajki poszły w jej ślady. Statki żebracze zachowują

się jak kupieckie, udają, że chcą przeprowadzić transakcję wymienną. Kiedy już zrabują ci towary, dostarczają je bandzie, której podlegają, przy czym wolno im zachować sporą część dla siebie.

Wyczuwałam, że zmiana, która zaszła w Robercie, zraniła Abrana mocniej, niż okazywał. Utrata przyjaciół z powodu ich zdrady jest najcięższa do zniesienia. Wyciągnęłam rękę i pocieszająco ścisnęłam mu dłoń.

Podniósł wzrok na mnie.

- Właśnie dlatego muszę zrealizować ten projekt. Przynależę, że dokonam czegoś dobrego.

- Komu przynależę? - spytałam.

- Mojemu bratu - odpowiedział i pociągnął kolejny łyk bimbrowy. - Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Chcę ci opowiedzieć o wspólnocie, którą budujemy.

Opisał mi demokratyczną społeczność, w której każdy ma prawo głosu i pracę. W której dzieci są bezpieczne, a starsi ludzie mają zapewnioną opiekę. Która handluje tylko z szanowanymi kupcami, a jej granice są chronione przez niewielkie oddziały militarne. Nie rozumiałam, co jest takiego nowego w tej idei, dlaczego miałyby okazać się mniej utopijna niż inne. Nawet gdyby udało się stworzyć tego rodzaju raj na ziemi, trzeba go będzie nieustannie bronić przed napastnikami zamierzającymi dokonać

podboju. Przecież ludzie zawsze próbowali zbudować sobie jakąś bezpieczną przystań, ale najczęściej idea ta okazywała się mrzonką bardziej nieuchwytną niż ryby z morskich głębin.

- Wszyscy potrzebujemy siebie nawzajem - zakończył Abran. - Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

Drgnął i spojrzał na mnie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z mojej obecności.

- Bo ty... - wymamrotał. - Myślę, że ty to rozumiesz. Rozumiesz, jak bardzo wszystko jest kruche i ulotne. Zdałem sobie z tego sprawę na statku Roberta, gdy zobaczyłem, jak bardzo byłaś przestraszona, kiedy powstrzymałaś nas przed podjęciem walki. Niektórzy ludzie.... - Zajrzał do kubka z bimbrem i potrząsnął nim, żeby unicestwić swoje odbicie. - Niektórzy ludzie zapomnieli, jak odczuwać lęk, gdyż zbyt wiele stracili. Ja nigdy nie zechcę przestać się bać.

Popatrzyliśmy na siebie. Wiedziałałam dokładnie, co miał na myśli.

- Cieszę się, że cię spotkałam - powiedziałam.

- Ja też - odrzekł.

Sięgnął przez stół i przykrył moją dłoń swoją. Odwróciłam wzrok, a on cofnął rękę. Dopił bimber, odsunął cynowy kubek. Wstał, zdjął z haka lampę naftową i ruszył do drzwi. W progu odwrócił się,

spojrzał na mnie; lampa rzucała na jego twarz migotliwe plamy światła i cienia.

- Co się stało z ojcem Pearl? - zapytał.

- Nie żyje.

- Przykro mi. To musiało być dla ciebie ciężkie.

Uśmiechnęłam się powściągliwie i skinęłam głową. Nie aż tak bardzo, pomyślałam.

- Przychodź do mnie. O każdej porze. Z każdą sprawą - powiedział, po czym wyszedł, zostawiając mnie samą w ciemnej kabinie.

Siedziałam w nocnym mroku, kołysana kolejnymi falami, i przysłuchiwałam się skrzypieniu statku. Znów przypomniałam sobie urazę malującą się na twarzy Abrana. Czy byłam w czymkolwiek lepsza od jego zdradzieckiego przyjaciela?

Czyż tylko nie udawałam przyjaźni, podczas gdy w rzeczywistości oszukiwałam Abrana przez to, że zamierzałam przekonać go do pożeglowania do Valley, nie mówiąc mu całej prawdy?

Zamknęłam oczy, a potem znów je otworzyłam. Zalewała mnie ciemność. Pomyślałam o Marjan, która straciła męża i dwoje dzieci. Wiedziałam, że jestem zbyt zachłanna. Wciąż miałam jedną córkę, byłam równie zdrowa i pełna energii jak w dniu, w którym się urodziła. Czy to nie wystarczy?

Lecz nie chodziło tu o Pearl, tylko o mnie. Ta podróż ją zmieniła, ale dotyczyła bardziej mnie niż

Pearl. Miała dowieść, że cokolwiek Jacob myślał o mnie, gdy odszedł, mylił się. Może sądził, że nie poradzę sobie w tym świecie. Że nie zdołam w niczym pomóc jemu i Row. Że mnie nie potrzebują.

Z ciemności wypłynęły wspomnienia o Row. Widok jej krągłych policzków. To, jak rankami po zjedzeniu owsianki pachniała cynamonem. Potem wyobraziłam sobie wspomnienia o niej, jakich nie miałam, ale pragnęłam mieć. Jak w lecie czyta książkę przy jasnym świetle z okna padającym na stronicę. Obrazy możliwych chwil, które zgasną jak zdmuchnięty płomień świecy, jeśli nie uratuję córki. Wciąż odsuwałam od siebie inny obraz, czający się na skraju umysłu: widok Row na pokładzie statku reprodukcyjnego, jej drobnej postaci otoczonej przez grupę mężczyzn.

ROZDZIAŁ 20

Tej nocy poszłam do Abrana z dwóch powodów. Pragnęłam jego pieśczot. A także chciałam podjąć próbę przekonania go do zmiany kursu statku.

Stałam przed jego drzwiami. Z kwatery załogi dobiegały chrapania i szelesty. Wahałam się, czy mam zapukać, wtedy wszyscy dowiedzą się o mojej wizycie. Ale nie mogłam wejść bez pukania. Tak więc przyłożyłam dłoń do drzwi i lekko zabębniłam palcami.

Gdy otworzył, westchnęłam cicho, zaskoczona tym, że mnie usłyszał. Był tylko w spodniach, miał rozczochrane włosy. W ręku trzymał świecę, która spowijała nas ciepłym blaskiem.

- Czy mogę wejść? - szepnęłam.

- Oczywiście - odrzekł.

Szerzej otworzył drzwi i zerknął za mnie, by zobaczyć, czy jestem sama.

Gdy znalazłam się w jego kajucie, uświadomiłam sobie, że nie wiem, co mam powiedzieć czy zrobić. Poczułam się niepewna siebie, zagubiona, nie wiedziałam, jak uczynić następny krok. Stałam oniemiała, rozglądając się po wnętrzu oświetlonym

słabym światłem kilku świec. Czułam nikłe zapachy tytoniu fajkowego, nieupranego płótna i wilgotnego drewna. Na stole leżało drewniane pudełko odwrócone denkiem do góry, a pod ścianami piętrzyły się ponadmetrowe sterty książek. Kilka tomów leżało rozrzuconych na kapie łóżka.

- Czytałeś? - spytałam.

Uśmiechnął się z poczuciem winy i wzruszył ramionami.

- Łamię zasady... - rzekł, wskazując palące się świece.

- Nikomu nie powiem - zapewniłam, uśmiechając się do niego. - Skąd masz wszystkie te książki?

- Gromadzę je już od lat. Obecnie trudniej je zdobyć niż zaraz po powodzi. Tak wiele spalono, by się ogrzać. Ale słyszałem, że w Andach powstała nowa biblioteka, więc widocznie ludzie znów je zachowują. To prawdziwe szczęście, mieć przy sobie książki.

- Istotnie - przyznałam, przyglądając się im i zastanawiając się, czy miał na myśli tę samą bibliotekę, o której powiedziała mi Beatrice, założoną przez Upadłych Opatów.

Jedynym miejscem do siedzenia było łóżko. Abran zachęcił mnie gestem ręki, żebym usiadła, a ja usłuchałam. Czułam na twarzy gorący rumieniec i nie wiedziałam, co zrobić z rękami.

- A więc - zagadnął, siadając obok - co cię sprowadza?

Nachylił się ku mnie, opierając się pięścią o materac, który ugiął się pod jego ciężarem, wskutek czego przechyliłam się ku Abranowi. Wyprostowałam się, żeby odzyskać równowagę i nie wpaść na niego.

Gwałtownie szukałam czegoś do powiedzenia, zaskoczyła mnie własna szczerość, gdy wyznałam:

- Czułam się samotna. Zapraǳnęłam znaleźć się tutaj, zobaczyć cię.

Postawił świecę na stole i odgarnął mi za ucho pasmo włosów.

- Cieszę się. Miło cię gościć.

Miałam na sobie naszyjnik Row z wyrzeźbionym żurawiem. Abran sięgnął ręką i dotknął wisiora spoczywającego między piersiami.

- Żuraw - rzekł cicho. - Podobno już wszystkie wyginęły. Wiatry nie są dla nich sprzyjające.

Przeczuwałam, że żurawie wciąż gdzieś żyją, w jakimś nieznanym nam miejscu. A przynajmniej pragnęłam w to wierzyć. Podniosłam wzrok na Abrana, a on rzucił mi tak intensywne spojrzenie, że ogarnęło mnie zmieszanie, krew odpłynęła z głowy, aż mi się w niej zakręciło.

Wstałam i przykucnęłam przed stertą książek, przesunęłam palcami po grzbietach. W młodości nie

lubiłam szkoły, ale uwielbiałam czytać. Miejscową szkołę zamknięto na dobre, kiedy miałam piętnaście lat, a wcześniej chodziłam do niej tylko sporadycznie. Gdy byłam trzynastolatką, zlikwidowano bibliotekę. Budynek pozostał otwarty, sypiali w nim migranci. Zaglądałam tam, przechadzałam się wzdłuż rzędów książek i zabierałam, ile zechciałam, niezliczone sterty tomów, które później napuchły, kiedy dom zalała woda. Gdy nocami leżałam bezsenne w „Ptaku” i czułam się samotna, tęskniłam do kartkowania stronic książek, do poczucia więzi z innym umysłem.

Milczeliśmy, a potem Abran zapytał:

- O czym myślisz?

Położył dłoń na moim ramieniu, nakłaniając mnie, bym wróciła na łóżko.

- Chciałabym, żeby Pearl mogła czytać więcej książek. I żeby mogła być gdzieś bezpieczna. W takim miejscu jak Valley.

Poczułam, że zeszywniał. Zdjął rękę z mojego ramienia.

- Nie chcę, żeby to był problem - oświadczył.

Odwróciłam się do Abrana w swobodnej, rozluźnionej postawie, uklękłam na podłodze, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, i popatrzyłam na niego błagalnie łagodnymi, dziecięco niewinnymi oczami.

- Nie będzie - zapewniłam cicho.

Twarz Abrana złagodniała i powiedział:

- Dobrze, opowiedz mi o tym Valley.

- To odosobnione miejsce, do którego trudno dotrzeć, więc nie jest narażone na zbyt wiele zagrożeń. Są tam bogactwa naturalne. Tereny o rzadkim zaludnieniu. Przy obecnej zwiększonej wilgotności roślinność pleni się bujnie. Ponieważ to miejsce leży w dolinie, jest naturalnie chronione przed sztormami i napaściami.

- Ale wątpię, by rosło tam wiele drzew. Na północy gleba jeszcze się do nich nie przystosowała. Z czego zbudowalibyśmy domy?

- Możemy wyszukać już na miejscu zachowane materiały.

- Czy do odbycia takiej podróży nie potrzebowalibyśmy więcej zapasów żywności, broni?

- Mogę złović dla nas więcej ryb, które wymienimy na niezbędne artykuły. Poza tym już jesteście bardzo dobrze wyekwipowani.

- Ale ta wyprawa mogłaby narazić wszystko, co stworzyłem.

- Jeżeli naprawdę chcesz zbudować tę społeczność, potrzebujesz odpowiedniego terenu. Inaczej nie minie nawet rok i wrócicie na wodę.

- Nie mogę podjąć takiego ryzyka - oświadczył.

Czułam, że mi się wymyka, jakby był muszlą ostrygi

zatrząskującą się przed moim spojrzeniem. Odwrócił ode mnie wzrok. Nagle wydał mi się bardzo zmęczony; znużenie wryło zmarszczki i bruzdy na jego twarzy.

Wstałam z kolan, usiadłam na łóżku obok Abrana i dotknęłam jego ramienia.

- Masz rację - szepnęłam. - To zbyt ryzykowne.

- Rzecz w tym, że... my nie szukamy po prostu ziemi, lecz odpowiedniej ziemi. Miałem nadzieję, że najlepszym wyborem będą Andy. Jest tam wiele miast i portów. Musimy osiedlić się w pobliżu jakiegoś miasteczka, żeby móc dokonywać transakcji handlowych, ale potrzebujemy też wystarczająco rozległego terenu, by uprawiać rolę, hodować żywy inwentarz, wycinać drzewa do budowy domów. Nie możemy osiąść gdziekolwiek, licząc na to, że jakoś przetrwamy.

Wiedziałam, że ma rację. Miasteczka i porty były często przeludnione, a ziemię wokół nich przekopano w poszukiwaniu wszelkich surowców i wyeksploatowano, pozostawiając ją jałową, nienadającą się do zamieszkania. Rzeki osuszono, aby nawodnić tereny uprawne w osadach, a drzewa wycięto i wymieniono w portach na ryby. Czasami też sama ziemia zdawała się niechętna podtrzymaniu życia: kamienisty grunt, na którym nic nie miało szansy wyrosnąć, albo moczary z zatęchłą wodą,

w których gnieździły się dziwaczne stworzenia.

- Znajdziemy teren, jakiego potrzebujemy - zapewniłam Abrana, zastanawiając się, jak mogłabym przekonać go do Valley.

Znów spojrzał na mnie. Brwi miał ściągnięte z zatroskania, w oczach niepokój.

- A co, jeśli nie zdołam tego dokonać?

Ujęłam jego twarz w dłonie.

- Zdołasz.

Pochylił się, przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Moje ciało rozluźniło się przy nim. Zaczęłam rozwiązywać bandanę na szyi Abrana, lecz mnie powstrzymał.

- Nie - wyszeptał.

- Wszystko dobrze - powiedziałam.

Puścił moje ręce, a ja rozwiązałam bandanę, wyczuwając na jego szyi pod materiałem bliznowatą tkaninę. Była wypuczona, różowa i pomarszczona, jak od paskudnego oparzenia. Wtuliłam twarz w szyję Abrana i pocałowałam bliznę.

Pociągnął mnie na łóżko, żebym położyła się przy nim. Oparłam dłonie na jego piersi i wyczułam łomotanie serca. Wsunął mi język do ust; robiłam się coraz bardziej wilgotna, ogarnął mnie żar pożądania. Odwróciłam głowę na bok, przyglądałam się migotliwym cieniom na ścianie, rzucanym przez płomień świecy. Ściągnęliśmy z siebie ubrania.

Wszystko wokół mnie wydawało się niewyraźne, nieruchome. Wygięłam szyję w łuk i zanurzyłam palce w gęstych, ciepłych włosach Abrana.

Wszedł we mnie, poczułam, że coś w moim ciele się skurczyło, a potem rozszerzyło, płynnie, coraz szybciej. Poruszaliśmy się oboje w zgodnym rytmie, nasze gorące oddechy się mieszały, nerwy wibrowały, miałam wrażenie, że się rozpadam, że chwieję się na skraju przepaści. Pchnięcia Abrana stawały się coraz mocniejsze, czułam je w sobie niczym przyspieszający puls jakiegoś zwierzęcia i wzniosłam się z ciemnych głębi, jakbym przebiła się przez powierzchnię wody w światło słońca, wystrzeliłam wysoko w górę nagłym, oślepiająco białym ognistym rozbłyskiem rozkoszy, która pozostawiła mnie senną, z opadającymi ciężko powiekami.

Abran wyszedł ze mnie tuż przed szczytowaniem, a ja ujęłam go za biodra i skierowałam w bok, żeby wytrysnął na narzutę. Leżeliśmy w ciszy, ja wtulona w niego, jego ramię wokół moich bioder. Mój umysł trzepotał niezdarnie niczym rozerwane skrzydło motyla, przywołując wspomnienia ludzi i miejsc. Row, gdy zjadła kredkę i z kącika jej ust spływała po brodzie niebieska strużka. Łąki, które przemierzaliśmy z dziadkiem w drodze do jeziora, jego ulubionego miejsca wędkowania. Zapach Daniela przypominający właśnie łąkę, woń drzew

obsypanych kwiatami i nigdy nieściananej trawy. Dotychczas nie zauważyłam, jak bardzo Daniel pachnie domem – uświadomiłam to sobie dopiero teraz, leżąc przy kimś innym. Czasami pragnęłam wtulić twarz w szyję Daniela i wdychać jego zapach.

Abran przesunął się i stoczył ze mnie. Ostatni raz przespałam się z mężczyzną, kiedy z Jacobem poczęliśmy Pearl. Pamiętałam, jak włosy spadły mu na twarz, gdy poruszał się nade mną. Lubiłam widok jego ramion pod tym kątem; lubiłam ciepło promieniujące z jego ciała.

Tamtego dnia chwilę wcześniej pokłóciliśmy się o to, że Row bawiła się na dworze bez opieki. Ta kłótnia sprowadziła nagłą, nieoczekiwaną zmysłową bliskość między nami.

W tamtym okresie już rzadziej ze sobą rozmawialiśmy. Jacob zaczął patrzeć na mnie inaczej niż dawniej. Wcześniej był zawsze tak bardzo mną zauroczony, ale wówczas, po narodzinach Row, po nasileniu się powodzi, kiedy przestaliśmy ze sobą rozmawiać, w jego wzroku pojawiły się dystans i rezerwa. Jakbyśmy byli dla siebie obcy. Ale nie, nawet nie to, tylko coś o wiele mniej tajemniczego. Jakbyśmy przez całe dotychczasowe wspólne życie poznali się nawzajem zaledwie powierzchownie.

Poczęcie Row było wspólną, świadomą decyzją. Sposobem zagrania na nosie świata. I nie byliśmy

w tym odosobnieniu. Podczas Stuletniej Powodzi liczba narodzin nie spadła, jak można by się spodziewać, lecz pozostała na stałym poziomie. Jedne pary, które wcześniej pragnęły mieć dzieci, rezygnowały z tego, uznając, że nie będą mogły zapewnić im bezpieczeństwa w sytuacji, gdy woda podchodziła pod progi ich domów. Inne zaś, którym dotąd niezbyt zależało na posiadaniu dzieci, nagle zaczęły wydawać je na świat co rok, niczym kwiaty na wiosnę, aby utwierdzić się w poczuciu swej płodności. Lecz bardzo wiele z tych dzieci umierało w pierwszych dwóch latach życia - na tyfus i cholere, które uśmiercały całe osady uchodźców leżące wzdłuż tras migracji.

Nawet jeżeli matka niepokoiła się tym, że zaszłam w ciążę, nigdy tego nie okazała. W tamtym czasie już zamknięto miejscowy szpital, w którym pracowałam jako pielęgniarka, jednak nadal prowadziłam darmową przychodnię mieszczącą się w opuszczonej hurtowni i zaczęłam gromadzić artykuły niezbędne do porodu domowego - sterylne rękawiczki, nożyczki, środki przeciwbólowe.

Poczęcie Pearl było dla nas zaskoczeniem. Używaliśmy starych prezerwatyw wyszperanych w miejscowej drogerii. Pewnego kwietniowego dnia zorientowałam się, że od ponad miesiąca nie miałam okresu. Wpadłam w panikę i poszłam do Jacoba,

a gdy mu o tym powiedziałam, tylko popatrzył na mnie, a potem odwrócił wzrok, z zaciśniętymi szczękami i rozpaczą w oczach.

Oddech Abrana stał się głębszy i wolniejszy. Szepnęłam:

- Powinnam już pójść.

- Zostań - rzekł zaspianym głosem, unosząc głowę.

- Inni nie powinni się dowiedzieć - powiedziałam.

Usiadłam w łóżku i sięgnęłam po koszulę. - Niech to zostanie między nami.

Popatrzył na mnie niepewnie, jakby próbował dociec mojego toku myślenia.

- Dobrze - odparł.

Poszłam na palcach ciemnym korytarzem, macając rękami wzdłuż ścian, aby odnaleźć drogę powrotną do kwatery załogi i do mojej koi. Kiedy wśliznęłam się pod koc, usłyszałam, że Daniel poruszył się na górnej pryczy. Miałam nadzieję, że przez cały czas spał. Zachowywaliśmy się z Abranem cicho. Nie mógł nas usłyszeć, powiedziałam sobie.

ROZDZIAŁ 21

Gdy obudziłam się nazajutrz rano, usłyszałam, jak Pearl mamrocze modlitwę świętej Brygidy, przeciągając centymetr po centymetrze brzeg swojej chusteczki między zaciśniętymi palcami. Przesuwała chustkę tak, jak niegdyś moja babka przesuwała paciorki różańca. Dziadek nauczył Pearl tej modlitwy w trakcie długich wieczorów, które spędzaliśmy w łodzi, gdy już wciągnęliśmy kołowrotkami żyłki wędek, a światło księżycy leżało ciężko na wodzie. Słowa modlitwy przynosiły Pearl pociechę. Przyłapywałam ją na jej odmawianiu, kiedy była sama i starała się być dzielna.

Obudziłyśmy się późno; wszyscy inni poszli już na górę na śniadanie.

Sięgnęłam ręką, potarłam ramię Pearl, przytuliłam ją do siebie i oparłam podbródek o czubek jej głowy.

- O co chodzi, skarbie? - zapytałam.

- Utoniemy - powiedziała i podjęła modlitwę: - „... przebili Twoje delikatne stopy i nie syci Twych cierpień...”

- Dlaczego tak myślisz? Pearl? - spytałam, potrząsając ją lekko za ramię.

Dziadek nie był szczególnie religijny, ale te modlitwy zostały mu przekazane przez wcześniejsze pokolenia. Często recytował je jowialnym głosem podczas pracy. Te surowe słowa wyrażające mroczne uczucia dziwnie brzmiały w jego ustach nienawykłych do srogości ani nabożności.

Nie lubiłam, gdy uczył Pearl na pamięć tych modlitw, uważałam, że są zbyt okrutne i niepokojące dla małego dziecka.

Mawiał, że starodawne modlitwy są opowieściami o cierpieniu. Opowieściami, które powinniśmy zapamiętać.

Nie byłam pewna, co ich zapamiętanie da Pearl, ale chciałam, żeby zachowała w pamięci część niego, więc pozwalałam mu uczyć ją tych modlitw.

- „...rozpięli Cię na krzyżu, a potem połamali Twoje członki...”

- Pearl - powiedziała stanowczo, wyrywając jej chusteczkę z rąk.

- Nie! - rzekła i z powrotem wyszarpnęła mi chustkę. - Wyrzucą nas za burtę. Utoniemy. Jak Jonasz. Ale nas nie połknie wieloryb. Połknie nas inny statek.

Stale miewała koszmarne sny o katastrofach morskich, o tym, że pójdzie na dno morza, uwięziona we wraku statku, a jej grobem stanie się ciemna lodowata toń.

- Nie, nie, Pearl. Czy przyśnił ci się kolejny zły sen? To się nie wydarzy naprawdę.

Jej twarz wykrzywiła się i poczerwieniała.

- Zostałyśmy przeklęte, a oni dopilnują, żeby ta klątwa się spełniła. Morze nie spocznie, póki nas nie pochłonie.

Przytuliłam Pearl do piersi i pogłaskałam po plecach.

- Nie, kochanie. Nie. To tylko te opowieści, które usłyszałaś.

Jej drobne ciało drżało. Zaciśnęłam powieki. Uderzyło mnie, zaciążyło mi w piersi jak twardy kamień to, że Pearl miała rację. Morze rzeczywiście w końcu pochłonie nas w jakiś sposób i znikniemy w jego głębi. Nie zdołam powstrzymać podnoszenia się jego poziomu; nie zdołam wiecznie utrzymać nas na powierzchni. Sprowadziłam Pearl na ten świat i w niektóre dni miałam nadzieję tylko na to, że mnie już nie będzie przy tym, gdy ona go opuści.

Uniosła twarz przy mojej piersi. Cichym, osobliwym, jakby ptasim głosem powiedziała:

- Nie chcę być sama. Pójdiesz tam ze mną.

- Pójdę z tobą - odrzekłam.

Miała zaróżowione policzki. Wetknęłam jej za ucho kosmyk włosów.

- Jestem tutaj. Zawsze będę - szepnęłam.

Poczułam, że się odprężyła i przestała tak mocno

ściskać w palcach chusteczkę.

Razem z Danielem oprawialiśmy ryby na pokładzie: rozcinaliśmy brzuchy solandrom, wywlekaliśmy flaki i wrzucaliśmy do wiadra. Było południe, słońce paliło nam plecy, pot wciąż zalewał oczy. Czułam tylko zapach rybich wnętrzności oraz soli – tej na moim ciele i tej w morzu. Miałam wrażenie, że nigdzie nie zdołam przed nim uciec.

Odrąbałam płetwę grzbietową i głowę, odsunęłam rybę na bok, sięgnęłam po następną.

Pearl w kabinie pomagała Marjan obierać ziemniaki. Widziałam przez otwarte drzwi jej głowę pochyloną nad robotą. Ziemniaki się nam kończyły. Musieliśmy wkrótce zawinąć do portu i wymienić złowione ryby na warzywa.

- Słyszałem, jak ubiegłej nocy poszłaś do jego kajuty – oznajmił cicho Daniel, odcinając głowę ryby z głuchym zgrzytem ostrza noża o drewno.

- No i? – rzuciłam.

Zaskoczył mnie widok smutku, melancholijnego żalu w jego szarych oczach. Pod tym spojrzeniem Daniela poczułam się obnażona.

- Czy powiedziałaś mu o wszystkim? O Row? – zapytał.

- Dobrze wiesz, że nie.

- Ale usiłowałaś go namówić na popłynięcie do

Valley, prawda?

- Poza tym on mi się podoba - oświadczyłam, mając nadzieję, że to zamknie Danielowi usta.

Przez jego twarz przemknął wyraz bólu. Daniel rozciął brzuch ryby, wyszarpnął flaki, cisnął je do wiadra. Dobiegły nas głosy Behira i Abrana gawędzących i śmiejących się z czegoś.

- Wiesz, o kim nie wspomniałaś ani razu przez cały ten czas? - powiedział Daniel.

- O kim?

- O Jacobie. Rozmawiałaś o Row, ale nigdy o nim.

Czekał, by zobaczyć moją reakcję na to imię. Wzruszyłam ramionami, ale przez kręgosłup przebiegł mi palący prąd, a w głowie zabręczało głucho. Na podstawie słów tamtego pirata na wybrzeżu przyjąłam, że Jacob umarł, niemniej wciąż wydawał mi się w osobliwy sposób żywy, wyczuwałam jego ulotną obecność, która przenikała mnie, gdziekolwiek przebywałam, jakby był jakimś nieuchwytnym duchem. Jeszcze zanim założyłam, że Jacob nie żyje, czasami życzyłam mu śmierci, ale też czasami pragnęłam mieć go znów przy sobie. Nie być sama, lecz z kimś dobrze mi znajomym.

- Czy kiedykolwiek zastanawiasz się, dlaczego cię porzucił? Czy spodziewałaś się, że tak postąpi? - zapytał Daniel.

- Nie - skłamałam głosem zimnym jak stal i mocniej

ścisnęłam rękojeść noża.

- Nie zamierzałem...

- Owszem, zamierzałeś - rzekłam ze ściśniętym gardłem. - Zamierzałeś zasugerować, że Jacob odszedł, ponieważ zachowywałam się okropnie, że powinnam była o tym wiedzieć. Zasugerować, że straciłam Row z własnej winy...

Głos mi ochryplł, więc urwałam, przycisnęłam język do podniebienia. Zamrugałam z furją, by pozbyć się łez z oczu.

Daniel wyciągnął ku mnie rękę. Odtrąciłam ją gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! - syknęłam.

- Zapytałem o to, ponieważ... - Potrząsnął głową i spuścił wzrok. - To musiało być straszne.

Umilkł. Przyjrzałam mu się nieufnie.

- Nie - odpowiedziałam. - Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby mnie zostawić. Tak, zastanawiałam się, dlaczego to zrobił. Jak przypuszczam, uznał, że będę kulą u nogi. Byłam w ciąży, to go irytowało.

- Nie chciałem... - zaczął Daniel.

- Owszem, chciałeś. Nie zmuszaj mnie do mówienia o nim. Nie bądź wścibski. Miałam o tobie lepsze mniemanie.

Daniel zaczerwienił się ze wstydu, zwiesił głowę i wbił wzrok w rybę przed sobą. Odpowiedziało mu

martwe spojrzenie jej oka, łuski błyszcząły w świetle słońca. Wytarł w szmatę zakrwawioną rękę.

- Masz rację - przyznał. - Przepraszam. Wiem, jak to jest... pragnąc odmienienia czegoś, co już się stało.

Przyjęłam te słowa ze sceptycyzmem, ale gdy uniósłszy głowę, spojrzał mi w oczy, zobaczyłam, że mówi szczerze. Wzrok miał czuły i spokojny, niczym wyciągniętą do mnie otwartą dłoń. Ujrzałam też żal, chociaż niepełny - taki, gdy ktoś odczuwa wyrzuty sumienia z powodu swojego postępowania, jednak nie na tyle dojmujące, by go zaprzestać.

Krótko skinęłam głową, po czym powróciłam do oprawiania leżących przede mną ryb. Czułam się krępująco rozgrzana i obnażona, jakbym długo szła nago i potrzebowała schronienia. W milczeniu podjęliśmy pracę.

Część mnie miała wrażenie, że już dobrze znam Daniela. A jednak zarazem wydawał mi się w pewnym sensie odległy, nieobecny. Z jakiegoś powodu trzymał się ode mnie na dystans. Jakbym za każdym razem, będąc w towarzystwie Daniela, widziała tylko drobną cząstkę niego. Przypominało to taniec, w którym podchodzi się do partnera o krok bliżej, a potem robi się krok do tyłu.

Te pytania, które mi zadał, już wcześniej sama sobie stawiałam. Podczas pierwszych lat na wodzie nieustannie rozmyślałam o tym, dlaczego Jacob mnie

porzucił i odebrał mi Row. Przez lata obwiniałam siebie, uważałam, że widocznie w jakiś sposób go odepchnęłam.

Jednak w ciągu tych lat w moim umyśle pojawił się odmienny obraz - pełen innych, drobnych porzuceń, jakich mąż dopuszczał się wobec mnie w trakcie naszego wspólnego życia. Kiedy Row była noworodkiem i godzinami płakała z powodu kolki, Jacob na kilka dni przeniósł się do przyjaciół, zostawił mnie samą, żebym się nią zajmowała. Nigdy nie wspomniał nawet słowem o dzieleniu się obowiązkami, wszystkie spadały zawsze na mnie. Był czarujący i zabawny, ale gdy pojawiały się trudności, po prostu znikał. Miał zwyczaj ulatniania się, a gdy nadeszły powodzie, po prostu ulotnił się ostatecznie, porzucił mnie.

Potrafił być najszlachetniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Ale potrafił też być bezlitosny w swojej słabości, w bezustannym poszukiwaniu drogi ucieczki. Był kimś, kto składał wielkie obietnice, lecz ich nie dotrzymywał. Zaczęłam wreszcie dostrzegać tę stronę Jacoba i obwiniać tylko jego.

O jednym nie powiedziałam Danielowi - że Jacob w istocie kiedyś poprosił mnie, żebym z nim wyjechała. Zaniepokoiły go wtedy doniesienia o tym, że fala powodziowa zbliża się do naszego miasta.

Uważał, że łódź budowana przez dziadka będzie za mała, by pomieścić nas wszystkich, a poza tym dziadek nie zdąży jej ukończyć.

Pielіłam grządkę warzyw na trawniku przed domem. Wyrwałam mlecz i wrzuciłam do wiadra.

Jacob się skrzywił, spoglądając na budynek po drugiej stronie ulicy. Wszystkie jego okna były zabite deskami od wewnątrz, a gdy się go mijało, czuło się zapach zgnilizny. Sąsiad nie wychodził z niego od kilku miesięcy i nie wiedzieliśmy, czy jeszcze żyje.

- Uważam, że powinniśmy wcześniej opuścić miasto - oświadczył Jacob.

Wstałam i otrzepałam spodnie z ziemi.

- Jak to wcześniej? - spytałam.

- Davis powiedział mi, że woda może przerwać wał. Poza tym to nie jest dobry pomysł: my wszyscy na tej łodzi.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie. Jacob nigdy nie był w dobrych stosunkach z moim dziadkiem.

- Davis ma łódź motorową - ciągnął. - Próbuję go namówić, żeby pozwolił nam popłynąć z nim i jego rodziną.

- Nam wszystkim?

- Mama i dziadek mogą popłynąć łodzią, którą budują. Wyruszyliby tuż po nas. Zresztą ta łódka nadaje się bardziej dla dwóch osób.

Pohamowałam chęć powiedzenia Jacobowi, żeby się

odpierdolił. Byłam już śmiertelnie zmęczona przygotowaniami do wyjazdu, a oto teraz jemu puszczają nerwy.

- Nie odpłynę bez wszystkich - oznajmiłam. - Trzymamy się razem. Jesteśmy rodziną. Wszyscy.

Jacob westchnął i spojrzał na okno strychu, przez które mogliśmy widzieć dziadka pochylonego nad łodzią. Na chodniku przy moich nogach powoli tworzyły się kałuże wody wyciekającej przez pęknięcia w cemencie. Jakby nawet ziemia była nasiąknięta wodą, która teraz wypływała także z jej wnętrza.

- Myra, nie słuchasz mnie.

- Tak, masz rację, nie słucham. Może byś tak nam pomógł, zamiast snuć inne plany? Ciągłe jeszcze gromadzimy zapasy żywności, a ty od kilku dni nie polowałeś.

Jacob się oddalił, kręcąc głową. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie może po prostu nam pomóc. Zawsze stronił od mojej rodziny, jakby do niej nie należał. Lecz mimo to nigdy nie przypuszczałam, że po prostu odejdzie. Przecież mnie potrzebował, nieprawdaż?

Tak głęboko kryłam w sobie wściekłość na Jacoba, że czasami czułam, jak kipi we mnie i ledwie mogę ją pohamować. Kiedy mnie porzucił, miałam wrażenie, że kurczowo trzymałam się burty łodzi, jak tamta

bogini Sedna, a on odrąbał mi wszystkie palce, a potem przyglądał się, jak opadam do wodnego grobu. Część mnie pragnęła wynurzyć się z głębiny i pociągnąć go ze sobą na dno.

Gdy usłyszałam, że nie żyje, poczułam się zawiedziona bardziej, niż mogłabym to przyznać. Chciałam go jeszcze spotkać; było to palące pragnienie, którego nawet w pełni nie pojmowałam.

Bo właściwie po co miałabym się z nim znów zobaczyć? Żeby domagać się odpowiedzi? Zemścić się na nim?

Po zabiciu tamtego pirata na wybrzeżu wyobrażałam sobie czasami, że to martwe ciało Jacoba osunęło się na ziemię u moich stóp. Zatrzymywałam w umyśle ten obraz i czekałam, by się przekonać, co przy tym poczuję. Ale nie pojawiało się żadne uczucie. Czułam tylko pustkę.

Natomiast wciąż pulsowała we mnie wściekłość, niczym drugie serce. Zastanawiałam się, czy gdybym rzeczywiście spotkała Jacoba, potrafiłabym zabić go z taką zimną krwią. Czy w ogóle chciałabym to zrobić?

Być może istniało coś jeszcze, pod gniewem i cierpieniem. Jakaś trzecia możliwość, pomiędzy zemstą a rozgrzeszeniem, unosząca się tuż poza granicą świadomości, czekająca, aż zostanie nazwana.

Wiedziałam, że zanadto nienawidzę Jacoba, by nadal go nie kochać.

ROZDZIAŁ 22

Przez trzy tygodnie kilka razy na tydzień przekradałam się nocą ciemnym korytarzem do kajuty Abrana. Wiedziałam, że te spędzane razem noce będą musiały wkrótce się skończyć. Zaczynał traktować to zanadto poważnie, zbyt często mówił „my”. Chciałam namówić go na pożeglowanie do Valley, zanim będzie za późno, jednak wiedziałam, że nie mogę naciskać. Był typem człowieka, który musiał uznać to za własny pomysł.

W trakcie tych nocy Abran uwielbiał opowiadać mi historie ze swej przeszłości. Leżałam, pół czuwając, pół śpiąc, a on muskał ustami moje włosy i opowiadał o miejscach, jakie odwiedził, o ludziach, których poznał. Nieczęsto pytał mnie o moje życie, a ja nie mówiłam wiele o sobie. Po pewnym czasie doszłam do wniosku, że nie tyle dzielił się ze mną wspomnieniami, lecz raczej się spowiadał. Musiał opowiedzieć mi wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, by dojść do najmroczniejszych fragmentów.

Jednej nocy leżeliśmy obok siebie nadzy, tylko do połowy nakryci narzutą, a światło świec

podskakiwało i opadało jak fale. Abran mówił o społeczności, którą chce stworzyć, o planach podziału pracy.

- Dlaczego przyrzekłeś bratu, że stworzysz tę społeczność? - spytałam.

Milczał, więc obróciłam się na bok i spojrzałam mu w twarz. Popatrzył na mnie niepewnie i pocałował w czoło. Odgarnęłam mu z twarzy ciemne włosy.

- Mój brat Jonas... czuł się winny - rzekł. - Popełniliśmy kilka złych postępów. Pragnął stworzyć bezpieczne miejsce, w którym będziemy chcieli zamieszkać.

Przypomniałam sobie mężczyznę, którego zabiłam na wybrzeżu, to jak przerażająco drgało jego ciało, gdy czekałam, aż wykrwawi się na śmierć. Czasami, gdy leżałam w nocy, nie mogąc zasnąć, rozmyślałam o tym człowieku. Zastanawiałam się, kim był przed powodzią. Mógłby być moim sąsiadem, którego mijałam, wnosząc zakupy ze sklepu spożywczego na frontową werandę, kimś, kto witał mnie, a potem szedł dalej pod cętkowanym gałęziami drzew światłem słońca, pośród leżących na chodniku opadłych liści.

- Co zrobiliście? - spytałam.

Abran rozrzucił moje włosy na skraju poduszki niczym wachlarz. Niegdyś były jedwabiste, lecz stały się szorstkie od nieustannego wpływu soli, wiatru

i słońca.

- Zadaliśmy się z kilkoma ludźmi. W końcu się z tego wyplątaliśmy...

Rzadko był tak oszczędny w słowach.

- Uważam, że powinniśmy powiedzieć o nas załodze - rzekł.

Zesztywniałam.

- Jeszcze nie.

I tak już niepokoiłam się, że załoga wie o naszych nocnych schadzkach. Odnosiłam wrażenie, że Wayne z Jessą przyglądają się nam z dziwnymi, rozbawionymi minami. A w ubiegłym tygodniu Marjan dała Abranowi dodatkową poduszkę do łóżka.

- Nie zmuszaj mnie, żebym czekał z tym wiecznie - powiedział z uśmiechem i żartobliwie szturchnął mnie w ramię.

Uśmiechnęłam się, lecz przeniknął mnie chłód. Rzeczywiście czułam coś do Abrana, jednak czymkolwiek było to uczucie, wiedziałam, że nie zdoła przetrwać. Już to kiedyś przeżyłam - pragnienie i potrzebę bliskości, po których przychodzi rozczarowanie.

Przez kilka chwil leżeliśmy w milczeniu, a potem wyciągnęłam rękę i dotknęłam blizn na jego szyi.

- Mężczyzna, którego zabiłam niedaleko Apple Falls, miał na ramieniu tatuaż - powiedziałam.

Pomyślałam o charyzmie Abrana, dzięki której

w naturalny sposób skupiał ludzi wokół siebie. Piraci, których napotykałam, bardzo często byli uroczy, potrafili cię oczarować, zanim się zorientowałaś, z kim masz do czynienia, a potem było już za późno.

„Sedna” skrzypiała i dudniła, morze szorowało o jej kadłub z odgłosem przypominającym niski pomruk. Przez moment spoglądaliśmy sobie z Abranem w oczy, a potem powiedział:

- Czarna Lilia.

Uniosłam brwi i poczułam w żołądku nerwowy skurcz. Podejrzewałam, że Abran należał kiedyś do załogi jakiegoś statku pirackiego, lecz wydawało się to czymś abstrakcyjnym, odległym. Wiadomość, że był członkiem bandy Czarnej Lilii, w jakiś sposób przybliżyła to do teraźniejszości, do nas obojga. Słyszałam, że piraci tropią ludzi, którzy opuścili ich załogi i zamustrowali się na inne statki. Czy powinniśmy wypatrywać statków podążających za nami?

Przypomniałam samej sobie, że w dzisiejszych czasach niełatwo jest odszukać ludzi. Wytropienie kogoś na pełnym morzu zdawało się niemal niemożliwe. Poza tym piraci często wdawali się w bitwy, więc było prawdopodobne, że połowa załogi, do której niegdyś należał Abran, już nie żyje.

- Podobno w początkowym okresie po powodziach Czarna Lilia powstała jako grupa kilku rodzin

broniących swojej ziemi. W czasie, gdy się do nich przyłączyłem, byli już zbrojną bandą - powiedział, siadając w łóżku.

Pochylił się i oparł łokcie o kolana. Ja też usiadłam i położyłam dłoń na jego plecach.

- Przyszli do nas, do naszego domu. Rodzice byli oboje chirurgami. Podczas Stuletniej Powodzi przenieśli się wraz z kilkorgiem przyjaciół do ogrodzonej osady leżącej wysoko w górach. Zachowali podręczniki medyczne, wykorzystywali je do uczenia mojego brata i mnie rodzinnej profesji. Zwędzili lekarstwa ze szpitali, w których pracowali, zanim je zamknięto. Ludzie podróżowali do nas, by uzyskać opiekę medyczną, a my leczylimy ich w salonie. Płacili nam żywnością i rzeczami, które gdzieś wyszperali. Przez pewien czas mogliśmy wieść życie, jakie wiedliśmy, dopóki cały świat się nie zawalił... do wybuchu Wojny Śródziemnomorskiej.

Abran wydał odgłos, jakby się dławił, przełknął z wysiłkiem. Pomasowałam mu plecy.

- Ale niektórzy z przyjaciół moich rodziców mieli powiązania z bandą Czarnej Lilii. Podczas wojny potrzebowali bazy wojskowej, więc wprowadzili się do nas. Wybuchła epidemia dyzenterii i rozprzestrzeniła się w naszej osadzie oraz na otaczających terenach. Rodzice zmarli, gdy miałem dwadzieścia sześć lat. Rozważaliśmy z Jonasem

ucieczkę na południe, ale nie mieliśmy zapasów żywności potrzebnych do odbycia takiej podróży. Potem Jonas zachorował. Poznaliśmy człowieka, który zaoferował się, że go wyleczy i pozwoli nam dołączyć do załogi swojego statku. Zaczęliśmy jako chłopcy okrętowi, zmywaliśmy pokład, znosiliśmy amunicję do zbrojowni. Kiedy zgodziliśmy się wstąpić do załogi, nie wiedzieliśmy, czym oni wszyscy się parają, a gdy do nich dołączyliśmy... było już za późno, żeby się wycofać. W tamtym czasie nikt nie nazywał ich piratami. Myśleliśmy, że oni tylko się bronią, a nie, że napadają na innych.

Potrząsnął głową i rozejrzał się wokół, jakby szukał okna, żeby przez nie wyjrzeć. Sprawiał wrażenie tak zbolełego, tak zagubionego, że pogładziłam go po plecach i szepnęłam:

- Nie jesteś taki jak oni.

- W tamtym okresie wszystko było takie pogmatwane - powiedział. - Było tylu ludzi, a jednak w gruncie rzeczy tak niewielu. Świat zdawał się wciąż na przemian rozszerzać i kurczyć. Przewoziliśmy towary, dokonywaliśmy wymian handlowych, walczyliśmy z innymi statkami, ale wszyscy tak robili. Staraliśmy się nad tym nie zastanawiać.

Położył dłoń na bliznach na szyi, jakby chciał je ukryć.

- Potem wytatuowali nam na szyjach wizerunek królika. Zabrali się na poważnie do kolonizowania osiedli na lądzie. Już wtedy rozważaliśmy założenie własnej osady. To był pomysł Jonasa. On czuł się jeszcze bardziej winny niż ja. Podupadł na zdrowiu. Zawarliśmy układ, że jeśli jeden z nas nie przeżyje ucieczki ze statku, drugi będzie mimo wszystko kontynuował realizację naszego projektu i stworzy społeczność, w której pewne rzeczy... nie będą się zdarzały. Tak więc gdy opuszczaliśmy bandę Czarnej Lilii, okradłem załogę, by móc zbudować „Sednę”. Nadal znam miejsca, w których ukryli część zasobów. Mają lekarstwa, głównie antybiotyki, schowane na północny wschód stąd.

- Antybiotyki? - powtórzyłam.

Pokręcił głową.

- Próba obrabowania którejkolwiek z tych kryjówek byłaby zbyt ryzykowna. Lepiej trzymać się możliwie jak najdalej od tych miejsc. Czasami piraci zostawiają w nich ludzi na straży.

Duch we mnie upadł, lecz starałam się nie okazać rozczarowania.

- Czy powiedziałaś innym o sobie i bandzie Czarnej Lilii?

- Nie. Nie chcę, by się o tym dowiedzieli.

- Ode mnie tego nie usłyszą - powiedziałam.

I mówiłam serio. Sekrety Abrana należały tylko do

niego.

- A twój brat...? - spytałam.

Potrząsnął głową, znów opadł na plecy i zakrył dłonią oczy. Położyłam się obok niego. „Sedna” zakołysała się gwałtownie, kilka książek spadło ze stołu. Abran uniósł głowę z poduszki i wsparł ją na pięści.

- Naprawdę sądzisz, że zdołalibyśmy przebyć północny Atlantyk? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałam. - Na tym statku mamy większą szansę niż wielu innych.

- Gdybyśmy dotarli do tamtego miejsca, mielibyśmy je prawie wyłącznie dla siebie. Tylko nieliczni mogą wyprawić się tak daleko na północ.

Powtarzał moje własne słowa. Nie odzywałam się, pozwalając mu rozważyć ten pomysł.

- Rozmyślałem trochę o tym, co powiedział Robert. Nie sądzę, by kłamał - rzekł.

Powiódł czubkiem palca po żyłę od mojej dłoni do ramienia. Poczułam dreszcz wibrujący w całym ciele. Wyglądało na to, że jestem blisko celu. Po tygodniach pieczołowitego zasiewania ziaren widziałam wreszcie kiełkujące z ziemi rośliny.

- Jesteś pewien, że możesz mu ufać? - zapytałam, odgrywając rolę adwokata diabła i zapewniając Abranowi wahanie, którego potrzebował.

- Nie całkiem - odparł. - Ale słyszałem to samo

o terenach na południu także w innych miejscach. W każdej faktorii. Byłem zdecydowany popłynąć na południe po prostu dlatego, że... właśnie tam postanowiliśmy z bratem dotrzeć.

Potarł kciukiem wrażliwe miejsce na wewnętrznej stronie mojego nadgarstka i mówił dalej:

- Myślę, że tamtego dnia Robert czuł się potężny, dlatego postanowił dać mi coś... coś, czego nie chciałem.

Uświadomiłam sobie, że Abran potrafi czytać w ludziach lepiej, niż przypuszczałam. Jak dobrze umiał czytać we mnie?

- Coraz więcej się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że wszystko, co mówisz, ma sens. Odosobnione położenie tego miejsca, jego bogactwa naturalne. Obawiałem się ryzyka, ale będę żałował, jeśli nie podejmę próby - oświadczył.

Zalała mnie fala euforii, jakby pękła jakaś zapora. Nie mogłam uwierzyć, że w końcu mi się powiodło. Wszystkie te delikatne namowy, rzucane mimochodem napomknienia przyniosły owoce. Wyobrażałam już sobie brzegi Grenlandii, skaliste wybrzeże i rześkie, zimne powietrze. Usiłowałam zignorować dręczące mnie podskórnie mroczniejsze obrazy - strażników patrolujących ulice Valley, skąpe racje żywności wydawane w jadłodajniach. Przynajmniej znajdziesz się bliżej Row, powiedziałam

sobie. Ujęłam dłoń Abrana i wyczułam zgrubienia.

- Ale decyzja nie zależy ode mnie - powiedział. -
Musimy poddać ten projekt pod głosowanie reszty
załogi.

ROZDZIAŁ 23

Abran oznajmił mi, że głosowanie nad zmianą celu podróży i wzięciem kursu na Valley odbędziemy nazajutrz wieczorem. Przed głosowaniem chciał poprosić Daniela o wykreślenie tej nowej trasy, żeby móc przedstawić załodze szczegóły dotyczące czasu trwania rejsu. Nie zdradziłam mu, że Daniel już wykreślił ten kurs.

Tego dnia rano po śniadaniu Abran odciągnął mnie na stronę i powiedział, że potrzebujemy na tę podróż więcej zapasów. Jeśli zamierzałam dowieść załodze, że zdołamy przebyć Atlantyk, musiałam złowić więcej ryb niż dotychczas. Gdy wykonywałam codzienne obowiązki, nie potrafiłam przestać rozmyślać o czekającym nas głosowaniu. Zastanawiałam się nad każdym członkiem załogi, nad tym, za czym się opowie.

„Sedna” zbliżała się do niewielkiego pasma górskiego odległego o kilka kilometrów. Thomas stał na dziobie z lornetką i obserwował szczyty znajdujące się tuż pod powierzchnią wody. Miałam wrażenie, że tracimy czas, żeglując dalej na południe, ale Abran nalegał, żebyśmy zaczekali z głosowaniem do

wieczora. Woda była tu cieplejsza, więc podpływaliśmy bliżej do kanałów i ujść rzek widniejących w poszarpanej linii brzegowej. Zarzuciłyśmy tam z Pearl wędy ciągnione, by złowić tasergale na żywą przynętę.

Jeśli nie obserwowałam wody i żyłek, wciąż zerkałam na góry. Niespełna kilometr od pasma górskiego, kilkanaście metrów nad powierzchnią morza wznosiła się niewielka wysepka. Daniel prowadził statek takim kursem, żeby przepłynąć ten kilometr pomiędzy linią brzegową a wysepką, tak abyśmy nie musieli manewrować wyłącznie wokół lądu. Gdy podpłyniemy bliżej do wysepki, zaczniemy ją okrążyć, skręcając dalej na południe. Wysepka była maleńka, miała tylko półtora kilometra szerokości, a na jej szczycie rosła kępa niskich drzew, wyglądająca na miejsce, w którym ludzie mogliby rozbić obóz. Miałam nieodparte wrażenie, że zbliżamy się do wrogiego terytorium, jakbyśmy podróżowali na bezludną wyspę, a ujrzeli przed sobą ognisko rozniecone przez wrogów i nie mieli pojęcia, gdzie oni się podziali.

Zarzuciłyśmy sieć do trałowania, aby złowić ryby przydatne jako żywe przynęty. Abran zatrzymał się obok mnie, gdy obsługiwałam downrigger.

- Czy trałowanie tutaj to naprawdę dobry pomysł? - zapytał. - Skoro jesteśmy tak blisko brzegu, czy sieć

nie może o coś zahaczyć?

- Potrzebujemy więcej żywych przynęt - wyjaśniłam.

Jednak miał rację - to było kiepskie miejsce do trałowania. Przypuszczalnie sieć nie zanurzyła się nawet na odpowiednią głębokość. Ale potrzebowałam pełnej sieci, by zaimponować załodze przed głosowaniem.

- Rozumiem. Tylko że ta sieć znacznie nas spowalnia. Nie mamy dostatecznie dużych żagli.

- To potrwa tylko chwilę...

- Abran! - zawołał z dziobu Thomas.

Abran pobiegł na dziób, a Thomas podał mu lornetkę. Okrążaliśmy tę małą górzystą wysepkę blisko wybrzeża, przepływalismy przez wąskie pasmo wody pomiędzy nią a lądem. Żeglowanie w tak niewielkiej odległości od linii brzegowej wydawało się ryzykowne, toteż zastanawiałam się, dlaczego Daniel wybrał tę trasę, zamiast biegnącej bardziej na pełnym morzu.

Zmrużyłam oczy, usiłując wypatrzeć, na co wskazuje Thomas. Wydało mi się, że dostrzegłam za wyspą dziób innego statku. Może to był po prostu kuter rybacki. Ludzie skłonni są łowić blisko brzegu, wtedy łatwiej mogą dotrzeć do portu, by wymienić połów na inne towary.

Wysepka znajdowała się w odległości niespełna

trzystu metrów. Jessa zamocowała fał, ustawiając żagiel tak, żebyśmy złapali północny wiatr i skierowali się bardziej na południe. Stojący przy rumplu Wayne skręcił, by opłynąć wysepkę, a ja wciągnęłam sieć na downrigger najszybciej, jak zdołałam.

Behir, Jessa i Marjan pognali na dziób, a ja za nimi. Pearl chciała podążyć za mną, ale odwróciłam się, wskazując na kabinę.

- Idź do Daniela - poleciłam.
- Co się stało? - zapytała.
- Idź! - powtórzyłam stanowczo.

Pearl rzuciła mi gniewne spojrzenie, jednak usłuchała: wycofała się do kabiny, w której Daniel dokonywał obliczeń nawigacyjnych. Opłynęliśmy wyspę i niemal wpadliśmy na dwa statki stojące na kotwicach burta w burtę. Północny wiatr pchał nas jeszcze bliżej ku nim, nasz statek dzieliło od nich już tylko trzydzieści metrów.

Abran opuścił lornetkę i krzyknął do Wayne'a przy rumplu:

- Skręć do brzegu! Trzymaj się blisko niego!

W jego głosie pobrzmiwał strach. Mocno uchwycił się nadburcia. Wyteżyłam wzrok, popatrzyłam nad jego ramieniem i zobaczyłam, że piraci z większego statku wdzierają się z pałkami i nożami w rękach na pokład kutra rybackiego. Na dziobie ich statku

powiewała czarna bandera.

„Sedna” płynęła w stronę wybrzeża, ale byliśmy uwięzieni pomiędzy wysepką a lądem, nie mogliśmy zawrócić, by oddalić się od tamtych statków. Jakiś mężczyzna na kutrze dostał cios toporem w pierś, po czym osunął się na kolana. Dobiegly nas okrzyki bólu tak przejmujące i wyraźne, że zdawały się dochodzić z naszego statku. Dwaj piraci okręcili linę wokół szyi jednego z członków załogi kutra, a drugi jej koniec przywiązali do rufy swojego żaglowca. Luźny odcinek liny zanurzył się w wodzie pomiędzy obydwoma statkami.

Zamierzają przeciągnąć go pod kilem, pomyślałam odruchowo i przełknęłam żółć wzbierającą mi w gardle. Ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki.

Jeden z piratów wyrwał dziecko z ramion matki. Kobieta i chłopczyk krzyknęli jednym głosem, po czym matka rzuciła się na napastnika. Inny pirat złapał ją za ramię, ciągnąc do tyłu. Mężczyzna z pętlą na szyi wrzasnął i skoczył ku piratowi trzymającemu dziecko, ale któryś chwycił jego linę i szarpnął. Mężczyzna upadł na plecy, twarz mu poczerwieniała, z wysiłkiem łapał oddech.

- Musimy ich powstrzymać - wyszeptała Jessa z szeroko otwartymi oczami.

Myślałam to samo, ale się nie odezwałam. Stałam jak wrośnięta w pokład. Korciło mnie, by chwycić

noże, lecz nogi miałam jak sparaliżowane. Wiedziałam, że jeśli nic nie zrobię, przepłyniemy tuż obok tamtych, osamotnieni, narażając się na atak i poniesienie strat w nierównej walce.

- Musimy ich powstrzymać! - krzyknęła Jessa.

Podbiegła do Abrana, złapała go za ramiona i potrząsnęła nim.

- Behir... proszę - rzekł Abran.

Objął Jessę w talii, usiłując odsunąć ją w stronę Behira. Na jego twarzy malował się ból, w oczach miał nowy, nieruchomy spokój. Jakby część niego zatrzęsnięto, uciszono i głęboko ukryto.

Behir wystąpił naprzód i ujął Jessę za ramię, ale odwróciła się z ręką wyciągniętą w kierunku kutra, rozwierając i zamykając dłoń.

Pirat trzymający dziecko wrócił na swój statek. Tam jakaś kobieta wzięła od niego chłopczyka i zeszła pod pokład. Poczulałam skurcz w żołądku. Wiedziałam, co będzie dalej. Rozdzielą matkę z dzieckiem, przetransportują ją na inny statek albo do swojej bazy. Chłopczyka zaś wychowają na członka bandy, żeby napadał na statki albo pilnował kolonii na lądzie.

Krzyki nie ustawały, ale wydawały mi się stłumione, jakby dochodziły zza zamkniętych drzwi. Nie mogłam oddychać i czułam się dziwnie, jak w stanie nieważkości. Byłam niczym piórko na wietrze,

kołysałam się na piętach, nogi uginały się pode mną.

Behir trzymał Jessę, a ona wrzeszczała i padła na kolana. Wycofałam się, w mojej piersi płonęło pragnienie ucieczki.

Piraci wrócili na swój statek, dźwigając łupy. Otworzyli drzwi małej klatki, z której wyfrunął ptak, wzbił się w górę i poleciał prosto na zachód, jakby pociągany niewidzialnym sznurkiem w ustalonym wcześniej kierunku. Minęliśmy ich, odległość między nami zaczęła się zwiększać.

Byłam wdzięczna za to, że się od nich oddalamy. Nie chciałam oglądać dalszego ciągu; wiedziałam dokładnie, co zrobią piraci. Zabiorą ze sobą matkę dziecka oraz cały zapas wody ze zbiornika kutra rybackiego. Pozostawią na kutrze jego kapitana, a gdy ich żagle złapią wiatr, lina szarpnie go i przewróci, jego ciało rąbnie o nadburcie, po czym wpadnie do morza. Przez dzień albo dwa będą wlec je za rufą jak przynętę na haku, miażdżone przez pąkle na kadłubie statku, rozszarpywane przez ostre rafy koralowe na wierzchołkach zatopionych gór tuż pod powierzchnią wody. A potem zwieszą martwe ciało z dziobu, rozmokłe i fioletowe; słońce wysuszy mu włosy, aż staną się miękkie i cienkie niczym meszek na głowie, który dziecko traci przed narodzeniem.

ROZDZIAŁ 24

Jessa przez trzy dni nie chciała opuścić kwatery dla załogi. Wayne chodził po pokładzie, piekł się i grzmiał, że powinniśmy zawrócić i zaatakować tamtych piratów. Wszyscy pozwalali mu się wściekać, przyjmując milcząco, że z czasem się uspokoi i wszystko wróci do normy.

Kiedy Jessa wreszcie wyszła z kwatery na pokład, najpierw wpadła jak burza do kabiny, w której Abran rozmawiał z Danielem, i zażądała odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie przyszlismy z pomocą załodze kutra.

Stałam w kuchni z Marjan. Zasłona była odciągnięta, więc widziałam, jak Abran próbował objąć i pocieszyć Jessę, a ona gwałtownie go odepchnęła.

- Nie jesteśmy przygotowani do zaatakowania statku pirackiego - zaczął.

- Bzdura! - krzyknęła Jessa. - Mamy pełną zbrojownię!

Pokręcił głową.

- Jesso... nie możemy uratować każdego napadniętego statku. Winni jesteśmy lojalność wobec

siebie nawzajem, nie zdołamy ocalić wszystkich innych ludzi.

Po twarzy Jessy popłynęły łzy. Uświadomiłam sobie, że ona pragnie cofnąć czas. Ratując tamtych, chciała w ten sposób uratować siebie. Dobrze znałam to uczucie i tę potrzebę. Jakże wiele mogłabym odmienić w moim życiu poprzez uratowanie Row.

Znowu ogarnęło mnie przemożne pragnienie ucieczki, porzucenia Row. Zobaczenie jej trochę zanedo przypominałoby ujrzenie siebie w lustrze.

Gdy Behir już odprowadził Jessę na dół do kwatery, a my z Marjan powróciłyśmy do oczyszczania ryb z łusek, nachyliła się do mnie i szepnęła:

- Jej też się to przydarzyło.

Włoski zjeżyły mi się na rękach, jakby to mogło uchronić mnie przed prawdą, uczynić nieprzenikalną dla niej.

- Co?

- Ona miała dziecko.

Wepchnęłam ostrze noża między mięśnie ryby a łuski. Pomyślałam, że nie chcę o tym wiedzieć. Nie dałabym rady dotknąć takiego żalu ani nawet zbliżyć się do niego. Wydawał mi się zaraźliwy, niczym jakieś niebezpieczne miejsce, w którym kiedyś byłam, i jeśli tam wrócę, mogłabym tym razem już nie przeżyć.

Poza tym Marjan nie musiała mi o tym mówić. Już wiedziałam, że Jessa przecierpiała to samo, co tamta

matka na kutrze. Usłyszałam w jej krzyku nutę świadczącą, że ponownie przeżywa coś, czego w ogóle nie powinno się nigdy doświadczyć. Wiedziałam, jednak nie mogłam znieść usłyszenia tego, gdyż wówczas musiałabym przyjąć to do wiadomości.

Ale właściwie dlaczego nie? Dlaczego wciąż chciałam trzymać się na dystans od nich wszystkich?

Pomyślałam, że może gdybym odkryła, że każde z nich poniosło stratę podobną do mojej, nie potrafiłabym posłużyć się nimi do odzyskania Row. Nie zdobędziesz się na oszukiwanie ludzi, którzy przecierpieli to samo co ty. Łatwiej jest nie wiedzieć zbyt wiele.

- Wayne i Jessa służyli w wojsku - powiedziała Marjan. - Wayne był w jednostce bojowej, Jessa pracowała w wywiadzie. Gdy część oddziału Wayne'a przyłączyła się do bandy Czarnej Lilii, a Wayne odmówił, wtedy on, jego żona Rose i Jessa zostali uwięzieni na statku.

Marjan mówiła dalej, opowiedziała mi, że Jessa na tym statku zaszła w ciążę ze swoim dziś już nieżyjącym chłopakiem. Po pół roku przebywania w niewoli Rose została zamordowana, kiedy przyłapano ją, gdy kradła zapasy, żeby mogli uciec. Poderżnięto jej gardło na oczach Wayne'a i Jessy. Miesiąc później Jessa urodziła córeczkę, lecz

odebrano ją i odesłano do jednej z baz, w której miała być wychowywana razem z dziećmi ze statków reprodukcyjnych.

Po tym wszystkim Wayne w trakcie postoju statku w porcie handlowym ukrył Jessę w pustej beczce, którą następnie wytoczył na brzeg. Zostawił ją tam i wrócił na pokład, ponieważ kiedy statek zawijał do portu, zawsze śledzili go strażnicy. Gdy znalazł się znów na statku, podpalił żagle, po czym korzystając z zamieszania, wskoczył do morza i popłynął z powrotem do brzegu. Odnalazł Jessę, oboje pokonali wpływ trzy kilometry do następnego wierzchołka góry wystającego nad powierzchnią wody. Ukryli się pośród drzew, czekając, aż banda Czarnej Lilii zrezygnowała z szukania ich i odpłynęła stamtąd. Przez miesiąc przymierali głodem na tym górskim wierzchołku, aż natknęli się na nich Abran z Thomasem.

Przez następnych kilka dni obserwowałam, jak członkowie załogi „Sedny” troszczą się o Jessę. Znosili jej posiłki na dół do kwatery i opowiadali o drobnych pracach wykonywanych na statku, starając się łagodnie oderwać jej myśli od tragicznych wspomnień. Pamiętałam, jak samotna czułam się po śmierci dziadka. Pearl nocami wtulała we mnie drobne ciało i płakała tak rozpaczliwie żałośnie, że miałam wrażenie, jakbyśmy tylko my

dwie zostały na świecie.

Widok opieki, jaką otaczali Jesse, wzbudził we mnie pragnienie, by dołączyć do nich, zostać wtajemniczoną w ich sekretny język gestów i min. Znaleźć swoje miejsce na świecie. Chociaż należałam do załogi, nadal czułam się, jakbym przyglądała się im z zewnątrz. Te dwa sprzeczne impulsy - chęć zbliżenia się do tych ludzi oraz trzymania się na dystans - wciąż ścierały się ze sobą, szarpiąc mi nerwy.

Pomyślałam o tamtej małej łodzi rybackiej, której rabowanie widziałyśmy, jeszcze zanim dowiedziałyśmy się, że Row jest więziona w Valley. O ile łatwiej było wierzyć, że na tym świecie jesteśmy tylko my dwie; wszyscy inni wydawali się mglistą abstrakcją. Teraz zaś wszystko zdawało się zbyt bliskie. Jakby nagle spadło na mnie więcej zobowiązań, niż byłam w stanie udźwignąć, a ja nie potrafiłam wybrać pomiędzy nimi.

Czwartego wieczoru po tamtym incydencie zgromadziliśmy się w kabinie, żeby wreszcie odbyć głosowanie. Abran opisał Valley, podając szczegóły, które usłyszał ode mnie - jedno prawdziwe, inne nie. Staralam się nie kulić ze wstydu, gdy mówił o tym, jak bezpieczne jest to miejsce. Przekonywałam w duchu sama siebie, że stanie się bezpieczne, kiedy znikną stamtąd Upadli Opaci.

Oznajmił, że w tej spokojnej osadzie mieszka tylko kilkaset osób i jest mnóstwo terenów do zasiedlenia.

- Jeżeli oni wyznają te same wartości co my, możemy ich zaprosić, żeby dołączyli do naszej społeczności - powiedział.

- A co, jeśli nie zechcą? - zapytał Wayne. - Poza tym jak nasza społeczność będzie mogła się rozwinąć, skoro to miejsce jest tak odosobnione?

Abran zamilkł, wyraźnie zbity z tropu. Serce zabiło mi szybciej, ogarnęła mnie obawa, że on rozważa odwołanie głosowania.

- Rozwój może stać się problemem wszędzie. Liczy się nie liczba ludzi, tylko to, czy są uczciwi - powiedział.

Znajdowaliśmy się w odległości zaledwie tygodnia żeglugi od Alahany, miasteczka w Andach, w którym zamierzaliśmy dokonać wymiany handlowej. Ale jeśli załoga zagłosuje za Valley, zawrócimy na północ, przemierzmy Kanał Panamski, który obecnie obejmował obszar kilkuset kilometrów, i wpłyniemy na Morze Karaibskie. Zamiast w Alahanie zatrzymamy się na handel w Wharton, miasteczku leżącym w południowowschodniej części dawnego Meksyku.

Podczas gdy Abran mówił o Valley, przyglądałam się członkom załogi, próbując przewidzieć, jak każde z nich zagłosuje. Marjan miała spokojny,

nieprzenikniony wyraz twarzy, natomiast Behir wyglądał na podekscytowanego i zaintrygowanego. Jessa wciąż wymieniała sceptyczne spojrzenia z Wayne'em, a Thomas ze zmarszczonymi brwiami siedział w kącie kabiny.

Na zewnątrz wył wiatr, a Pearl stała w drzwiach i obserwowała morskie ptaki, które fruwały nad pokładem, wypatrując jedzenia. Daniel siedział obok mnie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i spuszczoną głową, tak że nie widziałam jego twarzy.

Abran gestykulował z ożywioną miną. Ale pod jego charyzmą wyczuwałam desperację, niepokój. Było jasne, że z łatwością może przekonać ludzi i nakłonić, żeby podążyli za nim. Nie wiedział jednak, czy zdoła utrzymać ich razem przez dłuższy okres. Przypomniałam sobie, co Daniel powiedział kiedyś o przebywaniu w wielkiej grupie, o tym, że wyznawane w niej wartości mogą się zmienić. O tym, że prawa są prawami tylko wtedy, jeśli wszyscy ich przestrzegają.

- Tak więc musimy poddać to pod głosowanie - zakończył Abran i klasnął w ręce.

- Powinniśmy najpierw przedyskutować ten pomysł - rzekł Wayne. - Po pierwsze, skąd mamy te informacje?

Rzucił okiem na mnie, po czym znów spojrzał na Abrana.

Oblałam się rumieńcem i mocno splotłam dłonie pod stołem, starając się opanować zdenerwowanie. Oni wiedzą o nas. Prawdopodobnie wszyscy wiedzą.

Abran milczał, wyczułam, że zastanawia się, czy nie skłamać.

- Od Myry. Ona powiedziała mi o tym miejscu. Uzyskała te informacje z wiarygodnych źródeł. Od ludzi, którzy podróżowali tam i handlowali.

- Ta historia brzmi nieprawdopodobnie - rzekł Wayne. - To zbyt piękne, by mogło być prawdą.

- Nie wiedziałem, że w Grenlandii są tereny położone na tyle wysoko, by nadawały się do zamieszkania - oświadczył Behir.

- Masz na myśli Islandię. Ona jest całkowicie zatopiona - skorygowała go Marjan.

- Dotarcie tam będzie prawie niemożliwe. Sztormy, piraci - zauważył Wayne.

- Ale jeżeli nam się uda, będziemy bezpieczniejsi niż dotychczas. Zyskamy szansę stworzenia czegoś wartościowego, nikt nie będzie nam w tym przeszkadzał - rzekł Abran.

Miałam ochotę argumentować, że rozmiar i wytrzymałość naszego statku gwarantują bezpieczniejszy rejs, ale zmilczałam. Jeśli ktokolwiek miał ich przekonać, musiał to być Abran, człowiek, któremu już ufali.

- Dlaczego chcesz tam popłynąć? - zapytał mnie

Wayne. – Znasz tam kogoś?

– Nie – skłamałam odruchowo. – Uważam, że to najlepsza szansa na osiedlenie się na stałe.

– Wiemy już, że w Andach nie ma odpowiednich terenów – dorzucił Abran.

Zaskoczyła mnie pewność w jego głosie. Być może napaść, której niedawno byliśmy świadkami, sprawiła, że zaczął bardziej doceniać odizolowane położenie ziem na północy.

– Niczego nie wiemy o tym miejscu i nie dowiemy się, dopóki tam nie dotrzemy – rzekł Wayne.

– Rzeczywiście musimy opuścić morza i osiąść na lądzie – odezwał się cicho Thomas z kąta kabiny tak nieoczekiwanie, że zaskoczył wszystkich. – Tamten atak... – Urwał, potrząsając głową.

– Ale jeżeli poześlujemy do Valley, będziemy na wodzie jeszcze dłużej. Valley leży dwa razy dalej niż Andy – zauważyła Jessa.

– Jednak gdy tam dotrzemy, znajdziemy się w miejscu bardziej odosobnionym – rzekł Behir. – Nie będziemy narażeni na tak liczne napaści.

Poczułam skurcz w żołądku, gdy znów ogarnęło mnie poczucie winy. Wyobraziłam sobie, jak „Sedna” przy pływa do Valley i cała załoga odkrywa, że to miejsce już jest piracką kolonią. Szok na ich twarzach, wściekłość, z jaką na mnie naskoczą. Czy wtedy znów skłamię, oświadczając, że nie wiedziałam

o tej kolonii? Będziemy musieli nie tylko zaatakować strażników pozostawionych w Valley, lecz także zmierzyć się z Upadłymi Opatami, kiedy ci powrócą, jak czynią cztery razy do roku, odbywając objazdy w celu zebrania danin z podległych im kolonii.

- No, już wystarczy - rzekł Abran, rozkładając ręce.

- Nie mamy czasu na omawianie wszystkich możliwych szczegółów. Po prostu głosujmy.

Wszyscy ucichli i znieruchomieli. Wpatrywałam się badawczo w ich twarze, puls mi przyspieszył, w palcach czułam mrowienie.

- Proszę, niech każdy, kto jest za zmianą celu podróży, podniesie rękę - powiedział Abran, unosząc swoją.

Moja ręka wystrzeliła w górę. Powiodłam wzrokiem po kabinie. Daniel, Behir i Thomas także podnieśli rękę. Stanowiliśmy większość. A więc rzeczywiście tam popłyniemy.

Abran poprosił o zagłosowanie tych, którzy są przeciwni pożeglowaniu do Valley, lecz nie zwracałam już na to uwagi. Zalała mnie fala ulgi, rozluźniłam się. Część mnie nie wierzyła, że naprawdę zdołam skłonić ich do zmiany kursu. Obawiałam się, że życie stale będzie rzucać mnie coraz dalej od Row i że chociaż zawsze będę walczyć ze wszystkich sił, by jej pomóc, nigdy do niej nie dotrę. Ale się myliłam. Zawrócimy i popłyniemy do

niej. Po raz pierwszy będę zmierzała we właściwym kierunku.

Jessa z Wayne'em rozmawiali gniewnie w pobliżu kuchni, rzucając na mnie ponure spojrzenia, lecz nie zważałam na nich. Daniel wstał, żeby wyjść; nie odwrócił się ku mnie. Wcześniej myślałam, że być może nie zagłosuje za Valley, żeby zrobić mi na złość za to, że nie usłuchałam go, gdy odradzał dołączenie do załogi „Sedny”. Ale on nie byłby zdolny do czegoś takiego, pomyślałam, przyglądając się jego plecom w przeupoconej koszuli.

Kiedy odwróciłam się, by opuścić kabinę, poczułam na sobie wzrok Marjan. Uniosłam głowę i spojrzałam na nią. Gdy ją mijałam, zobaczyłam w jej oczach wyrzut, a także smutek i przestrogę. Jakby widziała coś, czego ja nie dostrzegałam. Poczucie winy zmyło radość, tak jak fala zmywa muszle z plaży i cofa się, pozostawiając tylko wilgotny piasek. Być może potrafiłabym odwrócić bieg tej fali, ale nie byłam taka jak Daniel czy Abran, którzy myślą o innych i dotrzymują swoich obietnic.

Pomyślałam o tym, w jakich warunkach musi żyć Row. W jakim pomieszczeniu ją trzymają? W piwnicy wykopanej pod jakąś chałupą? W ciasnym pokoiku o ścianach z pustaków? Czy w ogóle ma tam okno?

Wiedziałam, że postarają się utrzymać ją w dobrym zdrowiu. Lecz było to dla mnie tylko niewielką

pociechą. Czy ona wie, co ją czeka?

Zrobię wszystko, żeby ją uratować, powiedziałam sobie.

Spróbowałam sobie wyobrazić, że w jakimś cichym pokoju splatam w warkocz jej długie czarne włosy, a światło z okna pada na jej podolek. Jest ubrana w lnianą tunikę w kolorze jaśniejszym od skóry. Twarz ma w cieniu.

Ale nie potrafiłam. Umysł odmawiał mi nawet tego. Mówił mi, że aby dowiedzieć się, co się dzieje z Row, muszę zobaczyć to na własne oczy.

ROZDZIAŁ 25

Przepłynęliśmy nad Panamą na Morze Karaibskie. Pewnego poranka przy śniadaniu, gdy znajdowaliśmy się w odległości tygodnia żeglugi od Wharton, Abran przydzielił wszystkim zadania związane z przygotowaniem do wymiany handlowej.

- Przed przebyciem Atlantyku pozostały nam tylko dwie duże miejscowości z faktoriami: Wharton i Broken Tree. Musimy nabyć w obydwu tych placówkach wielkie zapasy. Bez niezbędnego zaopatrzenia nie możemy wyruszyć w ten rejs. To nasza jedyna szansa - powiedział.

W miarę zbliżania się do Wharton zmieniał się nastrój załogi. Wszyscy rozmawiali o tym, co zamierzają kupić. Marjan potrzebowała drożdży, a Thomas - piły do metalu. Jessa wciąż mówiła o lawendowym mydle, jakie kupiła kiedyś od ich producenta w Wharton - takim z olejkami zapachowymi, sprawiającym, że skóra staje się miękka i pachnąca.

- Tym razem kupimy ług, żebyśmy mogli sami wytwarzać mydło - rzekła do niej łagodnie Marjan. - Musimy skoncentrować się na zgromadzeniu

zapasów żywności. Miód nawilża cerę, pomaga też przy łżejszych zakażeniach skórnych. A mamy już olejek kokosowy i aloes.

Marjan bacznie strzegła zapasu olejków i aloesu, wydawała niewielki słoiczek tylko tym, których skóra zaczynała pękać. Moja stała się bardziej miękka, odkąd znalazłam się na „Sednie”, bo tu słona woda nie zalewała tak często pokładu jak na „Ptaku”, na którym obryzgiwała mnie każda fala.

Pamiętałam, że jeszcze za życia dziadka kupowaliśmy olejki z nasion marchwi i z pestek malin, które chroniły skórę przed słońcem. Kiedy już nie mogliśmy sobie na nie pozwolić, osłaniały nas długie ubrania i kapelusze, które robiłyśmy same albo nabywałyśmy drogą wymiany.

Marjan zaczęła sprzątać ze stołu po śniadaniu. Pearl znów stała w drzwiach i czujnie obserwowała morskie ptaki, niczym kot gotów na nie skoczyć.

Abran omawiał różne zadania. Pearl, Behirowi, Jessie i mnie przydzielił łowienie ryb. Danielowi polecił obliczenie kursu przez Morze Karaibskie. Wayne miał dokończyć uszczelnianie spojeń desek drewnianymi zatyczkami, a potem sprawdzić zapasy amunicji. Czekala nas żegluga przez pirackie terytoria na Karaibach, więc musieliśmy również wyznaczyć wachty obserwacyjne na dziobie statku.

Pearl wyskoczyła za drzwi, rzuciła się na jakiegoś

ptaka, po czym zerwała się na nogi, trzymając go szamoczącego się w pięści. Wyszłam z kabiny na pokład w oślepiający blask słońca.

- Niezły łup - rzekłam, osłaniając dłonią oczy.

- To samiczka, ma na imię Holly - oznajmiła Pearl.

Z kabiny dobiegły nas głosy.

- Co ona złapała? - zapytał ktoś.

- Ptaka - odpowiedział ktoś inny.

- Moglibyśmy mieć z niego trochę mięsa - powiedziałam łagodnym tonem i przykucnęłam, żeby dokładniej przyjrzeć się ptakowi.

Miał krótki zakrzywiony dziób i jasnokremowe upierzenie.

- Ale ja chcę ją zatrzymać - oświadczyła Pearl.

- Kochanie, nie możesz. Ona odfrunie.

Wycofałam się do kabiny, a Pearl weszła za mną, nadal trzymając ptaka w ręku.

Marjan szturchnęła mnie łokciem.

- Czy zamierzasz...? - Wskazała głową ptaka.

- Byłoby z niego mięsa tyle co nic - powiedziałam.

- Ilość nie ma znaczenia - zaproponował Wayne. -

Każde z nas dzieli się wszystkim z pozostałymi.

Zesztywniałam.

- Nie sądzę, żeby trzeba było robić z tego problem.

- To dziecko marnuje zasoby. Mamy na statku zasady, wszyscy musimy ich przestrzegać - powiedziała Jessa.

- Ona nigdy niczego nie zmarnowała - rzuciłam zimnym tonem i poczułam, że Pearl przysunęła się bliżej do mojego boku.

- Nie chodzi tylko o to - ciągnęła Jessa. - Wy zawsze musicie dostać to, czego chcecie. Tylko dołączyliście do nas. Nie macie takich samych praw jak my.

- Dość - rzekł Abran. - Mają dokładnie takie same prawa. Każdy na statku je ma. To jedna z naszych reguł.

- A inna reguła mówi o dzieleniu się wszystkimi zasobami - odezwał się Wayne, który stał, opierając się o ścianę, z muskularnymi ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Abran westchnął i potrząsnął głową.

- Oni mają rację - rzekł do mnie cicho. - Nie możemy zezwalać na wyjątki. Wszystko, co zostało schwytane, należy do całej załogi. Nie możemy trzymać tu domowych zwierząt.

Właściwie nawet nie chciałam, żeby Pearl zatrzymała tego ptaka jako swojego ulubieńca. To byłby absurd. Jednak z jakiegoś powodu zapragnęłam przejść do ataku.

Marjan podsunęła Pearl otwartą dłoń.

- Ja to zrobię, żebyś ty nie musiała.

Pearl cofnęła się przed nią, a potem pobiegła do drzwi i rzuciła ptaka w górę. Po chwili był już tylko

malejącą białą plamką na błękitnym niebie.

- Pearl - powiedziałam i zirytowana zamknęłam oczy. - Nie możesz tak po prostu robić tego, co zechcesz.

- Trzeba ją będzie ukarać - rzekł cicho Abran. - Nie dostanie dziś kolacji.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Pearl i tak już była chuda, nie zamierzałam pozbawić jej posiłku, skoro na statku mieliśmy zapasy żywności. Abran czekał na moją odpowiedź, więc skinęłam głową, planując, że wieczorem ukryję trochę jedzenia, żeby mogła przekąsić coś w łóżku. Nie zezwalano na trzymanie jakiegokolwiek żywności w kwaterze załogi, z obawy przed szczurami. Tak więc jednego dnia złamiemy dwie reguły. Jak mogłam oczekiwać, że Pearl będzie żyć w tej społeczności, skoro lekceważyłam obowiązujące w niej prawa? Nie przewidziałam, jak trudno nam będzie przystosować się do życia w grupie. Teraz uświadomiłam sobie, że nie możemy nadal żyć tylko dla siebie, nie zważając na innych ludzi i ich potrzeby.

Gdy wszyscy odeszli od stołu, Pearl pociągnęła mnie za koszulę, żebym przykucnęła przy niej.

- Czy Charlie jest domowym zwierzątkiem? - zapytała tak cicho, by nikt inny nie usłyszał.

- A on wciąż żyje?

- To mój ulubiony wąż - oświadczyła.

- Nie jest jadowity, prawda? - spytałam.

Pearl wytrzeszczyła oczy.

- Oczywiście, że nie.

Nie potrafiłam się zorientować, czy mnie okłamuje.

- Lepiej, żeby nie był. I żadnych więcej żywych stworzeń. Musimy stosować się do tutejszych praw. Trzymaj go w ukryciu. Poza tym już prawie nie mam przynęt, więc nie dostanie żadnych więcej przekąsek.

Popatrzyła na mnie gniewnie.

- Wkrótce będziemy w Wharton i nałapię dla niego żab - oznajmiła.

Zarzuciłam wędki, ale do południa złowiłam tylko dwa tasergale. Musiałam wciągnąć żyłki, żeby zachować pozostałe przynęty. Wyglądało na to, że w wodzie nie ma żadnych żywych stworzeń, jakbyśmy zeglowali przez morze trucizny. Wyregulowałam linę downriggera, skracając ją szeregiem węzłów, żebyśmy mogli trałować na średniej głębokości i złowić trochę ryb z ławic, którymi żywią się tasergale. Zapewne właśnie na tym polegał problem - nadal płynęliśmy w pobliżu gór i przypuszczalnie morze tutaj było zbyt płytkie.

Kiedy wrzucałam filety z tasergali do wiadra z solą, podszedł do mnie Daniel z kubkiem parującej herbaty. Na niebie chmury przetaczały się ze wschodu na zachód.

- Po południu prawdopodobnie dostaniemy się

w niewielki szkwał. Lepiej po lunchu wciągnij sieć – poradził.

- Dobrze – odrzekłam.

Zawiązałam linę i pociągnęłam ją, zaciskając węzeł. Daniel miał rozpiętą koszulę, dostrzegłam przelotnie długą bliznę biegnącą pomarszczoną białą linią od obojczyka, kończącą się poniżej żeber.

Przyjemnie było stać obok niego w ten chłodny, lecz pogodny dzień, czując na skórze słony wiatr. Powróciłam myślami do okresu, gdy pływaliliśmy na „Ptaku”, zanim dołączyliśmy do załogi „Sedny”. Do naszych rozmów w długie spokojne noce na pokładzie oświetlonym blaskiem księżyca. Miałam wrażenie, że odkąd znaleźliśmy się na „Sednie”, prawie go nie widuję, lecz to nie była prawda. Po prostu rzadko przebywałam z nim sam na sam.

- Co za chaos – powiedział. W odległości półtora kilometra widzieliśmy skalną wysepkę, zbyt małą, żeby nadawała się do zamieszkania, lecz wystarczająco dużą, by mogła rozciąć kadłub. – Żeglowanie przez ten akwen to koszmar. Powinniśmy wybrać trasę bardziej na zachód, ale Abran chce zaoszczędzić czas.

- Martwi się o nasze zapasy – odparłam.

I o niezadowolenie załogi, jeśli racje żywnościowe staną się zbyt skąpe, pomyślałam. Nie chce wzniecać wśród nich wątpliwości co do zmiany celu podróży.

- Jakiś czas temu coś spostrzegłem - rzekł Daniel. Spojrzał na mnie znacząco. - Myślę, że ty też to widziałaś. Abran miał dawniej na szyi tatuaż. Teraz ma tam blizny po oparzeniach. Przed kilkoma dniami zmieniał w kabinie chustkę, którą zawsze nosi na szyi. Ja byłem w kuchni, gotowałem wodę dla Marjan.

- I co z tego? Wielu ludzi ma tatuaże - powiedziałam.

To była prawda. Tatuaże stały się tańszą wersją biżuterii. Niektórzy ludzie tatuowali sobie imiona utraconych ukochanych osób. Wypiłam łyk herbaty. Jej listki opadły na dno kubka. Była aromatyczna w uroczy sposób, którego nie potrafiłam określić, jak mięta, tylko bardziej gorzka.

- Ty wiesz - rzekł Daniel, jak gdyby czytał w moich myślach. Powiedział to spokojnie, jakby mi współczuł. To sprawiło, że miałam ochotę go uderzyć. - Wiesz, do jakiej załogi kiedyś należał.

- No i co? Do czego zmierzasz? - rzuciłam defensywnym tonem.

Miałam wrażenie, że Daniel niepotrzebnie wywołuje kłopoty. W końcu doprowadziłam do głosowania, które zmieniło cel podróży na Valley. Nasza sytuacja była stabilna. Mieliśmy przed sobą jasno wytyczoną ścieżkę. Dotrzemy nią w porę na miejsce.

- Skoro raz wszedł na drogę przestępstwa, może

uczynić to ponownie - powiedział Daniel.

Przewróciłam oczami.

- Jak to wspaniale, że ty zawsze dokonujesz idealnych wyborów.

- Po prostu martwię się o ciebie. Uważam, że powinnaś być ostrożniejsza.

- Ostrożniejsza co do tego, z kim sypiam?

Daniel wpatrzył się w horyzont.

- Jestem pewien, że wiesz, o co mi chodzi,

- Dzięki, ale potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Nie mówiłem tylko o tobie - rzekł i odwrócił się, żeby odejść.

- A ja mówię, że ten tatuaż niczego nie zmienia - powiedziałam.

Miałam na myśli naszą podróż, ale uświadomiłam sobie, że Daniel uznał, iż chodziło mi o moje uczucie do Abrana.

- To ostatnia herbata - rzucił przez ramię, zanim zniknął w kabinie.

ROZDZIAŁ 26

Wharton okazało się piękniejsze, niż się spodziewałam, z kamiennymi ruinami i małymi krytymi strzechą chatami na zboczu góry, gęstymi jaskrawozielonymi drzewami cyprysowymi oraz śmigającymi po niebie wielobarwnymi ptakami, jakich dotychczas nie widziałam. Te jaskrawe barwy wprost biły w oczy po wytrawionych solą kolorach oglądanych na morzu - bladych błękitach, zieleniach i szarościach oraz wyblakłym brązie dryfujących kawałków drewna.

Nawet ryby w przybrzeżnych wodach Wharton miały jaskrawe kolory. Gdy podpływaliśmy do brzegu, złowiłam lucjany nad zatopionymi lasami namorzynowymi i trawiastymi łąkami. Żółte i pomarańczowe płetwy tych ryb lśniły w promieniach słońca. Pearl powtarzała wciąż: „Jakie ładne!”, kiedy je kroilał.

Razem z Danielem w milczeniu załadowaliśmy wędzone i solone ryby do koszy, skrzynek i wiader. Ostatnio, w miarę zbliżania się do Wharton, wyczuwałam w nim narastające napięcie, odzywał się coraz rzadziej, jego ruchy stały się gwałtowne

i nerwowe. Na pokładzie zaczynał coś mówić, ale urywał i odchodził, kręcąc głową.

Pewnego dnia rzekł do siebie:

- No cóż, chyba się dowiem.

- Czego się dowiesz? - spytałam.

Spojrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, zaskoczony tym, że stoję obok niego, chociaż od pół godziny razem wiązaliśmy wabiki.

Reszta załogi pomogła nam wynieść wszystkie pojemniki z rybami na nabrzeże, a kapitan portu zanotował ich liczbę na małym kawałku pożółkłego papieru, po czym wręczył go nam. Zakręciło mi się w głowie od intensywnego zapachu wędzonych ryb. Miałam już dość codziennego wdychania go, nie mogłam się doczekać, kiedy zejść na ląd i zamówię filiżankę herbaty. Jakiś aromatyczny gatunek. Czułam już woń lawendy i imbiru napływającą od stoiska nieopodal portu.

- *No te llevas la plaga, verdad?* - zapytał kapitan portu, przyglądając się nam bacznie z grymasem na twarzy, a potem popatrzył nad naszymi ramionami na „Sednę”.

- *No, por qué preguntas?* - rzucił Abran.

- *Tuve que desviar un barco esta semana. La mitad de la tripulación negra y podrida* - rzekł kapitan portu.

- Co on mówił? - spytałam Abrana.

- Zapytał, czy nie przywlekliśmy dzumy. Powiedział, że musieli zawrócić jeden statek, bo połowa załogi miała szerniałe i gnijące ciała.

Zanieśliśmy ryby do faktorii, wielkiego kamiennego budynku w pobliżu portu. Głazy, z których go zbudowano, były dziwnie niedopasowane; inne leżały przed nim w stertach, jakby zgromadzono ich więcej, niż potrzeba, a potem resztę porzucono na placu budowy. Przeszyło mnie mrozące krew w żyłach przeczucie, że gdy znajdziemy się wewnątrz, budynek się zawali, grzebiąc nas pod gruzami.

Abran dobijał targu przy ladzie z właścicielem sklepu; najpierw wymienił kilka ryb na tutejsze monety. Żałowałam, że nie znam hiszpańskiego i nie mogę pomóc mu przy transakcji. Marjan powiedziała mi kiedyś, że Abran nie targuje się dostatecznie twardo. Większość miasteczek miała własne waluty, jednak można było nimi płacić tylko na miejscu, ponieważ nie istniało żadne porozumienie określające ich wartość wymienną. Daliśmy po dwie monety każdemu członkowi załogi.

Za ryby dostaliśmy linę i materiał na żagle, świece, drewno oraz tkaninę do uszycia zimowej odzieży. Nie byliśmy pewni, jak zimno będzie w Valley. Wyglądało na to, że w większości miejsc panują średnie temperatury, charakterystyczne dla umiarkowanego klimatu nadmorskiego, ale woleliśmy być

przygotowani na najgorsze. Słyszeliśmy o występujących na północy sztormach nazywanych *chaacans* - przypominających zamiecie śnieżne na morzu, zimowe huragany. Podczas takiego sztormu w morzu wiruje wodny cyklon, a na niebie wicher gna tumany śniegu; woda i śnieg zamarzają na wietrze w lód, który roztrzaskuje się o statki i skały.

W faktorii opróżniliśmy z ryb nasze pojemniki i napełniliśmy je nowymi nabytkami. Zanieśliśmy je na statek, a potem załoga dostała wolne na zwiedzenie miasteczka.

Daniel odwrócił się do mnie i włożył mi w dłoń swoje monety.

- To dla Pearl. Kup jej jakieś ciepłe ubranie. Albo buty. Tam może nie móc uganiać się boso - powiedział.

Próbowałam mu je zwrócić.

- Kupię za moje pieniądze. Czy nie chcesz wybrać się do baru? - zapytałam, myśląc z przyjemnością o filiżance aromatycznej herbaty.

- A zatem kup obie rzeczy - rzucił szorstko i odszedł.

Pearl chciała pójść z Marjan, by obejrzeć stragan z plecionymi koszykami, więc sama wróciłam do faktorii. Po drodze przekraczałam wielkie kałuże. Powietrze było ciężkie od wilgoci jak wełniany płaszcz. Dzieci bawiły się na błotnistych uliczkach,

starzy mężczyźni pchali wózki z ziemniakami albo marchwią, a sprzedawczynie wachlowały się przy swoich straganach.

Te stragany były pełne przedmiotów ze starego i nowego świata, leżących obok siebie. Liny, świece, drewniane miski zrobione z kawałków drewna znalezionych na wierzchołkach gór. Zapalki, noże oraz plastikowe butelki wyłowione z morza podczas migracji.

Popatrzyłam tęsknym wzrokiem na stertę poduszek. Pamiętałam, jak to było budzić się w prawdziwym łóżku z miękkimi poduszkami na sygnał budzika i myć twarz w zaskakująco zimnej bieżącej wodzie z kranu. Najlepiej ze wszystkiego pamiętałam jednak nieruchomą stabilność, to, że powierzchnie nie poruszały się nieustannie.

Z otworów w krytych strzechą dachach unosiły się kłęby dymu. Jakaś kobieta rozwieszała na sznurze pranie. Przez okno jednego z kamiennych domków widziałam inną kobietę ubijającą masło.

W pobliżu portu skupisko większych budynków otaczało miejski dziedziniec, po którym łąziły świnię, kozy i kurczaki trzymane w niewielkich przybudówkach.

Przystanąłam, przyglądając się tym domom. Zbudowano je przed powodziami. Niektóre wzniesiono z cegły, inne miały zewnętrzne

deskowania. Dachy kryte gontem. Jeden budynek był w stylu kolonialnym, z frontowymi kolumnami.

Przypomniałam sobie, że Abran mówił mi o ogrodzonej osadzie leżącej wysoko na górskim zboczu, w której dorastał. Zastanawiałam się, jak by to było wychować się w takich warunkach podczas Stuletniej Powodzi: żadnych obcych na twoim progu, żadnego pilnowania nocami domu ze śrutówką, z obawy, że ktoś mógłby chcieć cię obrabować. Czy mieli kogoś patrolującego wokół ogrodzenia, kto odstraszał obcych i wpuszczał tylko ludzi przybyłych na leczenie? Kto strzegł ich mienia, żeby mogli udzielać porad medycznych, gromadzić zapasy lekarstw?

Zastanawiałam się, kto mieszka w tych domach tutaj - ludzie, którzy dorobili się bogactw przed powodzią czy po nich? Czasami tacy ludzie byli zarazem jednymi i drugimi, bogaczami, którzy podczas katastrofy stali się jeszcze bogatsi, potrafili obrócić ją na swoją korzyść. Pomyślałam o Abranie i bogatych zasobach na „Sednie”. O wszystkich tych półkach pod pokładem pełnych zmagazynowanych dóbr. Wyobraziłam nas sobie z Abranem mieszkających w domu takim jak ten, który miałam przed oczami - ale w Valley, w budynku nowej społeczności. Po jak krótkim czasie wznieśliśmy mury ogradzające dziedziniec, żeby ochronić nasze

mienie?

Jakaś wychudzona dziewczyna wrzucała łopatą gnój do wiadra. W górnej części jej pleców, niezakrytej koszulą, widniały czerwone, obrzękłe ślady po chłóście. Wzdrygnęłam się i pospiesznie poszłam dalej. W większości miast portowych granica między zatrudnianiem służby a niewolnictwem była płynna. Ludzie zgłaszali się do bogatych domów, żeby pracować za jedzenie i dach nad głową, po czym już ich nie opuszczali. No bo dokąd mogli pójść?

W faktorii wędrowałam między półkami, zatrzymując się przy niektórych. Dotknęłam przezroczystego słoika z nalepką „Pasta do zębów”. Od lat nawet nie myślałam o myciu zębów.

Na jednej z półek leżał koc z farbowanej wełny, potarłam w palcach jego grube włókna. Odzież leżała w stertach w beczkach opatrzonych z przodu etykietkami informującymi klienta o ich zawartości: „Kobiety, swetry” albo „Mężczyźni, skarpety”. Zaczęłam szperać w tych beczkach, szukając swetrów i spodni, które pasowałyby na Pearl. Wyrosła z większości ubrań, które teraz nosiła, nogawki jej spodni sięgały powyżej kostek. W niektórych miasteczkach byli tkacze i szwaczki szyjący nową odzież, jednak przeważnie nadal chodziliśmy w ubraniach zachowanych z czasów sprzed powodzi.

Właścicielka sklepu wyszła zza lady i podeszła do mnie.

- Płyniesz na północ? - spytała z silnym akcentem.

- Tak - odrzekłam.

- Mamy więcej rzeczy na zapleczu. Tędy. - Podreptała między zapchanymi półkami w głąb pomieszczenia, gdzie piętrzyły się sterty koców, butów i płaszczy.

- Dokąd na północy? - chciała wiedzieć.

Czarne włosy nosiła związane w ciasny kok na karku. Wlokła się jak zółw, ale miała bystrą twarz ze ściągniętymi ustami i nieznacznie uniesionymi brwiami.

Zawahałam się. Zwykle nie zdradzałam, dokąd się wybieram. Nie lubiłam wyjawiać moich tras podróży. Ale faktorie to najlepsze miejsca do zasięgnięcia języka.

- Płyniemy do Valley w...

- Och - przerwała mi właścicielka. - Wiecie o tej epidemii, prawda? Właściwie przypuszczam, że już wygasła.

Odłożyłam trzymany w rękach koc z powrotem na półkę.

- Epidemii?

- Podobno Valley zaatakowali jacyś piraci. Osada jest dobrze ufortyfikowana i niełatwo ją zdobyć. Napastnicy postanowili więc zawładnąć nią w inny

sposób. Wrzucili do miejscowej studni zwłoki człowieka, który zmarł na dżumę. Ta plaga powróciła. – Kobieta zamknęła oczy i potrząsnęła głową. – Czarna śmierć. Co tu mówić o postępie? Sądziliśmy, że udało się nam pokonać wszystkie zarazy, a oto dżuma znów zbiera śmiertelne żniwo.

Kurczowo uchwyciłam się półki.

– Kiedy? Kiedy to się zdarzyło?

– Hm... jakieś dwa, może trzy miesiące temu. Upłynęło już trochę czasu. Kiedy piraci zarazili mieszkańców dżumą, która uśmierciła połowę ludności, podporządkowali sobie resztę i uczynili z osady swoją kolonię.

– Upadli Opaci – rzekłam cicho.

– Och, więc już o tym wiedziałaś. Dlaczego w takim razie tam płyniecie? – spytała, po czym odwróciła się i ustawiła równiej parę butów.

Nie odpowiedziałam. Przez głowę gorączkowo przelatywały mi myśli. Byłam tak pochłonięta próbami znalezienia sposobu dotarcia do Valley, że w ogóle nie zastanawiałam się nad tym, jak ta osada stała się kolonią. Wiedziałam wprawdzie, że coraz powszechniej stosuje się broń biologiczną, jednak nie chciałam o tym rozmyślać. Teraz zadreślałam się rozważaniem, co właściwie może dziać się w Valley.

Czy Row w ogóle przeżyła epidemię? „Nie sądziłem, że ona przetrwa”. Czy nie tak właśnie

powiedział tamten pirat, którego zabiłam? Dał do zrozumienia, że będzie więziona, dopóki nie osiągnie odpowiedniego wieku, by zostać przeniesiona na statek reprodukcyjny. A zatem musiała przeżyć epidemię. Chyba że ta epidemia jeszcze się nie skończyła. Czy będzie trwać, kiedy dopłyniemy do Valley?

Przetrząsałam umysł, usiłując sobie przypomnieć, co słyszałam o broni biologicznej i epidemiach. Czy gryzonie nadal roznoszą dzumę, nawet gdy, jak się zdawało, zniknęła na zawsze? Czy my, którzy jeszcze nie zostaliśmy zarażeni, będziemy na nią bardziej podatni, kiedy wylądujemy w Valley?

Dotychczas niepokoiłam się perspektywą śmierci głodowej, sztormami, piratami, ale nie poświęciłam nawet chwili na zastanowienie się nad chorobami. Nad tym, jak szybko mogą uśmiercić całą osadę. Nie myślałam o chorobach, ponieważ byłam wobec nich bardziej bezradna niż wobec tamtych innych zagrożeń.

Możesz trzymać chore dziecko za rękę, ale nie jesteś w stanie zrobić nic więcej, pomyślałam.

Nie zdołasz uchronić dzieci przed wszystkim.

Nie udało ci się ochronić Row przed ojcem.

Być może to on chronił córkę, odbierając mi ją.

- Dobrze się czujesz? - spytała właścicielka sklepu.

- Hm? - mruknęłam.

- Wyglądasz blado - powiedziała.

- Czy dżuma nadal tam panuje? - zapytałam.

- No cóż, z pewnością do tego czasu już zabito deskami tę studnię i spalono trupy. Ale nigdy nie wiadomo. Mogły ją roznieść pchły. W niektórych miejscowościach całkiem skutecznie zwalczono tę zarazę. Łatwiej to zrobić na odizolowanych wyspach, zwłaszcza takich, które nie utrzymują zbyt ożywionych kontaktów z resztą świata. Jednak musieliśmy poddać kwarantannie kogoś, kto przybył z Errons na północy, gdzie wybuchła epidemia dżumy. Przez pewien czas trzymaliśmy go na obserwacji, na wszelki wypadek.

Dotknęłam pary butów z owczej skóry stojących na półce. Pasowałyby na Pearl. Pomyślałam, że płynąc do Valley, narażę Pearl na dżumę, a jeśli tam nie popłynę, skażę Row na życie na statku reprodukcyjnym.

Nawet nie przypuszczałam, że będę musiała wybierać pomiędzy nimi dwiema. Przed ich urodzeniem rzadko stawałam przed trudnymi wyborami. Moje życie przypominało raczej rozległą otwartą przestrzeń, a ja czekałam, by coś pojawiło się na horyzoncie, żebym mogła zacząć naprawdę żyć. W świecie zmieniającym się tak szybko trudno mieć ambicje czy snuć plany. Gdy powodzie stawały się coraz groźniejsze, życie płynęło wartko, a zarazem

popadało w stagnację. Zamknięto szkoły, więc porzuciłam naukę i już jej nie wznowiłam. Ludzie nie dążyli, jak dawniej, do robienia karier, nie układali życiowych planów. Łapali wiewiórki w pułapki na podwórzach za domami i włamywali się do sklepów ogólnospożywczych. Tak więc miałam się dorywczych prac - w fabrykach, na farmach, ranczach. Sprzątałam pokoje hotelowe i zbierałam kukurydzę z pól. Zajmowałam się czymkolwiek, byle móc włożyć w coś ręce. Nie wyprowadziłam się z domu rodziców, aby szukać własnego lokum, nikt tak nie robił. Kilka pokoleń mieszkało pod jednym dachem, pomagając sobie nawzajem przetrwać, a miasta pęczniały od tłumów migrantów, by w ciągu kilku miesięcy obumrzeć i zmienić się w miasta widma.

Ale potem przyszła na świat Row, a moje życie nagle nabrało sensu. Gdy pierwszy raz trzymałam ją w ramionach, doświadczyłam nieoczekiwanej zmiany perspektywy. Mogłam ujrzeć swoje życie z dystansu, a zarazem głębiej w nim osiąść, jakby wszystko, co dotąd mi się przydarzyło, stanowiło jedynie wstęp, przygotowanie.

Row nauczyła mnie bardzo ważnej rzeczy: nie ma powrotu do przeszłości. Nie istniało żadne „później”, żadne „zaczekajmy, coś wymyślimy”. Była tylko terażniejszość: rączki córeczki przy mojej skórze, zawodzenia rozbrzmiewające w pokoju, ciało, które

trzeba ukołysać. Wyłącznie ruch naprzód,
w przyszłość.

Na północy będzie zimno, pomyślałam. I kupiłam
buty dla Pearl.

ROZDZIAŁ 27

Pierwsze, co musiałam zrobić, to przekonać Abrana, żebyśmy po drodze do Valley zatrzymali się w miejscu, w którym jego dawna załoga ukryła lekarstwa. Gdyby w osadzie nadal panowała dżuma, będziemy potrzebowali jakichś środków ochrony. Nie zamierzałam popłynąć do Valley i patrzeć bezradnie, jak Pearl umiera wskutek choroby, która zżera ją od środka.

Znalazłam Abrana w barze, ale był tak pijany, że bełkotał i chwiał się na nogach. Wyszłam stamtąd, nie przekazawszy mu wiadomości o dżumie w Valley. Będę musiała nakłonić go później, kiedy wytrzeźwieje.

Gdy stałam na ulicy przed barem, ogarnęło mnie nieodparte pragnienie, by się zwierzyć, podzielić się z kimś tym brzemieniem. Daniel, pomyślałam. Mogłabym wyjawić mu plan zdobycia lekarstw i poprosić go o pomoc.

Najpierw odszukałam Pearl. Znalazłam ją w lesie namorzynowym; siedziała oparta plecami o pień cyprysu, z nogami podwiniętymi pod siebie, strugając kawałek drewna. Obok leżało na kamieniu pięć

martwych węży. Dzbanek, w którym je trzymała, był wciśnięty w wysoką trawę. Podeszłam do niej, omijając paprocie i przekraczając zwalone konary. Strugała z gałęzi cyprysu ptaka. Przykucnęłam i objęłam ją.

- Hej, uważaj! Nie rozgnieć ich - powiedziała, wskazując martwe węże na kamieniu.

Pamiętałam, kiedy pierwszy raz schwytała węża. Miała pięć lat, obie nurkowałyśmy, a ja polowałam z harpunem na ryby. Gdy do niej podpłynęłam, młóciła nogami wodę, trzymając maleńkiego węża. Jedną dłoń ścisnęła go tuż za łbem, a drugą obejmowała tułów. Wąż leżał bezwładnie w jej rękach.

- Pearl, to nie jest ryba. Łapiemy tylko ryby - powiedziałam nerwowo. - Skąd wiedziałas, że trzeba go chwycić za łbem?

Spojrzała na mnie jak na głupią.

- Widziałam, że ma zęby.

Później złapała w wodzie jeszcze kilka węży. Głaskała je, nazywała swoimi dzieciątkami. Kiedy byłyśmy na łodzi, wypatrywała ich jamy i tropiła je albo wywabiała z kryjówek żabimi udkami. Chwytała głównie młode, niewielkie osobniki, a ja pozwalałam jej bawić się z nimi przez krótki czas, a potem przyrządzałam z nich posiłki. Karmiłyśmy węże okrawkami ryb, żabami, owadami albo małymi

myszami.

Kiedy łapała je na łądzie, ostrzegałam ją, że nie wiem, czy nie istnieje prawo zabraniające polowania na węże.

- Prawo, prawo, prawo - śpiewała w odpowiedzi, gładząc któregoś.

W większości miasteczek węży było zbyt wiele, mimo to mieszkańcy chcieli mieć je w okolicy, bo ograniczały liczbę chorych gryzoni. Szczury zdawały się wiedzieć wcześniej od nas o zbliżaniu się fal powodziowych, czmychały w góry i wykopywały tam sobie nowe nory. Kiedyś kobieta w barze powiedziała mi, że pewnego ranka podczas Sześćioletniej Powodzi zobaczyła stado szczurów wspinających się na górskie zbocze. Ich brązowe futra lśniły w słońcu, gdy szczury pomykały po kamieniach i przez zwalone drzewa.

Niektórzy ludzie trzymają węże na łodziach, żeby polowały na myszy. Wolą węże cienkie i długie, które nie są jadowite. W portach rozprowadza się pisane ręcznie poradniki dotyczące jadowitych węży, aby ostrzec ludzi, których unikać.

- One są w gruncie rzeczy czystsze niż koty - powiedział mi jakiś mężczyzna w porcie.

- Koty? - zapytała Pearl.

- Widziałaś raz jednego w Harjo - przypomniałam jej.

Wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam. Widocznie wyglądał nudnie.

Stale obawiałam się, że zostanie ukąszona przez węża. Ale wiedziałam też, że umie się z nimi obchodzić, a poza tym chwytane przez nią gady były nie tylko rozrywką dla niej, lecz stanowiły źródło pożywienia. A ona potrzebowała jednego i drugiego. Tak więc zmusiłam ją, żeby przestudiowała poradnik i unikała jadowitych węży. Przyrzekła mi to, jednak wiedziałam, jak bardzo lubi łamać zakazy.

Teraz wyciągnęłam rękę, odgarnęłam jej włosy z twarzy, a ona pacnięciem odtrąciła moją dłoń.

- Gdzie jest Daniel? - spytałam.

Wskazała na wschód. Daniel stał po kostki w wodzie kilka metrów od nas, zasłonięty przez cyprysy i cedry o pniach pokrytych porostami i grzybami. Przez ramię miał przewieszoną niewielką torbę pełną grzybów.

- To dla mojej siostry - oznajmiła Pearl, kładąc mi na dłoni wystruganego ptaka o krótkich, pomarszczonych niczym rybie płetwy skrzydłach.

- Twoja siostra lubiła ptaki - powiedziałam.

Przez twarz Pearl przemknął wyraz zrozumienia i radości, lecz zaraz zniknął.

- Wiem - rzekła.

Pomyślałam o Row w Valley żyjącej pośród zadżumionych. Wyobraziłam ją sobie leżącą gdzieś

w łóżku, z czyrakami na nadgarstkach, z poczerwiałymi paznokciami, oddychając ciężko i urywanie. Kiedy w dzieciństwie była chora, lubiła, żebym uszczypnęła kolejno każdy palec. Delikatnie odgarniałam włosy z jej czoła wilgotnego od potu i ścisnęłam drobny paluszek między kciukiem a palcem wskazującym, po czym go puszczałam. Obserwowałyśmy, jak krew napływa z powrotem do czubka palca. Mawiała, że „wyciskam” jej palce, a mnie przywodziło to na myśl odciskanie pieczętki przypominające nam, że Row zostanie przy mnie.

Uniosłam pokrywkę dzbanka Pearl. W środku liczne węże zaczęły wpełzać jedne na drugie, usiłując wysunąć łby ponad brzeg dzbanka ku słońcu. Zatrzasnęłam z powrotem pokrywkę.

- Pearl, ile ich tam masz?

Wzruszyła ramionami.

- Sześć? Trudno je policzyć - odparła i uśmiechnęła się do mnie przebiegle.

- Miałaś trzymać tylko jednego czy dwa. Potrzebujemy ich na dzisiejszą kolację.

- Zjemy ryby.

- Nie. Większość ryb wymieniliśmy na towary. Jesteśmy w porcie, pamiętasz?

- Dlaczego nie złowiłaś więcej? - zapytała i zmierzyła mnie oskarżycielskim spojrzeniem. - Jest tam jeden jadowity.

- Pearl, wyjmij go i odetnij mu łeb.

Znowu wzruszyła ramionami.

- Ty to zrób.

- Pearl! - rzuciłam surowo.

Nie potrafiłam obchodzić się z węzami tak wprawnie jak ona. Poczułam, że poczerwieniałam z gniewu. Otarłam przedramieniem pot z czoła.

Podniosła pokrywkę, szybko wsadziła rękę do środka i niemal natychmiast ją wyjęła, trzymając mocno węza tuż za łbem. W jego otwartej paszczy widać było zęby jadowe i wysunięty jęczyczek. Umieściła jego łeb u rozłożystej podstawy cyprysu i odcięła. Chichocząc, podsunęła mi go pod oczy.

- Mniam, mniam, mniam - powiedziała i potrząsnęła łbem węza tak, że zęby jadowe kłapnęły.

- Powinnaś go zakopać, żeby ktoś na niego nie nadepnął.

Zaczęła obdzierać węza ze skóry. Chwyciłam ją za rękę. Miała głębokie rozcięcie pośrodku palca wskazującego, jaskrawoczerwone i pokryte strupem.

- Skąd to masz?

Wyrwała rękę z mojej dłoni.

- To nic takiego - rzekła.

- Powiadom mnie, jeśli zacznie cię boleć albo jeszcze bardziej szcerwienieje - powiedziałam.

Nerwy miałam już napięte jak postronki. Nawet

najmniejsze rozcięcie mogło spowodować zakażenie, a jeśli wda się posocznica, niewiele można będzie poradzić.

Pocałowałam Pearl w czubek głowy, a ona wywinęła mi się, jednak gdy po chwili odwróciłam się, żeby się oddalić, spytała z nutą smutku w głosie:

- Odchodzisz?

Powiedziałam, że zaraz wrócę, i okrążyłam drzewo cyprysowe. Dotknęłam pnia, poczułam dłonią gładkość kory. Pomiedzy pniami drzew przenikało światło słońca, delikatne i przyćmione w porównaniu z jaskrawym blaskiem na pełnym morzu. U moich stóp mały żółw zanurkował do ciemnej wody.

- Sądziłem, że pijesz w barze z resztą załogi - rzekł Daniel na mój widok.

A ja sądziłam, że rozmawiasz gdzieś z jakimś podejrzanym typem, pomyślałam.

Ruszyłam ku niemu, brodząc w wodzie, palce stóp zanurzały się w błotniste dno. Wokół nas tętniło zbyt wiele życia; miałam wrażenie, że mnie przytłoczy. Między drzewami śmigają ptaki; węże wślizgiwały się do moczarów; na wodzie unosiły się wodne lilie wystawiające twarze do słońca świecącego spoza gałęzi. Miodowa woń kwiatów i traw mieszała się z zapachem butwiejącego drewna, nadając temu miejscu aurę czegoś słodkiego i na wpół zgniłego.

Stałam naprzeciw Daniela i ogarnęła mnie

niepewność. Lepiej powiedzieć to szybko, pomyślałam.

- W Valley była epidemia - oznajmiłam, przyglądając się, jak Daniel odrywa grzyb od pnia drzewa.

Opowiedziałam mu o tym, co usłyszałam w faktorii. Staralam się zachować opanowany wyraz twarzy, ale czułam, że drgają mi kąciuki ust. Między szyją a barkiem Daniela było zagłębienie pogrążone w cieniu. Zapragnęłam wtulić w nie twarz. Wdychać zapach Daniela, odprężyć się.

Brodząc w wodzie, okrążył niewielkie drzewo i kilka krzaków. Dotarł do mnie, ujął za ramiona i przyciągnął do siebie. Przytuliłam głowę do jego piersi. Pachniał już kwiatami i roślinami; gdy musnęłam ustami jego szyję, nie poczułam smaku soli. Zaskoczyło mnie, o ile lepiej się poczułam, gdy tylko znalazłam się w jego ramionach.

Dotknął dłonią moich włosów. Przełknął, poczułam przy czole ruch jego grdyki. Wyczułam, że chce powiedzieć coś ważnego, ale milczał jeszcze przez chwilę, a potem oderwaliśmy się od siebie.

- Zamierzasz poinformować o tym Abrana? - zapytał i wetknął mi za ucho pasmo włosów.

Popatrzyłam na niego niepewnie. Jeszcze nie zdecydowałam, ile chcę wyjawić Abranowi, ale miałam niepokojące przeczucie, że będę musiała

powiedzieć mu wszystko - nie tylko o epidemii, lecz także o tym, że Valley jest kolonią - aby namówić go na zabranie lekarstw z pirackiej kryjówki. Ale reszta załogi nie może się o tym dowiedzieć. Chciałam omówić to tylko z Abranem.

- Dawna załoga Abrana ma lekarstwa ukryte niedaleko na północ stąd - oznajmiłam. - To jest nam po drodze.

Daniel cofnął się ode mnie o krok, odgarnął włosy z oczu. Zaklął i spojrzał w niebo.

- Lepiej nawet nie zbliżać się do miejsc, w których piraci ukrywają łupy - powiedział.

- Wiem, ale...

- Jeśli ta epidemia wybuchła przed kilkoma miesiącami... - Urwał i spuścił wzrok na ciemną wodę.

- W takim razie Row już nie żyje. Czy to zamierzałeś powiedzieć?

- Dysponujesz tylko hipotezami. Do tego czasu epidemia już wygasła.

- Może tak, a może nie. Nie byliśmy na nią narażeni, więc nie zyskaliśmy odporności. Poza tym ile czasu minie, zanim jacyś inni piraci użyją broni biologicznej? Rzecz w tym, że mamy w zasięgu ręki środki zapobiegawcze - powiedziałam.

Daniel zacisnął szczęki i popatrzył ponad moczarami na mech zwisający z konarów drzew,

kołyszący się na lekkim wietrzyku.

- Za każdym razem, gdy odwracamy się od siebie, obawiam się, że mnie zostawisz - wyznałam.

Uświadomiłam sobie, że właśnie dlatego przyszłam do Daniela. Chciałam uwolnić się od wrażenia, że jeśli się odwrócę, on zniknie.

Daniel przyglądał się ptakowi frunącemu między drzewami. Coś rozważał; szczeka mu drgała. Dotknęłam jego ramienia.

- Wesprzesz mnie w tej sprawie? - zapytałam.

Spojrzał na mnie, w jego szarych oczach widniały czułość i rezerwa, jakby przypominał sobie coś, o czym zapomniał. Wtem coś w nich zamigotało, a on podszedł i wziął mnie za rękę. Poczułam się, jakbym po raz pierwszy mogła odetchnąć swobodnie w tym gęstym powietrzu. Wciągnęłam je głęboko do płuc, a potem wypuściłam.

- Pomogę ci dotrzeć do córki - oświadczył. - Przymierzam ci to i że cię już nie opuszczę.

ROZDZIAŁ 28

Gdy wracałam do miasteczka, zaczęło się ściemniać. Potrzebowałam drinka, więc skierowałam się do baru w pobliżu portu, przytulonego do zbocza góry.

W porcie stał na kotwicy wielki statek, a po nabrzeżu szło kilku mężczyzn pędzących przed sobą grupkę dziewczyn. Jedna z nich, wyglądająca na mniej niż czternaście lat, miała brzuch zaokrąglony ciążą. Krótko obcięte włosy okalały jej twarz, a na skroni miała wypaloną literę T; ta wypuczona różowa blizna połyskiwała w nikłym świetle zmierzchu.

- No, jazda - rzucił do dziewczyn jeden z mężczyzn i smagnął je po nogach skórzanym paskiem.

Poszłam szybko wzdłuż skalnej ściany. Gdy skręciłam za załom, ścieżka odchyliła się w kierunku morza. Za budynkiem baru, wysoko na górskim zboczu stały chałupy i namioty, w kilku paliły się lampy naftowe. Opadał stamtąd ku morzu cichy szmer wieczornych rozmów mieszkańców.

Wśliznęłam się do baru, ruszyłam prosto do kontuaru i wychyliłam szklaneczkę whisky. W ciasnej sali unosił się gęsty dym tytoniowy, w którym lampy i świece świeciły słabym, zamglonym blaskiem.

Między drewnianymi deskami ścian były szpary, przez które wpadało mdłe światło zmierzchu.

Ktoś klepnął mnie lekko w ramię. Odwróciłam się i ujrzałam Behira.

- Wyglądasz blado - zauważył.

Przecząco pokręciłam głową, a potem powiedziałam mu, co zobaczyłam na przystani. Podczas gdy piraci mogli odbierać długi w różnych nadmorskich miejscowościach, biorąc ludzi w niewolę, w zatoczkach i przesmykach tuż przy portach handlowych odbywały się regularne targi niewolników.

Behir przytaknął.

- Wharton jest obecnie bazą piratów. Opodatkowali nawet wody wokół portów. Ci rybacy przez całą noc nie rozmawiają o niczym innym - rzekł, wskazując grupę ciemnoskórych mężczyzn siedzących za nami przy sąsiednim stole.

- Z której bandy pirackiej? - zapytałam.

Behir wzruszył ramionami.

- Upadłych Opatów. Rejon Karaibów to ich bastion, mają tutaj bazy, kolonie, co tylko chcesz. W tym barze przez całą noc mówi się o podatkach, publicznych chłostach, handlu niewolnikami. - Potrząsnął głową, na jego młodzieńczej twarzy malował się niepokój. - Dlatego cieszę się, że nie próbujemy się osiedlić w którymś z miast portowych.

Tego chciała mama, ale wciąż jej powtarzałem, że nigdy nie wiadomo, czy dany port nie jest już bazą piratów, czy całkowicie go nie kontrolują. Nie wiedzieliśmy, jak zmieniła się sytuacja w Wharton, dopóki tu nie przybyliśmy.

Nerwowy skurcz ścisnął mi żołądek i poczułam przemożną chęć wyjawienia Behirowi, że Valley jest już kolonią.

Zamówiłam następną whisky. Wypiłam ją szybko, więc zapiekła mnie w przetyku. Przez chwilę oboje milczeliśmy. Przyglądałam się przez szpary w ścianach gasnącemu światłu zmierzchu. Behir przysłuchiwał się uważnie rozmowie siedzących za nami mężczyzn. Nie potrafiłam rozpoznać języka, w jakim mówili.

- Po jakiemu oni...?

- To hindi - wyjaśnił. - Mama uparła się, żebym się go nauczył, twierdziła, że mi się przyda. - Przewrócił oczami. - Ona zawsze ma rację.

Nachylił się bliżej ku mnie i wyszeptał mi do ucha:

- Widziałaś te duże domy w pobliżu portu? Podobno człowiek, który mieszkał w jednym z nich, dawniej makler giełdowy czy ktoś taki, był odlegle spokrewniony z rodziną, która założyła bandę Upadłych Opatów. Tak więc oni przybyli tutaj, by zawrzeć układ. Uzgodniono, że Upadli Opaci mogą uczynić to miejsce swoją bazą pod warunkiem, że

będą dzielili się z Wharton tym, co zrabują w innych miejscowościach. Aby wspomóc rozwój lokalnej społeczności, jak to ujęto. Poza tym Wharton dostaje od Upadłych Opatów darmową ochronę przed innymi pirackimi bandami.

Behir przerwał i uważniej wsłuchał się w rozmowę tamtych mężczyzn.

- Tutejsi urzędnicy państwowi nie stracili swoich posiadłości; zachowali władzę i nadal ją sprawują - podjął.

- Wygląda na to, że w Wharton panuje pewnego rodzaju demokracja, co rok odbywają się wybory. Ale szerzy się tu korupcja.

Pokręciłam głową i znów umilkliśmy, obracaliśmy szklanki na białym blacie. Obok nas dwie kobiety spierały się o powodzenie.

- Oszczędziły nas. Wciąż tu żyjemy - powiedziała pierwsza.

- Chciały nas wygubić - odparowała druga.

- Zniszczyły wszystko, żebyśmy mogli to odbudować.

- Niczego nie odbudujemy. Wymrzemy.

- No cóż, Bóg nas ocali.

- Jeżeli jest jakiś bóg, ma inną koncepcję boskości niż my.

Zorientowałam się, że Behir też ich słucha, okręcając swoją szklankę na kontuarze przed nami. Wyglądał tak młodo. Zapragnęłam go pocieszyć, ale

nie wiedziałam jak.

- Pamiętasz, jak widzieliśmy tamtego ptaka? - spytał, przerywając moje rozmyślenia.

- Ptaka?

- Wypuszczonego z klatki na tamtym pirackim statku.

Skinęłam głową.

- Później zapytałam o to Abrana. Powiedział, że piraci wykorzystują obecnie gołębie pocztowe do powiadamiania innych statków albo portów o każdym rabunku czy podboju.

To uderzyło mnie niczym fala i zachwiałam się na stołku. Czy kolonia w Valley mogłaby wysłać wiadomość do reszty Upadłych Opatów, zanim zabijemy pozostawionych tam strażników? Czy Upadli Opaci wrócą, zanim zdołamy zorganizować obronę?

Behir potrząsnął głową i mówił dalej.

- Widocznie uczą je latania pomiędzy ich statkami. Abran mówił, że zestrzeliwują te gołębie nad obcymi statkami, żeby na nich nie wylądowały. Gołębie nie rozpoznają tego, że statek nie należy do floty pirackiej, robią się zdezorientowane. Piraci nazywają to „zrzucaniem wiadomości”. - Behir przerwał i potarł kciukiem szklanę. - Skoro mają taki system komunikacji, będzie nam o wiele trudniej ukryć się przed nimi...

Głos niemal mu się załamał. Ujęłam jego dłoń.

- Nie musimy przed nikim się ukrywać - powiedziałam, tłumiąc własne obawy.

Wzięłam głęboki wdech i przybrałam spokojny, opanowany wyraz twarzy, jakiego często używałam wobec Pearl. Jeszcze raz ścisnęłam dłoń Behira.

- Nie będziemy musieli się ukrywać, ponieważ ufortyfikujemy Valley.

Zaskoczyło mnie, że wierzę w to, co powiedziałam. Ujrzałam to teraz oczami wyobraźni - jak wszyscy pracujemy razem, by stworzyć coś wartościowego. Wizja Abrana była zaraźliwa. Chociaż sądziłam, że uważam ją za naiwnie idealistyczną, okazało się, że w głębi duszy marzyłam o tym, co usiłował osiągnąć.

Behir przytaknął i uśmiechnął się do mnie.

- Masz rację - rzekł. Dopił napój ze szklanki; doleciał mnie zapach jagód dzikiego bzu i kory. - Chyba wrócę na statek. Prawie wszyscy już tam są.

Kiwnęłam głową.

- Wkrótce też przyjdę - powiedziałam.

Zapragnęłam nagle zostać sama. Jakbym przekroczyła jakąś barierę, a teraz chciała znów za nią wrócić.

- Omal bym zapomniał. - Behir wyjął z kieszeni parę małych rękawiczek z wężowej skóry i położył przede mną na blacie. - Kupiłem je dla Pearl. Przydadzą się na północy. Ona... przypomina mi

siostrzyczkę. Chyba po prostu chciałem, żeby miała coś ładnego.

Dotknęłam ich czubkami palców. Skóra była zaskakująco miękka.

- Dziękuję - powiedziałam.

Gdy Behir wychodził z baru, pomyślałam, że ci ludzie zasługują na to, by się dowiedzieć, w co się pakują. Odsunęłam rękawiczki i wsparłam głowę na rękach.

ROZDZIAŁ 29

Tej nocy poszłam ciemnym korytarzem do kajuty Abrana. W ciągu minionych kilku tygodni nadal go odwiedzałam, jednak rzadziej i bez uprzedzenia. Wydawał się tak pochłonięty żeglowaniem przez te nieznane wody, że już nie należało, abyśmy powiedzieli o nas załodze. Zaczynałam myśleć, że potrafiłabym bez żalu zrezygnować z tych nocnych wizyt. Jednak było to jedyne prywatne miejsce, w którym mogłam próbować przekonać go do zabrania ukrytych lekarstw.

Stałam przed jego drzwiami i uniosłam rękę, żeby zapukać. Kostki dłoni odcinały się jasno od ciemnego drewna. Przypomniałam sobie Daniela w lesie namorzynowym, to, jak jego zarost na brodzie otarł się o moje czoło, gdy przytuliłam głowę do jego piersi.

Abran otworzył, a ja poczułam w jego oddechu whisky. Ostrożnie zamknął za mną drzwi, uważając, żeby nie narobić hałasu. Nawet poruszał się ostrożnie, gdy wracał do łóżka, oglądał się na mnie przez ramię, jakbym była kimś obcym.

Na skrzynce służącej za nocny stolik stała

opróżniona w połowie butelka whisky, przechylona w prawo na nierównej powierzchni. Nie był to ten dzban, który trzymaliśmy w magazynie i przynosiliśmy na górę do kabiny, gdy coś świętowaliśmy. Być może kupił tę flaszkę w Wharton za swoje dwie dodatkowe monety. Nie chciałam nawet rozważać ewentualności, że kantował nas przy transakcjach, wykorzystując lewą kasę do kupowania sobie alkoholu.

- Będziesz musiał trochę zwolnić tempo, jeśli ta butelka ma przetrwać rejs przez Atlantyk - powiedziałam, starając się przybrać kpiący, żartobliwy ton, jednak do mojego głosu wkradła się nuta irytacji.

- Miejmy nadzieję, że wszyscy przetrwamy ten rejs - rzucił, po czym opadł na plecy na łóżko i zasłonił dłonią oczy.

- O co chodzi? - spytałam.

Zachowanie Abrana mnie niepokoiło. Nie zdołam go przekonać do zabrania lekarstw, jeśli już teraz był przygnębiony i pełen obaw. W jego ciasnej kabinie cuchnęło potem i gorzałą, atmosferą przewracania się na łóżku w bezsenne noce, gdy fale rozbijały się o burty statku.

- Wharton było ulubionym miasteczkiem handlowym mojego brata. Myślę, że przypominało mu rodzinne strony - wyjaśnił.

Usiadł w łóżku, pionowa zmarszczka przecinała mu czoło, mocno zaciskał usta. Wyczułam, że jest na skraju załamania, ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Potem z jego twarzy spęzło napięcie, gdy zaczął szlochać i wsparł czoło na rękach.

Usiadłam przy nim, objęłam go, gładziłam po plecach i szeptałam mu we włosy:

- Już dobrze, już dobrze.

Po chwili odsunął się ode mnie.

- To moja wina.

Przecząco pokręciłam głową.

- Wcale nie.

- Owszem. To był nasz wspólny plan, ale... - Abran rozejrzał się wokół, oszołomiony i zagubiony. - Chcieliśmy ukraść ich zapasy, gdy statek cumował w porcie, a załoga przebywała na brzegu, chlając i szukając dziwek. To było zaledwie kilka kilometrów stąd. Zamierzaliśmy ukryć te skradzione zapasy na zboczach góry. Obmyśliliśmy, że dla zmyłki spuścimy na wodę jedną z łódek statku, żeby podryfowała z prądem, a kiedy załoga wróci, popłynie za nią.

Ucichł i przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywało. Nocne morze zdawało się otaczać nas murem hałasu, uderzało z hukiem o drewniane burty, aż cały statek trzeszczał. Potem Abran podjął opowieść:

- Jonas wrócił na statek uwolnić niewolnika

więzionego pod pokładem. Pokłóciliśmy się o to. Chciałem odwieść go od tego pomysłu. Ten człowiek był... był już w kiepskim stanie, a udzielenie mu pomocy mogło narazić nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ale Jonas zszedł po niego, podczas gdy ja spuściłem łódź i odciąłem linę. Następnie wróciłem na zbocze góry, ukryłem się, czekając, aż Jonas do mnie dołączy. Ale nagle rozległy się krzyki. Ten niewolnik wrzeszczał, kłął i zaatakował mojego brata. Przypuszczalnie uznał, że Jonas chce go uśmiercić czy coś w tym rodzaju. Nie potrafił pojąć, że Jonas przyszedł go uwolnić. Potem zapadła cisza. Pomyślałem, że brat ogłuszył gościa, by go uciszyć. Już miałem wyjść z ukrycia i wrócić na pokład, gdy zobaczyłem kilku członków naszej załogi idących nabrzeżem w kierunku statku.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Patrzyłem i w duchu wołałem do Jonasa: „Uciekaj, uciekaj!”. Nie wiedziałem, czy wciąż jest na statku, czy może się wymknął. Było ciemno, nie widziałem. W końcu dwóch ludzi wywlekło go na pokład - chyba był nieprzytomny, widocznie to ten niewolnik go ogłuszył. Jeden przełożył Jonasa przez nadburcie, a drugi odrąbał mu głowę. Potem zepchnęli go do morza.

Przeniknęło mnie dreszczem echo jego żalu. Nic dziwnego, że Abran był równie zdeterminowany, jak

przerażony, pomyślałam. Ujęłam go za nadgarstki, odsunęłam mu ręce od twarzy i włożyłam moją dłoń w jego.

- Nie mogłeś temu zapobiec.

- Mogłem. - Cofnął rękę. - Teraz to już bez znaczenia. Nic teraz nie ma znaczenia.

Poczułam, że mi się wymyka, więc chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam nim.

- Abran, przestań. Los całej załogi zależy od ciebie. Mamy się czym martwić tu i teraz.

Powtórzyłam mu to, co usłyszałam od właścicielki sklepu w Wharton, nie tylko o epidemii, lecz również o tym, że Upadli Opaci użyli broni biologicznej i uczynili z Valley kolonię. Cała zeszywniałam. Przestraszyłam się, bo miałam wrażenie, że język dosłownie stanął mi kołkiem, jakby był kawałkiem metalu, którego nie mogę połknąć. Nie istniało żadne inne miejsce, do którego moglibyśmy popłynąć. On nie może już zmienić naszej trasy, powiedziałam sobie.

Słuchał mnie ponuro, nie widziałam na jego twarzy szoku ani niepokoju.

- Słyszałem o tym. Broń biologiczna.

Gdy to mówił, wstrzymałam oddech, a teraz szybko wypuściłam powietrze z płuc. Odchyliłam się do tyłu, przyglądając się Abranowi. Znów przypominał mi Jacoba, kiedy tak siedział zgarbiony, przygnębiony

i apatyczny. Ilekroć pojawiały się problemy, Jacob się wycofywał, zamykał w sobie.

- Mógłbyś stracić wszystko, nad czym pracowałeś - odezwałam się ostrożnie.

- Zawsze coś będzie - odparł, sięgając po butelkę na stole.

Wypił łyk, a ja pohamowałam chęć chwycenia tej flaszki i ciśnięcia o ścianę. W moich żyłach kipiała adrenalina. To było dla niego zanadto abstrakcyjne. Czy utracił zbyt wiele, by jeszcze cokolwiek go obchodziło? Czy to, co się teraz z nim działo, było tylko przelotnym epizodem, który minie, czy może poznawałam inną twarz Abrana, jakiej dotychczas nie widziałam?

- Czy wiedziałaś już wcześniej? O tym, że Valley jest kolonią? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - skłamałam. - Ale nie jest bazą piratów. Nie czymś takim, czym stało się Wharton. To tylko kolonia. Pozostawili tam zaledwie kilku strażników. Czego naprawdę potrzebujemy, to antybiotyków.

- Aha, już to mówiłaś.

Wstał i przeszedł przez kajutę.

- Czy nadal masz współrzędne tej kryjówki? - spytałam.

Kiwnął głową.

- To mała wyspa niedaleko na południe od Broken

Tree, ostatniego portu na trasie przed pokonaniem Atlantyku. Nazywa się Ruenlock.

- Nie wykorzystują jej jako bazy?

- Nigdy nie używają kryjówek jako baz. Ale czasami wracają do nich, żeby uzupełnić zaopatrzenie albo zabrać towary na wymianę. - Abran przerwał, po czym podjął: - Jednak w przypadku tego miejsca nawet to jest nieprawdopodobne. Nasz statek Czarnej Lilii rozbił się o skały pół roku po tym, jak go opuściłem. Połowa załogi zginęła, a pozostałym przydzielono nowego kapitana. Usłyszałem o tym wszystkim od przyjaciela w Apple Falls. Nie wiadomo, czy po tej katastrofie nadal mają współrzędne wszystkich swoich kryjówek. Z pewnością nie zostawiali w każdej ludzi do pilnowania. Ale nie wiadomo też, czy tej kryjówki na wyspie Ruenlock nie znalazł już i nie splądrował ktoś inny.

- Moglibyśmy poddać to pod głosowanie - zaproponowałam.

Podejrzewałam, że Abran poddawał pod głosowanie tylko te sprawy, co do których był pewien, że załoga zagłosuje zgodnie z jego życzeniem.

- Kiedy ostatnim razem próbowałem zwędzić zapasy piratów, mój brat został zabity, ponieważ nie wiedziałem, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Sprawy nigdy nie idą tak, jak się spodziewamy. Ty tego nie

rozumiesz.

- Każde z nas może zachorować. Mimo wszystko powinniśmy spróbować...

Pokręcił głową.

- Nadchodzi zima, z każdym dniem pogoda będzie się pogarszać. Nie możemy już tracić czasu na dodatkowe postoje. Te zimowe sztormy na północy...

- Urwał i zadrżał.

Bał się rejsu przez Atlantyk bardziej, niż sądziłam. Usiadł obok na łóżku i objął mnie ramieniem.

- Nie martwi cię, że załoga będzie narażona na dżumę? - spytałam. - I kolonia? Nic cię to nie obchodzi?

Byłam przygotowana na to, że Abran zagrozi zmianą celu podróży - ale nie na jego apatię. Gdy patrzyłam na niego, uświadomiłam sobie, że niepokoję się nie tylko tym, że Pearl może zachorować. Niepokoiłam się o całą załogę. O to, że ta załoga potrzebuje przywódcy, który jej nie zawiedzie i nie wycofa się, gdy sprawy przybiorą zły obrót. Jeżeli Abran nie zamierza powiedzieć im o tych lekarstwach, ja muszę to zrobić, pomyślałam. Poczułam mdłości z napięcia. A co, jeśli odmówią popłynięcia do Valley?

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami.

- Skarbie, niebezpieczeństwo czyha za każdym zakrętem. Mam już dość usiłowań, by się na nie

przygotować.

Wsunął mi dłoń pod koszulę i odnalazł pierś. Chwytał ją brutalnie, po pijacku. Wyczuwałam, że myśli o czymś innym, a moje ciało traktuje tylko jak zabawkę. Po raz pierwszy nie chciałam, żeby mnie dotykał. Ujął mnie za podbródek i odwrócił moją twarz ku swojej, a ja go odepchnęłam.

Chciał złapać mnie za nadgarstki. Zerwałam się z łóżka, chwyciłam butelkę whisky i cisnęłam o ścianę. Odłamki szkła rozsypały się po podłodze z melodyjnym brzękiem przypominającym dźwięk dzwoneczków wietrznych na werandzie.

- Nie jesteś jedynym mężczyzną na tym statku - rzuciłam.

Utkwił we mnie spojrzenie czarnych oczu, błyszczących w blasku świec.

- Ani ty jedyną kobietą, złotko.

ROZDZIAŁ 30

Od tamtej nocy unikałam Abrana, nie poruszyliśmy już więcej kwestii epidemii w Valley. Dwa dni później załoga obchodziła uroczyście czwarte urodziny „Sedny”. Marjan przygotowywała odświętny obiad złożony z wędzonych dorszy, ziemniaków, fasoli, zieleniny oraz brzoskwiń. Każdy wynajdywał pretekst, by wpaść do kabiny i poczuć zapach potraw przyrządzanych w kuchni. Codzienny jadłospis ograniczał się do solonych ryb z kapustą, więc wszystkich cieszyła okazja skosztowania czegoś innego.

Marjan opuściła kuchnię, by przejrzeć puszkowaną żywność w magazynie pod pokładem, pozostawiając Pearl i mnie obranie wiadra ziemniaków.

- Jak wygląda Row? - spytała Pearl tuż po wyjściu Marjan.

Zazwyczaj wypytywała mnie o siostrę rano, gdy pozostawałyśmy dłużej w kwaterze, a wszyscy inni ruszyli już do wypełniania porannych obowiązków.

- Jest trochę podobna do mnie - odrzekłam. - Ma ciemne włosy, a oczy koloru morza.

- A czy lubi węże? - chciała wiedzieć Pearl.

Weszła Marjan i uśmiechnęła się do nas na swój nieco roztargniony sposób.

- Zapomniałam wyprać ręczniki, cała kuchnia przesiąkła wonią pleśni - oznajmiła.

Nie odpowiedziałam Pearl na pytanie, więc szturchnęła mnie ziemniakiem.

- No, lubi? - ponagliła mnie.

- Kochanie, zaczekaj chwilkę - rzuciłam, udając pochłoniętą wykrawaniem zgniłego fragmentu ziemniaka.

Marjan wybiegła z kuchni ze stertą wilgotnych, zapleśniałych ręczników.

- Pearl, nie powinniśmy wspominać o Row przy innych ludziach. To nasz sekret.

Spojrzała na mnie. Spodziewałam się, że ujrzę na jej twarzy zdziwienie albo zaciekawienie, że spyta mnie piskliwym głosem dlaczego. Tymczasem zobaczyłam spokojną, pewną siebie minę mówiącą: „Przecież już wiem, że mamy zachować to w tajemnicy”. Miała na ustach lekko kpiący uśmiezek, jakby się ze mną droczyła i bawiła się moją obawą.

- Pearl, czy wiesz, dlaczego zatajamy istnienie Row?

- Chcemy do niej dotrzeć. A tam jest niebezpiecznie, więc nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Popatrzyłam na nią zaskoczona. Już od tamtego dnia na urwisku wiedziała, że podróżujemy, aby uratować Row. Ale w którym momencie zorientowała się, że oszukujemy załogę? Czy mój lęk przed przebyciem Atlantyku uświadomił jej, jak niebezpieczny jest to rejs? Czy usłyszała, jak rozmawiałam w lesie namorzynowym z Danielem, gdy już dowiedziałam się o epidemii dżumy?

Powróciła do obierania ziemniaków szybkimi, zdecydowanymi cięciami nożem. Wciąż jeszcze uśmiechała się lekko z zadowoleniem. Czasami dostrzegałam w niej dojrzałą kobietę i ogarniał mnie lęk. Była silniejsza, bardziej uparta ode mnie. Uczyłam Pearl oszukiwania, a ona dobrze przyswajała te lekcje. Uczyłam ją, jak przetrwać w tym świecie.

Wróciła Marjan, niosąc kilka puszek, po czym wygoniła nas z kuchni na dwór, mówiąc, że chce dokończyć gotowanie sama.

Pod wieczór się ochłodziło i wiatr się wzmógł, a gdy znów weszliśmy do kabiny, paliły się już w niej lampy naftowe. Owionęła nas ciepła woń świeżo upieczonego chleba. Pośrodku stołu stał półmisek pełen smażonych dorszy w sosie pomidorowo-brzoskwiniowym pachnących mocno i słodko.

Marjan odciągnęła zasłonę oddzielającą kuchnię i wniosła mały tort z wetkniętą pośrodku świeczką,

jedną z tych dawnych, sprzed powodzi, owiniętą ozdobną różową wstążeczką.

Usiadła przy stole naprzeciw mnie i powiedziała:

- Mówiłaś, że Pearl urodziła się jesienią. Myślę, że dzisiejszy dzień jest równie dobry jak każdy inny, by to uczcić. Dzieci zasługują na to, by uroczyście obchodzono ich urodziny.

Z oszołomienia nie mogłam wydobyć głosu. Nie przypomiinałam sobie, kiedy napomknęłam o urodzinach Pearl wypadających jesienią, ale Marjan to zapamiętała. Obydwie moje córki przyszły na świat jesienią, jednak nie poznałam dokładnej daty narodzin Pearl.

Pearl uśmiechnęła się promiennie do Marjan, podziękowała jej, a potem, wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy, spojrzała na tort i klasnęła w dłonie. Dotychczas nie widziała tortu. Jego lukrowa polewa błyszczała w świetle lamp naftowych. Poczułam charakterystyczny zapach mąki, cukru, jajek i zachodziłam w głowę, gdzie Marjan je zdobyła, skoro mieliśmy na statku tylko mąkę, a żadnych jajek ani cukru.

- Sto lat! - rozbrzmiał wokoło chór głosów.

Mocno ścisnęłam dłonie Pearl w moich. Zmarszczyła nosek z rozkoszy, dumna, że skupia na sobie uwagę wszystkich. Lecz ja poczułam się nagle okropnie, przeniknął mnie ostry ból na widok tego

przejawu szczerej życzliwości ze strony ludzi, których zdradzałam. Uświadomiłam sobie, że nie da się pogodzić obu tych rzeczy. Nie mogę być częścią tej załogi, a jednocześnie ją oszukiwać.

Przypomniałam sobie ostatnie urodziny Row, które z nią świętowałam. Kiedy skończyła pięć lat, moja matka też upiekła tort, nie mając wszystkich niezbędnych składników. Był nieco zapadnięty pośrodku, ale i tak smakował pysznie. Miał różowy lukier, a Row zgarnęła go trochę z wierzchu i zlizwała z palca.

Tamtego dnia deszcz na krótko przestał padać, skupiliśmy się wszyscy przy oknie, spragnieni widoku bezchmurnego nieba. Za domem sąsiada na ciemnym niebie rozciągała się tęcza, a potem zbladła i znikła równie szybko, jak się pojawiła. Pomyślałam wtedy, że każda chwila przemija szybciej, niż trwa trzask migawki aparatu fotograficznego.

Następnie wróciliśmy do stołu, otoczyliśmy kręgiem Row, śpiewając jej „Sto lat”. Rozpromieniła się, chichotała i klaskała w dłonie, a ja czułam się z niej taka dumna. Rozejrzałam się po twarzach zgromadzonych osób – dziadka, mamy, Jacoba i Row – myśląc o tym, jak bardzo potrzebujemy siebie nawzajem. I że naszą jedyną nadzieją jest trzymanie się razem.

Teraz uśmiechnięta Marjan położyła dłoń na moim

ramieniu, a ja zmusiłam się, by odpowiedzieć uśmiechem. Rozejrzałam się po małym kręgu, który uformował się wokół Pearl i mnie, spoglądałam każdemu w twarz. Klaskali, uśmiechając się. Wayne tupał stopą w rytm wyśpiewywanego urodzinowego toastu, a Behir wystąpił naprzód i żartobliwie uszczypnął Pearl w ramię.

Śpiew zakończyły wiwaty, a potem każdy kolejno podchodził do Pearl, obejmował ją, życzył szczęścia z okazji urodzin i mówił, jak bardzo się cieszy, że ona jest z nimi na „Sednie”. Pearl wciąż kiwała głową, chichotała, upojona czułą serdecznością. Wszyscy oprócz mnie usiedli, szurając krzesłami po drewnianej podłodze, ich rozmowy ścichły do nikłego szmeru. W tej spokojnej chwili, zanim Marjan zaczęła serwować jedzenie, poczułam, że statek się przechylił. Ale to tylko mnie zakręciło się w głowie, niemal straciłam równowagę i uchwyciłam się oparcia krzesła przede mną.

Ci ludzie traktują mnie jak członka rodziny, pomyślałam tępo. Jak mogłam aż do teraz nie uświadomić sobie tego?

„Ponieważ nie chciałam”, odpowiedziałam sama sobie. Z powodu tego, jak musiałam postąpić, skoro nie są dla mnie obcy, skoro jesteśmy sobie nawzajem winni szczerą i uczciwość.

Powiodłam po nich wzrokiem, myśląc o wszystkich

tych, których stracili. Córeczka Jessy. Brat Abrana. Żona Wayne'a. Mąż i dzieci Marjan.

Pomyślałam o tym, że po śmierci dziadka, zanim przyłączyłam się do załogi „Sedny”, przez tak długi czas nocami nie mogłam usnąć – nieustannie przygniatała mnie odpowiedzialność za wszystko. Pamiętałam uczucie lęku i pustki na myśl, że nie usłyszę głosu innego człowieka, dopóki Pearl nie nauczy się mówić. Pamiętałam długie dni jej płaczów i gaworzenia, a także szaleństwo, które stale czało się na skraju mojego umysłu.

Pomyślałam o dłoniach Marjan przygotowujących tort dla Pearl, o tych dłoniach, które robiły tak wiele dla dobra nas wszystkich. O niewidzialnej pracy, jaką wykonywała, a której efektami się cieszyliśmy. Popatrzyłam na Pearl zabierającą się do zjedzenia pierwszego kęsa tortu upieczonego przez ludzi, którzy troszczyli się o nią jak o własne dziecko. Tak jak za życia dziadka, kiedy to Pearl była nie tylko moją córeczką, lecz także jego. Nie musiałam wtedy sama dźwigać na barkach całego ciężaru opieki nad nią.

Ale najgorsze w tej sytuacji było to, że Pearl wiedziała, iż nie tylko oszukujemy tych ludzi, lecz także wykorzystujemy dla naszych celów. Narazamy ich i wszystko, o co walczyli i za co cierpieli. Córka zdaje sobie z tego sprawę, gdy uśmiecha się teraz do

wszystkich, a oni odpowiadają jej uśmiechami.

Byłam zawieszona pomiędzy tymi wyborami, napięta do granic wytrzymałości. Musiałam uratować Row. Ale nie mogłam zrobić tego w taki sposób. Już nie. Serce we mnie zamierało i miałam wrażenie, że się duszę.

- Okłamałam was - powiedziałam tak cicho, że wydało mi się, jakbym to tylko pomyślała.

- Co? - spytał Wayne.

Wyraz twarzy Daniela złagodniał w taki sposób, że poczułam się, jakby ujął mnie za rękę.

- Okłamałam was wszystkich - powtórzyłam.

- Co? - rzucił znowu Wayne, tym razem z gniewnym niedowierzaniem.

- Pozwól jej skończyć - rzekł ostro Daniel.

- Chciałam popłynąć do Valley, bo jest tam moja córka... więziona przez Upadłych Opatów. Valley to ich kolonia...

Załoga wymieniła zszokowane spojrzenia, a Abran spiorunował mnie wzrokiem. Oparł dłoń o blat stołu, jakby zamierzał zerwać się z krzesła. Poczułam, że zaczyna brakować mi tchu, więc pośpiesznie mówiłam dalej:

- Uczynili z tej osady kolonię. Zaatakowali ją, używając broni biologicznej, i podporządkowali sobie wszystkich mieszkańców. Miesiąc temu wybuchła tam epidemia dżumy. Nie oczekuję...

Wayne wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Abran powstrzymał go, unosząc rękę.

- Nie oczekuję, że wybaczycie mi to, że was oszukiwałam. Mówię wam o tym, ponieważ na wyspie, którą wkrótce miniemy, są ukryte antybiotyki. Jeżeli przybijemy do niej i zabierzemy je, zyskamy ochronę na wypadek, gdyby epidemia jeszcze nie wygasła. A także ochronę przed ewentualnymi przyszłymi atakami biologicznymi. Uważam, że powinniśmy poddać to pod głosowanie. Zagłosować nad tym, czy wstąpimy po te antybiotyki.

Abran wpatrywał się we mnie, rysy mu stwardniały, a w oczach zamigotała nienawiść.

- Dlaczego myślisz, że nadal zechcemy płynąć do Valley? - zapytał Wayne.

Wyglądał, jakby chciał skrócić mi kark.

Szybko oderwałam spojrzenie od Abrana i powiedziałam, znów ciszej:

- Nie macie żadnego innego celu podróży.

Na twarzy Marjan malował się tak wielki smutek, że musiałam odwrócić od niej wzrok, a nie śmiałam spojrzeć na Behira ani Pearl. W kabinie panowała taka cisza, że słyszałam rytmiczne pobrzękiwanie bloczka na zewnątrz na tle nikłego plusku fal o kadłub. Sos pomidorowo-brzoskwiniowy skrzepł na rybach, a jego słodka woń nabrała kwaśnej nuty.

- Mógłbym natychmiast wyrzucić cię za burtę -

odezwał się Abran zimnym, opanowanym tonem. - Ale co miałbym zrobić z Pearl?

- Nie zrobisz niczego Pearl - rzekła ostro Marjan.

Serce łomotało mi w piersi, a język miałam tak wyschnięty, że nie mogłam mówić. Usiłowałam sobie przypomnieć zasady i kary obowiązujące na tym statku. Ale przecież nie porzucą Pearl na bezludnej wyspie, powtarzałam sobie. To mnie pocieszało, lecz zarazem przerażało. Ona będzie bezpieczna, ale rozdzielią mnie z nią.

Daniel wstał.

- Jeśli jakkolwiek ją skrzywdzicie...

- Danielu, nie wtrącaj się. To ciebie nie dotyczy - powiedziałam.

Jeżeli coś mi zrobią, chciałam, żeby został na statku i zaopiekował się Pearl. Wiedziałam, że mogę w tym na niego liczyć.

- Czy wiedziałeś o tym? - zapytał Wayne Daniela.

- Nie, nie wiedział. Trzymałam to w tajemnicy - odrzekłam za niego.

- Zabierz ją pod pokład - polecił Abran.

Wayne obiegnął stół, odpychając wolne krzesło, chwycił mnie pod pachy i szarpnięciem odciągnął od blatu, jakbym była szmacianą lalką.

- Przestań! - ryknął Daniel, rzucając się na Wayne'a.

Abran skoczył, zagroził drogę Danielowi i rąbnął

go łokciem w pierś. Daniel poleciał do tyłu, wpadł na stół. Pearl zerwała się z krzesła, by pobiec za mną, ale Thomas złapał ją za ramię. Wyciągnęła ku mnie rękę i wołała moje imię.

Ciemność na zewnątrz pochłonięła mnie, jakbym została wepchnięta pod wodę. Głosy dobiegające z kabiny brzmiały jak z zatopionego statku. Gdy Wayne włókł mnie w kierunku luku w pokładzie, usłyszałam piskliwe krzyki Pearl błagającej ich, żeby przestali.

ROZDZIAŁ 31

Wayne skrępował mi sznurem nadgarstki i zamknął mnie w magazynie, ryglując drzwi od zewnątrz. Usiadłam na podłodze, opierając się plecami o worki mąki na dolnej półce. Przy moich nogach leżał kalendarz, który widocznie spadł ze ściany. Marjan prowadziła w nim szczegółowy spis zasobów magazynu. Każdą stronicę wypełniała sporządzona starannym pismem lista zapasów, które pobrano i dostarczono danego dnia. Daty były przekreślone ukośnymi liniami aż do tej, która musiała być dzisiejszą: „5 października”.

Sięgnęłam ręką, dotknęłam kalendarza, a potem przyciągnęłam go bliżej. Urodziny Row wypadają drugiego października. Zatem przed kilkoma dniami skończyła dwanaście lat. Ja w tym wieku miałam pierwszą miesiączkę, więc ona niewątpliwie wkrótce też dostanie, o ile już się to nie zdarzyło. Jej ciało było zegarem odmierzającym czas, którego coraz bardziej mi brakowało. A teraz kto wie, czy zdążę dotrzeć do niej w porę.

Nade mną na pokładzie ucichły kroki. Usiłowałam nie myśleć i zdrzemnąć się, oparta o półki, lecz

rzucało mną na podłogę, ilekroć „Sedna” kołysała się na fali. Po jakimś czasie, gdy, jak przypuszczałam, nastał już ranek, drzwi się otworzyły i wszedł Abran.

Usiadłam prosto.

- Czy Pearl nic się nie stało? - zapytałam.

- Nie. Jest z nią Marjan.

Zatrzasnął drzwi i oparł się o nie. Czekałam, by się odezwał.

- Czy skłamałaś o tych bogactwach w Valley? - zapytał zimnym, opanowanym tonem. - O materiałach do budowy domów, studniach, bezpiecznym położeniu, żyznej glebie?

- To dobry teren - odrzekłam.

Przetrząsnęłam pamięć, usiłując sobie przypomnieć, co w mojej relacji było prawdą, a co kłamstwem.

- Naraziłaś na ryzyko wszystko, co stworzyłem. Wszystko. Czy w ogóle zamierzałaś pomóc nam zbudować tam naszą społeczność? Czy może chciałaś tylko zabrać córkę i uciec?

Spuściłam wzrok. Przeważnie myślałam tylko o tym, jak uratować Row i zapewnić bezpieczeństwo Pearl. Nie sięgałam myślą dalej.

- Chodziło mi o to, co będzie najlepsze dla Row i Pearl - odpowiedziałam.

- Czy czeka tam na ciebie ktoś jeszcze?

- Kogo masz na myśli?

- Twojego męża. Ojca twoich córek. A może tylko zmyśliłaś tę drugą córkę, żeby zyskać nasze współczucie? Matka ratująca córkę to brzmi lepiej niż żona pragnąca ponownie połączyć się z mężem. Wydaje się, że byłabyś zdolna do takiego kłamstwa - powiedział, potrząsając głową.

- Nie - odparłam. - Mój mąż nie żyje.

Abran przeszedł przez ciasny magazyn.

- Dyskutowaliśmy o zmianie celu podróży, ale miałaś rację: nie mamy żadnej innej dobrej opcji. Niewiele pozostało wolnych terenów. - Rozłożył ręce i roześmiał się. - Pytali, skąd wiesz o tych antybiotykach, a ja odparłem, że powiedziała ci o nich przyjaciółka. - Rzucił mi ostre spojrzenie. - Nadal nie chcę, żeby dowiedzieli się o tym, że pływałem na statku bandy Czarnej Lilii.

- Nic im nie powiem - zapewniłam.

Abran tylko zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem i pokręcił głową.

- Poświęciłem kilka lat na zdobycie ich zaufania. A teraz ty je podkopałaś. To ja decyduję, co powinni o mnie wiedzieć. Mógłbym porzucić cię na bezludnej wyspie za to, co zrobiłaś.

Podźwignęłam się na nogi, choć nie było to łatwe ze związanymi z tyłu rękami. Uniosłam głowę i spojrzałam ostro na Abrana.

- Potrzebujesz mnie.

Zrobił krok w moim kierunku.

- Łatwo cię zastąpić.

Oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Abran wyciągnął rękę i odwrócił jakąś puszkę etykietką ku nam. Kończyły się nam zapasy, połowa półek była pusta.

- Marjan stanęła w twojej obronie. No i Daniel, ale jego nie chcieliśmy słuchać. Powiedziała, że w gruncie rzeczy nie może cię winić. A Behir ją poparł. Bez nich na pokładzie byśmy sobie nie poradzili. - Pokręcił głową. - Tak więc nie porzucimy cię na bezludnej wyspie, ale też nie pozwolimy ci przyłączyć się do nas, kiedy dotrzemy do Valley. Pomożesz nam rozprawić się ze strażnikami pozostawionymi przez Upadłych Opatów, a potem zostaniesz sama. Nie obchodzi mnie, czy umrzesz na odludziu, czy spróbujesz popłynąć gdzie indziej. Dla mnie tak czy owak będziesz martwa. Zaopiekujemy się Pearl i twoją drugą córką, jeśli jeszcze żyje. Ale nie tobą.

Skinęłam głową, ale ogarnęło mnie lodowate przerażenie, nad którym usiłowałam zapanować. On jest teraz rozgniewany, przekonywałam siebie. Cała ta sytuacja się unormuje. Przynajmniej nie doszło do najgorszego - nie zostałyśmy z Pearl zesłane na wyspę. Dzięki temu zyskałam na czasie.

Jednak perspektywa, że zostanę rozdzielona

z córkami i porzucona samotnie na śmierć, mroziła mi krew w żyłach. Będę musiała w jakiś sposób stać się dla tych ludzi niezbędna. Dowieść mojej przydatności, tak aby mnie nie wygnali.

- Będziesz łowiła dla nas dniami i nocami. Masz ciągnąć tam sieci i liny, aż obetrzesz dłonie do krwi - powiedział, wskazując w górę na pokład.

Ponownie kiwnęłam głową. Abran stanął za mną i rozciął mi więzy. Poczułam krótkotrwałą ulgę, lecz zaraz zastąpił ją bolesny ciężar przygniatający mi pierś. Dotąd sądziłam, że uratują mnie umiejętności rybackie, gdyż potrafię uchronić załogę przed śmiercią głodową. Ale tak nie było. Ocaliła mnie Marjan i jej litość. Ulitowała się nade mną, ponieważ doświadczyła utraty równie mocno jak ja.

- Zagłosowali za zabranie antybiotyków. Tak jak chciałaś - oznajmił z szyderczym grymasem.

Wiedziałam, że jego gniew jest tylko cienką zasłoną kryjącą poczucie klęski i zawodu. Podeszłam do niego o krok bliżej. Zaskoczyło mnie, że nie wyczułam w jego oddechu alkoholu.

- Przykro mi. Naprawdę - powiedziałam.

Parsknął cichym śmiechem.

- Przepraszanie niezbyt dobrze ci wychodzi. Czy w ogóle żałujesz tego, co zrobiłaś?

Milczałam chwilę, a potem przecząco pokręciłam głową.

Założył ręce za kark i odwrócił się ode mnie.

- Ufałem ci bardziej niż większości mojej załogi - rzekł. - Jakimż byłem cholernym durniem. Myślałem, że możesz odegrać istotną rolę w tym projekcie. My razem. Myślałem, że będziemy ramię w ramię budowali tę społeczność...

Wyciągnął rękę, jakby wskazywał jakieś wyimaginowane miejsce, w którym moglibyśmy się znaleźć i stworzyć coś niezwykłego.

Zapragnęłam się bronić, prosić, żeby wczuł się w moją sytuację.

- Wiem. Przepraszam. Przykro mi z powodu nas.

- Nas? - Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się gorzko. - Myślisz, że „my” w ogóle się liczymy w porównaniu z tym projektem?

Ból w głosie Abrana powiedział mi, że jednak tak. Że zdrada zraniła go mocniej, ponieważ to ja się jej dopuściłam.

- Wiedziałaś przez cały czas, że Valley jest kolonią, ale prowadziłaś nas tam jak stado baranów! - rzekł tylko nieco głośniejszym głosem. Podszedł bliżej i coś w jego wzroku kazało mi się cofnąć. Nachyliwszy się ku mnie, ryknął mi w twarz: - Wiedziałaś!

Rzucił się do przodu i złapał mnie za gardło, ale zamiast mnie ścisnąć, jego dłoń zwiotczała, dotknąwszy mojej skóry. Wtulił twarz w moją pierś i zaczął szlochać.

Otoczyłam go ramionami, pogładziłam po włosach.

- Tracę to, Myro. Tracę to wszystko - wyszeptał z ustami przy mojej piersi.

- Nie, nie tracisz. Dotrzemy tam, założysz społeczność, jaką obiecałeś bratu. To, co się stało, nie zmienia tego. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc, a potem odejdę.

Cofnął się, ocierając twarz przedramieniem. Otworzył drzwi, po czym odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Najgorsze, że w gruncie rzeczy cię lubię - powiedział.

- Ja też cię lubię - odrzekłam łagodnie, ale Abran pokręcił głową i wyszedł.

ROZDZIAŁ 32

Gdy podpływaliśmy do Ruenlock, słońce stało już wysoko na niebie. Nasunęło mi się skojarzenie ze wskazówką zegara okrążającą nieboskłon. W miarę zbliżania się statku do wyspy Daniel stawał się coraz bardziej spięty. Obracając rumplem, wciąż lustrował horyzont zmrużonymi oczami, jakby się bał, że coś przegapi.

Wybrzeże było zboczem góry usianym skałami i porośniętym sosnami oraz wiecznie zielonymi krzewami. Wayne zajmował stanowisko obserwacyjne na rei, przez lornetkę wypatrywał ewentualnych innych statków albo oznak tego, że na wyspie są piraci. Jednak na razie nie dostrzegliśmy niczego niepokojącego.

Pearl podeszła i stanęła obok mnie.

- Robisz to wszystko dla mojej siostry, prawda? - spytała.

- Co robię?

- Chcesz się spotkać z piratami. To dlatego wszyscy są tacy zdenerwowani.

- Nie spotykamy się z piratami. Zatrzymujemy się tutaj, żeby uzupełnić zapasy.

- Tu nie ma faktorii - powiedziała.

- Pearl, robię to dla nas. Dla nas wszystkich.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Uniosła dłoń, tę ze skaleczonym palcem. Skóra wokół rozcięcia była jaskrawoczerwona, z ranki sączyła się ropa.

- Boli - poskarżyła się.

- Pearl! - wykrzyknęłam wstrząśnięta.

Ujęłam jej palec. Na plecach wystąpił mi zimny, lepki pot. Odgarnęłam włosy z twarzy i zakląłam.

- Czy to bardzo źle? - spytała. Wyczułam, że stara się zapanować nad głosem.

Przytuliłam ją i pocałowałam w czubek głowy.

- Będzie dobrze. Obiecuję.

Podszedł do nas Abran.

- Zacumujmy tam - polecił Danielowi, wskazując przed siebie na niewielką skałę sterczącą z wody w odległości nieco ponad pół kilometra od wybrzeża.

- Potem z Myrą popłyniemy w kanu na brzeg.

- Nie mogę tam przycumować - odparł Daniel, nawet nie patrząc na niego.

Abran zesztynniał.

- Powiedziałem, żebyś przycumował do tej skały. Nie chcę zawracać sobie głowy rzucaniem kotwicy. Może się okazać, że będziemy musieli szybko się stąd wynieść.

Ręce mu drżały i żeby to ukryć, wepchnął je

w kieszenie.

- Chyba nie chcesz mieć dziury w kadłubie - powiedział Daniel. - Reszta tej zatopionej góry jest zbyt blisko powierzchni.

- A ty chyba nie chcesz sprzeciwiać się moim rozkazom - zripostował Abran.

Daniel rzucił mu pogardliwy uśmiezek. Weszłam pomiędzy nich.

- Możemy spuścić kanu na wodę tutaj, bez kotwiczenia. Ta eskapada zajmie nam tylko... jakieś dwie godziny - powiedziałam i spojrzałam na Daniela w nadziei, że mnie poprze.

- Trochę nas zdryfuje, ale zdołam zawrócić - oświadczył.

- Musisz być w tym miejscu, kiedy wrócimy - rzekł do niego Abran.

Przygryzał wargę, na jego czole lśnił pot.

- Będzie - zapewniłam.

Wayne z Thomasem pomogli nam spuścić kanu na wodę, a potem zeszliśmy do niego z Abranem po drabince. Gdy wiosłowaliśmy do brzegu, wciąż wypatrywałam między drzewami śladów ludzi albo obozowiska. Nadal nie było widać żadnych łodzi, ale to nie znaczyło, że nie mogły kotwiczyć tuż poza zasięgiem wzroku, za zakrętem wybrzeża czy w jakiejś zatoczce.

Wyciągnęliśmy kanu na brzeg i ukryliśmy pośród

sosen. Abran odczytał na głos z małego notesu:

- W zboczach jest wgłębienie, tuż za kępą świerków. Na prawo od niego płynie niewielki potok. Wejść po zboczach w górę potoku do tego wgłębienia.

Nietrudno było znaleźć ten potok. Wpadał do oceanu małym wodospadem pomiędzy kilkoma sosnami. Zaczęliśmy się wspinać po zboczach i bardzo szybko dostaliśmy zadyszki. Musieliśmy często przystawać, by napić się wody z manierek.

Wzdłuż potoku kwitły drobne fioletowe kwiatki. Przypominały mi polne kwiaty rosnące przy drodze w Nebrasce. Pomyślałam, jakie to dziwne, pamiętać jazdę samochodem i spoglądanie na mijane słupy telefoniczne, kwiaty w rowach, skrzynki pocztowe. Rzeczy, których niemal się nie dostrzega, dopóki nie zacznie się za nimi tęsknić.

Wspięliśmy się już na wysokość ponad pół kilometra, lecz wciąż nie widziałam tej kępy świerków.

- Jesteś pewien, że chodzi o świerki? - zapytałam. - Może to mają być jakieś inne drzewa?

Pokręcił głową.

- Dokładnie zanotowałem lokalizacje wszystkich kryjówek.

- Pójdź tędy, a ja rozejrzę się tam. Tylko kilka kroków. Nie stracimy się nawzajem z oczu.

Rozdzieliliśmy się. Jak daleko mogłam sięgnąć

wzrokiem, rosły tylko sosny, żadnych świerków. Wciąż patrzyłam pod nogi, ostrożnie stawiałam kroki pośród kamieni, żeby się nie potknąć i nie stoczyć ze zbocza. Dręczyło mnie przeczucie, że nie znajdziemy tego, czego szukamy.

Potknęłam się o kamień i spojrzałam w dół. Obok niego leżał niedopałek skręta. Podniosłam go. Cuchnął bardziej sadzą niż tytoniem. Na ziemi w pobliżu kamienia widniało kilka wyraźnych śladów butów, prowadzących od miejsca, w którym stałam. Niedopałek i ślady były na tyle dobrze zachowane, że musiano pozostawić je niedawno. Na wyspie jest jeszcze ktoś oprócz nas...

Obejrzałam się przez ramię, wypatrywałam między drzewami. Zobaczyłam idącego ku mnie Abrana. Przyzywał mnie machaniem ręką, żebym podążyła za nim.

- Znalazłem tę kryjówkę - oznajmił.

- Cicho, idioto - szepnęłam, wspinając się szybko po kamieniach w jego kierunku.

- Powinienem był zapisać, że to miejsce znajduje się trochę na lewo od potoku i nie widać go z jego brzegu.

Poprowadził mnie obok kępy świerków do wylotu grotty w stromym górskim zboczu. Jej ściany były pokryte wilgocią niczym kroplistym potem, a wewnątrz tonęło w ciemności.

- Znalazłam coś. - Pokazałam mu na dłoni niedopałek papierosa. - A także ślady stóp.

- Cholera - zaklął i zwiesił głowę. - Nie trzeba było tu przyływać!

- Nie wiemy, czyje one są. Uspokój się. Po prostu zabierzmy po cichu to, czego potrzebujemy, i wynieśmy się stąd.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy byli tutaj przychodzić!

- Ale już tu jesteśmy. Nie odejdę bez sprawdzenia tej kryjówki. Masz pochodnię?

Przygarbił się i rozejrzał niepewnie.

- Abran! - syknęłam.

- Co? Tak, tak.

Rozpiął suwak plecaka i wyjął kij obwiązany na końcu szmatą nasączoną benzyną. Zapaliliśmy ją. Zanim weszliśmy, rzucił ostatnie spojrzenie za siebie.

Podążałam za nim. Weszłam na występ biegnący wzdłuż skalnej ściany. Pośrodku groty była sadzawka, usłyszałam szmer wody dochodzący z głębi, dokąd nie sięgało światło pochodni.

Abran wyprzedzał mnie o kilka kroków.

- Musimy się pospieszyć - rzekł.

Skalna półka wzdłuż ściany groty była śliska, usiana niewielkimi kamykami. Pośliznęłam się i przywarłam do skały, rozpaczliwie macając rękami po jej gładkiej powierzchni w poszukiwaniu czegoś,

czego mogłabym się uchwycić, by odzyskać równowagę. Blask pochodni rzucał ruchome cienie wokół Abrana, który zatrzymał się przy brzegu sadzawki. W półmroku widziałam niewyraźnie tylko jego sylwetkę. Zbliżyłam się do niego ostrożnie. Za sadzawką piszczały nietoperze, z trzepotem skrzydeł wpadały jedne na drugie. Pikowały spod skalnego stropu jak ptaki łapiące w morzu ryby, lecz nie mogłam dostrzec w słabym świetle pochodni, na co polują.

Abran przykucnął przy skraju wody, zanurzył w niej dłonie. Potem zjechał na butach z brzegu i zniknął pod powierzchnią.

Woda była zbyt ciemna, bym mogła go zobaczyć. Oczekałam chwilę. Z zewnątrz dobiegł szelest, ale gdy zerknęłam w kierunku wejścia, oślepił mnie blask słońca, nie mogłam niczego zobaczyć. W grocie śmierdziało jak w wychodku i nagle mnie zemdliło.

Wzdrygnęłam się, gdy Abran się wynurzył. Wokół niego na ciemnej powierzchni wody rozbiegły się drobne fale.

- To chyba jest na skalnym występie, pod mułem i wodnymi roślinami. Możesz podać mi linę? - polecił.

Zdjęłam z ramienia zwój liny, rozwinęłam i podałam mu jeden koniec. Trzymając linę, znów zanurkował w sadzawce. Po niedługim czasie wynurzył się, wygramolił na brzeg i przykucnął obok mnie,

ociekając wodą.

Razem szarpnęliśmy linę, natężając siły, by wydobyć przywiązany do niej ciężar. Lina boleśnie ocierała mi dłonie. W końcu z wody wyłonił się brzeg zardzewiałej skrzyni. Abran pochylił się do przodu, chwycił metalową rączkę i pociągnął skrzynię ku nam. Uderzyła z hukiem o skalną półkę. Abran uklęknął obok niej i zaczął majstrować przy pokrytych rdzą zawiasach.

- Czy to ta, którą pamiętasz? - spytałam.

Tuż za nami pisnął nietoperz. Schyliłam się, osłaniając rękami głowę.

- Chyba tak - odrzekł. - Nie jestem pewien. Nie ma zamka. Wydawało mi się, że zamykaliśmy je kluczami.

Jeden z zawiasów był tak przerdzewiały, że nie dawał się otworzyć, więc Abran walił w niego skalnym odłamkiem, póki nie pękł. Odgłos uderzeń kamienia o metal rozbrzmiewał w grocie echem, które stopniowo cichło, niczym znikające zmarszczki na powierzchni jeziora.

Abran podniósł wieko, po czym zajrzeliśmy do wnętrza. Zawartość była zalana wodą. Wydobywszy z niej przezroczyste plastikowe torebki z buteleczkami w środku, uniósł je do słabego światła pochodni.

- Penicylina, tetracyklina, amoksycylina - odczytał

etykiety i położył torebki na kamieniach.

Sięgnął do skrzyni i wyjął kolejne plastikowe torebki. W tych była amunicja.

- Mówiłeś chyba, że w tej kryjówce schowano tylko lekarstwa - powiedziałam, marszcząc brwi.

Przez chwilę się nie odzywał.

- Bo tak było - odrzekł.

Znieruchomiał, jakby czegoś nasłuchiwał. Tuż na zewnątrz groty gałęzie drzew szumiały na wietrze.

- W tej skrzyni nie ma zamków, ponieważ ponownie ją napełniono. A ci, którzy to zrobili, nadal są na wyspie - powiedział.

Zdjęłam z ramienia plecak i zaczęłam wrzucać do niego plastikowe torebki.

- Być może czają się w pobliżu... - mówił dalej Abran. Miał rozszerzone źrenice, chociaż wpatrywał się w jaskrawo oświetlony wylot groty na jej przeciwległym końcu. - To może być zasadzka.

- Ładuj je do plecaka - poleciłam, klepiąc go w ramię.

Wciąż wycierałam dłonie w nogawki spodni. Przy tej wilgoci na ścianach groty, wodzie w skrzyni oraz kroplach potu ściekających mi z czoła nie mogłam ich osuszyć. Pomyślałam o reszcie załogi czekającej na statku. Czy Daniel cokolwiek wypatrzył? Niemal miałam nadzieję, że jeśli zauważył coś niepokojącego, odpłynął bez nas.

Napełniliśmy plecaki i zgasiliśmy pochodnię. Ciemność opadła na nas niczym koc. Zaczęliśmy się skradać po skalnej półce, macając dłońmi po ścianie, by utrzymać równowagę. Abran pośliznął się na wilgotnym kamieniu i upadł. Chwyciłam go za ramię, podźwignęłam na nogi.

- Dzięki - mruknął z twarzą tuż przy mojej.

Poczułam w jego oddechu alkohol.

- Masz whisky w manierce? - spytałam.

- Tylko odrobinę. Pomaga mi się skupić.

Ścisnęłam mu ramię tak mocno, że jęknął cicho i usiłował rozewrzeć mi palce.

- Abran, do cholery, weź się w garść - szepnęłam.

Puściłam go, a on zatoczył się do przodu. Uchwycił się brzegu wylotu jaskini, ostrożnie wyglądając na zewnątrz.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma - wyszeptał. - Spróbujmy dotrzeć do potoku.

Kiwnęłam głową. Wyszliśmy z groty i ruszyliśmy przed siebie, starając się nie potknąć o kamienie, omijając drzewa i zwalone konary. Gdy doszliśmy do strumienia, Abran zatrzymał mnie, unosząc rękę. Przykucnęliśmy za paprociami i krzakami rosnącymi przy brzegu. Potem zaczęliśmy chyłkiem schodzić zboczem wzdłuż potoku, zerkając między drzewa i nasłuchując podejrzanych odgłosów. Morskie ptaki wrzeszczały wśród gałęzi, cienkie, przenikliwe głosy

przecinały powietrze niczym ostrza noży. Słońce świeciło tak jaskrawo, że musiałam wciąż mrużyć oczy, aż boleśnie zeszywniały mi mięśnie twarzy.

Idący przede mną Abran gwałtownie podniósł rękę. Przytknął palec do ust, a potem coś nim wskazał. Pomiedzy dwiema sosnami stał chudy mężczyzna w długim czarnym płaszczu i palił papierosa. Na szyi miał wytatuowanego królika. Nucił jakąś melodię, jednak ledwie ją słyszeliśmy pośród nieustannego ptasiego zgiełku.

ROZDZIAŁ 33

Padliśmy na ziemię, przywarliśmy do niej płasko, nie odrywając wzroku od tego mężczyzny. Trawa kłuła mnie w ręce, kamienie wbijały się w ciało. Obok mnie Abran oddychał ciężko, głośno i nierówno. Szturchnęłam go łokciem, przykładając palec do warg. Wtulił głowę w ziemię, by stłumić oddech; ramiona mu drżały.

Mężczyzna gapił się na drzewa w kierunku, w którym znajdował się nasz statek. Krew dudniła mi w uszach. Czy mógł zobaczyć statek w dole na morzu, czy też przesłaniały go drzewa?

Nieznajomy dopalił papierosa, cisnął peta na ziemię i niedbałym krokiem ruszył w naszą stronę. Ptaki ucichły, więc usłyszeliśmy melodię, którą nadal nucił, brzmącą jak jakaś stara irlandzka ballada. Głowę miał ogoloną, z wyjątkiem długiego warkocza z tyłu czaszki. Królik wytatuowany na szyi mężczyzny był przedstawiony z profilu i jego czerwone oko zdawało się spoglądać wprost na mnie.

Drzewa rzucały długie cienie na trawę przed nami. Zastanawiałam się, ile czasu upłynęło, odkąd opuściliśmy statek, i czy Daniel nie miał problemów

z utrzymaniem go na pozycji. Mężczyzna zbliżył się do strumienia, przykucnął, obmył w nim ręce, a potem wstał i wytarł je o płaszcz. Byliśmy w krzakach po drugiej stronie potoku. Wyczuwałam, że leżący obok mnie Abran jeszcze bardziej się spiął i gotów jest w panice poderwać się z ziemi, niczym ktoś trzymany pod wodą, chcący wydostać się na powierzchnię.

Mężczyzna odwrócił się od zarośli, w których się kryliśmy, i ruszył wolno wzdłuż potoku. Do tej pory wstrzymywaliśmy oddechy, wreszcie wypuściliśmy powietrze z płuc. Nieznajomy oddalił się kilka kroków od brzegu, widzieliśmy teraz jego plecy. Abran uniósł głowę, odwrócił ku mnie i dał znak, że możemy iść.

Cicho podnieśliśmy się z ziemi i przykucnęliśmy za krzakami, obserwując mężczyznę. Ciszę przerwał czyjś odległy głos, oboje drgnęliśmy. Nie mogłam usłyszeć, co krzyknął ktoś drugi, ale wydało mi się, że rozróżniłam słowo „statek”.

- Jak daleko stąd? - odkrzyknął mężczyzna w czarnym płaszczu.

- Musimy iść - wymamrotał Abran.

Twarz miał lśniąca od potu, ręce mu się trzęsły.

- Jeszcze nie - syknęłam i złapałam go za przedramię, żeby nie rzucił się do ucieczki.

Szarpnięciem wyswobodził rękę i pognął na oślep wzdłuż strumienia. Zakląłam i pobiegłam za nim,

potykając się o kamienie i osłaniając się uniesionymi rękami przed najniższymi gałęziami. Wbiegłam na spłacheć ziemi pokryty luźnymi kamykami, pośliznęłam się i wpadłam na pień drzewa.

Pocisk rozłupał korę tuż obok mojej głowy. Nie odwróciłam się, by zobaczyć, skąd nadleciał, tylko puściłam się pędem. Za mną rozległy się głośne wrzaski i przekleństwa. Zagrzmiał następny wystrzał. Abran biegł o kilka kroków przede mną, gałęzie smagały go, gdy przedzierał się przez zarośla. Poczułam zapach krwi, ale nie wiedziałam, skąd dochodził. Zakręciło mi się w głowie, a wzrok się zamglił.

W dole pod nami zobaczyłam kępę sosen, w której ukryliśmy kanu. Abran potknął się, upadł na skarpe powyżej drzew i stoczył się z niej, objając się o kamienie, aż wreszcie zniknął mi z oczu pośród sosen, których igły zadrżały od zderzenia.

Padłam na bok, ześlizgnęłam się ze skarpy, łamiąc po drodze gałęzie swoim ciężarem, i doturlałam się do Abrana przy kanu. Usiłował wstać, ale poruszał się zbyt wolno, więc chwyciłam go za ramię i poderwałam na nogi. Jęknął, a gdy cofnęłam rękę, zobaczyłam na niej krew.

Tupot kroków ścigających nas napastników stał się głośniejszy. Słyszałam w górze skarpy trzask łamanych gałęzi i hurgot toczących się kamieni.

Powlekliśmy kanu w kierunku brzegu, rzuciliśmy je z pluskiem na wodę i wskoczyliśmy do niego, gdy wokół nas na powierzchnię oceanu spadł grad pocisków. Wystrzały zagrzmiały echem. Wydawały się odległe, a zarazem miałam wrażenie, że rozbrzmiewają wewnątrz mnie, jakbym już wpadła do wody, rozszarpana pociskami.

Rzuciłam Abranowi drugie wiosło i zaczęliśmy szaleńczo wiosłować, pochyleni do przodu, a pot zalewał nam oczy. Łódką zakołysało uderzenie pocisku. Odwróciłam się i zobaczyłam otwór w kadłubie, przez który wlewała się woda. Zdawało mi się, że ta chwila rozszerza się niczym jama, a ja wpadam w nią, daremnie usiłując zebrać rozproszone myśli.

„Sedna” była w odległości zaledwie kilku metrów, a Daniel już spuścił sznurową drabinkę. Wayne na pokładzie strzelał z karabinu. Wpadliśmy kanu prosto w burtę statku. Łódka zakołysała się i niemal wywróciła do góry dnem, oczy zapiekły mnie od słonej wody, która nas obryzgała. Abran wyskoczył z kanu, uchwycił się drabinki, huśtał się na niej przez chwilę, wymachując nogami w powietrzu, aż odnalazł stopą szczebel i zaczął się wspinać.

Kanu już dryfowało, oddalając się od statku. Znów powiosłowałam bliżej burty, a potem rzuciłam wiosło i skoczyłam z łódki w kierunku drabinki. Musnęłam

palcami sznur, ale wyśliznął mi się z dłoni i wpadłam do wody. Próbowałam uchwycić się burty kanu, zalewana niewielkimi falami. W kadłub uderzył grad pocisków, więc zanurkowałam.

Wynurzyłam się, popłynęłam do drabinki. Członkowie załogi wykrzykiwali do siebie rozkazy, poczułam szarpnięcie statku, gdy wiatr wypełnił żagle. Kiedy wspinałam się po drabince, statek zakołysał się i skręcił, tak że uderzyłam o kadłub.

Kurczowo uczepiłam się szczebla, zobaczyłam, że powierzchnia wody pode mną się oddala. Ktoś wciągał drabinę. Gdy wpadłam przez nadburcie na pokład, dłonie miałam obtarte do żywego mięsa, a jedna krwawiła. Popatrzyłam na nią zdezorientowana.

Thomas stał przy rumplu, wypychając go maksymalnie w prawo. Behir zsunął się po olinowaniu z rei, ze zwojem zapasowej liny na ramieniu. Daniel przy grocie mocował szot na bloczku. Wszyscy wykrzykiwali polecenia, lecz nie potrafiłam się w nich rozeznać.

Uniosła się kłapa luku, ujrzałam w nim twarz Pearl. Posłałam córce spojrzenie mówiące: „Zostań na dole”, a ona opuściła kłapę i zniknęła pod pokładem. Odchyliwszy głowę do tyłu, oparłam ją o nadburcie. Krew ciekąca z dłoni plamiła pokład, wsiąkała w zniszczone deski.

Dokonałiśmy tego, pomyślałam, Zdobyliśmy te lekarstwa. Staralam się uspokoić oddech, lecz nadal dyszałam spazmatycznie.

Nie było już słyhać wystrzałów, a kiedy odwróciłam się i podźwignęłam na nogi, zobaczyłam, że wyspa jest już tylko niewielkim kształtem w oddali. Daniel złapał zachodni wiatr, który pchał nas szybko na wschód.

Marjan uklękła przy Abranie i pomogła mu zdjąć koszulę. Miał rozcięcie na zewnętrznej stronie bicepsa, ale żadnej rany postrzałowej. Widocznie pokaleczył się o ostrą gałąź. Marjan owinęła mu ramię gałgankiem i podniosła jego plecak. Podałam też mój.

Kłapa luku znów się uniosła, skinęłam głową na Pearl, żeby wyszła. Podbiegła do mnie, a ja przykucnęłam i chwyciłam ją w objęcia. Wtuliła głowę w moją szyję, jak robiła dawniej, kiedy była maleńka.

- Mam lekarstwa, Pearl - wyszeptałam w jej włosy.
- Twój palec wkrótce poczuje się lepiej.

Przytuliła się do mnie mocniej.

- Och, nie - wymamrotała Marjan.

Wysypała na dłoń zawartość jednej z buteleczek i przyjrzała się jej.

- Co? - spytałam, podnosząc się.

Marjan wysunęła dłoń ku mnie.

Buteleczki nie zawierały pigułek. Były w nich nasiona.

ROZDZIAŁ 34

W osłupieniu gapiłam się na nasiona.

Antybiotyki. Wciąż kołatała mi w głowie myśl, że na etykietkach buteleczek były nazwy antybiotyków. Jakby powtarzanie jej mogło sprawić, że stanie się prawdziwa.

Ktoś wpadł na mnie z taką siłą, że straciłam dech i przewróciłam się jak długa, a w głowie zadzwoniło mi od uderzenia o pokład. Abran złapał mnie za koszulę i powlókł kilka kroków. Chwyciwszy mnie pod pachy, rąbnął mną o ścianę nadbudówki. Zanim zdołałam zaczerpnąć tchu, objął mnie z tyłu za szyję i przydusił gardło przedramieniem.

Orałam mu paznokciami rękę, myśli zaczęły mi się mącić, gdy usiłowałam złapać oddech.

- Mówiłem ci, że nie chcę popłynąć na tę wyspę. To wszystko przez ciebie - rzekł głosem tak ochrypłym, że bym go nie rozpoznała.

Jego poczerwieniała twarz z przekrwionymi oczami była tuż przy mojej. Uniósł mnie nieco, a ja wierzgałam rozpaczliwie, ledwie muskając stopami pokład.

Daniel odciągnął Abrana i rzucił na ziemię.

Wyciągnął z kabury pistolet i wymierzył w niego.

Marjan wkroczyła pomiędzy nich, unosząc ręce.

- Odłóż to - powiedziała cicho do Daniela.

Podbiegła do mnie Pearl i pomasowała mi gardło, żebym odzyskała głos.

- Co się tam wydarzyło, do diabła? - zapytał Wayne.

- Dlaczego na wyspie byli piraci?

Daniel popatrzył na mnie, ale nie odrywałam wzroku od Abrana. Uniosłam brwi i posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie mówiące: „Mam im powiedzieć?”.

Abran niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Czysty przypadek - odrzekłam. - Oni są wszędzie.

Wayne spiorunował mnie wzrokiem. Dopiero teraz spostrzegłam, że trzyma w ręku mój plecak z otwartym do połowy zamkiem błyskawicznym. Widocznie szperał w nim, żeby zobaczyć, co przywieźliśmy.

- Nie pytam ciebie - rzucił ostro Wayne.

Spojrzał na Abrana, który wolno gramolił się na nogi.

- Okazało się, że piraci odnaleźli tę kryjówkę przed nami. Zabrali lekarstwa i schowali tam inne rzeczy - powiedział Abran.

- Niech to szlag - zaklął Wayne. - Mam nadzieję, że tych parę sztuk amunicji i trochę nasion ogrodowych są warte tego ryzyka. Ci piraci będą nas teraz ścigać.

- O ile pamiętam, to nie ja podjąłem decyzję o tej eskapadzie, tylko wy wszyscy - rzekł Abran.

- Nie będzie im łatwo nas wytropić - zauważył Daniel.

- Myślisz, że nie mogą skontaktować się z innymi portami? - powiedział Wayne. - Okradliśmy ich. To była banda Czarnej Lilii, prawda?

Daniel spojrzał na mnie. Zorientowałam się, że kojarzy, iż Abran był kiedyś w załodze Czarnej Lilii. Milczeliśmy wszyscy, a Abran w końcu skinął głową. Wayne kopnął w ścianę kabiny i znów zaklął.

Miał rację, że się wściekł. Inne załogi Czarnej Lilii mogły być wszędzie - na pełnym morzu, w każdym porcie, na każdej wyspie. Będą czatować na nas. Nie tyle po to, by odzyskać to, co im ukradliśmy, lecz żeby zamanifestować swoją władzę, przypomnieć nam i wszystkim innym, że trzeba się z nimi liczyć. Że są nowym państwem, które potrafi zadbać o własne interesy.

- Gdy dopłyniemy do portu w Broken Tree, wślizgniemy się tam ukradkiem, przeprowadzimy transakcję i natychmiast wymkniemy się niepostrzeżenie - powiedział Abran. - Nikomu nie zdradzimy, że udajemy się do Valley, tak aby tamci nie mogli nas wytropić. Kiedy znajdziemy się na pełnym morzu, będziemy bezpieczni.

Wayne lekceważąco machnął ręką i upuścił plecak.

- Nie łudź się nawet przez chwilę, że to pójdzie tak łatwo - rzekł.

Uklekłam przy Pearl i ujęłam skaleczony palec. Był jaskrawoczerwony, a z ranki nadal sączyła się ropa. Dotknęłam jej czoła. Było rozpalone od gorączki.

Przykucnęłam na piętach, mocno zaciskając powieki. Rozmowa o ścigającej i atakującej nas bandzie Czarnej Lilii wydawała mi się czymś błahym, nieistotnym. Jak dyskutowanie o jakimś posunięciu szachowym. To było takie głupie - cała ta kłótnia, rywalizacja ambicji, wypinanie piersi niczym koguty przed walką.

W oczach Pearl widniał strach. Obie wiedziałyśmy, że palec trzeba będzie amputować.

Wolałabym raczej odciąć sobie rękę, niż odjąć jakąkolwiek część ciała Pearl. Ale gorączka wciąż rosła, ja zaś wiedziałam, że jeśli nie zadziałamy szybko, zakażenie się rozprzestrzeni, a Pearl straci nie tylko palec.

Naostrzyłam nóż na osełce w kabinie. Przez brudną szybę okna sączyło się mdłe światło. Daniel zapalił wiszącą pod sufitem lampę naftową, żebyśmy mogli lepiej widzieć. Pearl siedziała na stołku w kącie kabiny, jej włosy pały czerwienią w słabym blasku.

Abran posiadał jedynie niewielkie umiejętności chirurgiczne, które przekazali mu rodzice, ale

oświadczył, że pamięta dość, by przeprowadzić tę operację. A przynajmniej zrobić to lepiej niż którekolwiek z nas. Gdy tylko zdecydowaliśmy, że to on dokona amputacji, zażądałam, by zaznajomił mnie z planowanym przebiegiem. Czyste cięcie tuż ponad kłykciem. Ucisk i obandażowanie kikuta, żeby zapobiec utracie krwi. Ranę zasklepi nowa tkanka zwana ziarniną wybujałą, stanowiąca naturalną osłonę przed zakażeniem.

Kiedy Abran wszedł do kabiny, nie spojrzał na mnie, tylko zaczął rozkładać na stole czyste gałganki, obok postawił butelkę z alkoholem do zdezynfekowania ostrza i rany.

Podeszłam, by podać mu nóż, a wtedy poczułam od niego alkohol. Popatrzyłam na nieotwartą butelkę. Abran zobaczył wyraz mojej twarzy i cofnął się, chwiejąc się lekko na nogach.

Był pijany. Znowu. Właśnie teraz, gdy potrzebowałam go trzeźwego. Wewnątrz mnie eksplodowała rozpalona do białości furia, musiałam oprzeć się dłonią o blat stołu, żeby się opanować. Abran wbił wzrok w ziemię i wymamrotał coś, czego nie dosłyszałam. Gwałtownie pchnęłam go w pierś.

- Wyjdź - wyszeptałam.

- Myra, powiedziałem, że to zrobię.

- Wyjdź natychmiast. Nie chcę, żebyś to schrzanił - rzekłam.

Zaczerwienił się i wymknął się ukradkiem z kabiny. Razem z Danielem pomogliśmy Pearl położyć się na stole. Była tak rozpalona, że miałam wrażenie, jakbym dotykała żarzącego się węgielka. Otarłam jej pot z czoła i odgarnęłam z twarzy wilgotne włosy. Daniel włożył jej do ust tabletkę kodeiny. Zostało nam tylko kilka, ale Marjan wymogła, żeby zażyła je podczas i po operacji. Daniel przytknął szyjkę butelki z alkoholem do warg Pearl, a ona wypła kilka łyków, krzywiąc się i krztusząc, przy czym płyn ściekał jej po brodzie.

- Jak długo będzie bolało? - spytała.

- Tylko chwilę - odpowiedziałam, delikatnie ocierając jej twarz.

- Jesteś pewna, że muszę go stracić?

- Kochanie, w tym stadium byłoby tylko coraz gorzej. To cię uratuje.

Rozpaczliwie rozejrzała się wokół, jakby szukała sposobu ucieczki z tej sytuacji, a potem zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki. Daniel ujął ją za drugą rękę i szepnął coś do ucha.

Lepsza, wrażliwa część mnie uleciała jak latawiec wypuszczony na lince. Unosiłam się w górze, dryfując biernie, niczym coś niepochwytanego, trzepoczącego bez celu na wietrze.

Ja na dole precyzyjnie wykonałam czyste cięcie. Pearl krzyknęła. Daniel przycisnął do kikutu bandaży,

a córka poderwała się i rzuciła w moje ramiona. Trzymałam ją w objęciach, obie dygotałyśmy, aż światło zgasło. W ciemności były tylko głosy, ciepła skóra, dotyk rzęs na policzku, usta wtulone we włosy, nasze splecione ręce i pojedynczy cień w gęstniejącym mroku.

ROZDZIAŁ 35

Gdy już zabandażowaliśmy ranę, a Pearl usnęła w swojej koi, weszłam do kuchni, żeby pomóc Marjan przy oprawianiu karpi, które wcześniej złowiłam.

- Nie musisz robić tego teraz - rzekła łagodnie.

- Możesz mi podać wiadro? - poprosiłam.

Musiałam się czymś zająć, żeby nie myśleć. Ale im bardziej starałam się nie rozmyślać o Pearl, tym wyraźniej jej obraz pojawiał się w mojej głowie. Zawiodłam ją. Zawiodłam ją. Przygryzłam usta tak mocno, że poczułam smak krwi.

Marjan podała mi wiadro, do którego wrzuciłam garść rybich flaków. Wsunęłam ostrze noża między łuski a mięso, wykroiłam filety i położyłam je na ladzie kuchennej. Spostrzegłam, że Marjan przygląda mi się uważnie.

- Czy wiedziałaś, że na tej wyspie będą piraci? - zapytała. Gdy nie odpowiedziałam od razu, mówiła dalej: - Czy przyjaciółka, która powiedziała ci o antybiotykach, to ta sama, od której usłyszałaś o Valley?

- Tak. Popłynęła tam jakiś czas temu. Po drodze zostawiała w kryjówkach zapasy.

Z głuchym zgrzytem ostrza o drewno odciąłam rybie głowę. Rzuciłam ją na stertę, po czym zanurzyłam nóż w kubelku z wodą i poszorowałam ostrzem o krawędź, żeby je oczyścić.

- I nie, oczywiście nie wiedziałam, że będą tam piraci.

- Nie chciałam sugerować, że...

- Posłuchaj, nie zamierzam przeproszać - rzekłam.

- Gdyby antybiotyki tam były, mogłabym pomóc Pearl. Mogłabym pomóc nam wszystkim w Valley.

Marjan odłożyła nóż i wytarła dłonie w fartuch.

- Zastanawiałam się tylko, czy gdybyś wiedziała, że czają się tam piraci, też byś popłynęła.

Chciała wiedzieć, jak wiele bym zaryzykowała. Odwróciłam się i spojrzałam na nią. Oczy piekły mnie od niewypłakanych łez.

- Tak, popłynęłabym.

Po tygodniu rana pooperacyjna Pearl ładnie się zagoiła, zgodnie z nadziejami. Każdego ranka i wieczora oczyszczałam ją mydłem miodowym wyprodukowanym przez Marjan, zmieniałam opatrunek, starannie owijałam kikut gazą i wiązałam, a przy tym przyglądałam się twarzy Pearl, usiłując się zorientować, jak radzi sobie z tą nową sytuacją.

Pewnego ranka po zabandażowaniu dłoni Pearl weszłam do kabiny, żeby zabrać haczyki i przynęty

przed całym dniem łowienia. Zastałam tam Daniela. Siedział zgarbiony nad swoimi papierami i przyrządami nawigacyjnymi, gryzmołąc coś zawzięcie.

- Cześć - rzuciłam.

Drgnął zaskoczony, odwrócił kartkę, na której pisał, po czym wsunął pod jakąś mapę.

- Planujesz nowe trasy? - zapytałam.

- Nie, chciałem tylko wykreślić kilka awaryjnych kursów, na wypadek sztormów.

Obeszłam stół i stanęłam przed nim.

- Mogę zobaczyć?

- Jeszcze nie skończyłem - odparł.

Nerwowo tupał stopą w podłogę i stukał ołówkiem o blat. Zazwyczaj był idealnie opanowany: spokojny, czujny, pewny siebie. Od czasu amputacji palca Pearl stał się jeszcze cichszy i bardziej zamknięty w sobie. Czasami w trakcie wieczornych posiłków przyglądał się jej ze skupionym, lecz łagodnym wyrazem twarzy, który przypominał mi, co ja do niej czuję.

- Czy chodzi o to, że może nas ścigać banda Czarnej Lilii? - spytałam. - Nawet jeśli spróbują, czy sądzisz, że pójdzie im tak łatwo?

- Świat stał się obecnie mały.

Usiadłam. Widok Daniela tak wzburzonego wzbudził we mnie niepokój.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Hm? Nic. Ten pirat, którego widziałas na wyspie... czy miał jeszcze jakieś inne tatuaże oprócz królika na szyi?

Przecząco pokręciłam głową.

- Nie widziałam, ale nosił długi płaszcz.

Daniel nie zareagował na moją odpowiedź, co wydało mi się dziwne. Spoglądał na mnie nieobecny wzrokiem. Po chwili milczenia odezwał się:

- Czy zawsze martwiłaś się tym, że kochasz starszą córkę bardziej, ponieważ nie ma jej przy tobie?

Zesztywniałam.

- Kocham ją, bo jest moim dzieckiem. Bardziej niż kogo?

- Po prostu zastanawiam się czasami, czy w gruncie rzeczy nie chodzi ci o ciebie. O to, co możesz zrobić. A jeśli ona jest zadowolona z pobytu tam?

- Jak mogłaby być zadowolona? Valley jest piracką kolonią. Jacob niewątpliwie porzucił ją, tak jak wcześniej mnie.

- Mówiłaś, zdaje się, że on nie żyje.

- Wszystko jedno. Rzecz w tym, że tamten pirat powiedział, że nie ma przy niej ojca. Nikt jej nie pomaga. A lada dzień odeślą ją na statek reprodukcyjny.

- Wciąż zastanawiam się nad tym, czy twoja odpowiedzialność wobec Pearl nie jest większa.

Ponieważ ona jest tutaj – rzekł.

Ogarnęła mnie nagle słabość. Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, lecz zabrakło mi słów.

Wstałam z krzesła i pchnęłam je tak mocno, że uderzyło w stół.

- Nic o tym nie wiesz.

Podniósł na mnie wzrok.

- Ze mną tak właśnie jest. Kocham ludzi, których przy mnie nie ma.

- No cóż, to twoja sprawa. Coś ci powiem: nie doświadczyłeś nawet połowy tego co ja.

Wiedziałam, że czasami łatwiej jest kochać duchy zmarłych niż ludzi, których ma się wokół siebie. Duchy mogą być idealne, zastygłe poza czasem i rzeczywistością, kryształowo nieskazitelne postacie, jakimi za życia te osoby nigdy nie były, a tylko takimi je sobie wymarzyliśmy. Czasami pragnęłam, żeby z głębi mojej pamięci wypływały tylko dobre wspomnienia. Ojciec siedzący obok mnie, gdy gram w karty, i rozwiązujący krzyżówkę w starej gazecie. To, jak biegnę do niego przez podwórze, wpadam mu w ramiona, a on podrzuca mnie wysoko. Zapach jesieni, gdy przynosił drewno na opał, to, jak klęczałam za nim, układając drwa w kominku, i ogarniało mnie ciepło, jeszcze zanim zapłonął ogień.

W tych wspomnieniach odpychałam od siebie obrazy dziewczynki na werandzie, która wiedziała, że

pewne zdarzenia są nieuchronne i nie zdołałaby ich powstrzymać. Czasami pragnęłam udawać choć przez chwilę, że ta dziewczynka nie była mną i że moja historia skończyła się inaczej.

Daniel wstał i podszedł do mnie.

- Martwię się tym, że dźwigasz brzemię tego wszystkiego... gdyby coś jeszcze stało się Pearl...

- Nie chodzi tylko o to, czy Row jest zadowolona z życia w tej kolonii, czy nie - przerwałam mu. - Nie wierzę, że Jacob powiedział jej prawdę o tym, że mi ją zabrał. A jeśli ona uważa, że ją porzuciłam? Jeśli nie pamięta, że próbowałam popłynąć za nią? Nie będzie szczęśliwa, jeśli myśli, że po prostu ją zostawiłam.

Daniel wyciągnął rękę, by dotknąć mojego ramienia, ale ją odtrąciłam.

- Jestem pewien, że wcale tak nie myśli - rzekł łagodnie.

- Wiesz, co się dzieje z dziećmi, które zostały porzucone? Nie wierzą, że są warte czyjejkolwiek uwagi. To zmienia ich postrzeganie siebie. Takie dziecko uważa, że wszyscy inni świetnie sobie radzą, a ono czuje się, jakby miało w piersi cholerną dziurę, przez którą cały świat może sięgnąć i je zranić. Nie chroni go żaden pancerz. Nigdy nie czuje się bezpieczne. Chcę uratować Row nie tylko przed Upadłymi Opatami, lecz również przed czymś takim. Ona... ona musi się dowiedzieć, że mi na niej zależy.

Poczułam narastający ucisk w gardle. Cofnęłam się o krok i potarłam dłońmi twarz. Przypomniałam sobie ojca wiszącego na sznurze jak ryba, jego nogi poruszane ledwie dostrzegalnie wietrzykiem wpadającym przez otwarte drzwi szopy. Pomyślałam, że powiem Danielowi o tej tragedii, o tym, że rozbudziła we mnie pragnienie, którego nigdy nie zaspokoję. Podniosłam na niego wzrok, a on popatrzył na mnie, jakby mi współczuł, jakby się domyślał, że jest we mnie jakaś skaza. Zapragnęłam zetrzeć z jego twarzy ten wyraz współczucia.

- Myra, wybacz, nie zamierzałem...

Wycelowałam w niego palec.

- Nie waż się nawet myśleć, że mnie znasz!

Skinął głową. Na zewnątrz krzyki mew stały się głośniejsze, zmieniły się w szaleńcze wrzaski, gdy ptaki nurkowały za rybami i walczyły z wiatrem. Zaczynałam godzić się z tym, że już zawsze będę się tak czuła - zawieszona pomiędzy moimi córkami, zawieszona między przeszłością a przyszłością, wyrrywająca się rozpaczliwie ku niepewnej nadziei. To jak być zawieszoną między morzem a niebem i nieustannie ścigać niedosiężny horyzont.

Daniel powrócił do studiowania map, a ja szperałam na półkach w poszukiwaniu nowej liny. W kabinie było tak cicho, że wzdrygnęliśmy się oboje,

gdy drzwi się otworzyły i weszli Pearl z Behirem. Chłopiec zniknął w kuchni, a Pearl klapnęła na krzesło obok Daniela.

- Jestem głodna - oznajmiła.

Wokół nadgarstka miała owiniętego ulubionego węża. Gad zwieszał łeb nad kikutem jej palca i wysuwał z paszczy falujący język.

Przyjrzałam się nieufnie wężowi. Wprawdzie Pearl zapewniła mnie, że nie jest jadowity, jednak nie mogłam znieść tego, że przebywa poza dzbanem.

- Lunch będzie dopiero za godzinę - powiedziałam.

Behir odciągnął kuchenną zasłonę i położył przed Pearl bochenek chleba. Zaczęliśmy już racjonować żywność, wiedziałam, że chłopiec odpowie za to później przed matką.

- Czy dajesz mi go tylko dlatego, że straciłam palec? - zapytała. Potem uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Zresztą to i tak nie był mój ulubiony palec.

Zorientowałam się, że Behir przejrzał na wylot jej brawurę. Tę fasadę beztroski, za którą wewnątrz walisz się w gruzy. Uklęknął przy niej i zapytał:

- Kim jest ten koleś?

- Charlie mi teraz towarzyszy - odrzekła Pearl. Uśmiechnęła się znacząco. - Jest moją prawą ręką.

Wybuchnęła niepohamowanym chichotem i drugą dłonią zakryła twarz, ale gdy ją odsłoniła, była czerwona i mokra od łez.

- Coś ci pokażę - powiedział Behir, podszedł do półek i z jednej z nich wziął lornetkę.

Ujął Pearl za lewą rękę, po czym wyprowadził na pokład. Poszliśmy z Danielem za nimi.

- Zobaczyłem je tuż przed tym, nim weszliśmy do kabiny - oznajmił Behir, prowadząc dziewczynkę na dziób statku.

W odległości mniej więcej półtora kilometra powierzchnię wody rozcięła orka i wyskoczyła w powietrze. A za nią druga. Czarne grzbiety lśniły w słońcu. Orki popłynęły, pozostawiając za sobą na falach tory skotłowanej wody. Ich zew wzniósł się melodyjnie, głosy obydwu splatały się w rodzaj pieśni w nieznanym języku.

- Dziś wczesnym rankiem podpłynęły do nas naprawdę blisko - powiedział Behir. - Dobrze się im przyjrzałem. Widzisz tam tę wielką? Ona jest przywódczynią stada.

Podał Pearl lornetkę, a ona popatrzyła przez nią.

- Ma na brzuchu głęboką bliznę - mówił dalej. - Musiało ją dopaść jakieś olbrzymie zwierzę. Ale wszystkie inne orki podążają za nią. Jest jak statek matka. Jest teraz najsilniejsza.

Pearl uśmiechnęła się do niego.

Daniel stał tak blisko, że jego ramię muskało moje. Przyglądałam się Pearl obserwującej te walenie i poczułam, że w mojej piersi coś się otwiera, budzi.

Stałam tam, patrząc na żywe istoty większe od nas, a to przypomniało mi, jak zabierałam Row na obserwowanie żurawi. Jak bardzo potrzebowałyśmy ujrzeć jakieś piękne stworzenie niebędące nami, tak od nas odmienne.

Nieoczekiwanie naszła mnie wizja tego, jak Pearl, Row i ja mieszkamy razem w kamiennym domku nad urwiskiem, z widokiem na morze. Białe firanki trzepoczą, poruszane morską bryzą. Obok domu jest niewielka sterta drewna na opał. Z kamiennego komina wije się dym. Słychać żywe, wesołe okrzyki, a potem dziewczynki zaczynają mówić jedna przez drugą, ich głosy się łączą.

Od tak dawna nie pozwalałam sobie na marzenia, że ta wizja wydała mi się obca, krępująca, niczym nieużywany zwiotczały mięsień. Zagłębiłam się w nią i zobaczyłam, jak leżymy we trzy na łóżku, czytamy książkę, nogi przykrywa nam ciężka, ciepła narzuta. W powietrzu unosi się zapach świeżo upieczonego chleba stygnącego na ladzie kuchennej.

Orki znów wyskoczyły z wody i wpadły w nią z pluskiem, wysoko wzbijając spienione białe fontanny. Potem znowu i znowu. Ich ciała raz za razem zakreślały w powietrzu łuk, a orki musiały wciąż powtarzać ten ruch, by oddychać.

ROZDZIAŁ 36

Zanim zacumowaliśmy w Broken Tree, podczas śniadania przedyskutowaliśmy wszyscy ten ostatni postój w porcie. Jakich artykułów potrzebujemy, którzy kupcy zaproponują nam najkorzystniejsze warunki wymiany i co zrobimy, jeśli wpadniemy w tarapaty.

- Nie możemy zdradzić nikomu, że udajemy się do Valley. Kiedy wypłyniemy na Atlantyk, banda Czarnej Lilii będzie miała znacznie mniejszą szansę na to, że kiedykolwiek nas odnajdzie - przypomniałam zgromadzonym przy stole.

Przez całą poprzednią noc nie zmrużyłam oka. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy zrezygnować z tej ostatniej transakcji handlowej w Broken Tree. Wśliznęłam się ukradkiem do magazynu, popatrzyłam na puste półki oraz na skrzynki uwędzonych i zasolonych ryb, które złowiłam. Najlepszym wyjściem było szybkie dobiecie targu i wymknięcie się z portu, na wypadek gdyby byli tam członkowie bandy Czarnej Lilii.

- Niech każdy trzyma się blisko przystani, wstąpi tylko do kilku najbliższych sklepów czy barów. Jeżeli

trzeba będzie się zmyć, musimy być w stanie szybko zebrać wszystkich członków załogi. Nie możemy zostać tam na noc – powiedział Abran.

Wokół stołu rozszedł się cichy pomruk niezadowolenia.

– To będzie nasz ostatni dzień na łądzie – odezwał się Behir. – Czy nie powinniśmy trochę odpocząć przed długim rejssem przez Atlantyk? Piratów z Czarnej Lilii prawdopodobnie w ogóle tam nie ma.

– Nie – odparł stanowczo Abran. – Podniesiemy żagle natychmiast po sfinalizowaniu transakcji.

Zacumowaliśmy przy nabrzeżu i zanieśliśmy skrzynki z rybami do miasteczka. Nie złowiłam nawet w połowie takiej ilości, na jaką liczyłam. W ciągu minionych kilku tygodni żadna z moich metod rybackich, które wcześniej stosowałam, się nie sprawdziła. Wydawało się, jakbym straciła zdolność odczytywania wody, podejmowania właściwych decyzji we właściwym czasie.

Nawet Abran popatrzył z dezaprobatą na napełnione tylko do połowy skrzynki, gdy wyładowywaliśmy je na nabrzeże. Żałowałam, że nie mogliśmy użyć mniejszej ich liczby, by w ten sposób zatuszować mizerność mojego połowu. Jednak zawsze zabieraliśmy do faktorii tyle samo skrzynek, by móc przynieść w nich na statek nabyte towary.

Broken Tree w porównaniu z Wharton wyglądało

nędznie, wiele budynków sklecono z kawałków metalu i niedobrych drewnianych desek powiązanych sznurkami albo pozbijanych gwoźdźmi. Zaśmiecone ulice śmierdziały gnojem. Wszystkie były właściwie gruntowymi drogami, niebrukowane ani niewyłożone deskami, z głębokimi wybojami i dziurami.

- Nie skreć sobie kostki - ostrzegłam Pearl, wskazując te wady.

Ostrożnie poprawiła okaleczoną ręką torbę na ramieniu. Nie zgodziłam się, żeby zabrała Charliego do miasteczka.

- Nie mów mi, jak mam chodzić - warknęła.

Ubiegłego wieczoru skończył się nam prowiant, musieliśmy przyrzadzić na kolację dwa węże. Pearl nie chciała jeść i siedziała ze spuszczoną głową, kopiąc stołową nogę. Spytała, czy może odejść, a ja odmówiłam, kazałam poczekać do końca posiłku. W nocy leżała zwinięta w kłębek w nogach łóżka, ja zaś podejrzewałam, że powodem jej przygnębienia bardziej niż utrata węży było poczucie, że nie ma nad niczym kontroli, że wszystko wymyka się jej z rąk.

Wschodnią część osady gęsto porastały drzewa, natomiast w zachodniej rozciągały się pola, na których uprawiano jęczmień, pszenicę, ziemniaki, kapustę. Robotnicy rolni w słomianych kapeluszach ocieniających twarze przed południowym słońcem

kłęczeli z pochylonymi grzbietami między rzędami upraw. Wyglądali jak wieśniacy z siedemnastowiecznych obrazów holenderskich. Na ich widok zaparło mi dech w piersi i przez moment poczułam się zawieszona w czasie poza kręgiem upływających lat.

Wskutek działania słonej bryzy znad morza wszystkie kamienne, metalowe i drewniane elementy domów były chropowate i pokryte pęknięciami, które łątano mułem i gliną. W pobliżu linii brzegowej stał wciśnięty w zagłębienie w zboczu góry budynek dawnego kościoła katolickiego z wiszącym od frontu szyldem „Sklep”. Ten kościół wzniesiono niewątpliwie przed nadejściem powodzi. Nie został sklecony z byle jakich materiałów wygrzebanych na śmietniskach. Był zbudowany z równo ułożonych cegieł w kolorze kremowym. Widok sylwetki tego kościoła na tle jasnego nieboskłonu sprawiał niesamowite wrażenie. Był jednym z nielicznych budynków sprzed powodzi, jakie widziałam w ciągu minionych lat. Wyglądał, jakby spadł z nieba.

- Ten, kto go zbudował, wiedział, co robi - powiedziała Jessa tonem pełnym podziwu, wpatrując się w kościół.

Miał idealne linie załomów, grube ściany. Tuż pod szczytem strzelistego dachu znajdowało się niewielkie owalne okno. W fasadzie były prawdziwe

wrota z zawiasami. Takie budowle właściwie już nie istniały.

- Jak sądzę, wiedział, że będziemy potrzebowali sklepu - rzuciła Marjan.

Marjan nadal codziennie o wschodzie i o zachodzie słońca odmawiała modlitwę. Gdy ją o to zapytałam, odpowiedziała, że to nawyk, który obawia się porzucić.

- Zachowałam wiarę - oświadczyła. - Ale miewam ją tylko z rzadka, przez chwilę. Zatem postępuję w zgodzie z tą chwilą, nawet w okresach, kiedy nie wierzę.

Zanieśliśmy ryby do factorii i wymieniliśmy je na ostatnie niezbędne artykuły, jakich potrzebowaliśmy, by przebyć Atlantyk. Liny, takielunek, bloczki, kawałki metalu, drewno do dokonywania napraw na statku, ziemniaki, kapustę, mąkę, tkaniny i dwa wiadra soli.

Nie mieliśmy dostatecznie dużo ryb, by wymienić je na żywność, na jakiej nam zależało: kiełbasę, jajka, owoce czy drób. Wiedziałam, że będę musiała łowić więcej niż dotychczas, jeżeli mieliśmy dotrzeć do celu i nie pomrzeć z głodu.

Po sfinalizowaniu transakcji większość załogi wybrała się na spacer po straganach ustawionych przy drogach i szperała pośród towarów, mając do dyspozycji po dwie monety, albo zaryzykowała wizytę

w którymś z barów za główną ulicą, z widokiem na ocean.

- Idziesz z nami do kościoła? - spytałam Abrana.

- Nie. - Odwrócił wzrok, nerwowo zacierając ręce.

- Pokręcę się w pobliżu.

Przyglądałam się, jak odchodzi, i wezbrał we mnie głuchy gniew. Czy Abran ukrył trochę ryb, żeby wymienić je na alkohol? Ile gorzały schował w swojej kajucie?

Kusiło mnie, żeby go śledzić, jednak poszłam z Danielem i Pearl do budynku dawnego kościoła. Na frontowych drzwiach była umieszczona kamienna tablica z wyrytym napisem. Opowiadał historię bogatego mężczyzny, który mieszkał u stóp tej góry. Pewnej nocy miał sen, w którym Bóg nakazał mu wzniesienie na szczycie kościoła dla przyszłych pokoleń. Mężczyzna wypełnił jego wolę. Według daty na tablicy budowę ukończono dwie dekady przed powodzią.

Słyszałam inne osobliwe relacje o podobnych przeczuciach, jakie ludzie mieli przed nadejściem fali powodziowej. Przeczuciach, snach albo wizjach. Jednak żadnej ze znanych mi osób nie skłoniły one do działania.

W kościele ustawiono stoły i stragany przedzielone główną nawą wiodącą prosto do ołtarza i krucyfiksu. Wnętrze miało kształt długiego prostokąta. Przez

wąskie, wysokie okna umieszczone w bocznych ścianach wlewało się z jednej strony słoneczne światło nadające powietrzu połyskliwą migotliwość. Daniel zabrał Pearl na oglądanie straganu pełnego wełnianych rękawiczek i czapek.

Poczułam zapach węgla drzewnego i benzyny. Rozejrzałam się i zobaczyłam stoisko z niewielkimi workami węgla, butlami benzyny, a także zapalniczkami, prętami spawalniczymi, świdrami ogniowymi. Mała butelka benzyny kosztowała równowartość tygodniowego wyżywienia. Pokręciwszy głową, odeszłam stamtąd. Mój wzrok przykuła płyta z wyrzeźbioną twarzą Chrystusa, będąca jedną ze stacji drogi krzyżowej. Płaskorzeźba nosiła cechy dramatycznego stylu barokowego manieryzmu. Twórca wspaniale ukazał mękę na obliczu Chrystusa, wyraz zarówno duchowości, jak i zwierzęcego cierpienia.

- Wrzuciliśmy tylko jednego trupa - dobiegł mnie z tyłu głos kobiety.

Mówiła z silnym akcentem, być może z zachodu Europy, jednak nie potrafiłam dokładnie tego określić.

Zjeżyły mi się włoski na karku. Nadal wpatrywałam się w wyrzeźbioną twarz Chrystusa, starając się usłyszeć tę drugą osobę, do której zwróciła się kobieta.

- No tak, na północy jest łatwiej niż na Karaibach, gdzie w upale zwłoki tak szybko się rozkładają - odpowiedział warkliwie mężczyzna.

Skądś znałam ten głos, jednak nie odważyłam się odwrócić.

- Aha. Brakuje amunicji, więc teraz konstruujemy bomby. Są o wiele skuteczniejsze. Rozkładasz je wszędzie, dzieciaki chodzą po nich, dorośli wpadają w panikę. Wtedy usuwasz bomby, wkraczasz i dostajesz wszystko, czego potrzebujesz. W ten sposób zaoszczędziliśmy materiały na nowy statek budowany przy nabrzeżu.

- Mów ciszej.

- Potrzeba nam jeszcze jednej kolonii, a potem skupimy się na powiększaniu naszej floty. Gubernator już płaci nam daninę. Na wschodzie jest kilka bogatych kolonii innych państw. Mam tam już moich zwiadowców - oznajmiła kobieta.

- Doskonale. W zeszłym tygodniu dostałem wiadomość z Ruenlock. Jakiś statek zrabował tam nasze zapasy. Nazywa się „Sedna”. Trzeba przekazać tę informację do innych baz, na wypadek gdyby zawiązał do któregoś portu.

- Z jakiego państwa pochodzi?

- Chyba nie należy do żadnego. Może załoga działa samodzielnie. Tak czy owak, trzeba ich szybko zlikwidować. Nie może się roznieść, że obrabowano

nas i nie dokonaliśmy odwetu. Ale to nie wszystko. Pewien człowiek twierdzi, że rozpoznał dawnego członka swojej załogi, który przed kilkoma laty okradł jeden z naszych statków. Teraz ten gość posługuje się imieniem Abran, krążą pogłoski, że może być kapitanem „Sedny”. Jeszcze jeden powód, żeby mieć oczy szeroko otwarte.

Usłyszałam cichy odgłos kroków na kamiennej posadzce, głosy się oddaliły. Zgroza chwyciła mnie za gardło. Przycisnęłam rękę do chłodnej kamiennej płyty i wsparłam czoło na grzbiecie dłoni, starając się uspokoić oddech. Musieliśmy natychmiast zabrać wszystkich naszych z Broken Tree. Rozejrzałam się za Danielem i Pearl, modląc się w duchu, żeby byli w pobliżu drzwi i żebyśmy mogli wymknąć się niepostrzeżenie. Powiodłam wzrokiem wokoło. Zobaczyłam ich w głównej nawie, o kilka stoisk ode mnie, oglądających małe drewniane figurki.

Mężczyzna i kobieta, których rozmowę podsłuchałam, byli zwrócenii plecami do mnie. Odchodzili w kierunku straganu ze stertami wioseł zrobionych ze znalezionej plastiku. Gdy kobieta odwróciła głowę, zobaczyłam na jej szyi wytatuowanego królika. Podkradłam się szybko do Pearl i Daniela, przeciskając się obok handlarza targującego się z klientem o ceny.

- Mamo, spójrz. To jest takie ładne... - zaczęła

Pearl na mój widok.

- Nie, nie kupimy tego. Danielu - powiedziałam i szarpnęłam go za rękaw, odciągając o krok od mojej córki. Gwałtownym ruchem głowy wskazałam w stronę tamtej pary, nadal odwróconej od nas. - Oni są z bandy Czarnej Lilii.

Milczał, szczeka mu zadrgała, jakby zgrzytał zębami.

- Ty nigdy mnie nie słuchasz - rzekła z pretensją Pearl, wchodząc pomiędzy Daniela a mnie.

- Pearl, nie teraz. Musimy jak najszybciej zaalarmować pozostałych i wynieść się stąd - szepnęłam.

Daniel przytaknął. Ruszyliśmy główną nawą w kierunku frontowych drzwi, mijając stragany. Jakaś bezzębna stara kobieta pchająca wózek pełen zwiewnych tkanin zablokowała nam drogę, mamrocząc przeprosiny. Dwoje dzieci trzymających się za ręce przeszło przed nami, stąpając ostrożnie na palcach, jakby nie były pewne, czy podłoga wytrzyma.

Cieżarna kobieta z włosami ostrzyżonymi krótko przy skórze chwyciła mnie za ramię, domagając się, żebym kupiła jej wyroby. Przecząco pokręciłam głową, rzuciłam się do przodu i wpadłam na Daniela, który przed momentem przystanął gwałtownie.

Wyjął nóż z pochwy u paska i trzymał go przy

udzie, ukryty, ale gotowy do użycia.

Podążyłam spojrzeniem za jego wzrokiem. Wzdrygnęłam się, widząc, że tamtych dwoje zmierza teraz wolno w naszym kierunku, szperając po straganach i gawędząc ściszonymi głosami. Kobieta była tak chuda, że górne zębra aż sterczały, i wciąż oblizywała przednie zęby niczym gryzoń. Twarz mężczyzny widziałam tylko z profilu – wydatne kości policzkowe, mały nos, mocno zarysowaną szczękę. Miał na szyi wytatuowanego takiego samego królika, którego czerwone oko wydawało się wszechwiedzące i wszystkowidzące. Mężczyzna nosił w uchu lśniący czarny kolczyk, a jego postawa, gdy stał wyprostowany na szeroko rozstawionych nogach, znamionowała władczość i zdecydowanie.

Wyciągnęłam rękę, żeby przytrzymać Pearl za moimi plecami, ale ona wyrwała mi się naprzód. Jednak gdy zobaczyła tamtych dwoje, szybko schowała się znów za mnie.

Stałam jak sparaliżowana. Tamci blokowali nam drogę wyjścia. Daniel skulił się i stał nieco przechylony na bok, gotów do ataku. Ścisnął rękojeść noża tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

Mężczyzna zwrócił głowę w stronę ołtarza i po raz pierwszy zobaczyłam wyraźnie jego twarz. Wyglądał jak starsza wersja Daniela.

ROZDZIAŁ 37

Ludzkie głosy nadal wirowały pośród straganów z linami, odzieżą, figurkami, wełnianymi czapkami, lecz dla mnie wszystko to spowolniło i straciło znaczenie. Krew w moich żyłach była teraz gorętsza, zaczęła krążyć szybciej.

Położyłam dłoń na ramieniu Daniela i poczułam, że jest napięte jak ciasno zwinięta lina. Drgnął, popatrzył na mnie, potem na Pearl. W jego zmrużonych oczach z rozszerzonymi źrenicami niemal dostrzegłam decyzję, ujrzałam przelotną pustkę na twarzy, gdy rozważał dwie możliwości.

- Chodźcie - rzucił.

Chwycił mnie za ramię, po czym popchnął do tyłu, byle dalej od głównej nawy, obok stoisk i klientów pochylonych nad stołami. Skrył nas hałaśliwy tłum ludzi tłoczących się i szperających po straganach. Wypadliśmy spomiędzy stoisk, stanęliśmy przed długą ścianą. Daniel gwałtownie kręcił głową, wypatrując wyjścia. W pogrążonej w półmroku przedniej części kościoła, obok ołtarza jarzyła się wąska smuga słonecznego światła.

Mocniej ścisnęłam rękę Pearl i pognaliśmy ile sił

w nogach w kierunku tej smugi. Zataczając się, wpadliśmy w blask słońca, mrużąc oczy i nadal starając się stłumić oddechy.

Piraci mieli różne rodzaje kar za kradzież, usiłowałam sobie przypomnieć, którą najczęściej stosowali. Odcięcie dłoni? Wzięcie w niewolę? Przeważnie posługiwali się karami, by wymuszać zawieranie układów, zawsze mając na celu zwiększenie swojej siły zbrojnej. Żądali, abys płacił podatek od wszystkiego, co zarobisz, albo uprowadzą dwóch spośród twoich najlepszych ludzi.

Nie ścigaliby nas, gdybyśmy nie wstąpili na wyspę Ruenlock, pomyślałam. To moja wina. Abran miał rację, sprzeciwiając się temu pomysłowi.

Jakiś kuśtykający obok stary mężczyzna uśmiechnął się do nas bezzębnymi ustami. W kościół uderzył poryw wiatru, zatargał drzewami i sprawił, że starzec się zachwiał.

- Zaprowadzę Pearl na statek i wciągnę żagle. Ty zbierz pozostałych - powiedział Daniel.

Wpatrywał się w drzwi, którymi wyszliśmy, lecz wewnątrz było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec.

- Czy oni nas zauważyli? - zapytałam.

Przyciągnęłam do siebie Pearl, tak że tyłem głowy dotykała mojego brzucha. Opierałam dłonie na jej ramionach, a ona przykryła je swoimi.

- Chyba nie - odrzekł Daniel, oglądając się przez

ramię.

Pocałowałam Pearl w czubek głowy. Przez chwilę nie chciała puścić mojej ręki, gdy Daniel odciągał ją ode mnie. Ruszyli w stronę portu, a ja pospieszyłam przez miasteczko do pierwszego baru. Znalazłam tam Wayne'a, Jessę i Thomasa. Oznajmiłam, że są tu piraci Czarnej Lilii, więc musimy natychmiast odpłynąć. Zerwali się na nogi, przewracając stołki, i włożyli kurtki. Powiedzieli mi, że Marjan z Behirem są już na „Sednie”. Uzgodniliśmy, że odszukam Abrana i spotkamy się na statku.

Zastałam Abrana w sąsiednim barze. Siedział w głębi sali, plecami do mnie, popijając whisky ze szklanki, gawędził z łysym mężczyzną w skórzanej kurtce.

- Valley jest doskonale chronione i ma bardzo żyzne ziemie - perorował, gdy podchodziłam.

Pochylił się do przodu na krześle, rozcapierzył palce dłoni na stole, i mówiąc, bębnił ich czubkami o blat. Mogłam sobie wyobrazić półuśmiech na jego twarzy, pewną siebie, spokojną minę. Miałam ochotę rąbnąć go w głowę tak mocno, żeby uderzył nią o stół.

Jego towarzysz spostrzegł mnie i dał mu znak ruchem głowy. Abran odwrócił się do mnie.

- Myra! Moja ulubiona kobitka. Siadaj. - Wysunął krzesło obok siebie.

- Dzięki, ale naprawdę musimy już iść - powiedziałam, usiłując pochwycić jego wzrok, aby zobaczył, że mówię serio.

- Nie bądź taka sztywna! - Zaśmiał się, odwrócił na krześle i skinął na barmana. - To mój stary kumpel Matty. Znamy się od lat.

- Abran... - zaczęłam.

Uniósł ręce i znów się roześmiał. Nawet w półmroku widziałam, że twarz ma poczerwieniałą od alkoholu.

- Matty'emu możemy zaufać. Wiem, powiedziałem, żeby nikomu nie mówić, ale nie spodziewałem się, że wpadnę na starego kumpla. Matty to równy gość.

Barman postawił na stole trzy napełnione szklanki i Abran przepił do Matty'ego. Ja nie tknęłam swojej.

- Właśnie kupiliśmy trochę dobrych zapasów. Powiodło się nam. - Uśmiechnął się z dumą. - Tak więc jesteśmy gotowi do wypłynięcia.

Położyłam dłoń na ramieniu Abrana, przysunęłam usta do jego ucha i wyszeptałam:

- Chodzi nie tylko o to, z kim rozmawiamy, lecz także o to, kto może nas podsłuchać.

- Masz paranoję - rzekł i wychylił szklankę whisky.

- Wyjawiam to wszystko Matty'emu, żeby do nas dołączył. Jest rybakiem. A tobie ostatnio połowy nie najlepiej się udają.

- Matty, proszę, wybacz nam - powiedziałam, po

czym chwyciłam Abrana za ramię i szarpnięciem poderwałam go z krzesła.

- Co jest, do diabła?! - krzyknął.

Za rogiem kontuaru były wąskie drzwi opatrzone tabliczką z napisem „Magazyn”. Wyprowadziłam Abrana przez nie do małego ciemnego pomieszczenia pełnego półek z alkoholem. Gdy tam weszliśmy, uderzył we mnie intensywny zapach drożdży i smród zepsutych ryb. Przez okienko nad naszymi głowami wpadała ukośna smuga światła.

- Myra, po prostu cieszę się ze spotkania przyjaciela. Reagujesz przesadnie.

Przyparłam go do półek.

- Zamknij się - syknęłam. Zatkaną mu dłonią usta i przycisnęłam go swoim ciałem. - Rozpoznano cię. Tamci z Ruenlock powiadomili o nas bandę Czarnej Lilii. A członkowie tej bandy są tutaj. Musimy natychmiast wrócić na statek i odpłynąć.

Abran wytrzeszczył oczy i odsunął od ust moją rękę.

- Gdzie oni...

Drzwi się otworzyły. Oczekiwałam, że to barman każe nam wyjść. Jednak do magazynu wśliznęło się dwoje ludzi. Szybko zatrzasnęli za sobą drzwi. Rozpoznałam kobietę, którą podsłuchiwałam w sklepie w dawnym kościele, natomiast mężczyzny dotąd nie widziałam. Był bez koszuli, a na jego szyi zobaczyłam

takiego samego wytatuowanego królika, zaś długie tłuste włosy miał związane w koński ogon. W głowie kołatała mi myśl: ilu tych piratów jest w miasteczku?

- Gdzie to jest? - zapytał mężczyzna.

- Co? - odpowiedział pytaniem Abran.

W pierwszej chwili pomyślałam, że udaje głupiego, by zyskać na czasie, i przyjrzałam mu się uważnie, oczekując, że da mi jakiś znak. Sygnał do ataku albo rzucenia się do drzwi. Nieznaczny obrót nadgarstka, ukradkowe spojrzenie czy ruch stopą na podłodze. Ale Abran stał tak jak wcześniej, w swobodnej postawie, z lekko pochyloną głową, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Mężczyzna zrobił krok i uderzył go pięścią. Abran poleciał do tyłu i przewrócił się jak długi przy półkach. Na zewnątrz chmura przesłoniła słońce, w magazynie zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Słyszałam oddechy tamtych dwojga, a także ciche jęki Abrana, chociaż ledwie dostrzegałam jego zgiętą w pół sylwetkę z ręką przy lewej stronie twarzy.

- Dostaliśmy wiadomość, że obrabowano naszą kryjówkę. Ty pasujesz do rysopisu jednego ze złodziei - powiedział mężczyzna.

Ruszył naprzód, ale kobieta dotknęła kostkami palców jego ramienia, zatrzymując go. Wyjęła z pochwy nóż i otarła ostrze o poję koszuli, jakby je czyściła.

Uchwyciwszy się półki, Abran podźwignął się na nogi. Przewrócił przy tym butelkę, która z trzaskiem rozbiła się na podłodze i odłamki rozsypały się wokół naszych stóp.

Mężczyzna zrobił krok w kierunku Abrana, szkło zachręściło pod jego butami. Sięgnął ręką i zerwał mu z szyi bandanę, odsłaniając blizny.

- A więc to prawda. - Obejrzał się na kobietę. - To musi być ten, o którym mówili. Przed laty nas okradł. Masz taki nawyk? - spytał Abrana. - Od dawna chcieliśmy cię dopaść.

- Na naszym statku - powiedział Abran. - Wszystko to jest na naszym statku. Zwrócimy wam wszystko.

Zerknęłam na niego kątem oka. Musiał wiedzieć, że nie skończy się na tym, że tamci odbiorą to, co im ukradliśmy, a potem spokojnie opuszczą nasz statek. Wbijał wzrok w podłogę, usta miał zaciśnięte w cienką linię, jego twarz niczego nie zdradzała. Czy naprawdę zamierzał zaprowadzić ich do statku? Na tę myśl poczułam się, jakbym otrzymała mocny cios pięścią. Oni nie mogą dostać się nawet w pobliże Pearl!

- W porządku, zaprowadź nas tam. Ruszaj pierwszy - rozkazał mężczyzna i odstąpił na bok, zostawiając Abranowi miejsce, żeby mógł przejść między nim a kobietą.

- Dobrze - odrzekł Abran.

Nie spojrział na mnie, nie uczynił żadnego gestu. Ręce miał zwieszane wzdłuż ciała, nadal się garbił, jakby usiłował wydać się drobny i niepozorny. Pomieszczenie przeniknęła drażniąca woń octu z rozbitej butelki. Zamrugałam gwałtownie, żeby przejaśniło mi się w głowie.

Abran wszedł między mężczyznę a kobietę, a oni obserwowali go, przyglądali się uważnie jego rękom. Gdy tylko ich minął i znalazł się przy drzwiach, mężczyzna wyjął z pochwy nóż, po czym przeniósł ciężar ciała na cofniętą nogę, by móc w razie czego rzucić się na Abrana i zatopić ostrze w jego plecach.

Wyciągnęłam z pochwy nóż i trzema szybkimi susami dopadłam do mężczyzny. Skoczyłam mu na plecy, a on okręcił się gwałtownie, usiłując mnie zrzucić. Przywarłam do niego, chwyciłam w garść jego włosy, szarpnęłam mu głowę do tyłu i chlasnęłam ostrzem gardło.

Kobieta złapała mnie za ramię, odciągnęła od swojego towarzysza i cisnęła na ścianę. Uderzywszy głową w metalowy siding, osunęłam się na podłogę, a napastniczka kopnęła mnie w brzuch twardym czubkiem buta. Miałam wrażenie, jakby wbito mi kamień między żebra.

Abran wpadł na nią całym ciężarem i obydwójce runęli na podłogę. Odtoczył się od niej, zwinął się z bólu i jęknął. Zamrugałam, bo zamgliło mi się

w oczach, lecz to nie pomogło, nadal wszystko wydawało się zdeformowane.

Kobieta podniosła się z trudem na kolana i chwyciła odłamek szkła. Błysnął w ukośnej smudze słonecznego światła wpadającej przez okno. Wstała i ruszyła na Abrana, który pełznął ku zapasowej półce opartej o ścianę.

Spróbowałam poderwać się z podłogi, ale nogi mi się trzęsły, kolana ugięły się pode mną. Płuca gwałtownie wciągały powietrze, lecz mimo to miałam wrażenie, że brak mi tchu. Poczłogałam się przed siebie po ostrych odłamkach, tułów przeszył mi ostry ból. Wiedziałam, że nie zdążę dotrzeć w porę do Abrana.

Gdy kobieta mnie mijała, uniosłam nóż i wbiłam w jej stopę. Ostrze przeszło na wylot i utkwilo w drewnie, przygważdżając ją do podłogi.

Kobieta wrzasnęła z bólu, pochyliła się, by dźgnąć mnie odłamkiem, ale odturlałam się w bok. Wyszarpnęła nóż ze stopy, lecz w tym momencie Abran zamachnął się deską i z hukiem rąbnął ją w głowę.

Sięgnął w dół i ujął mnie pod pachy. Krew ciekąca z jego ręki przesiąkła przez moją koszulę, mocząc mi skórę. Wypchnął mnie przed sobą za drzwi, potknęliśmy się o przewrócone krzesło. Ludzie unosili głowy i gapili się na nas, gdy szliśmy szybko przez

bar do drzwi. W powietrzu wisiał ciężki, gęsty zapach krwi, alkoholu i dymu tytoniowego. Wniknął we mnie tak mocno, że czułam go, nawet gdy już wyszliśmy na dwór.

Pobiegliśmy do statku. Daniel stał przy sterze, Jessa była na rei pośród lin, a Thomas przy grotmaszcie ustawiał żagle. Popędziliśmy nabrzeżem i zatrzymaliśmy się przy polerze, żeby odwiązać cumę. Wskoczyliśmy na pokład w momencie, gdy statek zaczynał już oddalać się od pirsu.

Potknęłam się, przewróciłam i potoczyłam po pokładzie, pierś przeszył ostry ból. Z kabiny wyszła Pearl. Ruszyła ku mnie, ale machnęłam na nią, żeby wróciła do środka.

- Behir! - wrzasnęła rozpaczliwe Marjan.

Jessa krzyknęła coś z góry i zaczęła schodzić po linie. Wayne chwycił Marjan, gdy biegła do nadburcia. Zgięła się niemal w pół, wyciągając ręce w kierunku nabrzeża.

- Behir! - zawołała znowu.

Podniosłam się, popatrzyłam w stronę brzegu i wtedy zobaczyłam. Tamci mieli Behira.

ROZDZIAŁ 38

- Zatrzymajcie statek! - wrzasnęłam.

- Myra! - krzyknął Abran, podchodząc do mnie. - Przecież oni tak po prostu go nie oddadzą.

Wiedziałam, że ma rację, lecz nic mnie to nie obchodziło.

- Rzuć kotwicę! - zawołałam do Daniela.

- Jeżeli rzucimy kotwicę, nie zdążymy się stąd wydostać, zanim nas osaczą! - krzyknął Abran.

Jakiś mężczyzna mocno trzymał Behira i przystawiał mu nóż do szyi. Behir wyglądał tak, jak Pearl tamtego ranka na wybrzeżu, kiedy zbierałyśmy małże. Oczy wytrzeszczone z przerażenia, ręce zwisające bezwładnie wzdłuż ciała. Jakby znajdował się w szybie, z którego wypompowano tlen, a teraz powoli zamykano nad nim pokrywę.

Mężczyzna z czarnym kolczykiem, którego widzieliśmy w kościele, kroczył wolno po nabrzeżu, mając u boku inną kobietę, niską blondynkę bez jednego ucha. Oboje zatrzymali się obok mężczyzny trzymającego Behira, stanęli w swobodnych pozach i skrzyżowali ramiona na piersiach, jakby na coś czekali.

Daniel i mężczyzna z czarnym kolczykiem wpatrywali się w siebie. Przez twarz tamtego przemknął władczy wyraz, pełen satysfakcji. Wydawało się, że rzuca Danielowi wyzwanie.

Daniel przełknął z wysiłkiem i zacisnął pięści, twarz miał ściągniętą bolesnym grymasem. Pojęłam, że rozważa jakąś decyzję.

- Weźcie mnie zamiast niego! - zawołał.

Serce zabiło mi szybko. Głos Daniela zabrzmiał słabo i niewinnie, tak że ledwie go rozpoznałam.

Wszystko się wyostrzyło, jakby każda powierzchnia wzniosła się wyżej, maszt się wyprostował, nadburcie wibrowało nową energią. Sekundy się wydłużyły, próbowałam coś wymyślić, ale miałam pustkę w głowie.

Mężczyzna z czarnym kolczykiem tylko potrząsnął głową, jakby Daniel był dzieckiem, które go lekko rozczarowało, nie potrafiło spełnić jego oczekiwań. Potem spojrzał na kompana trzymającego Behira.

Daniel przebiegł przez całą długość statku na dziób, gdzie leżała kotwica. Behir zobaczył go i nieznacznie pokręcił głową.

„Nie, nie, nie!” - rozbrzmiało we mnie echem w rytm moich kroków, gdy biegłam do nadburcia, machając rękami. „Sedna” już odpływała od nabrzeża. Musieliśmy rzucić kotwicę!

- Damy wam wszystko, co zechcecie! - krzyknęłam

do nich. – Tylko wypuście go!

Mężczyzna podobny do Daniela uśmiechnął się nikle, smutnym uśmiechem sprawiającym wrażenie, jakby czegoś żałował. Kiwnięciem głową dał znak piratowi trzymającemu Behira. Zamknęłam oczy. Marjan wrzasnęła i osunęła się na pokład. Słońce świeciło mi w twarz, przez zamknięte powieki widziałam tylko czerwień. Moje ciało płonęło, jakbym połknęła ogień. Cały świat stał się skowytem.

Kiedy znów otworzyłam oczy, Behir leżał bezwładnie przy nogach mężczyzny, który wycierał nóż w połę koszuli. Uchwyciłam się obiema rękami nadburcia, żeby nie upaść. Potem odwróciłam się i zobaczyłam, że Pearl stoi w drzwiach kabiny z twarzą zalaną łzami.

Wyprawiliśmy Behirowi symboliczny pogrzeb, ale Marjan nie przemówiła na nim. Gdy zgromadziliśmy się na dziobie statku, trzymała się z tyłu niczym cień. Kiedy skończyliśmy i odwróciliśmy się, już jej nie było.

Po ceremonii pogrzebowej zebraliśmy się w kabinie. Abran zrelacjonował przebieg wydarzeń w barze w Broken Tree. Powiedział, że zabiliśmy jednego z tamtych piratów i że oni prawdopodobnie wiedzą, iż płyniemy do Valley. Nie wspomniał o swojej przeszłości w załodze Czarnej Lili ani o tym,

że został rozpoznany.

- Mówiłeś nam, żeby nie rozmawiać o Valley - warknął Wayne.

Abran zamknął oczy i skinął głową.

- Rozmawiałem tylko z przyjacielem. Ale możliwe, że nas podsłuchano. Behir... - Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Marjan. - Behir został zabity w odwecie za Ruenlock. Właśnie tak to się odbywa: oni karzą każde wykroczenie przeciwko nim. Ponieważ już wymierzili karę, zapewne nie będą nas ścigać.

Wśród załogi rozszedł się szmer zaniepokojenia. Popatrzyłam na Abrana, zastanawiając się, czy naprawdę w to wierzy. Zważywszy na jego przeszłość w bandzie Czarnej Lilii, a także niejasny związek łączący Daniela z ich dowódcą, wątpiłam, czy zostawią nas w spokoju.

Daniel musiał być krewnym tamtego mężczyzny - nie chodziło tylko o podobieństwo, lecz także o to, jak patrzyli na siebie poprzez połąć wody pomiędzy statkiem a nabrzeżem. Ich wzrok wyrażał rozpoznanie i wzajemną znajomość. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek inny to zauważył. W spojrzeniach, które sobie nawzajem rzucili, była niemal propozycja transakcji, jakby miała zostać dokonana jakaś wymiana. I Daniel zaproponował, że odda się w ich ręce.

Pomyślałam o tym, jak Daniel ślęczał nad mapami, a gdy wchodziłam do kabiny, czasami chował zapiski. Przypomniałam sobie, jak przestraszony wydawał się w Harjo, kiedy zastaliśmy go na rozmowie z jakimś nieznanym. Jak znikał samotnie w barach, jakby potajemnie zbierał informacje. Abran miał rację – Daniel coś ukrywał. Pomimo wszystkich jego wypowiedzi o tym, jak trudno jest kogoś wytropić, czy przez cały ten czas nie tropiliśmy bandy Czarnej Lilii?

Musiał wiedzieć, jak bardzo to jest niebezpieczne. Ale być może nie przejmował się tym. Na tę myśl puls skoczył mi z furii. Muszę zdybać Daniela na osobności i zapytać go o to wprost.

Bez Behira na „Sednie” było smutniej. Mogliśmy zawsze liczyć na jego poczucie humoru i serdeczność, na to, że po prostu nie zamierzał być ponury, nawet kiedy los nie szczędził nam kłopotów. Kiedy wir wodny zerwał z downriggera sieć pełną ryb. Kiedy wiał porywisty wiatr, a z pochmurnego nieba lały się na nas potoki deszczu.

Marjan na miesiąc zamieszkała w kajucie Abrana, a on na ten czas przeniósł się do kwatery dla załogi. Przynosiliśmy jej posiłki. Bywało, że nas nie wpuszczała, kiedy indziej zaś wędrowała ukradkiem po statku, umykając przed nami niepostrzeżenie jak duch.

Potem pewnego dnia zjawiała się w kabinie na śniadaniu. Jej zachowanie wydawało się pogodniejsze i bardziej dystyngowane. Jakby była ostrzem, które zahartowano w ogniu, a potem przekuto w nowy kształt. Zdałam sobie sprawę, że szukam towarzystwa Marjan, lubię po prostu stać obok niej w kuchni i oprawiać ryby albo przy nadburciu lustrować wzrokiem ocean, wypatrywać wierzchołków zatopionych gór, kiedy znajdowaliśmy się w pobliżu linii brzegowej. Zazwyczaj staranie unikałam osób, które kogoś straciły, ponieważ przebywanie z nimi było jak przypominanie sobie koszmaru, o którym pragnie się zapomnieć. Ale w tym przypadku z jakiegoś powodu reagowałam inaczej. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

Może było tak dlatego, że kochałam Marjan na tyle, by móc siedzieć z nią i z jej żalem – niczym trzecią osobą – wyczuwalnym, mającym własny kształt. Żalem, który jak wiedziałam, zmieni się z upływem czasu, przekształci w coś innego, jak tylko żal to potrafi.

A może pragnęłam ją pocieszyć, gdyż traktowałam to jako pokutę, która złagodzi moje poczucie winy. Nie znaleźlibyśmy się w Broken Tree, gdyby nie wszystko, co wydarzyło się wcześniej, wszystkie te kroki, które podjęliśmy z mojej inicjatywy.

W noc po śmierci Behira przyśniło mi się, że tonę.

Woda wokół mnie była ciemna, ciągle się podnosiła, a ja płynęłam ku powierzchni, która nieustannie się ode mnie oddalała. Wciąż sięgałam palcami ku blaskowi słońca nad wodą, płynęłam, póki płuca niemal mi nie pękły, ale nogi nie splątały się i nie osłabły. Pearl potrząsnęła mną i zbudziła dokładnie w momencie, gdy pomyślałam, że przestanę walczyć i pogodzę się z tym, że opadnę ku czarnemu dnu.

Tamtej nocy Pearl w ogóle nie spała, tylko wcisnęła się w kąt łóżka i siedziała oparta plecami o ścianę. Kosmyki potarganych włosów okalały twarz dziewczynki, która wyglądała jak porzucona, zapomniana lalka na półce. Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jej policzka, a ona zamrugnęła, lecz poza tym się nie poruszyła. Piers wznosiła się i opadała ledwie dostrzegalnie, jak u zwierzęcia podczas zimowej hibernacji, które nie jest zupełnie obudzone ani nie całkiem śpi. Objęłam ją ramionami i kołysałam, jak dawniej, kiedy była niemowlęciem.

I wciąż myślałam: nie powinna była tego widzieć... nie powinna była tego widzieć...

Kilka dni po śmierci Behira zastałam Abrana samego w kwaterze załogi. Wszyscy inni poszli na górę do kabiny na śniadanie, a on siedział na tymczasowej koi i usiłował obwiązać szmatką zranioną dłoń. Świeca rzucała na połowę jego ręki

słaby blask, który dalej nikał w mroku.

- Co się zdarzyło w Broken Tree? - spytałam łagodnie.

- A jak myślisz? - rzucił.

Splunął na podłogę i pochylił się do przodu, żeby spróbować zawiązać opatrunek, ciągnąc materiał zębami i drugą ręką. Szmataka wysunęła się spomiędzy zębów i rozwinęła, a on z irytacją walnął zdrową dłoń w niski stolik, zrzucając z niego świecę.

Upadła na podłogę, płomień zgasł. Nie odezwałam się. Stopiony wosk pociekł na deski. Podniosłam świecę i postawiłam z powrotem na stoliku.

- Mam nadzieję, że nikt inny nie usłyszał, jak mówiłeś, dokąd się wybieramy - powiedziałam.

- A co? Boisz się, że już nie popłyniemy do Valley?

Przykucnęłam przed nim i ujęłam w obie ręce jego zranioną dłoń.

- Nie - odparłam.

Było już za późno, żeby zawrócić w poszukiwaniu innego miejsca. Cała załoga, zmęczona już błakaniem się po morzu, chciała gdzieś osiąść. A Abran tracił pewność siebie i autorytet. Gotów był poprowadzić nas nawet do piekła, byleby to wzmocniło jego pozycję. Patrzył, jak bandażuję mu dłoń, lecz wzrok miał zagubiony i zamglony. Ledwie rozpoznawałam w nim tego mężczyznę, którego niedawno

odwiedzałam nocami. Przypomniałam sobie, co mówiła o nim Marjan kilka miesięcy temu, gdy dopiero dołączyłam do załogi „Sedny”. Powiedziała, że czasami nie potrafi poradzić sobie z ciężarem odpowiedzialności. Czy miała na myśli właśnie taką sytuację jak ta? Czy Abran zachowywał się tak już wcześniej? Pomyślałam o tym, jak bardzo lęka się bandy Czarnej Lilii, jak zadręcza się śmiercią brata. Współczułam mu, jednak współczucie się wyczerpywało. Pragnęłam, żeby dorastał do mojej opinii o nim.

Zacisnęłam opatrunek, na skutek czego Abran skrzywił się z bólu.

- Weź się w garść - rzekłam łagodnym tonem.

- Bo co? - rzucił. - Staniesz na czele buntu załogi?

Szarpnęłam szmatkę tak mocno, że przesiąkła przez nią krew, a Abran wyrwał rękę z moich dłoni.

- Nie zachowujesz się jak kapitan. A kiedy nie ma kapitana, reakcja załogi nie jest buntem - powiedziałam.

ROZDZIAŁ 39

Wieczorem tego dnia zastałam Daniela w kabinie już po godzinach pracy ślęczącego nad obliczeniami. Ostatnio unikał wszystkich, nawet Pearl i mnie. Na stole tuż przy nim stała świeca rzucająca migotliwy blask. Zastanawiałam się, czy poprosił Abrana o pozwolenie pracowania do późna w nocy i używania światła, czy po prostu ignorował ten zakaz. Podejrzewałam to drugie.

Kiedy weszłam, nie podniósł na mnie wzroku, ale wyczułam, iż wie, że to ja.

- Myślałem, że już poszłaś spać - powiedział.

Powietrze przenikał gryzący odór siarki, który kojarzył mi się zarówno z zielonym kolorem życia, jak i z czernią zgnilizny. Widocznie przepływaliśmy nad wierzchołkami gór gęsto pokrytymi algami, planktonem oraz nowymi gatunkami porostów, które nawet nie miały jeszcze nazw.

- Czy on jest twoim krewnym? Ojcem? Wujem? - zapytałam.

Nadal gryzmolił w notesie, ale zobaczyłam, że mięśnie jego szyi się napięły. Wziął do ręki sekstant, odmierzył odległość na mapie i odłożył go

z powrotem na stół.

- Chcę wiedzieć - ciągnęłam - czy podążaliśmy za nimi?

Staralam się zapanować nad głosem, jednak usłyszałam, że drży, brzmi obco.

Daniel przestał pisać. Odchylił się do tyłu na krześle, odłożył ołówek i rozprostował palce na blacie.

Poczułam, że ogarnia mnie wściekłość, wstrząsa mną aż do trzewi. Nie mogłam mu ufać. Był taki jak wszyscy inni. Zacisnęłam pięści przy bokach, wydawało mi się, że nawet przez ubranie czuję żar skóry. Uderzona falą „Sedna” zaskrzypiała i przechyliła się na bok, a potem wyprostowała.

- Teraz Behir nie żyje, tamci podążą za nami do Valley - powiedziałam.

Daniel wsparł głowę na rękach i zaklął.

- Nie opłaci się im płynąć aż tak daleko - rzekł, ale wyczułam, że sam w to nie wierzy.

- Nie opłaci się? Przecież ciągle słyszę, że karzą śmiercią każdego, kto ich zdradził.

Urwałam, przypomniawszy sobie obietnicę daną Abranowi.

- Potrzebują kolejnych kolonii - powiedziałam, zmieniając taktykę. - Mogą postanowić, że odbiorą Valley Upadłym Opatom, a przy okazji rozprawią się z nami. Udawałeś, że chcesz zapewnić nam

bezpieczeństwo, uchronić nas przed ryzykiem, a przez cały czas prowadziłeś nas prosto w groźną awanturę.

Mówiłam coraz głośniej, drżącym głosem, z trudem pohamowałam chęć rzucenia się na Daniela i uderzenia go.

- Nigdy nie zamierzałem wplątać w to ciebie i Pearl
- oświadczył.

Wstał, odwrócił się ku mnie i potrząsnął głową. Twarz miał ściągniętą grymasem cierpienia, wpatrywał się we mnie z napięciem błyszczącymi oczami. Wyczułam, że chce wyciągnąć rękę i mnie dotknąć. Żeby mnie pocieszyć... i żeby zostać pocieszonym. Furia wezbrała we mnie niczym płomień pełznący powoli w górę kręgosłupa.

- Przepraszam - powiedział.

- Przepraszasz? - Doskoczyłam do niego i pchnęłam go. Zatoczył się do tyłu, a ja znów go pchnęłam. - Jak mogłeś tak postąpić? - Popychałam go raz za razem, póki nie przywarł plecami do ściany. - Po tym, jak cię uratowałam, wyciągnęłam z wody? A ty teraz... przez cały ten czas...

Uderzyłam go w pierś, zaczęłam okładać pięściami. Złapał mnie za nadgarstki i przytrzymał.

Wywinęłam się z jego chwytu i cofnęłam. Poczułam się niemal spokojniejsza. Napaść na Daniela złagodziła mój gniew, jednak chodziło o coś jeszcze.

Pod wściekłością czułam ulgę - ulgę, że mogłam obwinić kogoś innego, że nie ponosiłam wyłącznej winy za śmierć Behira. Pragnęłam uciec od dręczących mnie wyrzutów sumienia, jak ryba chce uciec z sieci.

- Czy prowadziłeś nas do nich? - zapytałam ponownie. - Czy w ten sposób spłacałeś jakiś dług?

- Nie. - Pokręcił głową i potarł dłonią twarz. - Tak. To znaczy, w pewnym sensie.

Widząc, że znów zacisnęłam pięści, uniósł ręce i powiedział:

- Tropiłem starszego brata... ścigałem go.

Umilkł. Czekałam, by mówił dalej.

- Przed laty służył w marynarce wojennej. Kiedy powódzie się nasiliły, a świat zaczął się rozpadać, wciąż mówił o tym, że powstaną nowe państwa. Chciał aktywnie uczestniczyć w tym procesie, chronić ludzi. Wyznawał wszystkie te zasady mówiące, jacy powinni być ludzie i gdzie jest ich miejsce. - Twarz Daniela wykrzywił gorzki grymas. - Zamierzał dopilnować, żebym znał swoje miejsce, czyli się podporządkował. Jackson... wydawał się niemal podekscytowany tym, że wszystko wali się w gruzy. Jakby wiedział, że w tym nowym świecie będzie miał do odegrania ważniejszą rolę. Wykuje z tego chaosu coś dla siebie.

Przerwał, a w ciszę wdarł się łoskot pioruna.

Błyskawica oświetliła na moment twarz Daniela.

- Jackson walczył w Wojnie Śródziemnomorskiej pod dowództwem tego komandora... Clarence'a Axona. Axon traktował go jak syna. Zaczął już tworzyć Czarną Lilię. Była to prywatna grupa militarna, którą Stany Zjednoczone wynajęły, by wspierać je w wojnie. Gdy wojna się skończyła, Axon chciał zrobić Jacksona kapitanem jednego ze swoich statków. Zatem Jackson wrócił do domu, żeby zabrać ze sobą mamę i mnie.

Daniel znów umilkł. Zorientowałam się, że rozważa, ile ma mi powiedzieć.

- Stosunki między nim a mamą się popsuly. Mieliśmy łódź, którą zamierzaliśmy uciec przed powodzią, a Jackson ukradł ją pewnej nocy i po prostu się ulotnił. Wiedział, że zmagazynowałem w łodzi cały zapas insuliny dla mamy, jednak to też zabrał. Wiedział, że bez insuliny mama umrze, zrzucił na mnie brzemię opiekowania się nią aż do jej śmierci. Początkowo nie starałem się go odszukać, ale później Marianne zmarła, a niedługo potem natknąłem się na niego w jednym z portów. To było dla mnie jak przebudzenie. Ja... próbowałem zabić go na miejscu.

Błysnęła błyskawica, a „Sedna” zadygotała pod naporem fali. Daniel przeciągnął dłonią po twarzy i odwrócił wzrok. Pomyślałam o porywczym,

gwałtownym charakterze Daniela, o jego opowieści o wymordowaniu członków dawnej załogi po tym, jak zgwałcili Marianne.

- Zagroził, że jeśli spróbuję ponownie, jeśli będę go ścigać, zakatrupi mnie. Zanim cię spotkałem, usłyszałem, że zakłada kolonie na północnym wschodzie, więc chciałem się tam dostać.

- To znaczy, zanim cię uratowałam - warknęłam.

- Myślałem, że uda mi się wytropić Jacksona w jakimś porcie i załatwić go po cichu. Nikt inny nie miał być w to wmieszany.

- Jesteś idiotą - powiedziałam. - A ja też jestem idiotką, ponieważ ci ufałam. Jak zamierzałeś zabić kapitana statku Czarnej Lilii, nie wplątując w to nikogo innego?

- Nie wiem. Ja nie... w gruncie rzeczy byłem pewien, że on załatwiłby mnie pierwszy. To nie miało dla mnie takiego wielkiego znaczenia. Chodziło mi... chodziło mi o to, żeby spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Ty zawiniłeś”.

Skrzyżowałam ramiona na piersi. Ja także od dawna pragnęłam stanąć przed Jacobem i rzucić mu w twarz oskarżenie. Wywalić prawdę o tym, co zrobił, zmusić go, by mnie wysłuchał. Ale odsunęłam od siebie tę refleksję i uchwyciłam się własnego gniewu.

- Myślałam, że mi pomagasz. Że chcesz chronić Pearl...

- Bo chcę...

- Zamknij się. Czy szukałeś go w każdym porcie, który odwiedziliśmy?

- Rozpytywałem ludzi w tawernach i sklepach. Niektórzy mówili, że niedawno był w Wharton, ale popłynął dalej na północ, w okolice Broken Tree.

- Więc zatrzymaliśmy się w Broken Tree zamiast w Brighton - powiedziałam.

Brighton było niewielkim miasteczkiem handlowym na północ od Broken Tree, lecz minęliśmy je i zawinęliśmy do tego drugiego portu. I przypadkiem akurat w tym czasie Daniel twierdził, że słyszał, iż o tej porze roku Brighton nawiedzają tajfuny.

- Jak, u licha, mogłeś myśleć, że nie wpłaczesz nas w tę aferę? - zapytałam.

Na twarzy Daniela odbiło się poczucie winy. Oklapł, przygarbił się i potarł twarz.

- Liczyłem, że nad nią zapanuję. Miałem taką nadzieję.

- Wykorzystałeś mnie. - Świadomość tego była jak oparzenie na skórze, które odkrywałam wciąż na nowo, ilekroć otarłam się o coś poparzonym miejscem, za każdym razem zaskoczona bólem. - Zależało ci tak samo jak mnie na przegłosowaniu Valley, ponieważ wiedziałeś, że wtedy będziesz mógł poprowadzić nas w pobliże miejsca pobytu twojego brata.

Kiedy nic nie odpowiedział, pospiesznie mówiłam dalej:

- Gdyby się okazało, że bandy Czarnej Lilii nie ma na północnym wschodzie, czy zgodziłbyś się popłynąć ze mną do Valley? Pomóc mi?

„Sedna” zakołysała się na kolejnej fali, a świeca na stole zaczęła się zsuwać ku krawędzi blatu. Daniel podszedł i wziął ją do ręki. Płomień świecy rzucił tańczące cienie na ściany kabiny.

- Nie - odparł łagodnym tonem. - Nie wtedy. Wtedy bym się nie zgodził. Ale taki, jaki jestem obecnie, tak, popłynąłbym z tobą. Chcę być z tobą i Pearl. Ale chcę też doprowadzić do końca poprzednią część mojego życia, by móc potem zapomnieć o niej raz na zawsze. Nie potrafię... nie potrafię pogodzić tych dwóch rzeczy. Są jak dwie połówki, a ja nie wiem, jak je połączyć.

Pomyślałam o wszystkich tych zdarzeniach, po których moje życie zdawało się przybierać całkiem nowy obrót. O samobójstwie ojca, śmierci matki, uprowadzeniu Row przez Jacoba, śmierci dziadka, przyłączeniu się do załogi „Sedny”. O tym, że jestem płynna jak woda, zmieniam kształt pod wpływem każdego wydarzenia. Lecz nie całkiem, bo zarazem jest też we mnie coś nieokreślonego, ale twardego niczym kamień, czego koleje losu nie odmieniły ani nawet nie tknęły.

Wył wiatr, fale waliły o kadłub „Sedny”. Wydawało się, że cały świat usiłuje wedrzeć się do naszego statku i rozerwać nas na strzępy.

- Nie oczekuję, że mi przebaczysz - rzekł Daniel.

- To dobrze, bo nie zamierzam.

Rzucił mi gniewne spojrzenie, postawił świecę z powrotem na stole i skrzyżował ręce na piersi.

- Zważywszy na okoliczności, dziwię się, że jesteś tak skora do potępiania mnie.

- Jakie okoliczności?

- To, że gdybyś tylko miała okazję, zemściłabyś się. Na Jacobie.

- Oczywiście, że mam prawo krytycznie cię oceniać. A Jacob nie ma tu nic do rzeczy. On nie żyje.

- Nie musisz mi wybaczyć. Ale mnie rozumiesz. Wiem to - oświadczył Daniel. - Rozumiesz potrzebę wyrównania rachunków po to, aby przewyciężyć przeszłość i zacząć nowe życie.

- Rozumiem, że zaraz wyruszymy w najdłuższy rejs w życiu i nie wiemy, czy nie będziemy ścigani przez piratów. Rozumiem, że właśnie straciliśmy...

Odebrało mi głos, przełknęłam z wysiłkiem. Próbowałam wymówić imię Behira, lecz wciąż miałam ściśnięte gardło.

Daniel podszedł, wyciągając ku mnie ręce, ale wparłam dłoń w jego pierś i odepchnęłam go.

- Pearl nie powinna była tego widzieć - wydusiłam.

Głos mi się w końcu załamał i wstrząsnął mną szloch.

- A jeśli po tym coś w niej pękło?

Zaczęłam dygotać. „Sedna” przechyliła się gwałtownie na bok, a ja upadłabym na podłogę, gdyby Daniel mnie nie podtrzymał. Chwycił mnie za ramiona, zachowując jednak dystans między nami, i pomógł ustać na nogach.

- Nic w niej nie pękło - powiedział. Ujął mnie za podbródek i odchylił mi twarz w górę ku swojej. - A to, co się stało, nie jest twoją winą, lecz wyłącznie moją. Zawsze będę dźwigał brzemię tej winy.

Otarł kciukiem łzę z mojej twarzy i cofnął się. Wciąż wstrząsały mną łkania, miałam wrażenie, że nie mogę oddychać, więc ruszyłam do drzwi, pragnąc, by owiał mnie wiatr. Przystanęłam w progu i obejrzałam się.

Stał nadal tam, gdzie go zostawiłam, przed świecą, której łagodny blask roztaczał się za jego plecami. Widziałam tylko sylwetkę, jakby jego ciało było z cienia.

ROZDZIAŁ 40

Deszcz nie padał już od wielu dni, poziom wody w zbiorniku obniżył się do zaledwie kilkunastu centymetrów, więc zaczęliśmy ją racjonować. Byliśmy wszyscy odwodnieni, błakaliśmy się po pokładzie, zwilżając językami spękane wargi i mrugając suchymi oczami. Zdarzało się teraz więcej sprzeczek i kłótni, po których ludzie rozchodzili się gniewnie, a podczas posiłków obrzucali się nad stołem zimnymi spojrzeniami. Śmierć Behira nie tylko złamała nam serca, lecz także wydawała się złą wróżbą, która wisi nad nami, gotowa spaść z nieba i nas zmiażdżyć.

Koza zapadła na jakąś chorobę, szyja pod futrem pokryła się czerwonymi ropiejącymi ranami. Zaczęła mizernieć, miała błędny wzrok, nocami jęczała z bólu, a za dnia uciekała przed nami, gdy próbowaliśmy jej dotknąć. W końcu Thomas położył kres jej cierpieniom. Potem rozebrał zagrodę, jednak na pokładzie pozostały po niej kontury, a także rysy od kopyt kozy na drewnianych deskach. Rozważaliśmy, czy mięso nada się do zjedzenia, jednak ostatecznie zgodziliśmy się, że nie należy ryzykować. Nie mogliśmy pozwolić, by do wszystkich kłopotów doszła

jeszcze choroba załogi. Jednak zanim wyrzuciliśmy ciało za burtę, obdarłam je ze skóry i wygarbowałam ją. Noce robiły się coraz zimniejsze, a Pearl mogła jej użyć jako dodatkowego koca.

Thomas z Wayne'em zbudowali drugie kanu, żeby zastąpić tamto, które straciliśmy na Ruenlock. Było mniejsze, jednak nadawało się, by dopływać nim do pobliskich brzegów.

Po nieudanym trałowaniu, podczas którego niczego nie złowiliśmy, wciągnęłam sieć, sprawdziłam przynęty i założyłam jeszcze kilka żyłek. W ciągu minionego tygodnia pogoda dopisywała, jednak wkrótce mieliśmy wpłynąć w obszar, który żeglarze nazywają Burzowym Szlakiem, rejon północnego Atlantyku słynący z wichrów i ulewnych deszczów. Wolałam nawet nie myśleć o tym, ile wraków spoczywa na dnie tej części oceanu. Deszcz pozwolił nam napełnić zbiornik, ale obawialiśmy się, jak „Sedna” poradzi sobie z silnymi wiatrami.

Gdy zajmowałam się łowieniem, Abran przeszedł przez pokład i po drodze zerknął na mnie z ponurą, zatroskaną miną. Kiedy weszłam do kabiny, żeby zostawić tam jakieś elementy takielunku, usłyszałam, że mówi coś ostrym tonem do Marjan.

Zobaczył, że ładuję pudła na półki, i rzucił do mnie:
- Czy mogłabyś zostawić nas samych?

Marjan trzymała w ręku jakąś listę i mieszała łyżką

w garnku stojącym na piecu. Zapach gotowanych ryb przyprawił mnie o skurcz żołądka.

Wyszłam z kabiny i podjęłam trałowanie. Daniel stał w pobliżu dziobu, lustrując przez lornetkę horyzont. Wiedziałam, że wypatruje statków Czarnej Lilii. Nie dalej jak wczoraj widziałam go na maszcie, też z lornetką przy oczach. Od tygodnia nie dostrzegliśmy nikogo, nie minęliśmy żadnego statku. Lecz pomimo tego odosobnienia nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że możemy być ścigani.

Bose stopy zaczęły mi drętwieć na zimnym pokładzie, więc zeszłam na dół włożyć buty. Wciągałam je na nogi, gdy weszła Marjan i postawiła na stole obok mnie pustą flaszkę po alkoholu. Zawiązałam sznurowadła, wyprostowałam się i westchnęłam. Była to szklana butelka, podobna do tej, którą widziałam przed kilkoma tygodniami w kajucie Abrana.

- On pije więcej niż dawniej - powiedziała Marjan.

Kiwnęłam głową.

- Jak źle to wygląda?

- Wymienia na alkohol zapasy zgromadzone na statku. Przechowuje wędzone ryby w osobnym wiadrze, a potem w każdym porcie wynosi je i przehandlowuje na gorzałę, gdy już sfinalizujemy nasze oficjalne transakcje.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Wiedziałaś o tym przez cały czas? Od jak dawna to się dzieje? - spytałam.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy zaczęłam dostrzegać zmianę w zachowaniu Abrana. To było mniej więcej wtedy, gdy zawinęliśmy do Wharton. Oświadczył, że potrzebuje alkoholu, by rozładować napięcie, ponieważ to miasteczko leży w pobliżu miejsca, w którym zamordowano jego brata.

- Od lat - odpowiedziała.

Wyglądała na znużoną. Zmarszczki na jej twarzy się pogłębiły, siwe włosy przerzedziły się na skroniach. Miała na sobie codzienną bluzę, tego samego koloru co pionowa niebieska żyła przedzielająca czoło niczym mała rzeka.

- Od lat? - powtórzyłam pytająco.

- Nie zawsze jest tak źle. Ma lepsze i gorsze okresy - wyjaśniła.

- A co z zasadami obowiązującymi na statku? Dlaczego nikt nie zwrócił Abranowi uwagi?

- Zasady... - Wzruszyła ramionami. - Te zasady to tylko kilka idei Abrana. W gruncie rzeczy nigdy nie wprowadził ich w życie. Są raczej czymś w rodzaju kodeksu honorowego. Ale teraz...

- Ale dlaczego ktoś nie położył temu kresu? - zapytałam.

Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Poczułam się nagle jak małe dziecko zadające pytania, które nie mają

żadnego związku z realnym światem. Gdy znów otworzyła oczy, błyszcząły energią, nieustrudzonym wigorem. Zastanawiałam się, jak wiele wykonuje na „Sednie” pracy, o której nikt nie wie. Wślizgiwała się ukradkiem do pomieszczeń statku i równie niepostrzeżenie z nich wymykała, zajmując się sprawami, o których reszta nas miała tylko niejasne pojęcie.

- Przepraszam - powiedziałam. - Wiem, to nie jest takie łatwe. Spróbuję z nim porozmawiać.

- Zapasów alkoholu nie wystarczy Abranowi na cały rejs przez Atlantyki. Tak więc będzie się wycofywał, zamykał w sobie. Zaczynam już sama przydzielać załodze zadania, żeby odsunąć go od tego. Miałam nadzieję, że mi pomożesz.

- Oczywiście. We wszystkim, w czym zechcesz.

Skinęła głową, wzięła butelkę i zawinęła ją w chustę. Od śmierci Behira dręczył mnie tak wielki wstyd, że obawiałam się, by nie eksplodował, rozrywając mnie na pół. A pod tym wstydem odczuwałam olbrzymi strach, który przygniatał mnie niczym druga grawitacja, sprawiając, że czułam się coraz mniejsza i słabsza. Obarczona całym tym ciężarem, miałam wrażenie, że nawet wyprostowanie się jest czymś ponad moje siły. Z każdym dniem narastała we mnie potrzeba wyznania, zrzucenia z siebie tego brzemienia.

Marjan ruszyła do drzwi. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej ramienia.

- Zaczekaj - powiedziałam. Całe ciało miałam napięte, a dłonie zrobiły się lepkie od potu. - Przepraszam.

Gdy odwróciła się do mnie, poczułam w głowie zamęt. Pomyślałam o matce, o jej czarnych oczach, wybuchach śmiechu. O tym, jak starała się skrywać lęki, by mnie nimi nie obciążać, jak usiłowała je rozproszyć, unosząc wysoko głowę i zmuszając się do uśmiechu. Każda matka jest inna, lecz wszystkie bywają tak samo zdruzgotane, złamane. Zwłaszcza to, co w nich najdelikatniejsze, może pęknąć, rozkruszyć się.

Pospiesznie mówiłam dalej:

- Wcześniej bym nie przeprosiła. Twierdziłam, że nie czuję się winna tego, co zaszło w Ruenlock, jednak naprawdę jestem winna i żałuję. Przepraszam, że oszukałam was wszystkich, przepraszam za...

Gardło mi się ścisnęło, zamrugalam szybko, by powstrzymać łzy.

Pogładziła mnie po ramieniu, niczym matka pocieszająca dziecko. Zmarszczyła brwi w zatroskaniu i zamyśleniu. Nawet jeśli zdarzały się chwile, gdy mnie obwiniała, ta nie była jedną z nich. Widywałam na twarzy Marjan przelotny błysk gniewu, gdy pracowała, rozwieszała rzeczy do prania,

żeby wypluła je nadciągająca ulewna burza. Widywałam, jak nieruchomiała, gdy napływały do niej wspomnienia wydarzeń w Ruenlock. Ale jeśli obarczała mnie winą, nigdy o tym nie napomknęła.

Naszyjnik Marjan składał się teraz z czterech koralików, a nie z trzech, i na ten widok ból przeszył mi serce. Zastanawiałam się, czy przez cały czas miała gdzieś ukryty ten dodatkowy koralik – być może w koi – gdyż wiedziała, że pewnego dnia może go potrzebować.

Spowiała nas tak głęboka cisza, że niemal wibrowała. Przyszło mi na myśl, że narodziny są zaledwie początkiem procesu obdarzenia życiem, może najmniej istotną jego częścią, jak nasiono, które potrzebuje jeszcze słońca, żyznej gleby i tylu innych rzeczy, żeby wykiełkować i rozkwitnąć. Pomyślałam o tym, jak wiele Marjan już nam ofiarowała i wciąż ofiarowuje.

Pokręciła głową, na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Ciągle rozmyślam o tym, że żal przypomina wchodzenie po schodach i spoglądanie w dół – powiedziała. - Nie zapomnisz, gdzie byłaś, ale wchodzisz coraz wyżej. Przeszłość się oddala, lecz mimo to ciągle pozostaje obecna. A ty masz tylko jedną drogę i chociaż w gruncie rzeczy nie chcesz podążać nią wciąż w górę, jednak musisz. Ucisk

w twojej piersi nie ustępuje, lecz nadal jakoś oddychasz tym rzadszym powietrzem na tej wysokości. To jakby wyrosło ci trzecie płuco. Jakbyś stała się większa, silniejsza, chociaż myślałaś, że zostałam złamana.

Wyszłam przez luk na pokład. Zobaczyłam, że Daniel z Pearl siedzą naprzeciwko siebie w pobliżu prawej burty, pochyleni nad rozpostartym arkuszem papieru.

Słońce rozświetlało ognistą barwą włosy Pearl, a wiatr targał nimi jak migotliwym płomieniem świecy. Daniel kreślił coś palcem na papierze, a Pearl przesuwała w ślad za nim drobną rączkę.

Podeszłam do nich bliżej, by móc ich usłyszeć, ale udawałam, że badam pęknięcie w nadburciu. Dobiegły mnie słowa Daniela:

- Sekstant służy do odmierzenia wysokości słońca nad horyzontem.

- To nudne - wymamrotała Pearl.

- Będziesz musiała nauczyć się czytania map i obliczania różnych odległości - rzekł.

- Dlaczego?

- Żebyś mogła dopłynąć, dokądkolwiek zechcesz.

Przysłuchując się rozmowie, zobaczyłam, że Pearl odpływa, pogrąża się we własnych myślach. Drobne, opalone na brąz ciało wydało mi się zaledwie plamką

na horyzoncie, na pokładzie jakiegoś statku, zmierzającego ku celowi podróży, którego nie umiałam sobie nawet wyobrazić. Pearl była czymś równie nowym jak ten świat, którego nigdy w pełni nie zrozumiałam.

Daniel dostrzegł mnie kątem oka. Wstał i podszedł do mnie.

- Pomyślałem, że przyda się jej trochę szkolenia z nawigacji - rzekł niepewnie. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Chcę, żeby się uczyła - odparłam sztywno.

Wieczorami nadal uczyłam Pearl czytania z ksiązek Abrana. Jej ulubioną była *Księga dżungli*.

Teraz nie podniosła wzroku znad mapy, obracała na niej sekstant półkolami. Zapisała jakąś liczbę w bloczku obok kolana, a potem znów pochyliła się nad mapą i dokonała następnego pomiaru.

Przyglądaliśmy się jej oboje. Słońce świeciło w plecy Pearl, jeszcze bardziej brązowiąc skórę. W skupieniu marszczyła czoło. Wiatr zawijał skraj mapy, ona zaś ze zniecierpliwieniem wciąż wygładzała ją dłonią. W chwilach takich jak ta, kiedy była całkowicie czymś pochłonięta, miałam wrażenie, że prawie nie znam córki, i to napełniało mnie zabarwioną smutkiem radością.

Przypomniały mi się jej narodziny - już wtedy wydawała mi się kimś obcym. A nawet jeszcze przed

narodzinami, gdy bałam się, że stracę tę obcą istotkę we mnie. Wciąż powtarzałam sobie, że to, iż jej nie straciłam, jest jedyną rzeczą, która trzyma mnie przy życiu. Niedawne słowa Marjan brzmiały pokrzepiająco, pragnęłam w nie uwierzyć, jednak obawiałam się, że mogą nie być prawdą. Że mogłabym nie znieść zbyt wielkiej straty i umrzeć. Że bycie zdruzgotaną oznacza po prostu koniec.

Daniel stał tak blisko, że czułam jego znajomy zapach – dymu palonego drewna i jakichś czarnych kwiatów rosnących przy korzeniach drzew. Jakby zapach lasu jesienią. Z oddali dobiegły krzyki mew.

- Powinnam wrócić do łowienia – powiedziałam, jednak nie ruszyłam się z miejsca.

Ptaki wrzeszczały coraz głośniejsze, a ja popatrzyłam na ocean. Na wschód od nas stado mew nurkowało w wodzie i wynurzało się z szamoczącymi się rybami w dziobach. Kurczowo ścisnęłam dłońmi nadburtcie. Zaledwie pół godziny temu trałowałam w tamtym miejscu i wyciągnęłam puste sieci.

- Możesz chwilę odpocząć – rzekł.

Nadal nie umiałam pogodzić się z tym, co stało się z tamtym Danielem, którym, jak sądziłam, był. Wcześniej nie umiałam też pogodzić się z nowymi, zaskakującymi cechami Jacoba, usiłowałam zrozumieć, jak człowiek, którego poślubiłam, mógł stać się kimś, kto skrzywdził mnie bardziej nawet niż

powodzie. W tamtym okresie całymi godzinami zastanawiałam się nad tym, przetrząsałam wspomnienia, szukając jakichś wskazówek. Potrafiłam dopatrzeć się załączków zła w każdym słowie i geście Jacoba, jednak niektóre wspomnienia nie poddawały się temu. Ukazywały mi mężczyznę, którego kochałam i który zdawał się odwzajemniać to uczucie.

Kiedy Row była jeszcze maleńka, pewnego poranka obudziłam się, a Jacob przyniósł mi śniadanie do łóżka. Pocałował mnie w czoło, odgarnął mi włosy za ucho i postawił na moich kolanach tacę z jajkami, tostem i truskawkami.

- Z jakiej to okazji? - zapytałam.

- Po prostu dla ciebie. Tak ciężko pracujesz. Wiem, jakim jestem szczęściarzem, że mam cię za żonę - powiedział.

W słonecznym świetle wpadającym przez okno włosy Jacoba nabrały intensywniejszego rudego odcienia, a jasna cera była niemal porcelanowo biała. Dotknęłam dłonią jego policzka i wyszeptałam podziękowanie.

- Lepiej przyniosę kawę. Już jest prawie gotowa - rzekł, po czym wstał i wyszedł.

Zapach kawy dotarł do mnie na piętro. Przysłuchiwałam się odgłosom krzątania się Jacoba na dole w kuchni. W łóżku było mi ciepło, przytulnie,

więc przeciągnęłam się rozkosznie. Wiedziałam, że Row wkrótce się obudzi, że jej koci wrzask rozbrzmiechem w całym domu dokładnie za pół godziny, jak w zegarku. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Jakbyśmy byli namalowani na obrazie, przed którym można stanąć i zachwycać się nim.

Na samym początku naszego związku Jacob był mną zauroczony, niczym jakimś stworzeniem, którego dotąd nie widział. Zrzedliwość uznawał mylnie za tajemniczość, cynizm brał za inteligencję. Poślubiłam go, ponieważ sądziłam, że jest we mnie tak zakochany, iż nigdy mnie nie opuści. Że z nim nie będę musiała ponownie przeżywać takich chwil jak w dzieciństwie, kiedy czekałam na frontowej werandzie na powrót matki do domu.

Jakże się pomyliłam! Ale czy myliłam się we wszystkim, co dotyczyło Jacoba? Czy miałam zapomnieć o tych cudownych czasach, kiedy mu ufałam? Jak mogłabym pogodzić się z tym, że ten mężczyzna, który przyniósł mi śniadanie do łóżka, niedługo potem mnie zdradził?

Ponieważ Jacob był cieślą, tak jak mój dziadek, w głębi duszy sądziłam, że będzie podobny do niego. Zrównoważony, cierpliwy, spokojny. Że stanie się dla mnie oparciem, kimś, kogo potrzebowałam i komu będę mogła ufać.

Teraz Pearl pisnęła:

- Mamo! To mój ptak!

Pląsała w kółko i wskazywała w górę na lecącego nad nami ptaka. Był mniejszy niż mewy, miał ciemniejsze ubarwienie, nie wołał do pozostałych. Zatoczył krąg wokół grotmasztu, a potem szybował wraz z nami, dorównując prędkości statkowi.

- To ten ptak, którego złapałam! - wykrzyknęła, szarpiąc mnie za rękę.

Mrużąc oczy, popatrzyłam w górę.

- Nie wydaje mi się, kochanie.

- Oczywiście, że to on - rzuciła ze zniecierpliwieniem.

Znów zawirowała, szeroko rozpościerając ręce, a ptak frunął nad nią. Obracała się wciąż, z włosami rozwianymi jak płomień.

Daniel uśmiechnął się i rzekł:

- Wiesz, myślę, że to rzeczywiście może być tamten jej ptak.

Moja matka zwykła mawiać, że wszystkie dobre rzeczy wracają do nas. Zapomniałam o tych słowach i przypominałam je sobie dopiero teraz, patrząc jak koszula Pearl wydyma się wokół niej. Wszystkie powierzchnie statku wydały mi się nagle niewiarygodnie delikatne: omiatane wiatrem deski pokładu nabrały subtelnej faktury drewna dryfującego w morzu, żagle nad nami stały się białe i miękkie jak prześcieradła rozwieszane na sznurze

do bielizny. Nawet my w tym momencie sprawialiśmy wrażenie kruchych: trzy sylwetki na pokładzie statku otoczonego bezmiarem wód; nasze serca trzepoczące szaleńczo jak skrzydła.

ROZDZIAŁ 41

Podczas kolacji zaczęło zmierzchać, cienie się wydłużyły, a potem, gdy światło na dworze ściemniało, w szybie okna pojawiły się nasze odbicia. Marjan powiesiła lampę pod sufitem i zapaliła świece stojące na stole. Dotychczas nie pomyślałam o tych długich godzinach mroku, z którymi będziemy musieli się zmierzyć, płynąc coraz dalej na północ. O tym, że zarówno niebo, jak i morze pociemnieją tak szybko, a ostatni okruch słonecznego blasku wiszący tuż nad horyzontem będzie wyglądał jak zatrzaskiwany w muszli małż.

Zajadaliśmy rosół rybny, prawie nie rozmawiając. Pośrodku stołu stał pusty koszyk na chleb; każdy z nas dostawał kromkę wielkości mojej dłoni. Podejrzewałam, że kupione przez nas drożdże prawie się skończyły. Oddaliśmy z Danielem nasze kromki chleba Pearl. Nie mogłam znieść tego, że kiedy w nocy leżała przy mnie w łóżku, wyczuwałam jej sterczące żebra.

To przypomniało mi, jak wyglądałam, kiedy karmiłam ją piersią. Miałam szczęście, że nie straciłam mleka mimo wielodniowych okresów

głodowania, jednak okropnie wychudłam, pod skórą uwydatniły się kości, które wcześniej nie wystawały. Moje ciało na pewien czas uznało Pearl za najważniejszą, wysysało ze mnie wszystkie substancje odżywcze, żeby produkować mleko dla niej, pozostawiając mnie obolałą i zagłodzoną. Ale po kilku miesiącach pokarm zaczął wysychać.

Dziadek wymieniał w portach złowione ryby na kozie mleko, którym karmiliśmy Pearl łyżeczką z filizanki. Zaczęła tyć. W końcu osiągnęła wzrost i wagę odpowiednie do swojego wieku. Łowiliśmy dniami i nocami, potem wymienialiśmy ryby na inne artykuły spożywcze: owoce, zakwas do pieczenia chleba, sery. Pearl zaskoczyła nas oboje, wyrastając na pyzate, szczęśliwe dziecko, pamiętam, jak przez pewien czas myślałam, że to jednak możliwe - że z pomocą dziadka uda mi się ją bezpiecznie wychować.

Marjan zaczęła zbierać ze stołu talerze i układać w stertę. Przed Pearl zebrał się wzgórek okruchów. Kiedy skończyła jeść chleb, zgarnęła je w dłoń i wepchnęła do ust. Tego wieczoru omawialiśmy z resztą załogi plan rozprawienia się ze strażnikami w Valley. Pokazałam im mapę i zaproponowałam, żebyśmy rzucili kotwicę po południowej stronie, bo tam zbocze góry jest łagodniejsze, łatwiej się na nie wspiąć, a potem zejść po drugiej stronie prosto do

doliny. Zgłosiłam się, że pójdę pierwsza, jako przynęta. Mój plan polegał na tym, że strażnicy wezmą mnie do niewoli, a kiedy będą zajęci obezwładnianiem mnie, Abran, Daniel i Wayne zaatakują ich i zlikwidują. Thomas, Marjan i Pearl zostaną na „Sednie”, a my damy im znak flagą, gdy już zabijemy tych strażników z bandy Upadłych Opatów. Nie wiedzieliśmy, jaką sytuację zastaniemy w samej osadzie, gdy się tam zjawimy, ale miałam nadzieję, że wszyscy pozostali przy życiu mieszkańcy będą nam wdzięczni za pozbycie się ciemiężcy. Liczyłam też na to, że pomogą nam przy wznoszeniu umocnień przeciw następnemu atakowi. Bowiem Upadli Opaci niewątpliwie powrócą, by ściągnąć kolejną ratę podatków.

Po posiłku Wayne zaskoczył nas, wyjmując gitarę. Zagrał kilka ballad i szant. Byłam mu za to wdzięczna, pojmowałam, że chciał w ten sposób podnieść nas na duchu.

Zobaczyłam ponad jego ramieniem, że Abran stał oparty plecami o ścianę przyległą do kuchni i z ponurą miną kurzył fajkę.

Wayne zagrał skoczniejszą gige, a Pearl poderwała się z krzesła i zaczęła ciągnąć Daniela za rękę, usiłując go nakłonić, żeby z nią zatańczył. W końcu uległ, stanął z boku stołu, przed grającym Wayne'em. Wayne szybko wybijał rytm stopą, a Jessa zaczęła

klaskać do taktu. Daniel stał w miejscu, a Pearl uchwyciła się jego ręki i wirowała wokół niego, niczym planeta okrążająca słońce. Daniel obracał się wolno, zgodnie z kręgiem zataczanym przez Pearl. Trzymając mocno jej dłonie w swojej, przyglądał się dziewczynce, a na jego twarzy malowały się czułość i zachwyt.

Siedziałam, rozmawiając z Thomasem. Miał bystry, ścisły umysł, jaki nieczęsto spotykałam u starych ludzi. Osoby obdarzone takim umysłem uważnie obserwują świat, jakby gromadziły dane i przygotowywały pytania, które mu zadadzą. Natomiast Pearl obserwowała świat, jakby wsłuchiwała się w coś bardzo odległego, jakby miała trzecią rękę, którą sięgała i dotykała czegoś niewidzialnego.

Thomas powiedział mi, że przed Sześćioletnią Powodzią był ekologiem zatrudnionym przez rząd.

- Badałem zmiany zasolenia oceanu - wyjaśnił z tęskną nutą w głosie. Zorientowałam się, że lubił swoją pracę i brakuje mu jej. - Ojciec był ze mnie ogromnie dumny, kiedy obroniłem doktorat. Zacząłem od studiowania filozofii, ale potem zapragnąłem czegoś bardziej... konkretnego, bardziej użytecznego. Ojciec był spawaczem i gdy jeszcze chodziłem do szkoły, pracowałem razem z nim w jego warsztacie. Wiele lat później, po rozpadzie państwa,

wyemigrowałem do Kolorado i powróciłem do jego zawodu, a nie do mojego. Ludzie potrzebowali łodzi oraz nowych domów budowanych wysoko w górach. Potrzebowali kogoś, kto potrafi pracować w metalu. Zatem właśnie to robiłem.

- A co do tamtej pracy, którą wykonywałeś wcześniej, dotyczącej zasolenia - powiedziałam. - Czy te powodzie są początkiem...

- Końca? - dopowiedział Thomas.

Przytaknęłam.

Thomas zmrużył oczy, jakby spoglądał na coś w oddali.

- Możliwe. A wiesz, co najbardziej mnie zaskoczyło? Zasolenie nie uległo tak dużej zmianie, jak ludzie sądzą. Rosło i spadało w różnych okresach, w każdym oceanie inaczej, lecz ostatecznie utrzymało się na stałym poziomie. Wahania wynikały po części ze zmian w składzie osadu dna oceanicznego spowodowanych trzęsieniami ziemi, po części ze zwiększenia się ilości kwasu węglowego. Niektórych przyczyn tych wahań nie udało mi się nigdy zrozumieć, nie zdołałem ich ustalić. Być może wywołała je Gaja.

- Gaja?

- Przed ponad dwustu laty powstała teoria zwana hipotezą Gai. Jej istotę stanowił pogląd, że cała żyjąca materia na ziemi współdziała w celu

wytworzenia życia, uczynienia planety nadającą się do zamieszkania. Że ziemską materią rządzi porządek zwalczający chaos. Życie nie może istnieć bez zwalczania chaosu.

- Wierzysz w tę teorię? - zapytałam.

Thomas wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem prowokuje szereg wątpliwości. Czy cała natura z wyjątkiem człowieka współpracuje na rzecz powstania i podtrzymania życia, a jedynie ludzie są czynnikiem śmiertelnościami? Skoro istotą życia jest zwalczanie chaosu, to czy przemoc i chaos rozwijają się wraz z nami, niczym cień niezbędny, abyśmy mogli oddychać? Jeśli reakcją na chaos jest dzika gwałtowność przyrody, czy stanowi ona pierwotną siłę życiową?

Spojrzałam na niego.

- Chciałabym wiedzieć, czy sytuacja się pogorszy? Chcę nadal łowić.

- Łów, dopóki możesz - rzekł łagodnie Thomas.

Marjan postawiła na stole gliniane kubki, nalała do nich ziołową herbatę. Rozszedł się gorzki zapach, a na dno opadły rozkruszone listki mleczu. Wayne zagrał jeszcze parę piosenek i wręczył gitarę Jessie, ona zaś wybrzdąkała szybko kilka ballad, siedząc w kącie, jakby w gruncie rzeczy nie chciała, żeby ją usłyszano.

Daniel usadowił się przy stole obok Abrana. Zaczęli

rozmawiać. Głos Abrana dudnił coraz donośniej, zagłuszając dźwięki grane przez Jessę.

- To będzie coś w rodzaju zasady: „Kto nie pracuje, ten nie je” - powiedział Abran.

Pochylił się nad stołem, opierając łokcie o blat, i władcym gestem objął dłońmi kubek.

- Nawet dzieci? Chorzy, starzy? - zapytał Daniel.

Pearl usiadła na podłodze przed Jessą i wykonała swój najnowszy taniec martwego węża, skręcając się w rytm melodii. Złapała wiele węży na ciepłym wybrzeżu Wharton, kilka w Broken Tree, jednak niewiele żywych pozostało w dzbanku. Po każdym posiłku rozgrzewała kamienie w ogniu, na którym Marjan przyrządzała jedzenie, i układała je wokół podstawy dzbanka. Powiedziałam, że będziemy musieli zjeść wszystkie węże, zanim wylądujemy w Valley, bo tam będzie zbyt zimno, by mogły przetrwać.

- Charlie lubi zimno. Złapałam go jeszcze w Apple Falls - odparła. - Poza tym będę go ogrzewać ciepłem mojego ciała, zanim zbuduję mu przytulny domek.

Przerwałam rozmowę z Thomasem. Oboje zaczęliśmy się przysłuchiwać Abranowi i Danielowi. Abran przewrócił oczami i machnął ręką, jakby odganiał owada z krawędzi kubka.

- Nie mamy jeszcze chorych ani starych. Każdy uczestniczy w społeczności, wnosząc do niej swój

wkład. Nie będzie własności prywatnej. Wszystko będzie wspólne.

Spojrzałam uważnie na Abrana. Na tego bogacza, który okrada zapasy statku, by wymienić je na alkohol, a jednocześnie oznajmia, że zniesie własność prywatną. Nikt nie będzie miał niczego osobistego... oprócz niego.

Daniel siedział z ręką przewieszoną przez oparcie krzesła. Uniósł brwi i powoli wypił łyk herbaty.

- Naprawdę? - spytał.

Wayne z trzaskiem postawił kubek na stole.

- Zapewne nie będzie też żadnego rządu ani przywództwa? - rzucił.

Abran spiorunował go wzrokiem.

- Oczywiście, że będą - odparł.

Thomas odwrócił się na krzesło ku niemu.

- Z pewnością odbędziemy w tej kwestii jakieś głosowanie? Uzgodnimy system prawny?

- Już od pewnego czasu opracowuję taki system. Ale wspólnie rozstrzygniemy wszystkie kwestie. Mam kilka pomysłów - powiedział Abran.

Wstał, żeby dolać sobie herbatę. Ręce mu drżały, a skronie zrosił pot. Otarł go rękawem.

Wymieniłyśmy z Marjan spojrzenia.

- Chciałbym zobaczyć ten projekt - oświadczył Wayne.

- Jeszcze go nie skończyłem - odrzekł Abran.

Napełnił kubek i odstawił dzbanek, lecz nadal stał, opierając się pięściami o blat.

- Możesz być kapitanem tego statku, ale to nie znaczy, że zostaniesz jakimś udzielnym władcą - powiedział Wayne, również wstając.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko skwierczenie lampy naftowej i jęk lin napinających się na wietrze. Potarłam kciukiem rysę na moim kubku na tyle głęboką, że mogłaby rozciąć mi skórę, która jednak była tak stwardniała, że nawet jej nie zadrapałam.

Abran zadarł brodę, światło lampy odbiło się w jego oczach - przekrwionych, mętnych i zażawionych.

- Wypełniasz moje rozkazy tutaj, więc będziesz je wypełniał również tam - rzekł cichym, opanowanym głosem.

Wayne tak mocno ścisnął oparcie krzesła, że zbielały mu kostki.

- Zagłosujemy nad tym, kto będzie nami przewodził - zaproponował.

- Nie - rzekł Abran. - Podporządkujesz mi się albo cię wygnamy.

Wayne zerwał się gwałtownie z krzesła, przewracając je, skoczył na Abrana i pchnął go ku ścianie. Abran zamierzył się na niego, ale Wayne walnął go z byka w pierś, a Abran uderzył plecami w ścianę. W odpowiedzi rąbnął Wayne'a pięścią

w grzbiet i wbił paznokcie w szyję.

Podbiegli do nich Thomas z Danielem. Thomas złapał Wayne'a za ramię, usiłując odciągnąć go od Abrana, jednak dostał cios i zatoczył się do tyłu.

Wayne przyskoczył do Abrana, ale Daniel oplótł go ramionami w pasie i oderwał od przeciwnika. Abran pchnął Wayne'a, który razem z Danielem runął jak długi na podłogę.

Abran rzucił się na Wayne'a. Wystąpiłam naprzód, chwyciłam go za ramię, powlekłam w kierunku ściany. Abran zamachnął się na mnie prawą pięścią, lecz się uchyliłam. Złapawszy go za drugą rękę, wykręciłam mu ją za plecy, a jednocześnie chwyciłam go za włosy i szarpnęłam mu głowę do tyłu.

Kiedy Wayne zerwał się na nogi, przybrał bokerską postawę, jakby zamierzał znów zaatakować Abrana. Thomas rozdzielił ich rozłożonymi rękami.

- Niech wszyscy się uspokoją - powiedział, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

Marjan postawiła krzesło przewrócone przez Wayne'a. Jessa oparła gitarę o ścianę. W kabinie zapanowała ciężka, przygnębiająca atmosfera, jakby coś z niej wyssano. Coś pomiędzy nami się zmieniło, byliśmy zdenerwowani, spoglądaliśmy na siebie jak obcy.

Puściłam Abrana i cofnęłam się.

- Abranie, kiedy znajdziemy się w Valley, wybierzemy przywódcę w głosowaniu - rzekła do niego Marjan łagodnym tonem.

Stała przed nim ze splecionymi dłońmi, z lekko pochyloną głową i popatrzyła na niego z surową miną.

Abran rozejrzał się po nas wszystkich, po czym westchnął z irytacją.

- Jak chcecie. Jak sobie chcecie. - Uniósł otwarte dłonie w geście rezygnacji, a zarazem lekceważenia.

- Musimy się opanować. Zachowywać się bardziej odpowiedzialnie. Kończą się nam niemal wszystkie zapasy - przypomniała Marjan.

- To jej wina! Jest naszą rybaczką, a niczego nie łowi! - wykrzyknął Abran, wskazując na mnie.

- Nie zwalaj wszystkiego na nią - stanął w mojej obronie Thomas. - Widzę ją codziennie na pokładzie łowiącą od świtu do zmroku. Widzę też, że ty włączysz się tylko beczynn timer po statku. A kiedy tamci pojмали Behira, ona pierwsza krzyknęła, żebyśmy się zatrzymali.

- Niewiele to dało. - Abran splunął na podłogę.

Twarz płonęła mu czerwienią niemal równie intensywną jak jego przekrwione oczy.

Pochwyciwszy moje spojrzenie, Marjan skinęła głową.

- Dajcie nam chwilkę - poprosiłam i wypchnęłam

Abrana przed sobą z kabiny.

Na zewnątrz, pomimo księżycy i gwiazd na bezchmurnym niebie, panowała ciemność, do której wzrok przywykł dopiero po kilku chwilach. Abran wyswobodził rękę z mojego chwytu.

- Musisz wziąć się w garść - powiedziałam.

- Nie pozwolę, żebyś odebrała mi to wszystko - rzekł, odgarnął włosy za uszy i wycelował palec w moją twarz.

- Abranie, niczego nie zamierzam ci odebrać. Zamknąłeś się w sobie, nie myślisz jasno.

Spojrzał na mnie i zaśmiał się cicho.

- Nie udawaj, że jeszcze zależy ci na nas obojgu. Nie po tym, co zrobiłaś.

- Posłuchaj, chcemy tego samego. Dotrzeć żywi do Valley.

Zamilkliśmy. W tej ciszy słyhać było szum wiatru wydymającego żagle, trzepot płótna. W blasku księżycy wszystko na pokładzie jarzyło się szaroniebieską poświatą, jakby statek zanurzył się pod wodę, która nas pochłonęła. Abran odwrócił ode mnie twarz, jego profil rysował się ostro jak wyrzeźbiony w kamieniu.

Uniósł dłonie ze zgiętymi palcami, jakby coś w nich trzymał.

- Wszystko wyslizguje mi się z rąk - powiedział.

Wstrząsnął mną widok strachu malującego się na

jego twarzy. Oprócz objawów zamknięcia się w sobie, oprócz zagrożenia atakiem bandy Czarnej Lilii, ta przeprawa przez Atlantyk przerażała go w stopniu dla mnie wręcz niepojętym. Wspomnienie tego, że zamordowano jego brata, dręczyło go nie tylko jako coś, czego był świadkiem, lecz za co ponosił winę. Być może owo wzięcie na siebie odpowiedzialności okazało się jedynym sposobem złagodzenia poczucia bezradności, jakiego doświadczył tamtej feralnej nocy. Może właśnie tak radził sobie ze zgrozą i usiłował odzyskać przynajmniej resztki kontroli nad swoim życiem.

- Jeżeli obwiniasz się za złe postęпки, również doceniaj siebie za dobre - powiedziałam.

Wyciągnęłam rękę i musnęłam jego ramię. Kiwnął głową. Zostawiłam go samego na pokładzie i wróciłam do kabiny po Pearl. Gdy dotknęłam jej drobnych ramion, ręce mi drżały. Wciąż mieliśmy tak długą drogę do przebycia.

ROZDZIAŁ 42

Przycisnęłam dłoń do dolnej części pleców w miejscu, w którym tępy ból stawał się silniejszy i pulsujący. Skinęłam ręką na Pearl, żeby pomogła mi dźwignąć halibuta, rybę dwa razy większą od niej, ze skrzelami długości jej ręki. Zaniosłyśmy go metr od downriggera, żebym nie przewróciła się o niego, sprawdzając liny, a potem mogła go rozebrać.

Wyprostowałam się i popatrzyłam ku wschodowi, przyglądając się, jak świt czerwieni niebo. Pearl siadła u moich stóp, rozcierając chude rączki.

- Poranna czerwień nieba żeglarza ostrzega.

Odwróciłam się i zobaczyłam Daniela stojącego obok halibuta, ze wzrokiem utkwionym w linii horyzontu.

- Hm? - mruknęłam pytająco.

- To stare porzekadło. Czerwone niebo oznacza, że front burzowy przemieszcza się ku wschodowi - wyjaśnił.

Wzruszyłam ramionami. „Sedna” nadspodziewanie dobrze radziła sobie z północnymi sztormami. W zeszłym tygodniu napotkaliśmy serię niewielkich burz, które nas opóźniły. Sztormowy wiatr rozerwał

grotzagieli, mnóstwo czasu straciliśmy na spuszczenie go i naprawę. Jednak z wyjątkiem tego porwanego żagla nie doznaliśmy wielu szkód. Musieliśmy wymienić bloczek i kilka lin, lecz powodem było zwykłe zużycie.

Obecnie najbardziej martwiliśmy się tempem żeglugi, a nie tym, jak „Sedna” poradzi sobie ze sztormami. Zgodnie z pierwotnymi obliczeniami Daniela w tym momencie powinniśmy byli znajdować się już sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na północny wschód. Nie chcieliśmy przybyć do Valley zimą, kiedy prądy morskie są silniejsze i cumowanie statku przy skalistym wybrzeżu byłoby bardziej niebezpieczne.

- Zauważyłaś, że wczoraj ptaki latały nisko? - zapytał Daniel.

- Aha - mruknęłam.

Ukucnęłam przy halibucie, wbiłam nóż w jego otwór stekowy i przecięłam brzuch w kierunku podstawy skrzeli. Tak naprawdę nie zwróciłam wczoraj uwagi na ptaki. Przez cały dzień miałam wzrok utkwiony w morzu, wypatrywałam halibutów i ławic dorszy.

- Zmienia się ciśnienie atmosferyczne. Nie widać dziś żadnych ptaków. A wczoraj chmury układały się w długie pasma na podobieństwo rybich łusek. Ten sztorm może się okazać znacznie gorszy niż poprzednie.

- Więc zabijemy okna deskami, jeśli uważasz, że wiatry będą groźniejsze - powiedziałam.

Wpatrywało się we mnie olbrzymie oko halibuta. Jego czarna tęczęwka wyglądała jak wielka jama i miałam wrażenie, że mogłabym w nią wpaść.

Daniel z ramionami skrzyżowanymi na piersi przeszedł obok mnie do nadburcia, zmrużył oczy, przyglądając się rozjaśniającemu się światłu wczesnego poranka.

- Możemy nie przetrwać tego sztormu - rzekł cicho.

Wyrwałam halibutowi skrzele i wnętrzności.

- No, więc może po prostu tymczasowo zmienimy kurs na północny. Moglibyśmy w ten sposób ominąć sztorm.

Daniel westchnął i pokręcił głową.

- Wykreśliłem dwa awaryjne kursy: prosto na północ albo prosto na wschód, jednak przy tutejszych prądach powietrznych w obydwu przypadkach natrafimy na boczne wiatry. Poza tym nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że ominiemy sztorm. Naszą szansę może zwiększyć tylko zwolnienie tempa.

- Nie zrobimy tego - rzekłam, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

Dłonie miałam poplamione rybią krwią, w głowie kręciło mi się od smrodu flaków. Czy Daniel nie mógłby mi pomóc?

- To byłaby nasza jedyna szansa na to, by uniknąć

najcięższego uderzenia tego sztormu – powiedział.

– Nie wiemy jeszcze, jak bardzo będzie groźny – odparłam.

– Powinniśmy zwolnić – odezwała się Pearl, wstając z pokładu pomiędzy nami. – Nie cierpię sztormów.

– Wiem, kochanie – powiedziałam.

– Nie, wcale nie wiesz – rzuciła wyzywająco. – Ja ich nienawidzę.

Otarłam dłonie o spodnie i wyciągnęłam rękę, by dotknąć ramienia córki, ale odsunęła się gwałtownie.

– Pearl, to tylko sztorm. To nie znaczy, że zatoniemy.

– Ty nigdy mnie nie słuchasz! – wykrzyknęła, tupiąc nogą.

Odwróciła się na pięcie, pobiegła po pokładzie do olinowania i wspięła się po nim szybko; chusteczka wystająca z kieszeni powiewała na wietrze niczym czerwone ptasie pióro.

Daniel przyglądał się jej, a potem odwrócił się do mnie.

– Czy możesz nakłonić Abrana, żeby poddał to pod głosowanie? Zwolnienie tempa w celu uniknięcia sztormu.

– Nie możemy przybyć do Valley w środku zimy. Nie mamy czasu na spowolnienie tempa – odparłam.

Odwróciłam się znowu ku rybie i odcięłam jej głowę.

- Myra, tylko ty jedna mogłabyś go przekonać.
- Nie ufam ci - wypaliłam.

Otarłam czoło rękawem i zmierzyłam Daniela badawczym spojrzeniem. Między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Zacisnął usta w grymasie urazy.

- Chcę, żebyśmy dotarli tam cali - powiedział.

- Więc się postaraj. - Znów odwróciłam się do halibuta.

Daniel zniknął w kabinie. Zapadła cisza zakłócana tylko pluskiem wody o burty statku oraz odgłosem, z jakim ostrze noża przerzynało łuski i mięso. Wstałam, przyciągnęłam do halibuta pudło z solą, a potem zaczęłam odcinać płetwę grzbietową.

Z kabiny dobiegały coraz bardziej podniesione głosy, aż wreszcie rozpoznałam, że należą do Daniela i Abrana.

Znów wytarłam dłonie w nogawki spodni i pospieszyłam do kabiny. Daniel z Abranem stali po przeciwnych stronach stołu. Marjan tkwiła przy zasłonie oddzielającej kuchnię. Miała spuszczoną głowę, dłonie trzymała splecione przed sobą. Twarz Abrana już poczerwieniała i zaciskał pięści. Daniel stał niewzruszony jak kamienny posąg.

- Jeżeli zwolnimy, to gdy dotrzemy do Valley, natrafimy na jeszcze groźniejsze północne prądy morskie, a ponadto wokół wybrzeży będzie więcej kry

lodowej. To może uniemożliwić nam wylądowanie – rzekł Abran.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale „Sedna” może nie przetrwać tego sztormu – odparł Daniel. - Zwolnienie i uniknięcie go jest warte zaryzykowania straty czasu.

- Powinniśmy nad tym zagłosoować – odezwała się łagodnym tonem Marjan.

Abran rzucił jej ostre spojrzenie.

- Nie. Ja podejmę decyzję.

- Nie mogę poprowadzić statku przez... – zaczął Daniel.

Abran walnął dłonią w stół.

- Poprowadzisz statek, dokądkolwiek ci każe.

Odwrócił się od stołu i oparł się o niego tyłem, z podbródkiem wspartym na pięści. Spostrzegł mnie stojącą w progu.

- Jak przypuszczam, ty też chcesz, żebyśmy zwolnili? – rzekł do mnie.

Popatrzyłam na Daniela, a potem znowu na Abrana. W przeszłości obydwaj mnie zawiedli, nie ufałam żadnemu z nich.

Jednak Daniel wiedział, o czym mówi, znał się na pogodzie i prądach morskich. Jeżeli sztorm okaże się tak groźny, jak przewidywał, mogliśmy stracić maszt i grotzagiel.

Ale co się stanie, jeśli dotrzemy do Valley tak późną zimą, że nie zdołamy dopłynąć do brzegu? Już

zaczynało brakować nam prowiantu. A każdy mijający dzień przybliżał Row do przeniesienia na statek reprodukcyjny. Każdy wschód księżyca – oślepiająco białego jak góra lodowa dryfująca na czarnym morzu – budził we mnie złowrogie przeczucie, od którego zamierało mi serce.

Wyobraziłam sobie Row w Valley w czasie ataku piratów i pojawienia się dżumy. Wyobraziłam sobie, jak je śniadanie w małej jadłodajni – może bułeczkę albo owsiankę. A potem odgłosy. Mieszkańcy osady pędzą na złamanie karku i oglądają się za siebie na to coś, przed czym uciekają. Zgiełk, krzyki, tupot nóg na twardym gruncie.

Czy w pierwszej chwili pomyślała, że zbliża się fala powodziowa? Masy wody przewalające się z rykiem przez zbocze góry?

A potem strzała przesywa kobietę przed nią. Ludzie wpadają na Row, gdy próbuje uciec. W powietrzu unosi się zapach krwi, której gorzki smak czuje w ustach. Może dała nura do kościoła pełniącego też funkcję baru – niewielkiego ceglanego budynku z oknem wychodzącym na studnię.

Może przykucnęła wewnątrz pod oknem, dysząc ciężko, krew dudniła jej w uszach, gdy starała się uspokoić oddech. Kiedy wyjrzała przez okno, być może zobaczyła dwóch piratów wrzucających do studni trupa człowieka zmarłego na dżumę. Zwłoki

pokryte ranami, ze szerniałymi rękami i nogami.

A może przez cały ten czas była w jakimś domu ukrytym bezpiecznie wysoko na górnkim zboczu, nie widziała tego wszystkiego. Dopiero kiedy wyszła na dwór, ujrzała osadę w połowie spaloną, poczuła wiszący w powietrzu ciężki odór zarazy.

Jakkolwiek było, nie miało teraz znaczenia. Ważne, żebym dotarła tam w porę.

Zaswędziała mnie warga, starałam z niej rybią łuskę. Dłoń pozostawiła na ustach smak krwi. Unikałam wzroku Marjan i Daniela.

- Zabijmy deskami od wewnątrz okno tutaj, w kabinie. Poczyńcie przygotowania do przetrwania sztormu, ale nie zrzucajcie żagli - powiedziałam.

Daniel westchnął ciężko, a kiedy na niego spojrzełam, jego rozczarowanie uderzyło we mnie jak cios.

Abran pokiwał głową.

- Popłyniemy nadal na północny wschód. Utrzymujcie kurs i cała naprzód.

Energicznym krokiem wyszedł z kabiny, a Marjan zniknęła za kuchenną zasłoną.

Podeszłam do półek i zdjęłam małe wiaderko z gwoździami. W moich dłoniach wibrowała nerwowa energia. Chwyciłam garść gwoździ, rdza poplamiła mi dłonie na pomarańczowo.

Daniel przed opuszczeniem kabiny przystanął przy

mnie.

- Nie chciałaś aby w ten sposób odegrać się na mnie? - spytał cicho.

- Przeceniasz swój wpływ na moje decyzje - mruknęłam.

Westchnął i potrząsnął głową.

- W razie potrzeby rzucę dryfkotwę. Nie obchodzi mnie, co mówi Abran. Prędzej wyskoczę za burzę, niż pozwolę, żeby ten statek zatonął.

Po wyjściu Daniela drzwi kabiny zadygotały od gwałtownego uderzenia wiatru. Serce mi zamarło. Prowizoryczne zawiasy szczęknęły o drewno. Skoczyłam przed siebie i zatrzasnęłam drzwi, ale nadal drżały - wyczuwałam to dłońmi.

ROZDZIAŁ 43

Do pory lunchu wiatr się wzmógł i wył na zewnątrz kabiny, gdy jedliśmy. Wszyscy milczeli, wbijając wzrok w swoje miski. Po południu niebo pociemniało, chmury zakryły horyzont. Wywarło to przygnębiające wrażenie, jakby przyduszała nas z góry jakaś olbrzymia ręka. Wciąż dotykałam Pearl – odgarniałam jej włosy za ucho, wygładzałam bluzkę. Te nerwowe gesty miały ją przekonać o mojej rzekomej pewności siebie. Ale Pearl odtrącała moją rękę. Nawet powietrze było inne: miało słodki, a zarazem gryzący zapach, z lekką ostrą nutą, przywodziło na myśl mocno naprężoną linę.

Marjan chowała wszystkie rzeczy w kuchni do szafek i zapasowych skrzyń, po czym zabijała je gwoździami. Daniel wyraźnie unikał Abrana, natomiast Wayne zapytał go, czy zdołamy uciec bez żagli, zanim uderzy wichur.

- Nie, jeszcze nie zrzucamy żagli i nie zdajemy się na łaskę burzy – odparł Abran.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Wiedziałam, że Abran uważa, iż ma coś do udowodnienia po tym, co zdarzyło się w Broken Tree, jednak nie spodziewałam

się po nim takiej lekkomyślnej brawury.

Daniel zrefował grotzagiel. Gdy Abran to zobaczył, w jego oczach błysnął gniew. Podbiegł do Daniela i pchnął go.

- Powiedziałem cała naprzód! - krzyknął tak głośno, że usłyszałam to pomimo wycia wiatru.

Daniel odepchnął go łokciem i odwrócił się z powrotem do żagla.

- Porzucę cię na bezludnej wyspie! - ryknął do niego Abran.

Potężna fala uderzyła w „Sednę”. Statkiem zahuściło jak potrąconą w nocy kołyską, pokład zalały bryzgi spienionej lodowatej wody.

Wbiegłam do kabiny, zaczęłam związywać sznurem wszystkie moje wędki. Pearl wpadła za mną i szarpnęła mnie za rękaw.

- Mamo, zatoniemy - jęknęła.

Okręciwszy koniec sznura wokół półek, zacisnęłam węzeł.

- Zawień haczyki w ten gałganek i włóż na dno kosza - powiedziałam, wręczając jej szmatkę.

Tupnęła nogą.

- Nie słuchasz mnie!

Podaliśmy jej garść wabików.

- To też.

Pearl z ustami zaciśniętymi w cienką linię wypełniła polecenie.

- Nienawidzę cię - wymamrotała ledwie dosłyszalnie ponad wyciem wiatru.

Zagryzając zęby, dokończyłam przeplatanie sznura przez półki, rączki koszy i wiader.

- Jesteś pewna, że bardziej niż sztormów?

- Nie chcę wpaść do wody - rzekła z błagalną miną i nachyliła się ku mnie, jakby chciała schronić się w moich ramionach.

Zawiązałam sznur, uklękłam i przytuliłam Pearl do piersi. Szepnęłam jej do ucha, czerpiąc pociechę z delikatnego zapachu córki:

- Nie wpadniesz. Statek nie wywróci się do góry dnem ani nie zatonie. Daniel potrafi radzić sobie ze sztormem.

Mówiłam z większym przekonaniem, niż je czułam. Pocałowałam końce swoich palców i przytknęłam je do jej ust. Przez wargi Pearl przemknął nikły uśmiech.

Do kabiny wpadł Abran, zatrzasnął za sobą drzwi i osunął się na krzesło.

- Skurwysyn - mruknął.

Przejechał dłonią włosy. Podrygiwał kolanem, bębnił palcami po blacie stołu. Popatrzył na mnie błędnym wzrokiem. Ujrzałam w jego oczach zagubienie i zdumienie.

- Ta woda jest lodowata - rzekł.

Wzięłam Pearl za rękę. Wyszliśmy z kabiny,

z trudem otwierając drzwi, na które napierał wiatr, i ruszyliśmy w kierunku luku.

Na rufie Daniel zablokował ster, utrzymując statek dziobem do fal. Niebo było niemal czarne, jakby zalano nas atramentem. Chmury wisiały nisko, zdawały się na nas napierać. Przed nami uformowała się fala olbrzymia niczym wieża i wznosiła się jeszcze wyżej, zbliżając się do dziobu „Sedny” - ciemna, górująca nad nami ściana wody, przez którą będziemy musieli przepłynąć. Uchwyciłam się grotmasztu, żeby utrzymać siebie i Pearl; pomyślałam o matce spoglądającej w górę na wodny wał, zanim na nią runął.

Córka ścisnęła moją dłoń tak mocno, że ból przeszył mi rękę. Miłość do niej zapłonęła jaśniej, z olśniewającą wyrazistością, w tej części mnie, której nic nigdy nie zdoła odmienić.

Najpierw przeniknęło mnie lodowate zimno wody, niczym ostry kamyk szorujący po moich kościach. Moment później pokład stał się śliski, jakbyśmy usiłowały ustać na lodzie. Oplotłam ramieniem maszt, jedyny punkt oparcia, gdy rzuciło nami w bok. Runęła druga fala, która oderwała nas od masztu i parskające obaliła na pokład.

Woda pieniała się, wirowała na deskach pokładu. „Sedna” wyprostowała się, a potem znów przechyliła, jakby miała się zaraz przewrócić. Podbiegł do nas

Daniel. Złapał mnie pod ramię i powlókł nas obie w kierunku kabiny; Pearl obejmowała mnie w pasie, wtulając twarz w moją szyję.

Dziób statku uniósł się na fali, zatoczyliśmy się do przodu, a potem upadliśmy ciężko na pokład. Woda uderzyła w kadłub, powietrze przeszył trzask tak głośny, że przebił się przez ryk wichury i huk fal.

Wpadliśmy z Danielem i Pearl przez otwarte drzwi do kabiny i runęliśmy na kolana.

Wayne zawołał do Abrana, przekrzykując hałas:

- W złączu kadłuba jest dziura! Woda wlewa się do środka i czyni spustoszenia. Thomas jest już na dole, próbuje zatamować przeciek...

Abran nie spojrzał na żadne z nas. Błądził wzrokiem po podłodze.

- Za późno... - wymamrotał.

Daniel podźwignął się na nogi.

- Po postu zejdź pod pokład i pomóż załatać przeciek! - wrzasnął do niego.

Jessa, trzymając się za brzuch, wymiotowała do wody chlupoczącej nam pod nogami. Wayne złapał ją za ramię i pociągnął w kierunku drzwi.

- Musimy rzucić dryfkotwę - rzekł do mnie Daniel, grzebiąc w pojemnikach na półkach. - Do diabła, dlaczego żadne z tych pudeł nie jest oznakowane?

Podbiegła do nas Marjan, wyjęła z drewnianej skrzyni dryfkotwę. Był to kłęb podartych żagli

zszytych ze sobą i przywiązanych na końcu długiej liny. Wyglądała jak ciężki postrzępiony latawiec.

Statek przechylił się na prawą burzę, więc wszyscy pojechaliśmy po mokrej, śliskiej podłodze. Pearl wpadła na mnie, objęłam ją mocno, zanim uderzyłyśmy o ścianę. Stoły i krzesła przesunęły się razem z nami, ich szuranie przebiło się przez ryk wichury na zewnątrz.

Daniel pierwszy podniósł się na nogi. Zataczając się, ruszył w stronę Marjan i wziął od niej dryfkotwę.

- Zaprowadź Pearl pod pokład! - krzyknął do mnie.

Wykasłałam z gardła słoną wodę i klepnęłam Pearl w plecy, żeby sprowokować ją do tego samego.

Nie mogliśmy od razu rzucić dryfkotwy. Musieliśmy najpierw spuścić i zwinąć grotzagiel. A Daniel nie poradzi sobie z tym w pojedynkę.

- Marjan, proszę, sprowadź Pearl na dół! - zawołałam do niej.

Ujęłam Pearl za ramiona, usiłując odwrócić ją ku Marjan, ale się opierała. W końcu objęła mnie mocno w tali.

- Nie! - jęknęła. - Nie! Chodź ze mną!

- Muszę pomóc Danielowi - odparłam ze ściśniętym sercem. - Nie będziesz sama. Obiecuję, że zaraz też zejdem pod pokład.

Wtulone we mnie drobne ciało drżało. Delikatnie oderwałam ją od siebie.

- Proszę, nie zostawiaj mnie - wyszeptała głosem zdławionym przez szloch.

- Marjan, zabierz ją - powtórzyłam.

Marjan wzięła Pearl na ręce i wyniosła przez drzwi kabiny. W blasku błyskawicy ujrzałam przez moment twarz córki, przerażone oczy, włosy zlepione słoną wodą. Wyglądała, jakby była na skraju załamania.

Wyszliśmy z Danielem za nimi i ślizgając się na mokrym pokładzie, ruszyliśmy z trudem w kierunku rufy. W głowie mąciło mi się od ponurego wycia lodowatego wichru. Ten nieustanny głuchy ryk w uszach zdawał się pochodzić raczej z mojego wnętrza niż z zewnątrz. Statek zalewały potężne, miażdżące, nieokiełznane masy wody. Wezbrała we mnie panika, przez głowę przemknęły obrazy sprzed lat, gdy powodzie i burze unicestwiły świat, jaki znałam. Przewrócone samochody uderzające w budynki. Stare drzewo wyrwane z korzeniami jakby olbrzymią ręką. Ptaki ciskane przez wiatr na ogrodzenia i domy.

Daniel uchwycił się downriggera, a drugą ręką złapał moją, żeby uchronić nas przed zmyciem za burzę. Sztywnymi, zdrętwiałymi palcami zaczęłam obwiązywać linę dryfkotwy wokół dwóch polerów rufowych. Przed nami rosła fala ze spienionym grzbietem. Zawiązawszy linę, wyrzuciłam dryfkotwę za nadburcie. Oboje z Danielem schyliliśmy się, gdy

fala uderzyła w statek i zalały nas potoki wody.

Lina dryfkotwy się napięła. Uczepiliśmy się nadburcia, gdy „Sedna” zaczęła skręcać, aż ustawiła się dziobem do fal. Wciąż groziło nam, że statek obróci się do nich burtą i wywróci do góry dnem, ale odepchnęłam od siebie tę myśl, skoncentrowałam się na Danielu, który już brnął po mokrym pokładzie w kierunku grotmasztu.

Dotarliśmy tam, po czym zaczęliśmy zмагаć się z boczkiem i talią, ale Wayne tak mocno zrefował żagiel, że nie mogliśmy rozplątać węzła. W mroku nie widziałam liny, a maszt majaczył tylko jako ciemny kontur. Zdrętwiałe palce wciąż ślizgały się po linie, nie zdołałam rozluźnić i rozwiązać węzła.

- Zejdź pod pokład! - krzyknął do mnie Daniel i odepchnął na bok.

- Możemy stracić maszt! - odkrzyknęłam, lecz słowa zagłuszył łoskot kolejnej fali, która runęła na statek.

Daniel jedną ręką objął mnie w pasie, a drugą otoczył maszt. Fala cisnęła nas w prawo jak szmaciane lalki, stopy ślizgały się nam po pokładzie, woda wirowała wokół kostek.

Gdy odzyskaliśmy równowagę, odepchnęłam Daniela łokciem, palce znów odnalazły linę. Pokład się wyrównał - wiatr i wzburzone morze na moment się uspokoiły, cały nasz mały świat znieruchomiał.

Serce zabiło mi szybko, krew zakipiała i pomknęła w żyłach. Przed nami rosła następna fala, wyższa od innych, ściana wody olbrzymia jak ta, która zwała się na moją matkę.

Daniel chwycił mnie na ręce, na wpół poniósł, a na wpół powlókł do luku. Otworzył go i wepchnął mnie do środka. Zeskoczył za mną, a potem zamknął luk; metaliczne szczęknięcie zagłuszyły wycie wiatru i ryk fal.

ROZDZIAŁ 44

Mocno objęłam Pearl, wetknęłam jej głowę pod mój podbródek, a drobne ciało wtuliło się we mnie. Już nie drżała. Była nieruchoma i apatyczna. Kilka razy próbowałam przemówić do niej, wyszeptać coś pocieszającego, ale nie reagowała. Wyczułam, że wycofała się do jakiegoś ukrytego miejsca w sobie, do którego nie wpuszczała nawet mnie. Moja mała żeglarka bojąca się morza.

Wszyscy przysiedliśmy na kojach w kwaterze załogi. Thomas z Wayne'em już zatkali szmatą otwór w zakrzywionej burcie i zabili go drewnianymi płytami. Napór fal spowodował nowe przecieki przez szpary w kadłubie, który trzeszczał złowrogo, pojawiały się w nim kolejne pęknięcia. Woda powoli rozlewała się po dnie, chlupotała przy kołysaniu się „Sedny”. Pływały w niej odłupane odłamki drewna, niczym małe stateczki, rzucone chaotycznie w różne strony, aż wreszcie woda cisnęła je na korytarz i zniknęły nam z oczu.

„Sedna” wciąż walczyła z falami, których uderzenia zdawały się rozbrzmiewać echem w mojej głowie. Nad nami nieustannie rozlegały się trzaski

pękających elementów statku. Nie mieliśmy dość drewna, by naprawić wszystkie uszkodzenia. Czułam w powietrzu woń potu, słono-słodką, podszytą strachem.

Przez okienko u szczytu ściany wpadało światło błyskawic. Każdy rozbłysk wydobywał z mroku ludzkie sylwetki, które po chwili znikwały, co wywoływało we mnie wrażenie, jakbym była w kwaterze sama. Znałam to uczucie - przejmujący strach, że zostanę pogrzebana w wodnym grobie i daremnie będę usiłowała zaczerpnąć powietrza.

Znów skierowałam myśli ku matce. Przypomniałam sobie, jak wtedy z ramienia spadł jej koszyk z jabłkami. Czy ciało mamy stało się domem dla ryb i wodnych roślin?

Wstrząsnął mną dreszcz zgrozy. Nigdy nie uda się nam ujść z tego z życiem, pomyślałam. Woda pochłonie nas tak jak matkę. Ujrzałam siebie w grobie dna oceanu: docierające w głębinę nikłe światło zabarwia na sino skórę, włosy unoszą się w wodzie jak wodorosty, z kości wyrastają koralowce.

Proszę, targowałam się w duchu z jakimkolwiek bogiem, jakąkolwiek istotą obdarzoną władzą nad światem. Proszę, nie pozwól, żebyśmy zatonęli. Szukałam w myślach czegoś, co mogłabym zaoferować w zamian. Przemknęła mi przez głowę rezygnacja z przebycia Atlantyku, z pragnienia

dotarcia do Row.

Nie, pomyślałam. Tylko nie to.

Gdybym zrezygnowała z poszukiwania Row, byłoby to jak zaakceptowanie tego wszystkiego, co już prawie o sobie myślałam. Że Jacob miał rację, porzucając mnie. Że w gruncie rzeczy nie zdołam przeżyć w tym nowym świecie. Zażądaj czegoś, co mniej mnie zrani, targowałam się. Nie zabieraj mi ostatniego dziecka.

Pearl trzymała na kolanach jednego z węży i gładziła go. Przesunęłam po nim palcem; miał zaskakująco miękką skórę. Cofnął się przede mną. Błysnęła błyskawica. Wąż i Pearl otworzyli oczy. Potem wszystko znów pogrążyło się w mroku.

Światło wczesnego poranka napełniło kwaterę słabym blaskiem. Kilkoro z nas zdrzemnęło się, uciekło w sen przed strachem. Sztorm widocznie nie trwał długo, skoro ucichł przed świtem. Niemal żałowałam, że nadal nie panują nocne ciemności – wówczas nie musielibyśmy natychmiast zająć się zbadaniem uszkodzeń. Obawiałam się, że ich widok mnie przerazi.

W kwaterze woda sięgała trzydziestu centymetrów. Do wnętrza sączyła się teraz tylko między deskami, którymi zabiliśmy dziurę. Pearl dygotała z zimna, więc otuliłam ją kocem.

W milczeniu weszliśmy po drabince na pokład. Przeżyliśmy, jednak nie było żadnego świętowania ani nastroju radosnej wdzięczności. Byliśmy wstrząśnięci, w powietrzu wisiało niewypowiedziane pytanie: tak, przetrwaliśmy burzę, ale czy przetrwamy również ciszę po burzy? A wiedziałam, że to drugie jest trudniejsze. W przeszłości gorsze od samych powodzi okazywały się zawsze dni następujące po nich. Odbudowa stanowiła najcięższe wyzwanie.

Spoglądając na pokład „Sedny”, pomyślałam o miasteczkach w Nebrasce nawiedzonych przez tornada. O osiedlach zrównanych z ziemią, o pogruchotanych ciężarówkach, rozrzuconych po okolicy samochodach osobowych, drzewach, budynkach bez dachu.

Pokład był zalany wodą i zasypany szczątkami – kawałkami drewna, gwoźdźmi, strzępami żagli. Brakowało drzwi do kabiny. Nie było też grotżagla. Ale sam maszt przetrwał – na ten widok westchnęłam z ulgą. Wszędzie leżały sterty postrzępionych lin. Górna reja wisiała za burtą w wodzie, nadal przywiązana do masztu. Podarty fok łopotał na wietrze.

Downrigger leżał przewrócony, z pękniętą podstawą, wyglądał jak drzewo trafione piorunem. Skłęłam się w duchu za to, że nie pomyślałam

wcześniej, żeby go wymontować. To będzie najtrudniejsza rzecz do naprawienia, o ile w ogóle zostały nam jakieś części, które moglibyśmy wykorzystać.

Nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, co widziałam, pragnęłam, aby okazało się, że to nieprawda. Czy ten sztorm nie mógł być tylko snem, a w rzeczywistości wszystko na statku jest w porządku? Ból ścisnął mi serce niczym pięść, lecz z wysiłkiem starałam się nad nim zapanować. Nie było czasu na opłakiwanie szkód. Jak moglibyśmy poddać się i pogrążyć w żalu, skoro czekało nas tyle pracy?

Powierzchnia oceanu wokoło była idealnie gładka, jak gdyby w nocy nic się nie wydarzyło. Szare niebo i łagodna toń wody sprawiały wrażenie, jakby świat wyszorowano, wypłukano do czysta, a teraz oddychał rześko.

Pierwszy odezwał się Thomas:

- Sprawdzę gafle i zapasowe drewno.
- Do nocy nie zdążymy wszystkiego naprawić - rzekł Abran.
- Musimy doprowadzić do porządku przynajmniej część talii. Wzmocnić łatę dziury w kadłubie. Zobaczyć, które liny nadają się do użytku - powiedziałam.

Wewnętrznie odzyskałam opanowanie. Musieliśmy

kontynuować rejs.

- Więc dzisiejszej nocy będziemy tylko dryfować? - spytała Marjan. Pierwszy raz usłyszałam w jej głosie nutę lęku.

- Wciąż mamy dryfkotwę - przypomniał Daniel. - Trochę nas spowolni, dzięki czemu nie zdryfujemy zbyt daleko z kursu. I pozostał nam fok.

Zorientowałam się z jego tonu, że wątpi, czy uda mu się wiele zdziałać tylko z tym żaglem.

Poczułam ucisk w piersi.

- Wayne, czy możesz sprawdzić ster? - poprosiłam.

Kiwnął głową i ruszył przez szczątki w kierunku rumpla.

- Czy mamy dość płótna, żeby uszyć nowy grotzagiel? - spytała Marjan.

- Nie tak duży jak poprzedni - odpowiedział Thomas.

Zdawało się, że te słowa przełamały coś w Pearl. Puściła moją dłoń i odsunęła się.

- Nie poparłaś Daniela - powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Co takiego, kochanie? - spytałam.

Przykucnęłam i usiłowałam zajrzeć jej w oczy.

- To przez ciebie wpłynęliśmy w ten sztorm. Nie obchodziło cię to. Nigdy nie troszczysz się o mnie. Zależy ci tylko na niej. Płyn sobie do Valley. Płyn do Valley - powtarzała monotannie. Zacisnęła pięści

przy bokach, uniosła głowę i spojrzała na mnie. – Nienawidzę cię! – wykrzyknęła mi w twarz.

Zamrugałam zszokowana. Znieruchomiałam, nadal kucając przed Pearl, i milczałam. Wszyscy poruszyli się z zakłopotaniem, wzbudzając stopami drobne falki w wodzie stojącej na pokładzie. Przeszył mnie wstyd. Przypomniałam sobie wyraz ich twarzy, kiedy odkryli, że ich oszukałam, bo najbardziej zależało mi na odnalezieniu Row. Nadal nosiłam w sobie brzemień ich potępienia i gniewu.

– Pearl – odezwałam się, wyciągając rękę, żeby dotknąć jej ramienia, lecz cofnęła się gwałtownie. – Pearl, gdyby chodziło o ciebie...

– Ale nie chodzi – przerwała mi. Zadarła brodę, zmierzyła mnie posępnym spojrzeniem i skrzyżowała ręce na piersi. – Ją kochasz bardziej.

– Nieprawda – odrzekłam łagodnie.

Serce mi pękało. Chyba nigdy nie zdołam dokonać właściwego wyboru. Czego uczyłam teraz Pearl o niej samej?

Stojący na rufie Wayne krzyknął, że ster jest nieuszkodzony.

– Musimy wyłowić z wody tę reję. Przez nią statek się obraca – powiedział Thomas.

Jessa poszła z nim, żeby mu pomóc, a Daniel wymamrotał do pozostałych prośbę, żeby zobaczyli, co ocalało w kabinie. Obok naszych nóg przepłynęła

martwa ryba. Wyczułam, że członkowie załogi współczują mi i chcą dać nam możliwość porozmawiania w cztery oczy.

- Muszę ustalić nasze położenie - rzekł do mnie Daniel ledwie słyszalnie. Zabrzmiało to jak przeprosiny.

Pearl opuściła bezwładnie ręce i uniosła głowę. Podbródek jej się trząsał, a rzęsy drżały.

- Nie mogłabym jej kochać bardziej - powiedziałam. - Wy obie macie całą moją miłość. Więcej już nie mam. Gdyby chodziło o ciebie, skłoniłabym ją, żeby przeszła przez to wszystko. Ale jest odwrotnie. - Otarłam łzę z policzka Pearl. - Przepraszam, że naraziłam nas na ten sztorm.

- Nigdy mnie nie słuchasz - rzekła.

Usłyszałam w tych słowach głos Jacoba. Ile razy mówił mi dokładnie to samo? Spuściłam wzrok na zalany wodą pokład. Czułam się znużona tym wszystkim - dokonywanymi wyborami, odpowiedzialnością. Przez moment zapragnęłam zniknąć w głębi oceanu, utonąć w nieświadomości.

Pearl podeszła do mnie bliżej i splotła palce z moimi. Ten gest mnie zaskoczył.

- Przepraszam - powtórzyłam. Powiedziałam to szczerze.

Otarła łzy grzbietem dłoni.

- Muszę nakarmić Charlie'ego. Jest zdenerwowany

- oznajmiła.

Skinęłam głową i puściłam jej rękę. Pearl wróciła do luku. Gdy przyglądałam się, jak schodzi pod pokład, pomyślałam, jak bardzo się myli.

Zapłonęła we mnie uraza. Chciałam powiedzieć, że to nieprawda, abym kochała Row bardziej, tylko że są we mnie inne, mroczniejsze uczucia, które wpływają na moje decyzje. Gniew i strach zmieszały się z miłością, nie potrafię ich oddzielić. Są niczym niebo, kiedy na horyzoncie zlewa się z morzem, tak że nie da się rozróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Pearl nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, jakim ciężkim brzemieniem jest dla mnie to wszystko. Te niedające się pogodzić decyzje. Wiodłyśmy życie razem, jednak tak niewiele wiedziałyśmy o sobie nawzajem, że mogłybyśmy równie dobrze przebywać na dwóch różnych planetach. Ukrywałam przed nią niektóre moje sprawy, tak jak matka ukrywała swoje przede mną. A co kryje przede mną Pearl? Jakie mroczne prądy w niej się kłębią, mieszają się z miłością, wyłaniają z głębokich otchłani, których nie widzę?

Obok moich nóg przepłynęła niewielka szara rybka z raną na brzuchu, pozostawiając za sobą w wodzie smużkę krwi. Złapałam ją i zacisnęłam dłoń. Jej łuski drżały w świetle słońca.

ROZDZIAŁ 45

Nim zapadła noc, wydobyliśmy z wody reję i podzieliliśmy uszkodzone elementy statku na dwie sterty - rzeczy, które da się wykorzystać, oraz te, które już do niczego się nie nadadzą. Następnego popołudnia zasiadłam na pokładzie, opierając się plecami o nadburcie, i zabrałam się do zreperowania foka. Marjan dała mi niewielką skrzynkę skrawków materiału, żebym załatała nimi dziury i rozdarcia. Zastanawiałam się też nad najlepszym sposobem łowienia bez downriggera. W pewnym momencie podszedł Daniel, usiadł obok mnie. Odsunęłam się i dalej zszywałam.

- Widziałem, że złowiłaś dzisiaj kilka dorszy - powiedział.

Ściśle biorąc, dwa dorsze po czterech godzinach łowienia. Potrzebowaliśmy więcej, jeśli nie mieliśmy jeszcze bardziej zmniejszyć racji żywnościowych.

- Thomas z Wayne'em już prawie skończyli zbijanie nowej rei - oznajmił. - Wygląda całkiem nieźle.

Kiedy się nie odezwałam, mówił dalej:

- Jessa szyje nowy grotzagiel. Będzie mniejszy. Sporo mniejszy. Ale powinien wystarczyć.

- O ile później dopłyniemy do celu? - spytałam.

- Na tyle późno, żeby martwić się silniejszymi prądami, gdy rzucimy kotwicę.

Przygryzłam usta, nawlekłam na igłę kolejną nitkę, a potem umieściłam nad rozdarciem kawałek materiału i zaczęłam przyszywać brzegi.

- Niepokoisz się, że tamci nas ścigają? - zapytałam.

Powiew wiatru zbił żagiel w kłęb wokół moich kolan. Zakląłam. Daniel pomógł mi rozłożyć płótno równo na pokładzie. Zachowywał się przy mnie niepewnie i ostrożnie - chyba współczuł mi z powodu wybuchu Pearl. Albo może wyczuł moje zawstydzenie tym, że zdecydowałam, abyśmy przepłynęli przez obszar sztormu. Doznawałam tego wstydu wręcz fizycznie, jakby w gardle utkwilo mi coś, co muszę wykrztusić. Jednak nie znajdowałam odpowiednich słów, by wyrzucić z siebie ten wstyd. Wyobrażałam go sobie jako twardy kawałek plastiku, który połknęłam; osiadł mi w żołądku i nie pozbędę się go do końca życia. Tak jak podczas rozcinania mewy znajduje się czasami w jej wnętrznościach małe twardy drobiny plastiku.

- Trochę - odpowiedział. Rozprostował i wygładził fałdę żagla. - Pod koniec życia matka często śpiewała tę piosenkę: „Gdybym miała skrzydła jak gołębica Noego, pofrunęłabym przez rzekę do mego ukochanego” - zaśpiewał cichym, dźwięcznym

głosem. – To była jakaś stara pieśń. Przez długi czas sądziłem, że ma na myśli mojego ojca, tęsknotę za nim.

Umilkł. Pomyślałam, że to już koniec tej historii, lecz po chwili podjął opowieść:

– Ale potem spostrzegłem, że śpiewając, przygląda mi się uważnie. A pewnej nocy dotknęła mojej twarzy. – Wyciągnął rękę i kostkami palców musnął mój policzek. – W tamtym czasie traciła wzrok, więc to dotknięcie było jak spojrzenie na mnie. Powiedziała: „Jeszcze nie odchodź, jeszcze nie odchodź”. Odrzekłem, że nie zamierzam jej zostawić, lecz to jej nie uspokoiło. Dopiero po śmierci matki uświadomiłem sobie, że usiłowała mi powiedzieć, żebym się nie poddał, nie zrezygnował. Zorientowała się, że stałem się wewnętrznie zimny. Zimny i jałowy. Myślałem, że byłem przy niej do końca, jednak w pewnym sensie tak się stało.

Z oddali dobiegł krzyk mew. Ich głosy przyniosły mi ulgę, gdyż oznaczały, że na przestrzeni wielu kilometrów ocean jest spokojny i pusty. Zawiązałam nitkę na supeł, po czym odgryzłam koniec. Daniel obserwował mnie bacznie. Nie odrywałam wzroku od płótna, czekałam, by mówił dalej.

– Właśnie to w tobie lubię – rzekł tak cicho, że musiałam nachylić się ku niemu, by go usłyszeć. – Ty nigdy nie stajesz się zimna. Ani na chwilę.

Pojęłam, dlaczego obecność Daniela wprawia mnie w zakłopotanie. Jego miłe słowa były jak woda ofiarowana spragnionemu. Jeśli nie będę się kontrolować, wypiję je łapczywie i poproszę o więcej. Dotarłam aż tak daleko dzięki temu, że żyłam samotnie, oczekując od tego nowego świata mniej, niż kiedykolwiek sądziłam - zaledwie kilku rzeczy niezbędnych, aby przetrwać, niewiele poza tym. Byłam dumna z tego, jak wiele braków potrafię znieść. Jednak pozostała we mnie tęsknota za czymś więcej, niczym płonący stale ogień, miałam nadzieję, że nigdy nie zgaśnie.

Oboje pochyłaliśmy głowy nad żaglem. Daniel przyciskał go do pokładu, żeby nie łopotał na wietrze, a ja trzymałam w dłoniach igłę i płócienną łąkę. Dostrzegłam na skroni Daniela siwy kosmyk. Wydawał się za młody na siwiznę. Wiatr targnął moimi włosami, tak że okoliły mi twarz czarnym tumanem. Odgarnęłam je do tyłu. To, że siedziałam obok Daniela i widziałam siebie jego oczami, w osobliwy sposób przyspieszało bicie mojego serca.

- A więc Abran należał do załogi Czarnej Lilii. - Spojrzał na mnie, oczekując potwierdzenia.

Zacisnęłam usta i nieznacznie skinęłam głową.

- Mam na myśli tylko to - ciągnął - że jeśli płyną za nami, Jackson powiedział załodze, że ścigają Abrana oraz zamierzają przejąć Valley, aby zyskać bastion na

północy. Właśnie tak przedstawi to dowódca. Jednak jemu chodzi o mnie. Poprzysiągł, że mnie dopadnie, a on dotrzymuje słowa.

Mocno zacisnęłam powieki, a potem znów otworzyłam oczy. Nie chciałam rozważać możliwości, że jesteśmy ścigani.

- Opowiedz mi o nim - poprosiłam.

- Zawsze mnie chronił. - Daniel potrząsnął głową i popatrzył na mnie z wyrazem takiego bólu na twarzy, że serce mi się ścisnęło. - Pewnej zimy jeździliśmy na łyżwach po zamarznętej rzeczce. Lód pode mną się załamał. Jackson wskoczył do lodowatej wody i wyciągnął mnie, a potem rozpałił na brzegu ognisko, żebyśmy mogli się rozgrzać przed powrotem pieszo do domu odległego o trzy kilometry. Kazał mi siedzieć ze stopami i dłońmi tuż przy płomieniach, a sam wciąż znosił chrust i dorzucał do ognia. Stracił trzy palce u nóg, ja zaś wyszedłem z tego bez szwanku. W ogóle się nie wahał, nie zastanawiał, po prostu taki był.

Mocno zaciągnęłam nitkę, szwy marszczyły tkaninę tak, że wyglądała jak blizna.

- Stale ze sobą rywalizowaliśmy. Ja byłem ulubieńcem mamy. Ale to mu zbyt nie przeszkadzało. Aż do tamtej nocy, kiedy wrócił do domu po nas. Zaczął opowiadać o Czarnej Lilii, o tym, jak wiele robią dla odbudowania społeczeństwa.

Jednak mama już wcześniej słyszała pogłoski o tym, że Jackson podczas wojny namawiał do użycia broni biologicznej, co doprowadziło do uśmiercenia połowy mieszkańców Turcji. Oświadczyła, że już nie jest jej synem.

Mięsień na szczęce Daniela zadrgał. Daniel zamrugał szybko. Przełknęłam z wysiłkiem i spuściłam wzrok. Wyobraziłam sobie ich troje siedzących wokół kuchennego stołu, matkę wyrzekającą się syna.

- Wtedy Jackson rzekł do niej: „Wiesz, co zrobił Daniel, żeby zdobyć dla ciebie insulinę? Pobił ludzi i ich okradł. Wytropił ich, a potem bił, dopóki nie oddali zapasu insuliny. Ale przypuszczam, że to ci nie przeszkadza, ponieważ jest twoim ulubieńcem. Zapewne według ciebie nie jest zdolny do niczego złego”. Mama odpowiedziała mu tylko, żeby wynosił się z jej domu. Pamiętam wyraz twarzy Jacksona. Wrócił, żeby nas uratować, a teraz wyrzucano go jak psa. Na jego twarzy malowały się szok i niedowierzanie. Chyba nigdy nie zostałem zraniony tak mocno jak on w tamtej chwili.

Daniel podniósł ręce i potarł twarz, a żagiel zatrzepotał na wietrze jak złamane skrzydło. Przycisnęłam go znowu do pokładu.

- Tak więc zabrał łódź oraz insulinę, którą zdobyłem dla mamy, i odpłynął. Rozumiem go... ale

nie potrafię mu przebaczyć. Zwłaszcza po tym, co robi obecnie. Nie mogę stanąć po jego stronie.

- Tamtego dnia... w kościele - zaczęłam. - Byłeś już tak blisko tego, czego chciałeś.

Pozwoliłam, aby to niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

Pokręcił głową.

- Przypuszczam, że nie chodziło już tylko o mnie i niego - odparł.

Przypomniałam sobie, jak oszołomiona i przestraszona była Pearl wtedy w kościele. Zalała mnie fala wdzięczności dla Daniela. Wyciągnęłam rękę, ujęłam jego dłoń. To dotknięcie wzbudziło we mnie dziwny dreszcz. Puściłam dłoń Daniela, po czym wróciłam do ścibolenia krzywych ściegów.

Daniel popatrzył przez pokład na Thomasa, który niósł z Wayne'em nową reję w kierunku grotmasztu.

- Myra, ty wciąż uważasz, że masz przeciwko sobie cały świat. Myślisz, że w razie potrzeby możesz władować się prosto w sztorm. Znajdę sposób dowiezienia cię do Valley, ale musisz mi zaufać - powiedział.

Spojrzałam na niego gniewnie z dziecinnie nadąsaną miną, jaką przybieram, kiedy wiem, że się mylę, a ktoś inny ma rację.

Pokręcił głową.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko. A to, w jaki sposób

na mnie patrzysz, oznacza, że już o tym wiesz.

Wpatrywał mi się w oczy. Poczułam, że zaczynam ulegać, że pęknięcia w moich murach obronnych zmieniają się w szerokie szczeliny. Popatrzyłam na rękę Daniela nadal przyciskające płótno żaglowe, na stwardniałe brzegi dłoni, na długą bliznę wzdłuż palca wskazującego. Zapragnęłam znów ich dotknąć, ale powstrzymałam się, ponownie umieściłam łąkę na płótnie i zaczęłam ją przyszywać. Ukłułam się przy tym igłą w palec. Przycisnęłam go do ust, po prostu po to, żeby poczuć jakiś smak.

Codziennie przez ponad tydzień od świtu do zmroku pracowaliśmy nad naprawami, jednak nawet gdy już je ukończyliśmy, wydawało się, jakby coś nadal pozostało pęknięte. Zastanawiałam się, czy może powodem jest samotność. To był najdłuższy rejs, podczas którego nie widzieliśmy żadnego innego statku. Odkąd wypłynęliśmy z Broken Tree, minął już miesiąc.

Thomas pomógł mi wyszperać jakąś starą sklejkę i kilka metalowych prętów do wzmocnienia downriggera. Przybiłyśmy z Marjan do podstawy kawałek sklejkę i przymocowałyśmy drutem metalowe pręty wzdłuż trzonu.

- Należałoby po prostu wymienić trzon - mruknęłam, popychając downrigger, który przechylił

się pod tym naciskiem.

- Mogłybyśmy zarzucić sieć i przekonać się, jak duży ciężar wytrzyma to urządzenie - zaproponowała Marjan. - Zobaczyć, gdzie naprężenie jest największe, i jeszcze bardziej wzmocnić ten fragment.

Przymocowałam sieć do downriggera i wyrzuciłam ją za burtę. Siedziałyśmy obie na pokładzie, obserwując, jak urządzenie przechyla się w lewo. Marjan przyniosła kawałek drewna. Pchnięciem wyprostowałam downrigger, a ona przybiła drewno w odpowiednim miejscu.

Znowu usiadłyśmy na pokładzie. Downrigger naprężył się pod ciężarem sieci, ale wytrzymał. Milczałyśmy. Rozmyślałam o śnie, który miałam ubiegłej nocy. Ocknęłam się z niego przestraszona; obudziło mnie ciche chrapanie Pearl. Przyśniło mi się, że wszystko w oceanie wyginęło, jakby wpuszczono do niego truciznę. Albo może dlatego, że zrobił się zbyt gorący czy nazbyt zimny i nie było dokąd migrować, ponieważ wszędzie wokoło rozciągały się kilometry błękitnej wody, która stała się trująca, a żadne stworzenia nie zdołały zmutować na tyle szybko, by się do tego dostosować. Tak więc wszystkie ryby zdechły i opadły na dno. Całe setki piętrzyły się tam w stertach, jedno na drugich. Małe kopce masowych podwodnych grobów.

- A co, jeśli wszystkie ryby wyginęły? - zapytałam Marjan. - Jeśli woda uległa jakiejś przemianie, przestała nadawać się do życia? Ostatnio ledwie udaje mi się cokolwiek złowić.

Twarz Marjan pozostała gładka, spokojna, tylko na czole i przy kącikach ust pojawiły się drobne zmarszczki. Czarne oczy miały nieobecny wyraz, jakby przebywała gdzie indziej. Zapragnęłam nagle dowiedzieć się, co robiła przed powodziami i co zapamiętała. Dowiedzieć się nie tylko, czym zajmowała się w życiu, lecz także co uczyniła w nim takiego, co chciałaby cofnąć.

- Wówczas nie będziemy łowić - odrzekła po chwili milczenia.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, opierając dłonie o kolana.

Jej spokój wytrącił mnie z równowagi.

- Łatwo ci mówić - burknęłam. W tym samym momencie się skrzywiłam. - Przepraszam, ja...

- Chodzi ci o to, że ode mnie nie zależy niczyje życie? - zapytała zimnym tonem, lecz zaraz na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. - W pewnym sensie to rzeczywiście łatwiejsze. A jednocześnie trudniejsze.

Zamknęłam oczy i odchyliłam się do tyłu, opierając się rękami o pokład. Odetchnęłam głęboko, usiłując pozbyć się ciężaru przygniatającego mi pierś,

duszącego mnie.

- Przepraszam. Ja po prostu... czasami nie panuję nad sobą. Próbuję uratować Row, ale nie zdołam jej ochronić - powiedziałam. - Nie w tym świecie.

- Ani w żadnym innym - rzekła Marjan.

Popatrzyła na pokład, a potem w górę na Thomasa, który pośród olinowania przybijał mały metalowy bloczek do nowej rei. Gdy znów spojrzała na mnie, wydawała się drobniejsza i łagodniejsza. Zmrużyła oczy przed promieniami słońca.

- Matka mawiała, że cierpienie przynosi mądrość - powiedziała. - Ale jeżeli posiadam jakąkolwiek mądrość, pochodzi nie tyle ze złych rzeczy, które mi się przydarzyły, co raczej z cierpienia, które sama na siebie sprowadziłam.

- Co masz na myśli?

- Kiedy moja córka... utonęła, nie wyrwała mi jej z rąk gwałtowna fala powodziowa, jak ci powiedziałam. - Przez twarz Marjan przemknął smutny uśmiech. - Czasami wolę myśleć, że właśnie tak to się stało.

Jej niepewny, pełen wahania sposób mówienia przypomniiał mi matkę. Rytm słów przywodził na myśl nadpływające i cofające się morskie fale.

- Zanim zamknięto szkoły, byłam nauczycielką. Uczyłam matematyki i przedmiotów ścisłych. Słyszałam opowieści o tym, że nauczyciele skłonni są

traktować uczniów jak własne dzieci, a swoje dzieci jak uczniów. Uczą dzieci, poświęcają się dla uczniów. Myślałam: „Nie, ja tak nie postępuję”. Ale postępowałam, zwłaszcza wobec mojej jedynej córki. Zawsze wymagałam od niej więcej, wywierałam na nią większą presję. Podczas Sześćioletniej Powodzi wyemigrowaliśmy i zatrzymaliśmy się na krótki okres w Kansas czy Oklahomie. Zaprzyjaźniliśmy się z inną rodziną mającą dwóch chłopców. Rodzice zajmowali się rybołówstwem, a synowie pracowali, nurkując na płycznach w poszukiwaniu małży i innych drobnych stworzeń. Tamta rodzina dzieliła się z nami jedzeniem, a my dzieliliśmy się z nimi. Moi synowie nurkowali razem z ich synami, natomiast córka nie chciała. Mówiła, że boi się zanurzać pod wodę. Ale powiedziałam: „Musisz przezwyciężyć swoje lęki. Musisz nam pomagać. W dzisiejszych czasach tak właśnie trzeba”. I kazałam jej nurkować z pozostałymi.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Marjan oparła dłonie o pokład pomiędzy nami, szeroko rozstawiając palce ze starczo gruzłowatymi kłykciami. Utkwiła wzrok w deskach pokładu.

- Tydzień później zanurkowali do starego domu, szukając ryb, a ona w nim utknęła. Nie mogła znaleźć drogi wyjścia. Chłopcy myśleli, że już wypłynęła na powierzchnię. I właśnie w tamtej chwili... - Marjan

zmrużyła oczy. Odgadłam, że powraca myślą do tamtego miejsca i czasu, być może przypomina sobie, jak wyglądała woda, jak światło słońca odbijało się od jej powierzchni. – Właśnie w tamtej chwili zaczęło się we mnie zaprzeczenie, z którym nadal się zmagam. Ludzie mówią, że zaprzeczenie to tylko jeden z etapów procesu przeżywania traumy, ale tak nie jest. Ja wciąż nie potrafię pogodzić się z tym, co się stało. Pragnę wierzyć, że córka może być przy mnie, że wypadki mogły potoczyć się inaczej.

Zamknęłam oczy i poczułam, że po plecach ścieka mi strużka potu. Próbowałam przełknąć ślinę, ale miałam sucho w ustach. Nie, myślałam wciąż, to nie powinno być tak się wydarzyć, nie Marjan.

– Zanurkowałam po jej ciało, ponieważ to ja ją tam wysłałam. – Marjan mówiła teraz cicho. – Była w wodzie taka lekka. Jak piórko. Nawet nie jak mała dziewczynka. Jakbym ją tylko wyśniła.

Odwróciła głowę w bok i światło słońca zalśniło błękitem na czarnych włosach.

– Tak więc kiedy poświęciłaś nas wszystkich, żeby dotrzeć do Row, pomyślałam: „To potworne”. I rzeczywiście takie jest. Ale pomyślałam też: „Ona jest pochłonięta łamaniem siebie”. Świat może cię złamać, ale kiedy złamiesz sama siebie, wówczas czujesz, że naprawdę nie zdołasz się uleczyć.

– To nie była twoja wina – powiedziałam, kręcąc

głową.

Marjan przygryzła usta.

- Czasami ja też w to wierzę.

Słyszałam mewy nurkujące do oceanu, szaleńczy trzepot skrzydeł, gdy wyciągały z wody ryby. Lina sieci była tak napięta, że wibrowała przy nadburciu. Coś we mnie wzbierało, przyspieszało tętno, chciało wydostać się na zewnątrz. Nie potrafiłam spojrzeć na Marjan, więc pochyliłam się do przodu i popatrzyłam na dłonie.

- Kiedy Row się urodziła, miała drobne, wąskie ramiona. Ledwie zarysowane. Jakby jej szkielet jeszcze się nie uformował. Jakby nie była gotowa pojawić się na tym świecie - powiedziałam. Coś dławilo mnie w gardle. Potarłam kark. - Jak? - zapytałam schrypniętym głosem. - Jak potrafisz dalej żyć?

Marjan przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu. Znowu przygryzła wargę i zmrużyła oczy, tak że były tylko szparkami.

- Robi się to, co niemożliwe. Najbardziej niemożliwe ze wszystkiego. Wciąż na nowo.

Ja bym tak nie potrafiła, pomyślałam. Na jej miejscu nie mogłabym dalej żyć. Downrigger zatrzeszczał od obciążenia i wychylił się w kierunku nadburcia, jakby miał rzucić się ze statku do oceanu. Żadna z nas nie ruszyła się, żeby wyciągnąć sieć.

Zamrugałam gwałtownie, powstrzymując łzy. Chciałam ująć dłoń Marjan, lecz pozostałam nieruchoma. Na to wszystko nie było żadnych map. Tylko ludzie, którzy przebyli tę drogę przed nami i pozostawili dla nas oznaczenia szlaku.

Słowa Marjan przywiodły mi na myśl wers, który dziadek powtarzał wciąż w ostatnich dniach życia, zanim zasnął i już się nie obudził: „Z wody wyszliśmy i do wody powrócimy, nasze płuca łakną powietrza, ale bicie serc jest jak szum fal”. W tamtym czasie te słowa wydawały mi się smutne, złowróżbne, ale teraz odnalazłam w nich pociechę, zrozumiałam, że mówią o energii życia.

Marjan westchnęła.

- Myro, bardziej niż ryb w morzu czy suchego lądu potrzebujesz nadziei. Jej brak sprawia, że dusisz sama siebie.

Podniosłam na nią wzrok, a ona zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu. Zaskoczyła mnie rozpacz, jaką w nich ujrzałam. Marjan sprawiała na mnie wrażenie niezłomnej, nieugiętej nawet wobec najcięższych wyzwań, ale była w niej też mroczna powaga. Uświadomiłam sobie, że nadzieja zawsze zawiera w sobie pierwiastek rozpacz - rozpacz zrodzonej z tego, co w życiu widziałam i robiłam. Do końca będę dźwigać w sobie te obrazy i te czyny, a nadzieja będzie im

towarzyszyć, ani ich nie wzmacniając, ani nie unicestwiając.

Przypomniałam sobie, jak znalazłam ojca, kiedy się powiesił. Był taki zimny, twarz miał pokrytą plamami. Pomyślałam wtedy, że oczekiwanie od życia więcej, niż może ci dać, wydaje się słabością. Powinniśmy akceptować to, co życie przynosi, i brnąć przez nie dalej. Gdy zdjęliśmy ojca ze stryczka, na szyi pozostał odciśnięty ślad po sznurze, wyglądający jak linia najwyższego stanu powodzi. Jakby morze podniosło się aż pod podbródek, a jego samego znużyła walka z tym żywiołem i zrezygnował.

ROZDZIAŁ 46

Nie wiedziałam już, jakie reguły obowiązują na statku. Tak więc pewnej nocy pozostałam do późna w kabinie, sporządzając wabiki przy świetle świecy. Nowe drzwi ze sklejki były źle dopasowane i uderzały rytmicznie o futrynę przy każdym zakołysaniu się „Sedny” na fali.

Przywiązałam martwe owady do haczyków, a strzępki materiału i nitki splotłam razem, żeby wyglądały jak insekty czy robaki. Kończyły mi się nici, zastanawiałam się właśnie, gdzie mogę wyszperać więcej, gdy drzwi do kabiny otworzył Daniel.

- Nie mów Abranowi - szepnęłam.

Rzucił okiem na rozłożone przede mną haczyki i wzruszył ramionami.

- Nie zamierzałem.

Usiadł obok mnie. W blasku świecy, który wyostrzał jego rysy, sprawiał wrażenie starszego i bardziej zamkniętego w sobie. Zarost dochodził do wydatnych kości policzkowych, niemal skrywając wymizerowaną twarz. Milczenie i bezruch Daniela nadawały mu wygląd człowieka z jakiejś odległej epoki, do której

nie miałam wstępu.

- Jak daleko jesteście od Valley? - zapytałam.

- Około dziewięciuset kilometrów na południowy zachód.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Byliśmy już prawie na miejscu. Wcześniej sądziłam, że będę podekscytowana, ale poczułam tylko dziwny niepokój przenikający mnie aż do kości.

- Co się dzieje? - spytał, dotykając czubkami palców mojego ramienia.

Szybko potrząsnęłam głową, jakbym chciała się obudzić.

- Nic.

Odpadły skrzydła martwej musze, którą trzymałam w dwóch palcach, żeby nadziać ją na haczyk.

- Cholera - mruknęłam.

Wzięłam głęboki wdech. Przez całą wieczór rozmyślałam o Jacobie, zastanawiałam się, co czuł przez wszystkie te lata po odejściu ode mnie. Czy tego żałował? Czy dręczyły go wyrzuty sumienia? A może umarł wkrótce po porzuceniu mnie? Jeśli tak, to miał niewiele czasu, by w ogóle cokolwiek poczuć. Miałam ochotę porozmawiać o tym z Danielem, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Tęskne pragnienie, jakiego doświadczyłam, kiedy oboje naprawialiśmy żagiel, buchnęło teraz jeszcze jaśniejszym, gwałtownym płomieniem.

- To, co powiedziałaś... - zaczęłam i urwałam. Zaciśnęłam zęby, wbijając haczyk w martwą muchę. - O tym, że chcesz się zemścić. Ja... przez długi czas starałam się uwierzyć, że Jacob pragnie do mnie wrócić. Czekałam i czekałam. A kiedy nie wrócił, powiedziałam sobie, że widocznie coś mu przeszkodziło. - Uniosłam głowę i spojrzałam na Daniela oczami, do których napłynęły palące łzy. - Ale jemu nic nie przeszkodziło.

Ujrzałam w wyobraźni siebie na dnie oceanu, jak wysyłam z mrocznej głębi jedno po drugim znajdujące się tam wodne stworzenia obdarzone kłami, szponami, mackami. Te tak dobrze mi znane stwory wznosiły się ku powierzchni.

- Nie możesz tego wiedzieć - rzekł Daniel i nie odrywając wzroku od mojej twarzy, przysunął krzesło bliżej.

Jedynym pragnieniem, do jakiego potrafiłam się przyznać, było pragnienie uratowania Row. Czy w głębi duszy pragnęłam też znów spotkać Jacoba? Czy chciałam dostać szansę zniszczenia go, tak jak on zniszczył mnie?

- Gdyby się wtedy zjawił... - Urwałam i umilkłam.

- Wciąż jest ich ojcem - powiedział Daniel. Przyglądał mi się, jakby czytał w moich myślach. - Dla dzieci jest ważne, jak rodzice odnoszą się do siebie.

Zerknęłam na martwą muchę, którą trzymałam w drżącej dłoni.

- Oczywiście, trzeba myśleć o dzieciach - mruknęłam ironicznie.

- Wesprę cię, Myro - rzekł cichym, łagodnym głosem.

- Nie zawsze troszczysz się o wszystko - burknęłam.

- Wiem. Nigdy nie pozwalasz, żebym zaopiekował się tobą. Ani Pearl.

- Nie potrzebujemy niczyjej opieki.

- Owszem, potrzebujecie - powiedział.

Nadal spoglądał mi w oczy. Odwróciłam wzrok.

Poczułam się, jakby przygniatał mnie narastający ciężar. To, co wydarzy się w Valley, wydało mi się nieodwołalnie przesądzone, niczym fragment jakiejś starożytnej opowieści, którą już napisano. Odnosiłam dziwne wrażenie, że obserwuje mnie moje przyszłe ja i szepcze mi do ucha prośbę, żebym była czujna.

Obwiązałam martwą muchę kawałkiem szpagatu. Przesunęłam dłonią w dół karku, a kiedy ją cofnęłam, była wilgotna od potu. Czułam się wytrącona z równowagi. Chciałam, żeby Daniel wyszedł. Wpuszczając go, uległam błędnemu impulsowi, syciłam pragnienie, które należało zdusić.

- Doceniam to, jak bardzo mi pomogłeś - powiedziałam, odwracając się nieco od Daniela. -

Powinnam dokończyć pracę.

Odchrząknęłam i zerknęłam na muchę.

Krzeseło zaszurało po podłodze, gdy przysuwał je jeszcze bliżej. Ujął mnie za podbródek i zwrócił moją twarz ku swojej.

- Nie chodzi mi o pomaganie ci. Nie jestem twoim pomagierem - rzucił.

Spoglądaliśmy sobie w oczy i wtedy poczułam ciepło, które ogarnęło całe ciało, nawet podeszwy stóp. W sercu narastało bolesne pragnienie, a między pierściami wystąpił kroplisty pot. Przypomniałam sobie, jak tamtego pierwszego dnia w południe, pod słońcem stojącym wysoko na niebie, wciągnęłam Daniela na łódź. Jego nogi i ręce były niemal bezwładne, rzęsy trzepotały, gdy odzyskiwał przytomność, skóra lśniła od wody i słonecznego blasku. Nawet już wówczas pod powierzchnią strachu widok tego mężczyzny wzbudził we mnie jakąś spokojną pewność, której nie pojmowałam.

Daniel ujął w dłonie moją twarz, a potem powiódł jedną ręką w dół szyi. Potarł między palcami pasmo włosów, które zaszeleściły ledwie słyszalnie.

- Nie rozumiesz? Nie mogę cię stracić - wyszeptał.

Czułość w jego głosie sprawiła, że wydało mi się, jakbym osuwała się bezwładnie. Wtuliłam się w Daniela, a on mnie pocałował. Poczułam jego szorstkie, pożądliwe usta na moich, nasze języki

poruszały się gwałtownie, oddechy się mieszały.

Broda Daniela kłuła mnie w twarz. Ujęłam go za szyję, moje serce biło coraz szybciej, jego też.

Daniel wziął mnie na ręce, położył na stole. Wsunął palce pod moją koszulę i ściągnął ją. Dotyk jego dłoni rozpałił żar między nogami, wygięłam się w łuk ku niemu. Poczułam przy brzuchu jego twardą męskość. Chwyciłam go za włosy, które prześlizgiwały mi się przez palce, gdy przesuwiał ustami w dół szyi.

Czułam krawędź jego zębów, szorstkie włoski na jego ramionach, dymny i słony zapach ciała. Smakowałam językiem ciepłą skórę mocnej piersi. Miałam wrażenie, że braknie mi tchu. Jakbym się rozpływała, rozpuszczała.

Wsunął palce między moje uda. Przywarłam do niego biodrami, cała otworzyłam się dla niego. Kiedy wszedł we mnie, odchyliłam głowę do tyłu, zarzuciłam mu ręce na kark. Moja szyja była odsłonięta jak brzuch ryby. Kabina niemal zrobiła salto. Blask świecy wirował w ciemności. Daniel poruszał się we mnie, a w mojej głowie wciąż na przemian mąciło się i przejaśniało, aż wreszcie nie mogłam już wzlecieć wyżej, a Daniel znieruchomiał, zawieszony wysoko.

Kabina powróciła powoli na miejsce, jakby budziła się z głębokiego snu. Pod czubkami palców czułam szorstkość drewna. Chłód z dworu odnalazł drogę do

wnętrza. Wydawało się tak zimno. Noc była taka cicha.

ROZDZIAŁ 47

Po tygodniu żeglugi po spokojnych wodach przy zimnym, ale stałym wietrze natrafiliśmy na obszar mgły tak gęstej, że widoczność spadła poniżej metra. Horyzont i słońce zniknęły. Daniel chodził po kabinie, przeklinając.

- W każdej chwili możemy wpaść na góry lodowe. Według mapy mogą już występować w tym rejonie o tej porze roku - rzekł do mnie, gdy wstąpiłam do kabiny po nową wędkę.

Dotknęłam jego ramienia i odgarnęłam mu włosy z czoła.

- Nic się nam nie stanie - powiedziałam z nietypowym dla siebie optymizmem, a on położył dłoń na mojej.

Przebywanie w towarzystwie Abrana pozwalało mi oderwać się od siebie, natomiast przy Danielu miałam wrażenie, jakbym powracała do domu, zakorzeniała się w sobie. Abran okazał się dla mnie użyteczny, ale chodziło o coś więcej. Od pierwszej chwili zafascynowała mnie jego charyzma, pewność siebie, swoboda, z jaką poruszał się po statku, jakby się na nim urodził. Gdy dołączyłam do załogi

„Sedny”, po raz pierwszy znalazłam się na cudzym terytorium i poczułam się zaskakująco bezbronna. Potrzebowałam dotyku Abrana, by złagodził to poczucie bezbronności.

Przebywanie z Abranem przypominało jedną z tych dziecięcych zabaw, w której całą frajdą jest pogoń, a nie dopadnięcie ściganego. W której najbardziej lubisz moment, gdy twoje palce są o centymetry od jego pleców, a wtedy on ci się wymyka, potrafi wyrwać się poza twój zasięg. Przyjemność pragnienia, a nie spełnienia.

Lecz Daniel budził we mnie inne, głębsze pragnienie. Pragnienie posiadania, przyszłości, życia razem z nim. Być może potrafiłam sobie wyobrazić spędzenie życia z Danielem dlatego, że od czasu dziadka był pierwszą osobą, przy której czułam się bezpieczna. Być może jego miłość do Pearl wywołała we mnie wrażenie, że od początku byliśmy sobie przeznaczeni i że możemy pracować wspólnie, by stworzyć nową, lepszą przyszłość. Mój pociąg do Daniela narastał powoli, miarowo, wreszcie całkowicie mną owładnął – jak mech, który porasta drzewo, aż cały pień staje się zielony i pozostaje taki, póki nie runie na leśną ściółkę. Czułam Daniela nawet we krwi, jakby zamieszkał we mnie tylko dzięki temu, że na mnie patrzył. Po tamtej nocy w kabinie w nasze relacje nie wkradł się nawet cień

zakłopotania. Pozostało po niej natomiast głębsze wzajemne zrozumienie, jakbyśmy odbyli szczerą rozmowę po długim okresie milczenia.

Wróciłam na pokład i podjęłam łowienie. Wrzuciłam do baryłek z solą dorsze, halibuty oraz jakieś niewielkie szare rybki, których nigdy dotąd nie widziałam ani nawet nie słyszałam o nich. Obawialiśmy się, że mogą być trujące, więc Wayne zaofiarował się, że ich spróbuje.

- Jak degustator króla - zażartował, starając się poprawić nam nastrój.

Ale nikt się nie roześmiał, gdy przyglądaliśmy się, jak Wayne żuje i przełyka.

Po upływie doby nie wystąpiły u niego żadne objawy choroby, więc Marjan przyrzadziła te rybki z resztką ziemniaków. Wszyscy delektowaliśmy się pierwszym od kilku dni pełnym posiłkiem. Przed tygodniem przeszliśmy na racjonowanie jedzenia i nocami słyszałam, jak z głodu burczy nam w brzuchach.

Zazwyczaj podczas łowienia polegałam na zdolności odczytywania wody, jednak wciąż spowijała nas mgła. Tak więc łowiłam na ślepo, jak niewidoma. Zarzucałam żyłki za nadburcie, mocowałam sieć do downriggera i wciągałam ją częściej niż zwykle, bo nie chciałam zanadto obciążać urządzenia. Lina utrzymująca sieć zaczynała się strzępić, lecz została

nam tylko ta jedna. Nie mieliśmy już szpagatu, żeby ją naprawić, więc mogłam jedynie żywić nadzieję, że wytrzyma, póki nie dotrzemy do Valley.

Daniel kazał nam zrefować grotzagiel, żeby zmniejszyć prędkość statku.

- Nie mogę płynąć przez obszar gór lodowych, jeśli ich nie widzę - powtarzał wciąż.

Położyłam dłoń na jego ramieniu, poczułam, że mięśnie ma twarde i napięte jak sprężyny. Spędzał całe dni w kabinie, dokonując obliczeń odległości, albo stał na dziobie, wytężając wzrok, starając się przebić nim mgłę, by dostrzec położenie słońca na niebie.

Któregoś dnia przywołała mnie Marjan. Stała z lornetką w ręce przy nadburciu w pobliżu dziobu statku. Zostawiłam downrigger i podeszłam do niej.

- Spójrz. - Podała mi lornetkę, wskazując wprost przed siebie.

Popatrzyłam przez szkła, lecz nie dostrzegłam niczego oprócz mgły.

- Co takiego? - spytałam.

- Widziałam statek - oznajmiła.

Załamala dłonie, a potem znów pokazała prosto przed siebie.

Spojrzałam jeszcze raz, ale niczego nie zobaczyłam ani nie chciałam zobaczyć. Od jakiegoś czasu przestałam dręczyć się rozmyślaniami o bandzie

Czarnej Lilii. Od tak dawna byliśmy na oceanie sami, otoczeni zewsząd tylko bezmiarem wody i nieba, że ujrzenie w oddali innego statku wydawało się czymś nieprawdopodobnym. Jednak pod powierzchnią niedowierzania poczułam narastający lęk.

- Jesteś pewna? Może ci się tylko przywidziało? Ta mgła potrafi zwodzić, sugerować różne nieistniejące kształty - powiedziałam.

Pokręciła głową, przygryzła usta i ściągnęła brwi. Wyciągnęłam rękę, potarłam jej ramię. Miała ciemne worki pod oczami. Zamartwiała się kurczeniem się zapasów żywności. Stawała na głowie, by przyrządzić posiłki z ziaren zboża, które zaplątały się w szwy płóciennej torby. Wprawdzie wciąż mieliśmy w beczułkach kilkanaście centymetrów ziarna, a także kilka puszek jedzenia, jednak nie mogliśmy sobie pozwolić na zmarnowanie choćby okruszka. Nie wiedzieliśmy, jak długo jeszcze potrwa rejs do Valley ani ile czasu zajmie nam znalezienie żywności, gdy już się tam znajdziemy.

Powiedziałam Marjan, żeby się nie denerwowała. Kiedy odeszła przygotować kolację, wspięłam się po olinowaniu na reję, by porozmawiać z Danielem. Wpatrywał się w niebo i robił krótkie wpisy w notesie. Poinformowałam go, że Marjan twierdzi, iż dostrzegła jakiś statek.

Twarz Daniela stężała. Przestał pisać.

- Myślisz, że to tamci? - spytałam.

Wiatr zwiewał mi włosy na twarz i wciąż je odgarniałam.

Gdy Daniel nic nie odpowiedział, dorzuciłam szybko:

- To może być ktokolwiek.

- Moglibyśmy popłynąć dalej na północ - rzekł. - Rzucić kotwicę i przycumować z tamtej strony.

- Według mapy najlepiej zakotwiczyć od południa - powiedziałam. - Na północnym brzegu jest strome urwisko, a od wschodu i zachodu wiedzie dłuższa droga do Valley.

Z mapy Beatrice wynikało, że Valley jest dostępne tylko od południowej strony wyspy. Ze wschodu i z zachodu trzeba by odbyć długą pieszą wędrówkę przez góry, a północna linia brzegowa była zdradliwym labiryntem skał i lodu. Wprawdzie na południowym wybrzeżu wznosiło się kilka stromych klifów, ale na południowym wschodzie znajdowała się wąska zatoczka, w której moglibyśmy zakotwiczyć statek i popłynąć kanu do brzegu. Ta część linii brzegowej była bardziej wypłaszczona, a od Valley dzieliło ją tylko kilka kilometrów.

- Próbuję po prostu znaleźć alternatywne rozwiązanie - burknął Daniel. Potarł twarz; nos miał czerwony z zimna. - Nie mów jeszcze nikomu o tym statku. Mgła niebawem się rozwieje i opracujemy

plan działania. – Zmrużył oczy, spoglądając w niebo. –
A przynajmniej mam taką nadzieję.

Zeszłam po olinowaniu na pokład i wróciłam do downriggera, żeby wyciągnąć sieć. Zaczęłam kręcić korbą urządzenia, wkładając ciężar całego ciała w każdy obrót. Obtarta dłoń bolała mnie od ściskania drewnianej rękojeści, palce przemarzały do kości. Naprężona lina szorowała z jękiem o nadburcie, a gdy sieć wynurzyła się z wody, mocniej uchwyciłam rękojeść, zmagając się z dodatkowym ciężarem.

Zacisnąwszy zęby, rzuciłam okiem na linę. W jej najslabszym miejscu włókna się rozszczepiały i przecierały. Po chwili pękła z ostrym trzaskiem, a sieć z pluskiem wpadła z powrotem do wody.

Eksplodowała we mnie panika, rzuciłam się, żeby chwycić linę, ale zniknęła za burtą.

Wyrzałam poza nadburcie. Ciemna falująca woda była zbyt zmacona, abym mogła zobaczyć w niej choćby własne odbicie. Osunęłam się na kolana, walnęłam pięściami w pokład i zakląłam.

– Mamo?

Odwróciłam się i zobaczyłam Pearl. Podeszła bliżej, pogłaskała mnie po włosach, a potem ściągnęła je w pęk na karku. Jej paluszki były takie zimne, że ujęłam je w dłonie i chuchałam na nie.

– Tak, do cholery, uszczelniłam szparę w kadłubie!

- warknęła Jessa do Wayne'a.

- Dziś rano podłoga w kwaterze była mokra - powiedział.

Jego podkreśnione do góry wąsy sterczały po obu stronach ust i wciąż usiłował przygłodzić je palcami.

- Przestań mnie nękać. Radzę sobie z tym przeciekiem - rzuciła Jessa zrzędlwym tonem.

Daniel stał przy oknie kabiny, skulony, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ubiegłej nocy nie zmrużył oka, ciągle rzucał się i przewracał w koi, wyrywając mnie z lekkiej drzemki. Przed świtem był już na pokładzie, z lornetką przy oczach omiatał wzrokiem horyzont. Lecz mgła dopiero teraz zaczynała się rozwiewać. Reszta załogi sądziła, że Daniel wypatruje gór lodowych.

Ustawiliśmy z Marjan w sterty naczynia po śniadaniu, potem jeszcze raz omówiliśmy plan zmniejszenia racji żywnościowych. W sytuacji, gdy straciliśmy sieć do trałowania i niemal skończył się nam suchy prowiant, mogliśmy liczyć tylko na połowy wędkami.

- Mamo! Mamo! - zawołała Pearl.

Wbiegła do kabiny, złapała mnie za rękę i wyciągnęła na dwór.

Wypadliśmy na zimne powietrze, zobaczyłam góry Grenlandii. A gdzieś za nimi znajdowało się Valley.

Góry wynurzały się z oceanu, olśniewająco zielone,

a ich odbicie w wodzie było czyste i wyraźne, jakby wyrzeźbione. Zdawało się, że wystarczyłoby sięgnąć ręką, by ich dotknąć. Wiatr świszczący wokół „Sedny” spowijał nas, niemal unosił, dając upajające wrażenie lotu.

Pearl uczepiła się mojej dłoni, uśmiechając się promiennie. Uklękłam i objęłam ją.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - szepnęła mi we włosy.

Powiedziała to z podekscytowaniem, ale mnie ogarnęło nagle złe przeczucie. Spodziewałam się, że doznam tylko ulgi, jednak czułam też lęk - lęk przed tym, co zastanę pośród tych górskich szczytów.

Pozostali wyszli za nami z kabiny. Rozbrzmiały westchnienia, oklaski, wiwaty, okrzyki radości. Wayne klepnął Thomasa w plecy. Marjan odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i splotła dłonie. Abran ujął się pod boki, potrząsnął głową, zaśmiał się z ulgą, po czym uściskał Jessę.

Nawet Daniel nie zdołał powstrzymać śmiechu. Odwrócił się, porwał mnie w ramiona i podniósł. Na jego ustach zakwitł szeroki uśmiech, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziałam. Wtuliłam twarz w pierś Daniela, wdychając jego zapach. Radość całej załogi była zaraźliwa, odepchnęłam od siebie obawy. W moim sercu wezbrała nadzieja i znów ujrzałam oczami wyobraźni domek nad morzem. Jednak tym

razem obok mnie, Pearl i Row widziałam w tym domku Daniela. Buty stojące przy kominku, świece na stole. Suszone polne kwiaty w popękany wazoniku.

Oderwaliśmy się od siebie. Daniel poszedł do kabiny po lornetkę, żebyśmy mogli dokładniej przyjrzeć się wybrzeżu i wypatrzeć zatoczkę.

Głębiej naciągnęłam na głowę futrzany kaptur. Od czasu zim w Nebrasce nie widziałam, żeby oddech ulatniał się parą. Ogarnęła mnie nostalgia. Powietrze smakowało jak szklanka zimnej wody. Jak obietnica, że wszystko będzie dobrze.

Mgła wokół nas się podniosła, wciągnęła swoje pasma i odsłoniła przed nami góry lodowe otaczające wyspę. Jaskrawa zieleń lądu już wcześniej przebiła się przez opar, ale teraz wyraźniej widzieliśmy pofałdowania terenu, przełęcz i skalistą linię brzegową.

- Czy będziesz w stanie opłynąć te góry lodowe? - zapytałam Daniela, gdy wrócił z kabiny.

Przyjrząwszy się wodzie wokół nas, skinął głową. Znów miał opanowany wyraz twarzy i wydawał się przygaszony.

- Nasz statek jest na tyle mały, że powinno się nam udać. Musimy tylko płynąć wolno. Polecę Wayne'owi, żeby znów zrefował grotzagiel - powiedział. - Jutro możemy dotrzeć do wyspy.

Prześliznęliśmy się obok góry lodowej. Była

olśniewająco biała, wyglądała tak niewinnie. Jej widok nasunął mi skojarzenie z gładką kobiecą twarzą, z której starto rysy.

Odwróciłam się od północy i popatrzyłam na południe, żeby przyjrzeć się obszarowi, przez który przepłynęliśmy na oślep. Zobaczyłam tylko wodę – żadnych gór lodowych ani sterczących skalnych wierzchołków. Mieliśmy szczęście. Na południu w oddali wciąż wisiały resztki mgły, przesłaniając horyzont. Popatrzyłam w czyste szare niebo i ujrzałam ptaka.

Nie mógł być mewą, miał bladoszare upierzenie, zbyt małą głowę, za krótkie nogi. Był to jakiś ptak lądowy. Zmrużyłam oczy i wyteżyłam wzrok. Zdawał się z wysiłkiem lecieć pod wiatr. Nie potrafił szybować na wietrze na podobieństwo mew. Nawet gdybyśmy nie dostrzegli Valley, on stałby się dla nas oznaką. Byliśmy blisko lądu. Blisko Row.

Gołąb. Jak gołębnica Noego, pomyślałam. W piersi wezbrało ciepłe uczucie i uśmiechnęłam się do siebie. Poczułam nadzieję, o jakiej mówiła Marjan. Jakiej potrzebowałam.

Od południowego zachodu nadleciało stado mew. Wyłoniły się nagle z mgły niczym duchy. Krzyczały tak dziko, chaotycznie, jedno przez drugie, że sprawiały wrażenie przestraszonych i nawołujących się nawzajem. Jakby przed czymś uciekały.

Stado mew minęło gołębia, ich cień padł na „Sednę”, gdy przelatywały nad nami. Znów popatrzyłam na gołębia, który zdawał się lecieć prosto przed siebie, zmierzać do określonego celu. Jakby wykonywał jakieś zadanie.

Zamrugałam. To był gołąb pocztowy. Widziałam takiego samego, gdy wypuszczono go w Ruenlock.

Mgła jeszcze bardziej się cofnęła i w miejscu, gdzie niebo stykało się z morzem, zobaczyłam linię horyzontu, ciemnoszarą wąską smugę przypominającą ostrze. A na południu, dokładnie za gołębiem pocztowym, na horyzoncie widniał ciemny statek.

ROZDZIAŁ 48

Daniel podał mi lornetkę. Tamten statek był dwa razy większy od naszego, wyglądał jak dawny żaglowy okręt wojenny, tylko zbudowany z plastiku, opon i metalowych blach, a nie z gładkiego drewna. Na dziobie miał gruby metalowy taran błyszczący w promieniach słońca. Czarna flaga z lilią pośrodku powiewała na wietrze, a na kadłubie widniała nazwa „Czarna Lilia”. Brat Daniela nie był po prostu jednym z wysokich rangą dowódców w bandzie Czarnej Lilii, lecz kapitanem jej okrętu flagowego.

Statek z każdą chwilą rósł w oczach, płynął na nas z pełną prędkością, z żaglami wydętymi przez wiatr. Usłyszałam za sobą urywane westchnienia, a potem zapadła cisza. Narastające we mnie przerażenie odebrało mi oddech. Czy powinniśmy podpłynąć do wyspy od północnej strony? Tamtejszy brzeg był bardziej zdradliwy, jednak ucieczka wydawała się jedyną szansą. Nasz statek jako mniejszy mógł manewrować między górami lodowymi sprawniej niż tamten.

- Są na horyzoncie, czyli w odległości mniej więcej osiemnastu kilometrów - ocenił Daniel.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że załoga spogląda na mnie. Abran pobladł tak, że był niemal równie biały jak lód wokół nas. Podszedł do nadburcia, wsparł na nim dłonie i cały się skulił.

Przestraszeni członkowie załogi zaczęli mówić jedni przez drugich, snując rozmaite domysły.

- Czy od początku płynęli za nami? Przecież już zemścili się za Ruenlock.

Zerknęłam na Daniela, ale żadne z nas dwojga nie napomknęło ani słowem o powiązaniach jego czy Abrana z bandą Czarnej Lilii. Przypomniałam sobie, że załoga tamtego statku tropi Abrana i zamierza przejąć kolonię Valley, natomiast Jackson ściga brata, czyli Daniela.

- Może planują przejęcie kolonii Upadłych Opatów w Valley. Słyszałam, że próbują opanować ziemie na północy - powiedziała Marjan.

- A przejmowanie już istniejących kolonii jest łatwiejsze niż podbijanie nowych osad - dorzucił Thomas.

- Co oznacza, że nie wpadlibyśmy w te tarapaty, gdybyśmy od początku wiedzieli, że Valley jest kolonią - warknął do mnie Wayne.

- Nasz statek jest mniejszy od tamtego - powiedziałam, ignorując Wayne'a. - Prześliznijmy się między górami lodowymi, podpłynmy do wyspy od północy i zejźmy na ląd. Ukryjmy się w Valley.

- Od północy pole dryfującego lodu jest groźniejsze
- rzekł. - Co będzie, jeśli w nim uwięźniemy?

Skrycie liczyłam na to, że statek Czarnej Lilli utknie w tutejszym dryfującym lodzie, a my zdołamy wylądować po południowej stronie gór, gdzie jakaś niewielka zatoka osłoni nas przed skałami i falami. Istniała jednak możliwość, że tamci pokonają ten obszar dryfującego lodu, więc Wayne miał rację - popłynięcie w kierunku północnym nie było bezpiecznym planem.

Odwróciłam się znów w stronę tamtego statku. Był dwukadłubowcem z co najmniej sześcioma żaglami, a przez lornetkę dostrzegłam furty armatnie poniżej głównego pokładu. Wyglądało, że może pomieścić co najmniej trzydziestoosobową załogę, nie licząc niewolników pod pokładami.

- Nie powinniśmy byli... - wymamrotał Abran.

Miał na myśli obrabowanie kryjówki w grocie. Zabójstwo w barze w Broken Tree. Śmierć Behira.

Mnie też zalała fala żalu, lecz usiłowałam ją powstrzymać. Mąciło mi się w głowie. Zacisnęłam i rozwarłam pięści, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

- Spróbujmy przepłynąć przez ten lód - powiedziałam do Daniela.

Przytaknął i pobiegł do rumpla. Spojrzałam na Jessę, Thomasa i Wayne'a.

- Zbrojownia - rzuciłam.

Skinęli głowami i pognali do luku. Zeskoczyli pod pokład, kłapa zatrzasnęła się za nimi z hukiem. Mieliśmy wykonane ręcznie bomby, a także karabiny, noże, łuki, strzały. Broń użyteczną przede wszystkim w bezpośrednim starciu. Żadnych armat, jakimi tamci mogli z dystansu roztrzaskać nasz statek na kawałki. Mogli też staranować go i zatopić.

- Zabezpiecz zapas wody - poleciłam Marjan.

Poszła do kabiny, żeby przelać wodę pitną ze zbiornika do szczelnych plastikowych butelek.

Pearl tak mocno ścisnęła mi dłoń, że zaczynałam tracić w niej czucie. Ukucnęłam przed nią.

- Nie - powiedziała.

- Pearl...

- Nie!! - wykrzyknęła mi w twarz. - Nie chcę zostać sama tam na dole!

Ze zdenerwowania poczułam mdłości i bałam się, że zwymiotuję. Pearl patrzyła na mnie wyzywająco. Przez moment jej twarz wydała mi się nieruchomą niczym fotografia, jakbym wiedziała, że wkrótce wszystko to stanie się tylko wspomnieniem, a ja bronie się przed tą świadomością. Dostrzegałam każdy szczegół jej twarzy z wyrazistością, która szokowała mnie i przerażała. Nie chciałam stracić Pearl z oczu.

Musisz zacząć działać, powiedziałam sobie, usiłując

odepchnąć te myśli. Musisz zapakować dla niej niezbędne rzeczy na wypadek, gdybyśmy się rozdzieliły. Zaprowadziłam Pearl do kabiny i chwyciłam pusty plecak. Poszperałam na półkach, włożyłam do plecaka krzesiwo, niewielki zwój liny, wełniany koc, scyzoryk i kilka butelek wody, które Marjan napełniła ze zbiornika. Przetrzęsnęłam szafki kuchenne w poszukiwaniu jedzenia. Znalazłam małą puszkę gulaszu i opakowanie zeschniętych krakersów.

Potem pociągnęłam Pearl w kierunku luku. Drapała mnie paznokciami w nadgarstki, oderwała moje ręce od swoich ramion.

- To nie potrwa długo - skłamałam. - Poza tym, co jakiś czas będę schodzić pod pokład i sprawdzać, co u ciebie.

- A co, jeśli zacznie się tam wlewać woda?

Wyobraziłam sobie, jak pocisk armatni rozłupuje kadłub „Sedny”, woda z rykiem wdziera się do wnętrza z bezlitosnym impetem zdolnym wygiąć metal. A pośród tego wszystkiego drobna, przerażona dziewczynka.

Serce mi zamarło. Zacisnęłam zęby i postarałam się opanować. Próbowalam odciąć się od lęku, jak ostryga odcina się od morza, zamykając się w muszli.

- Nie zacznie - odparłam. - A nawet jeżeli dojdzie do przecieku, przyjdę cię stamtąd zabrać - zapewniłam, schodząc z Pearl po drabinie.

- Woda tutaj jest zimna - powiedziała.

To sprawiło, że znieruchomiałam. Dotychczas byłam pochłonięta rozmyślaniami o kulach armatnich, pociskach karabinowych i ogniu, obliczaniem odległości, z jakiej możemy zostać zaatakowani. Ale jeśli „Sedna” zatonie, wszyscy od razu zginiemy. W lodowatej wodzie nie będziemy mogli uczepić się kawałków drewna i dopłynąć do sterczących nad powierzchnią oceanu skalnych wierzchołków. Krew natychmiast skrzepnie nam w żyłach.

Pod pokładem śmierdziało pleśnią i stęchlizną. Od czasu tamtego przecieku podczas sztormu panowała tu zatęchła wilgoć. Poprowadziłam Pearl krótkim korytarzem do magazynu żywności i ulokowałam między kilkoma prawie pustymi beczułkami z ziarnem.

Nad nami zadudniły kroki. Musiałam wrócić na górę, by pomóc pozostałym. Pearl chwyciła mnie za ramię.

- Zostań ze mną - szepnęła.

- Kochanie, zostałabym, gdybym mogła - powiedziałam.

Pocałowałam ją w czoło i odgarnęłam jej włosy z twarzy.

- Woda jest za zimna, żeby w niej pływać - wyjąkała drżącymi ustami.

- Wiem. Ale nie znajdziesz się w wodzie.

„Sedna” zadygotała. Przez straszną chwilę myślałam, że szorujemy o górę lodową. Ale statek płynął dalej gładko i swobodnie. To była tylko gwałtowna fala.

Spróbowałam uspokoić oddech.

- Wrócę po ciebie - przyrzekłam.

Pearl drżała, ale wcisnęła się plecami głębiej między beczułki. Na jej twarzy malowała się ufność.

- Dobrze - powiedziała.

Gdy wróciłam na pokład, Thomas i Abran przy grotmaszcie trzymowali żagle.

- Co oni robią?! - wrzasnęłam do Daniela stojącego na rufie przy rumplu.

- Muszą strzymować żagle, bo płyniemy za szybko. Przy tej prędkości nie mogę przeprowadzić statku przez dryfujący lód! - odkrzyknął.

- Jeżeli zwolnimy, tamci znajdą się na tyle blisko, by oddać salwę z armat - powiedziałam.

Przeczesałam dłonią włosy i zakląłam.

Przed nami pływała góra lodowa, więc Daniel skierował statek w prawo. Jessa z Wayne'em w kabinie ładowali karabiny i sprawdzali bomby. Marjan wkładała do plecaków butelki z wodą. Przewiesiłam karabin przez plecy, wetknęłam dodatkowy nóż do pochwy przy pasie i wyszłam z kabiny.

Statek „Czarna Lilia” był zaledwie półtora kilometra od nas, po prawej burcie. Płynął prosto na nas. Miał czarne żagle, przez co wyglądał jak czarne drapieżne zwierzę atakujące ofiarę. Po pokładzie poruszało się kilkoro mężczyzn i kobiet uzbrojonych w broń palną. Brat Daniela z włosami zwiewanymi do tyłu przez wiatr stał na dziobie nieruchomy jak posąg.

Dwie kobiety dźwigały drewnianą drabinę hakową, mającą posłużyć do dostania się na nasz pokład. Podobnych drabin używa się do wspinania się na mury obleganych twierdz, tyle że naszymi murami były nadburcia. Piraci zamierzali szczepić hakami obydwa statki i dokonać abordażu.

Oddychałam szybko i płytko, spocily mi się dłonie. Gołąb, który leciał niemal z prędkością „Czarnej Lilii”, znalazł się już prawie nad nami, tak jasny, że ledwie widoczny na tle nieba. Znów popatrzyłam poza niego na statek napastników. Z prowizorycznego komina jego nadbudówki unosiły się kłęby dymu.

- Marjan! - zawołałam.

Nie martwiłam się ewentualnymi pożarami na pokładzie, które da się łatwo ugasić. Niepokoiła mnie możliwość podpalenia naszych żagli, gdyż wówczas ogień podsycany przez wiatr spłynąłby powoli po maszcie ku nam, niczym płomień wypalającej się

świecy.

Marjan wyłoniła się z kabiny. Wskazałam na dym. Pobiegłyśmy obie po wiadra przymocowane do rufy. Zrzuciłyśmy je za burtę, a potem napełnione wciągnęłyśmy na linie przywiązanej do ich rączek. Następnie wlałyśmy tę słoną wodę do już opróżnionego zbiornika. Woda pieniała się w nim i wirowała.

Gdy wlałam czwarte wiadro, Abran złapał mnie za ramię.

- Myra, jeśli nie...

Pokręciłam głową, próbowałam się wyrwać, ale jeszcze mocniej zacisnął dłoń.

- Proszę tylko, żebyś postarała się wypełnić przyrzeczenie, które złożyłem bratu. Jeżeli ty przeżyjesz, a ja nie - powiedział.

Miał ziemistą cerę, przekrwione oczy, a skórę pod nimi tak pomarszczoną i opuchniętą, że wyglądał, jakby nie spał od kilku tygodni. Przyłożyłam dłoń do jego policzka.

- Chcemy tego samego - odrzekłam.

Domu i przyszłości, którą naprawdę chcielibyśmy przeżyć. Nie pojmowałam, jak mogłam dotychczas nie zdawać sobie z tego sprawy. Dopnę celu nie wtedy, gdy uratuję Row, lecz dopiero gdy zapewnię nam wszystkim szczęśliwe życie.

Abran skinął głową. Ujął moją twarz w dłonie

i pocałował mnie w czoło.

Za jego plecami dostrzegłam kanu przymocowane do bocznej ściany naszej nadbudówki. Mogło pomieścić tylko cztery osoby, dlatego kiedy chcieliśmy dostać się na brzeg, pływaliśmy w nim na zmianę. Teraz nie zdołamy uciec tą łódką. Nawet gdybyśmy zmieścili się w niej wszyscy, banda Czarnej Lilii podąży za nami.

Drgnęłam na dźwięk pojedynczego wystrzału. Metr ode mnie na pokład spadł gołąb, jego krew zbryzgała drewniane deski i wsiąkała w nie. Do nóżki miał przywiązaną kartkę papieru zwiniętą w rolkę. Przykucnęłam przy nim i odczepiłam papier.

Załoga skupiła się wokół mnie. Serce we mnie zamarło, gdy zobaczyłam tekst notki.

- „Macie jednego z naszych. Wydajcie go nam” - odczytałam na głos.

Żądanie dotyczy Abrana, pomyślałam, ale Jackson nie spocznie, póki nie dopadnie również Daniela.

- Pójdę - powiedział Daniel.

Ruszył do kanu i zaczął odwiązywać linę.

- Daniel, zaczekaj! Nie chodzi o ciebie! - zawołałam.

Poczułam okropny narastający ucisk w piersi i krew zlodowaciała mi w żyłach.

Row jest tak blisko. Mogłam już dostrzec Valley. Szukałam jej tyle czasu, a teraz miałam ją niemal

w zasięgu ręki. Dotarłam już zbyt daleko, by utonąć wskutek armatniej salwy. Pearl była pod pokładem. Wyszło mi w ustach i na próżno usiłowałam przełknąć ślinę. Wyobraziłam sobie, że odsyłam do nich Abrana, że płynie w kanu przez lodowatą wodę ku śmierci.

Ta wizja zmąciła mi myśli, które kłębiły się chaotycznie i plątały. Wiedziałam jednak, że istnieje granica, której nie wolno przekroczyć, a Jacob mimowolnie nauczył mnie, gdzie ona przebiega. Pamiętałam, jak chciał, żebym porzuciła matkę i dziadka i odpłynęła z nim wcześniej, zanim powódź dotrze do Nebraski.

Teraz zareagowałam tak samo jak wtedy – skurcz w żołądku, duszący ciężar przygniatający pierś. Po śmierci matki i dziadka byłam pewna, że już nigdy nie doświadczę tego wobec nikogo. Ale teraz odezwała się we mnie ta sama irracjonalna lojalność. To samo współczucie dla bezbronnej osoby. Ta sama determinacja, by stanąć w jej obronie. Nie wydamy im jednego z naszych. Zamierzałam uratować Row – to się nie zmieni. Jeśli żeby do niej dotrzeć, będę musiała przetrwać atak bandy Czarnej Lilii, zrobię to.

Członkowie załogi popatrywali jedni na drugich, a ja pilnowałam się, żeby nie spojrzeć na Abrana.

- Więc na naszym statku jest pirat? - zapytał Wayne z błyskiem podejrzliwości w oczach.

- Jest ktoś, kto był piratem - skorygowałam go. - Nikogo im nie wydamy. Zresztą nie mamy żadnej gwarancji, że jeżeli spełnimy ich żądanie, zrezygnują z zamiaru zaatakowania nas.

Daniel powrócił do odwiązywania kanu.

- Nie mamy szansy powodzenia, jeśli będą nas ścigać. Oddam się w ich ręce. To się zaczęło ode mnie, więc niech wraz ze mną się skończy.

Załoga wymieniła zdeorientowane spojrzenia.

- O czym on mówi? - warknął Wayne.

- Nie w tym rzecz - rzuciłam do Daniela.

- Decyzja nie należy tylko do ciebie - rzekł do mnie Wayne. - Abran, co twoim zdaniem...

Abran zerwał z szyi chustkę, odsłaniając blizny.

- Należałem do bandy Czarnej Lilii - powiedział, wskazując na nie.

Wszyscy odwrócili się ku niemu, zszokowani. Stoicki spokój Abrana zaczął się załamywać. Twarz wykrzywił mu grymas strachu i cierpienia.

- Przez cały ten czas... - zaczął Wayne z groźną nutą w głosie.

Jessa skrzyżowała ramiona na piersi, cofnęła się o krok i zmierzyła Abrana ostrym spojrzeniem. Marjan nie okazała żadnego zaskoczenia, ale Thomas przeciągnął dłoń po twarzy. Wszyscy milczeli z zimną rezerwą.

Nie możemy wycofywać się jedni przed drugimi

i zamykać w sobie, pomyślałam. Przez całe życie wycofywałam się przed ludźmi. Musimy trzymać się razem.

- Zignorujmy to żądanie, działajmy dalej. Ich statek jest zbyt duży, by mógł przepłynąć przez to pole dryfującego lodu - powiedziałam z przekonaniem, którego wcale nie czułam.

Na twarzy Abrana pojawił się wyraz smutku i rezygnacji. Mężczyzna pokręcił głową.

- Myro, nigdy nie zdołamy przed nimi uciec - rzekł cicho.

- Jeśli on do nich pójdzie, może pozwolą nam odpłynąć - powiedziała Jessa wysokim, przestraszonym głosem.

Abran skinął głową i ruszył z naszego kręgu w kierunku kanu. Nie chciałam ujrzeć go powieszzonego na dziobie statku Czarnej Lilii. Wszystko inne przestało się liczyć.

- Nie! - ryknęłam i pchnęłam Abrana tak mocno, że upadł na pokład.

Z uniesionymi pięściami odwróciłam się szybko w stronę załogi, a oni cofnęli się, szurając nogami. Po ich przerażonych, zszokowanych twarzach zorientowałam się, jak mnie postrzegają. Patrzyli na mnie tak, jak patrzy się na psa, który szczyrzy zęby i jeży sierść. Musiałam wyglądać na opętaną.

- Nie wydamy jednego z naszych - rzekłam cicho.

Członkowie załogi wymienili spojrzenia. Marjan kiwnęła głową.

- Przyniosę flagę - oświadczyła.

Weszła do kabiny i po chwili wróciła z pomarańczową flagą oznaczającą odmowę spełnienia żądania. Teraz nie byliśmy już tylko załogą „Sedny”. Byliśmy grupą podejmującą walkę. Flaga miała pomarańczowy odcień nieba przed zmrokiem.

Gdy wciągnęliśmy ją na maszt, przez kilka sekund panowała cisza, a potem dobiegł nas odgłos przypominający gwałtowny wdech. Powietrze wypełniło dziwne napięcie, jakby pomiędzy nami a tamtymi rozciągnięto wibrującą szybko linę. Wtedy rozległ się ten dźwięk.

ROZDZIAŁ 49

Eksplozja zadzwoniła mi w uszach, padłam na pokład. Pękało drewno, woda wlewała się do statku, który zakołysał się gwałtownie. Obok mnie leżała Marjan, osłaniając rękami głowę. Thomas wyjrzał za nadburcie i krzyknął do Daniela, żeby pobiegł do steru. „Sedna” mknęła prosto na górę lodową.

Widoczność przesłonił dym o intensywnym metalicznym zapachu prochu. Zataczając się, ruszyłam przed siebie, żeby schować się za nadburciem. Przy moich nogach wbiła się w pokład płonąca strzała. Wyrwałam ją i zdeptałam ogień.

Wayne i Jessa strzelali z karabinów ponad prawą burtą. Przykucnęłam obok nich i też wystrzeliłam. Kołysanie statku niemal uniemożliwiało wycelowanie, a poza tym nigdy nie byłam dobrą strzelczynią. Zawsze lepiej radziłam sobie w walce wręcz, gdy jedną ręką trzymałam przeciwnika, a w drugiej ścisnęłam nóż. Pociski karabinowe rozłupywały nadburcie. Wyjrzałam nad jego krawędzią i zobaczyłam, że kula armatnia zawadziła o dziób „Sedny”, miażdżąc jego przód. Wokół nas na wodzie unosiły się gęsto odłamki drewna, a w górnej części

dziobu ziała dziura okolona strzaskanymi deskami.

Po drugiej stronie pokładu Abran i Marjan wlewali wiadra wody do kabiny, w której wybuchł niewielki ogień. „Czarna Lilia” zwolniła, manewrując między dwiema górami lodowymi, ale była w odległości zaledwie pół kilometra.

Nasze pociski karabinowe nie mogły wyrządzić wrogom wielkiej szkody. Potrzebowaliśmy czegoś, co wzniesi pożar na ich statku. Gdybym tylko mogła zniszczyć im grotmaszt. Musieliśmy zatopić ich w tej lodowatej wodzie. Postanowiłam dostać się do kabiny.

Przewiesiłam karabin przez plecy i schylona nisko pobiegłam w jej kierunku. W deski pokładu wokół mnie wbiło się kilka pocisków. Z dziobu „Sedny” doleciał mnie krzyk, ale nadbudówka zasłaniała mi widok, więc nie mogłam zobaczyć, kto krzyczał.

Wpadłam do kabiny, popędziłam do kuchni. Przez chwilę zmagalam się z zapalkami, wreszcie zapaliłam podpałkę w piecu i dmuchałam, aż buchnął płomień.

Pogrzebałam pośród broni rozłożonej na stole w kabinie. Znalazłam łuk z kołczanem strzał. Obwiązałam szmatką grot jednej z nich. Odszukałam spirytus salicylowy, który Marjan trzymała schowany w tajnej szafce, i trzęsącymi się rękami wylałam go na szmatkę, a potem trzymałam ją nad ogniem, póki nie zajęła się płomieniem.

Gdy wyszłam z kabiny, trafił nas drugi pocisk armatni. Impet uderzenia przeniknął mnie na wskroś i wstrząsnął „Sedną”. Pokład zadygotał pode mną, upadłam na twarz, płonąca strzała oparzyła mi pierś.

Podźwignęłam się i kucnęłam. Obok mnie leżała strzała, której płomień zgasł. Zakłęłam.

Pearl!, pomyślałam. Czy ta kula armatnia przebiła kadłub?

Słyszałam głuchy ryk jakby rwących potoków wody, a także zgiełk głosów. Zdezorientowana, wstałam z trudem, gotowa pognać do kabiny i znów podpalić strzałę.

„Czarna Lilia” waliła prosto na nas, rozcinając dziobem wodę, która tryskała po bokach. Jej taran za moment wbije się w naszą burtę.

- Z drogi! - krzyknął Abran gdzieś za mną.

Chwytał mnie za ramię i szarpnięciem cisnął na pokład.

„Czarna Lilia” staranowała „Sednę”, impet tego uderzenia odczułam w kręgosłupie niczym trzęsienie ziemi. Ludzie na obydwu statkach upadli. Nasze żagle obróciły się, straciły wiatr i zwiotczały. „Sedna” przechyliła się na prawą burtę. Pomyślałam, że wywróci się do góry dnem, wrzucając nas prosto do morza, ale się wyprostowała. Piraci rzucili haki abordażowe na linach, zahaczyli nimi o nasze nadburcie i wytężali siły, by przyciągnąć nas bliżej.

„Sedna” nie mogła się im wyrwać.

Wkrótce wedrą się na pokład, pomyślałam tępo. W głowie miałam mętlik.

Thomas podbiegł do najbliższego haka i maczetą przeciął linę. Lecz po chwili ciśnięto kolejny.

Wsadziłam zgaszoną strzałę do kołczanu na plecach, przewiesiłam łuk przez pierś. Podpełzłam do luku, otworzyłam klapę i zeskoczyłam pod pokład. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy wpadłam do lodowatej wody.

- Mamo!

Wyteżyłam wzrok. W słabym świetle podpokładzia dostrzegłam na korytarzu sylwetkę Pearl. Dygocąc, stała po kostki w wodzie między magazynem a kwaterą załogi. Ostry, gryzący odór pleśni zmieszany z zapachem morskiej wody i materiałów wybuchowych dusił mnie, jakby zatkano mi usta brudną ręką.

Pearl kurczowo ścisnęła worek z grubego płótna, który szeleścił i wybrzuszał się, stworzenia w nim zwijały się, skręcały, przepychały jedne przed drugie. Poszła do kwatery po te przeklęte węże!

- Zimno - wyszeptała.

Brodząc w wodzie, podeszłam do niej i wzięłam ją na ręce. Ryk potoków wody wlewających się do środka zagłuszał hałasy na pokładzie. Miałam wrażenie, jakbyśmy stały pod wodospadem.

Pobiegłam korytarzem do luku, podsadziłam Pearl na drabinkę i zaczęłam wchodzić za nią. Musiałam zabrać ją z tego statku. W głowie czułam pustkę, kołatała w niej tylko jedna myśl: kanu wiszące na ścianie nadbudówki. Musiałyśmy jak najszybciej do niego dotrzeć. Może Pearl uda się dostać do Valley, nawet jeśli reszta nas nie zdoła.

Wyszłyśmy na pokład. Unosił się tam tak gęsty dym, że prawie nic nie widziałam. Popatrzyłam w górę i zobaczyłam, że nasz grotzagiel zajął się ogniem. Dym kłębił się, przesłaniając niebo. Nade mną Marjan uczepiona rozkołysanej liny usiłowała chlusnąć wodą z wiadra na płonący żagiel. Jedną rękę miała całą zakrwawioną.

Wokół mnie wirowały krzyki, dudniące tupoty kroków, odgłosy wystrzałów karabinowych. Ten chaos odmierzały eksplozje bomb, niczym dzwonięcia zegara. Kilku mężczyzn na pokładzie „Czarnej Lili” trzymało pionowo drabinę hakową, usiłując ustawić ją pod takim kątem, by padając, zaczepiła o nasze nadburcie.

Na wprost mnie Jessa ładowała karabin. Rozbrzmiał wystrzał. Jessa drgnęła i osunęła się bezwładnie na pokład jak szmaciana lalka.

Obie z Pearl obiegałyśmy nadbudówkę, dotarłyśmy do jej lewej ściany, na której wisiało kanu. Zdrętwiałymi palcami gmerałam przy węzłach.

W końcu udało mi się je rozwiązać. Pearl uniosła jeden koniec łódki, a ja drugi.

Opuściłyśmy kanu za burzę, luzując linę, aż przestałyśmy czuć jego ciężar, co oznaczało, że osiadło na wodzie. Chwyciłam sznurową drabinkę wiszącą na ścianie nadbudówki, przewlekłam jej koniec przez szkle na nadburciu i zrzuciłam ją za burzę statku.

Pearl miała na nogach ciepłe buty, które kupiłam w Wharton. Pochyliłam się i mocniej zawiązałam sznurowadła.

- Jeśli je przemoczysz, to po wyjściu na ląd najpierw krzemieniem rozpal ognisko i osusz stopy, a dopiero potem wyrusz w drogę przez góry, rozumiesz?

Kiwnęła głową.

- Pospiesz się. - Wyciągnęłam ręce, żeby pomóc jej przeleźć przez nadburcie.

Odskoczyła do tyłu.

- Ta woda jest zimna - powiedziała.

- Nie wpadniesz do wody - zapewniłam ją. Czułam, że moja determinacja słabnie, więc dodałam ostrzejszym tonem: - Wejdz na drabinkę.

Pearl ściągnęła brwi, podbródek jej drżał.

- Nie chcę popłynąć sama.

Serce waliło mi w piersi w tempie tętentu końskich kopyt. Spoglądanie jej w oczy rozdzierało mnie na

dwoje, więc odwróciłam wzrok i popatrzyłam na morze, próbując wyobrazić sobie trasę, którą Pearl powiosłuje między górami lodowymi w kierunku lądu.

Z całej duszy pragnęłam popłynąć razem z nią, wydostać się z tego tonącego statku, dotrzeć do Valley i odszukać Row. Powiedziałaś Pearl, że nigdy jej nie opuścisz, pomyślałam. Czułam narastające napięcie w mięśniach i ścięgnach, jakbym miała eksplodować.

Z pamięci wynurzyło się wspomnienie tamtej nocy, gdy urodziła się młodsza córka. Światła błyskawic, wielkie fale, dudnienie piorunów. Wysoki, przenikliwy wrzask Pearl, niczym krzyk polującego nocnego zwierzęcia. To, jak się uspokoiła, gdy opatuliłam ją szczelnie kocykiem. Senny wyraz jej twarzyczki, jakby na wpół powróciła do miejsca, z którego przyszła na świat.

Zawiodę cię, pomyślałam wtedy, trzymając ją w ramionach.

Dziadek zmarł rok po narodzinach Pearl. Przypomniałam sobie jego dłonie sękaty jak konary drzew, kosmyki włosów wilgotne od potu. W wieczór swojej śmierci powtarzał wciąż: „Świat jest czymś więcej niż to wszystko. Przekonasz się, że ty jesteś czymś więcej niż to wszystko”. Mówił w taki sposób, jakby to była obietnica.

Zaskoczył mnie wyraz twarzy dziadka w tych

ostatnich chwilach. Malowała się na niej ufność, wydawało się, że staruszek łagodnie odchodzi do innego miejsca. W myślach ujrzałam twarzyczkę Pearl tuż po narodzinach, gdy dziewczynka leżała senna, z opadającymi powiekami, a jej ciało zachowało jeszcze ciepło miejsca, w którym przebywała, zanim pojawiła się na świecie, i do którego kiedyś powróci.

Może wszyscy rodzimy się, mając ufność, którą później tracimy. Może powinniśmy ponownie ją odnaleźć, zanim stąd odejdziemy.

Sprowadziłam załogę „Sedny” aż tutaj, więc nie mogłam jej teraz porzucić. Już nie dryfowałam samotnie przez życie; dawna ja zniknęła bezpowrotnie. Wszystko we mnie wyrywało się do Pearl, lecz zarazem odczuwałam wewnętrzny opór. Miałam świadomość, że niektóre nasze wybory są niczym miejsca, a w niektórych miejscach nie da się żyć. Musiałam pójść tam, gdzie będę mogła żyć. Musiałam dokończyć to, co rozpoczęłam, i wciąż z wysiłkiem podążać ku przyszłości, w którą nie miałam prawa wierzyć.

- Kochanie, nie mogę zostawić załogi - powiedziała łamiącym się głosem. - Udaj się do Valley. Pokazałam ci mapę. Skieruj się do tej wąskiej zatoczki, a potem przejdź przez góry i zejdź do Valley.

Po policzkach Pearl popłynęły strużki łez. Nie chciałam zachować w pamięci takiego jej ostatniego obrazu, więc ujęłam ją za podbródek i kciukiem szorstko otarłam łzy.

- Przybędę po ciebie. Będę podążać tuż za tobą - wyszeptałam.

Na te słowa w oczach Pearl zabłysła nadzieja.

- Wiem - rzekła cicho.

Ta jej nadzieja przygniotła mnie jak fala, grożąc zatopieniem. Narastały we mnie wątpliwości niczym drobne pęknięcia - rysy i szczeliny rozszerzające się z każdą chwilą.

Nasze oddechy ulatniały się parą. Gdy przytuliłam Pearl, poczułam znajomy zapach imbiru i morskiej wody. Z kieszeni spodni wystawała czerwona chusteczka, więc wepchnęłam ją głębiej. Pomyślałam o tamtym momencie, gdy sfrunęła z twarzy dziadka i uleciała na wietrze, zanim Pearl ją złapała.

- Nie mogę pójść za tobą, dopóki nie poradzę sobie z tą sytuacją - szepnęłam córce do ucha.

Kiwnęła głową. Podsadziłam ją ponad nadburcie, a ona przerzuciła nogę poza jego skraj, uchwyciła się drabinki i zaczęła schodzić. W połowie drogi spojrzała w górę na mnie z czułą miną. Poniżej unosiło się na wodzie kanu, objając się lekko o burzę statku.

Miałam wrażenie, jakbym wyrwała sobie serce

i odesłała je daleko. Nie widzisz jej po raz ostatni, powtarzałam sobie wciąż, nie mogąc w to uwierzyć.

Pearl usadowiła się w kanu, ujęła wiosła. Wyglądała w nim na taką drobną, otoczona niebieskim bezmiarem wód. Nawet niebo i lód płonęły intensywnym błękitem. Pearl była tak krucha, tak odmienna od całego otaczającego ją zewsząd bezlitosnego błękitu, że wydawało się, jakby ten świat mógł w każdej chwili ją pochłonać.

ROZDZIAŁ 50

Zwróciłam myśli od córki ku „Sednie”. Jeśli zamierzałam jeszcze kiedyś dołączyć do Pearl, musiałam się skupić.

Załoga „Czarnej Lili” już zahaczyła drabinę o burłę naszego statku. Nie mieliśmy żadnych sieci przeciwbordażowych, więc szybko zaroją się na pokładzie. Brakowało nam amunicji, a przeciwnicy zanadto przewyższali nas liczebnie, żebyśmy mogli przetrwać walkę wręcz. W piersi wzbierała panika, grożąc, że mnie zadławi.

W głowie miałam zamęt. Czułam się, jakbym poruszała się po omacku we własnym umyśle niczym w ciemnym pokoju napchanym gazą: nie mogę oddychać, wyciągam ręce, usiłując odsunąć tę gazę i zrobić dla siebie trochę miejsca. Spojrzałam w dół na wodę. Była taka błękitna. Inaczej niż wody w Nebrasce, zawsze zielone albo brunatne, muliste.

Kiedy w dzieciństwie dopiero zaczynałam wędkować, dziadek rugał mnie, że łowią bezmyślnie, zarzucam wędkę, nie przyjrząwszy się przedtem wodzie, i sędzę, że ryby same złapią się na haczyk.

Obserwuj wodę, nie walcz z nią, lecz jej ulegnij,

mawiał, gdy siedzieliśmy w kołyszącej się łagodnie łódce pod gorącym słońcem pory południa.

Teraz spoglądałam na przemian to na statek piratów, to na nasz. Pomyślałam tępo, że „Sedna” jest już nie do uratowania. Zakasłałam od dymu dopalającego się grotzągla. Musiałam pogodzić się z tym, że już straciliśmy statek.

Przypomniałam sobie słowa Pearl, że zatoniemy, znajdziemy się w wodzie. Miała rację, pomyślałam ponuro. „Ta woda jest zimna”, powtarzała, jakby to był sekret, który mi powierzała.

Popatrzyłam ponad naszym pokładem na „Czarną Lilię”. Wayne rzucił bombę, która wybuchła w powietrzu i cisnęła jednego z piratów ze statku do wody.

Woda. Lodowata woda. Gdybyśmy tylko zdołali sprawić, że tamci do niej wpadną, moglibyśmy przejąć ich statek. Popłynąć „Czarną Lilią” do zatoczki i odszukać Pearl.

Wbiegłam do kabiny, w której bomby leżały w skrzynkach na stole. Zastałam tam Abrana. W jednej ręce trzymał zapalnik, w drugiej bombę.

- Musimy rzucić je na nich. Pomóż mi - powiedział.

Wyrwałam mu z rąk bombę i zapalnik i wypadłam z kabiny. Biegłam schylona, ponieważ zaczęto mnie ostrzeliwać, pociski padały wokół mnie. Umieściłam bombę u podstawy nadburcia w miejscu, gdzie piraci

zahaczyli drabinę.

Wayne spoza nadburcia mierzył z karabinu do napastników pełznących po drabinie w kierunku naszego statku - dwóch kobiet i mężczyzny uzbrojonych w maczety wetknięte za paski i karabiny na plecach. Wystrzelił raz, chybił, znów pociągnął za spust, lecz nie rozbrzmiał strzał.

Potarłam zapałkę o szorstkie drewno pokładu i podpaliłam bombę. Skoczyłam ku Wayne'owi, chwyciłam go za ramię, powlekłam do tyłu, z dala od nadburcia.

- Co robisz, do diabła?! - wrzasnął na mnie, usiłując uwolnić się z mojego chwytu.

Popchnęłam go w stronę kabiny.

- Schyl się! - krzyknęłam.

Pociągnęłam Wayne'a za sobą na pokład, po czym zasłoniłam rękami głowę.

Eksplozja bomby zasypała nas odłamkami drewna i kaskadą trocin, spowiła gęstym dymem. Statek zadygotał, zakołysał się gwałtownie. Zerwałam się na nogi i pognałam po zaśmieconym pokładzie.

Część nadburcia w miejscu, gdzie umieściłam bombę, zniknęła. Szczątki drabiny piratów leżały rozrzucone na pokładzie albo unosiły się w morzu. Wybuch cisnął tamtego mężczyznę z drabiny do lodowatej wody.

Daniel pozbierał się na nogi koło grotmasztu

i wycelował z łuku. Pobiegnęłam ku niemu, krzycząc, żeby przyszedł mi pomóc.

W kabinie wyciągnęłam z pojemnika ostatni zwój mocnej liny. Rozwinęłam ją, podałam Danielowi jeden koniec, a sama trzymałam drugi.

- Co robisz?! - wrzasnęła, przekrzykując ogłuszający zgiełk.

- Zaczekaj - poleciłam.

Powstrzymałam go, przyciskając dłoń do jego piersi, i ostrożnie wyjrzałam z kabiny.

Tak jak się spodziewałam, napastnicy rzucali kolejne haki abordażowe na linach. Zaczepiały o nadburcie po obydwu stronach wyrwy, którą wysadziłam. Poczułam, że „Sedna” pochyliła się w stronę ich statku. Zamierzali przyciągnąć ją na tyle blisko, by mogli wskoczyć na pokład bez użycia drabiny.

- Przykucnij za nadburciem - powiedziałam do Daniela, wskazując na lewo od wyrwy. - Ja schowam się po drugiej stronie. Kiedy wskoczą na statek, zmieciemy ich do morza.

Daniel skinął głową. Pobiegliśmy w przeciwnie strony i przykucnęliśmy za nadburciem. Lina leżała szerokim łukiem na pokładzie pomiędzy nami. Gęsty dym niczym mgła utrudniał widoczność.

Gdy pierwszy napastnik skoczył przez wyrwę ku nam, spojrzałam na Daniela i kiwnęłam głową. Oboje

wstaliśmy i mocno szarpnęliśmy linę między nami, zrzucając mężczyznę w tył do morza. Wrzasnął i zniknął pod falami.

Znów przykucnęliśmy, poluzowaliśmy linę, a gdy na pokład wskoczył drugi pirat, naprężyliśmy ją. Napastnik spadł do wody, rozpaczliwie młóćąc rękami i nogami.

Usłyszałam nad nami krzyk Marjan. Spojrzałam w górę. Ulokowała się z karabinem na rei i stamtąd likwidowała piratów. Teraz z jej barku sterczała strzała, a biała bluzka pociemniała od krwi. Usiłowała jedną ręką przytrzymać się splątanych lin, ale pośliznęła się, zachwiała i runęła w dół.

Zacisnęłam powieki, skrzywiłam się, gdy ciało z głuchym odgłosem uderzyło o pokład. Jeszcze przez kilka chwil nie otwierałam oczu, nad głową świszczą strzały wystrzeliwane z łuków.

- Do diabła! - wyszeptałam. - Do diabła!

Poczułam szarpnięcie liny w rękę, gdy Daniel ją naciągnął. Poderwałam się w porę, by zrzucić do morza napastniczkę.

Przez moment nic się nie działo. Przebiegł mnie zimny dreszcz. Widocznie tamci zorientowali się, co robimy. Grad kul zasypał nadburcie. Padliśmy z Danielem płasko na brzuchy. Nad nami zaświszczały strzały. Wbijały się w nadbudówkę, w deski pokładu, a kilka przeleciało nad statkiem

i wpadło do morza po drugiej stronie.

Dwaj mężczyźni równocześnie wskoczyli na pokład z maczetami w rękach, by przeciąć linę, ale unieśliśmy ją i polecieli do tyłu, zanim ostrza zdążyły jej choćby dotknąć. Znow przykucnęliśmy za nadburciem, dysząc ciężko. Sześcioro, pomyślałam. Ilu jeszcze zostało?

Na pokład wskoczył następny pirat. Poderwaliśmy się na nogi, szarpnęliśmy linę, ale się uchylił, naprężyła się tuż nad nim.

Mężczyzna zamachnął się maczetą i przeciął linę. Rzucił się na Daniela ze wzniesionym ostrzem, lecz w tym momencie w jego plecy wbiła się strzała.

Obejrzałam się i zobaczyłam Abrana. Ukryty za nadbudówką, zakładał na cięciwę łuku następną strzałę.

Wyciągnęłam zza paska długi nóż, przygotowałam się do odparcia ataku. Na statek wskoczyło równocześnie kilku piratów. Jeden cisnął we mnie toporkiem, ale uchyliłam się i ostrze rozłupało nadburcie za mną. Mężczyzna wyrwał zza pasa nóż i rzucił się na mnie. Odstąpiłam na bok, złapałam go za włosy, szarpnęłam mu głowę do tyłu i poderżnęłam gardło. Osunął się na pokład, a ja odskoczyłam w bok, gdy kolejny napastnik zamachnął się na mnie maczetą.

Od strony nadbudówki dobiegł krzyk. Odwróciłam

się i zobaczyłam, jak Abran z pobladłą twarzą kurczowo ściska ostrze wbite w jego brzuch. Stojący przed nim Jackson trzymał rękojeść i właśnie wyciągał miecz z ciała Abrana.

Z ust Abrana wypłynęła krew. Z twarzą białą jak kreda osunął się bezwładnie na kolana.

- Nie! - wrzasnęłam.

Ruszyłam ku niemu, ale ktoś szarpnął mnie za włosy. Upadłam do tyłu na pokład. Jakaś kobieta wzniosła nade mną maczetę. Zdążyłam odturlać się w bok, ostrze uderzyło w pokład. Jej pierś przebiła strzała, napastniczka zatoczyła się i upadła.

Obejrzałam się. W pobliżu leżącego Abrana zobaczyłam Daniela, który pełznął do tyłu, cofając się przed Jacksonem. Jego zraniona lewa ręka pozostawiała krwawą smugę na deskach pokładu. Jackson ruszył ku niemu.

Popędziłam w ich kierunku, przeskakując przez martwe ciała. Jackson był już o metr od Daniela. Utkwiwszy w nim wzrok, wznosił miecz do cięcia. Rzuciłam się na niego całym ciężarem i oboje przewróciliśmy się na pokład. Jackson chwycił mnie za gardło. Pociemniało mi w oczach, rozpaczliwie usiłowałam złapać oddech.

Kątem oka zobaczyłam Daniela biegnącego ku nam z nożem w zdrowej ręce. Nagle ktoś staranował go całym ciałem. Rozległ się dziki krzyk, krew trysnęła

na pokład, bryznęła mi w oczy.

Jackson złapał mnie za koszulę i zrzucił z siebie. Potoczyłam się kilka metrów i zerwałam na nogi. Jackson w panice macał po pokładzie szorstkimi, czerwonymi rękami, szukając miecza. Wyciągnęłam z pochwy przy kostce drugi nóż i skoczyłam naprzód z obydwoma w dłoniach. Jackson zablokował przedramieniem mój pierwszy cios w szyję. Wbiłam mu drugi nóż w brzuch, wyrwałam go szybko i chlasnęłam ostrzem gardło.

Odchylił się ode mnie do tyłu z dłońmi przy szyi, na które lała się krew. Usiłował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobył się tylko bulgot.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że niczym cisza po burzy, nagle wszystko się uspokoiło. Nie było słychać świstu pocisków karabinowych i maczet ani huku bomb. Jedynie wycie wiatru, skrzypienie, jęk rozpadającej się, tonącej „Sedny”. Gdzieś tam widziałam niewielkie płomienie i dym. Trzepotały podarte żagle, kołysały się odcięte liny. Wszędzie na pokładzie walały się ostre rozszczepione kawałki drewna i odłamki szkła, jakby cały statek stał się bronią gotową rozharatać nam stopy. Niegroźnie wyglądały tylko leżące nieruchomo martwe ciała.

Daniel podźwignął się z trudem na nogi obok leżącego na brzuchu mężczyzny, który przed chwilą go zaatakował. Pośliznął się na kałuży krwi i upadł,

opierając się na dłoniach.

Jackson kątem oka spostrzegł Daniela i zadrżał. Osunął się na nadburcie. Zdawało się, że siłą woli zmusił się do odejścia z tego świata, zanim brat zdołał się zbliżyć. Nim znieruchomiał, jego oczy zamglił wyraz ogromnego smutku przypominającego pustkę, jakby wyszano go z samego siebie.

Nie mogłam pozbyć się z ust gorzkiego, metalicznego smaku krwi. Splunęłam, przedramieniem otarłam twarz i oczy. Trzymając przed sobą nóż, obróciłam się niepewnie niczym strzałka kompasu nie mogąca odnaleźć północy.

Daniel przykucnął przy trupie Jacksona, przyciskając do piersi zranioną rękę; jeden z palców zwisał tylko na ścięgnie. Położył dłoń na sercu Jacksona, a potem przesunął ją do jego twarzy i kciukiem delikatnie zamknął mu powieki.

Poczułam, jak rośnie we mnie oszałamiająca, upajająca ulga, póki nie spojrzałam ponad pokładem. Południowozachodnie wybrzeże zbliżało się błyskawicznie, fale gnały nas prosto ku skałom.

ROZDZIAŁ 51

Dziób „Sedny” zanurzał się w wodzie, rufa sterczała ukośnie w górę. Czepiając się nadburcia, pobiegliśmy z Danielem prawą stroną statku.

Nie odrywałam wzroku od „Czarnej Lilii”, spodziewając się, że na pokładzie pojawią się kolejni piraci. Thomas trzymał się grotmasztu, podpierając się drzewcem flagi jak kulą. Obydwa statki gnały w kierunku skał, ale wiedziałam, że nasz zatonie, zanim mógłby się o nie roztrzaskać. Mieliśmy większą szansę przetrwania katastrofy na „Czarnej Lilii” niż na tonącej „Sednie”. Musieliśmy zebrać wszystkich naszych i działać szybko.

- Thomas! - zawołałam. Machnęłam ręką, żeby podążył za nami.

Pokuśtykał ku nam. Jedną nogawkę miał poplamioną krwią.

- Gdzie Pearl? - zapytał mnie Daniel.

Spojrzałam na niego zdezorientowana, a potem uświadomiłam sobie, że nikt nie widział, jak wsadziłam ją do kanu. Cała zdrewniałam, miałam wrażenie, że za chwilę niebo zwali się na mnie.

- Odesłałam ją na brzeg w kanu - wyjąkałam

drżącymi ustami.

Nogi się pode mną ugięły, upadłabym, gdyby Daniel mnie nie podtrzymał.

- Znajdziemy ją - powiedział.

W otępieniu kiwnęłam głową i wsparłam się o niego. Potrząsnął mną gwałtownie.

- Myra, znajdziemy ją. No, chodź.

Na pokład „Czarnej Lilii” wyszedł jakiś niewolnik. On i my znieruchomieliśmy, wpatrując się w siebie. Mocniej ścisnęłam rękojeść noża. Mężczyzna zaczął się cofać, aż dotknął plecami nadburcia, a wtedy odwrócił się i wskoczył do lodowatej wody.

Daniel, Thomas i ja dotarliśmy z trudem do bocznej ściany nadbudówki, przy której leżała bezwładnie Marjan. Podbiegłam do niej, przyklęłam. Twarz miała ziemistą, a gdy uniosłam jej głowę, powieki zadrżały. Dotknęłam skózanego paska zawiązanego wokół jej ramienia niczym opaska uciskowa.

Abran. Próbował jej pomóc, gdy zaatakował go Jackson.

Leżał na boku przy nogach Marjan. Wyciągnęłam rękę i przeczesalam palcami jego włosy. Zabrakło mnie tutaj, żeby mu pomóc, pomyślałam. Przeniknął mnie zimny dreszcz. To nie powinno było tak się skończyć.

Przypomniałam sobie, jak śmiał się, kiedy leżeliśmy w łóżku, jego chłopięcy uśmiech, potargane włosy.

Jak obracał się na bok i odczytywał mi ulubione ustępy z ksiązek, wymawiając słowa, jakie rzadko słyszałam w dzisiejszych czasach: bujny, olśniewający, soczysty. Pomyślałam też o jego udreće, mrocznym brzemieniu, które dźwigał. Ale pamiętałam go przede wszystkim jako uroczego mężczyznę przepełnionego wizją i nadzieją, z sercem tak czystym i wrażliwym, że łatwo je było złamać.

Nie zawiodę cię, Abranie, przyrzekłam mu w duchu, po czym znów dotknęłam jego włosów.

Z kabiny wyszedł chwiejnie Wayne i niemal potknął się o nas. Niósł plecaki, do których Marjan wcześniej zapakowała wodę i żywność.

Upuścił je, uklęknął przy niej.

- Ja ją poniosę - rzekł do mnie.

Założyliśmy z Danielem plecaki. Z trudem wstałam pod ciężarem mojego.

- Marjan, przedostaniemy się na ten drugi statek - powiedział Wayne, jego zazwyczaj szorstki głos brzmiał miękko i łagodnie.

Zarzucił ją sobie na plecy. „Sedna” zakołysała się gwałtownie, dziób zanurzył się jeszcze głębiej. Woda na pokładzie sięgała już połowy drogi do grotmasztu. Liny haków abordażowych zarzuconych z „Czarnej Lilii” się naprężyły.

Daniel przeciął je, wychylając się za nadburcie.

- Myra! - zawołał do mnie. - Pospiesz się!

Zgromadziliśmy się wszyscy przy wyrwie, którą wysadziłam w nadburciu. Jedno po drugim zeskoczyliśmy na pokład „Czarnej Lilii”. Złapaliśmy z Danielem lądującego Wayne’a, żeby nie upuścił Marjan. Odwróciłam się, wyjęłam nóż i piłowałam linę ostatniego haka, póki nie pękła.

Woda wokół „Sedny” bulgotała, wciągała ją coraz głębiej. Fokmaszt zniknął pod powierzchnią.

Rozejrzałam się po pokładzie „Czarnej Lilii” za kotwicą, lecz zobaczyłam tylko walające się szczątki. Kotwica mogłaby spowolnić nasz pęd, złagodzić nieuchronne zderzenie. Albo mogłaby przytrzymać nas jak balon na uwięzi, wskutek czego fale wciąż rzucałyby statkiem o skały. Lepiej być ciśniętym na nie tylko raz i postarać się przetrwać ten gwałtowny impet.

Spieniona biało fala wezbrała i runęła na pokład „Czarnej Lilii”, woda zawirowała przy naszych nogach. „Sedna” podryfowała nieco dalej, uderzyła w sterczący z wody skalny występ i roztrzaskała się na kawałki.

Podczas gdy czarna głębia wsysała szczątki „Sedny”, fale niczym ręka Boga rzuciły „Czarną Lilię” bliżej skalistego brzegu.

- Do masztu! - wrzasnęłam, przekrzykując ryk fal.

Z trudem podnieśliśmy się na nogi, wczepiając palce w mokre deski pokładu. Uchwyciliśmy się

grotmasztu i jedni drugich. Statek pękał przy każdym drobnym zderzeniu ze skałami. Z hurgotem przeszorowaliśmy dnem po jakiejś stercie głazów, które rozdarły kadłub. Rozległ się huk, gdy lewą burtą uderzyliśmy o skalny występ. Teraz każde zderzenie było ogłuszające i wzbijało fontannę lodowatej wody obryzgującej nam twarze.

Przełknęłam wzbierającą w gardle żółć paniki. Fale gnały nas ku brzegowi. Zacisnęłam zęby, pomyślałam o Pearl, wyobraziłam sobie jej rude włosy niczym jaskrawy płomień pośród szarego morza i białego lodu, dziób kanu rozcinający wodę. „Czarną Lilią” rzuciło tak gwałtownie, że zagrzechotały mi kości. Zamknęłam oczy.

Gdy je otworzyłam, zobaczyłam tylko brzeg pędzący ku nam. Skały, piasek, pianę przyboju pod przygnębiająco szarym niebem. Na plaży leżał szkielet wieloryba. Zamrugałam zaskoczona. Szkielet był wielkości połowy „Czarnej Lilii”, wyglądał tutaj surrealistycznie, nie na miejscu. Ofiara katastrofy, która nas dopiero czekała.

Ostatnia potężna fala wypchnęła statek z morza i cisnęła w powietrze jak dziecięcą zabawkę.

Uniosłam się do pozycji siedzącej, ciało przeszył ból. Odsunęłam nogę Daniela przygniatającą mi ramię. Zamrugał i potrząsnął głową, jakby usiłował

pozbyć się wody z uszu. Strużka krwi ściekała mu po skroni i policzku, skapywała z podbródka na pokład. Wyciągnęłam rękę i wytarłam ją kciukiem.

Podniosłam się z wysiłkiem. Gdy wstałam, lewa noga ugięła się pod moim ciężarem, poczułam w niej pulsujący ból.

- Musimy ruszać - powiedział Daniel półprzytomnym, oszołomionym głosem.

Odpyływ mógł wciągnąć wrak statku z powrotem do morza.

Daniel zarzucił sobie Marjan na ramię. Thomas wsparł się o Wayne'a i pokuśtykał naprzód. Statek był pogruhotany, a jego części porozrzucone, jakby roztrzaskano go jakimś gigantycznym młotem. Potykaliśmy się o walające się na pokładzie połamane kawałki drewna, skrawki metalu, strzępy żagli.

Popatrzyłam przed siebie, mrużąc oczy. Skalisty brzeg był pokryty mchem i porostami. Po prawej wznosiło się strome urwisko zaczynające się gładką pionową skałą wysokości kilkunastu metrów. Po lewej było łagodne zbocze góry poprzecinane strumieniami i porośnięte kępami osik. Szkielet wieloryba leżał u podnóża urwiska całkowicie nienaruszony. Wyglądał, jakby miał lada moment odzyskać ciało i popłynąć z powrotem w głąb morza.

Stadko morskich ptaków zerowało przy kilku skalnych nieckach wypełnionych słoną wodą

pozostała po przyptywie. W powietrzu rozbrzmiewały ich głośne krzyki.

Na szczęście był odpływ. Spieniona woda pod nami miała głębokość zaledwie trzydziestu centymetrów, a „Czarna Lilia” przechyliła się już i osiadła na brzegu. Było tak zimno, że wciąż chuchałam w palce.

Pomogłam Danielowi przejść przez pęknięte nadburcie. Wskoczył do płytkiej wody, potknął się i upadł na kolano, a od tego impetu głowa Marjan poleciała do tyłu. Zeskoczyłam za nim, od zetknięcia z lodowatą wodą dreszcz przeszył mnie niczym ostrze.

- Musimy ją ogrzać - powiedziałam do Daniela i pobiegłam naprzód wzdłuż brzegu, żeby znaleźć jakieś drewno wyrzucone przez morze.

Marjan oddychała płytko, urywanie, oczy wciąż się jej zamykały. Wiedziałam, że być może nie zdołamy zrobić dla niej nic więcej oprócz zapewnienia odrobiny wygody.

Potknęłam się, upadłam na mokry piasek i zakląłam. Znajdowaliśmy się kilkanaście kilometrów od zatoczki, do której kazałam popłynąć Pearl. Abran umarł. Pearl zaginęła. Wszystko szło nie tak, jak powinno.

W głowie mi dzwoniło, wciąż mrugałam, usiłując skupić wzrok. Skały wznosiły się nad nami i zdawały się szybować w przestrzeni, jakbyśmy nadal byli na

wodzie. Każdy hałas rozbrzmiewał mi głośno w uszach, wzbudzając we mnie panikę. Nawet światło słońca wydawało mi się niepokojąco zbyt jaskrawe. Uspokój się, mówiłam sobie. Skoncentruj się na tym, co masz teraz zrobić.

Podniosłam kilka kawałków drewna wyrzuconych na brzeg. Wayne poszedł za moim przykładem, szukał na plaży drewna na podpałkę. Zmrużyłam oczy przed piaskiem niesionym przez porywisty wiatr; obawiałam się, że w tych warunkach nie zdołamy rozniecić ognia. Tępym końcem noża zdrapałam ze skał trochę porostów i wsadziłam do kieszeni.

Powiodłam wzrokiem wzdłuż linii brzegowej w kierunku wschodnim i zachodnim. Nie dostrzegłam żadnego śladu Pearl ani kanu. Usiłowałam zaczerpnąć nadzieję z tego, że nie widzę pustego kanu dryfującego na falach czy roztrzaskanego o skały. Jednak narastał we mnie niepokój. Zapragnęłam zostawić towarzyszy i ruszyć na poszukiwanie Pearl.

Musisz się uspokoić, obmyślić najpierw jakiś plan działania, powiedziałam sobie. Zorientować się w położeniu. Będziesz potrzebowała ich pomocy. Zmusiłam się, żeby spojrzeć pod nogi i dalej szukać drewna.

Daniel delikatnie posadził Marjan w niewielkim zagłębieniu w piasku i pomógł jej oprzeć się plecami

o wielki czarny głaz. Zagłębienie chronił przed wiatrem od jednej strony pień zwalonego drzewa, a od drugiej – ciernisty krzak. Daniel ostrożnie usiadł obok Marjan, prostując przed sobą zranioną nogę.

Rzuciłam wiązki drewna na piasek obok nich, otworzyłam jeden z plecaków i zaczęłam w nim szperać, szukając zapalek. Daniel ostrożnie zsunął koszulę Marjan z rany na barku. Miała zamknięte oczy i nie skrzywiła się z bólu. Traciła przytomność, już odpływała od nas, od cierpienia.

Uklękałam naprzeciw Marjan, ułożyłam drewno w stożek, a w jego szczeliny wepchnęłam porosty i suche liście. Pierwsze trzy zapalki okazały się zbyt wilgotne, ale czwarta zapłonęła. Osłoniłam ją dłońmi, przytknęłam płomyk do porostu i dmuchałam, żeby ogień rozprzestrzenił się na drewno.

Daniel rozdarł koszulę Marjan na dwoje, po czym obwiązał jej bark prowizorycznym opatrunkiem. Zaczęłam zdejmować kurtkę, żeby ją okryć, ale mnie powstrzymał

- Nie. Mnie już jest ciepło - rzekł, po czym zdjął z siebie kurtkę i otulił nią Marjan.

Kłamca, pomyślałam. Nad biodrem kobiety sączyła się czerwona strużka. Delikatnie obmacałam bok. Krew zabarwiła mi czubki palców. Marjan skrzywiła się i odsunęła gwałtownie. Twarz miała bladą jak poźółkła stara porcelana. Namacałam twardy koniec

ułamanej strzały sterczący tuż nad biodrem. Myślałam, że krwawi tylko zraniony bark.

- Tu też ją trafili - poinformowałam szeptem Daniela, mając nadzieję, że Marjan nie usłyszy. - Widocznie reszta drzewca odłamała się, gdy Marjan spadła z olinowania na pokład.

- Nic dziwnego, że straciła tyle krwi - wymamrotał, przeciągając dłonią po twarzy. - Dopilnuj, żeby było jej ciepło, a my z Wayne'em poszukamy na statku jeszcze jakichś zapasów, zanim roztrzaskają go fale.

Marjan odwróciła głowę ku mnie i próbowała coś powiedzieć. Grdyka się poruszyła, gdy usiłowała przełknąć. Przytknęłam do jej ust butelkę z wodą, a ona wypła łyk.

- Gdzie Pearl? - zapytała.

Gardło mi się ścisnęło. Pokręciłam głową.

- Ona... zaginęła. Nie ma jej tutaj.

Obok nas wzbiły się w powietrze dwa morskie ptaki, ich ostre krzyki przeszyły spokojne szare niebo.

Marjan ujęła moją rękę i ścisnęła krótko.

- Twoje zadanie jest najtrudniejsze - wyszeptała.

Kiwnęłam głową. Usiłowałam zapanować nad wzbierającą we mnie falą emocji. Czułam się jak roztrzaskany o skały wrak „Sedny”, rozpadający się na kawałki, które zatoną i już nigdy nie połączą się ponownie w całość.

- Pochowajcie mnie w morzu - poprosiła Marjan. - Dołączę do pozostałych.

Pomyślałam o tym, jak znalazła ciało córki uwięzione w tamtym zatopionym domu. Czy dziewczynka zaplątała się w zasłony w salonie? Utknęła w łazience bez okna? Pomyślałam o tym, jak Marjan obróciła ciało córki pod wodą, jak włosy dziewczynki zawirowały i ujrzała jej twarz.

Myślałam o migracjach. O tym, jak kiedyś wyjęłam niemowlę z ramion niedawno zmarłej matki. Jak to jest wkroczyć w epokę bez oznaczonych grobów?

Ale skinęłam głową i ścisnęłam dłoń Marjan.

Jej powieki zatrzepotały, a usta się poruszyły, wymawiając cienie słów, których nie zdołałam usłyszeć. Wydawało się, że po raz ostatni próbuje wyciągnąć do mnie rękę. Pogładziłam kciukiem grzbiet jej dłoni. Popatrzyła na mnie czarnymi oczami, ale nie potrafiłam się zorientować, co wyraża to spojrzenie. Szukałam w jej oczach oskarżenia, lecz zobaczyłam tylko niejasne pytanie, jakby chciała poznać własne imię.

Drugą ręką chwyciła kurczowo swój naszyjnik, przesuwała palcami po jego czterech koralikach.

Usłyszałam za sobą odgłos kroków.

- Znaleźliśmy koce - oznajmił Daniel i urwał, a w to puste miejsce wpadła cisza.

Położył obok mnie wełniane koce.

Powieki Marjan zadrżały i opadły, ręka zsunęła się od naszyjnika na kolana. Jej druga dłoń zwiotczała w mojej.

Nachyliłam się, odgarnęłam włosy z jej twarzy. Skórę miała zaskakująco miękką jak na swój wiek. Spróbowałam wyszeptać pożegnanie, lecz z moich ust nie wydobyło się żadne słowo. Nie zdołałam przemówić, bo nie chciałam usłyszeć własnego głosu. Pragnęłam usłyszeć melodyjny głos Marjan.

Rósł we mnie mroczny ciężar, rozprzestrzenił się z piersi do rąk i nóg. Przykucnęłam na piętach, patrząc na morze. Na skraju skalnej niecki siedział ptak. W jego dziobie szamotało się coś żywego.

ROZDZIAŁ 52

Daniel z Wayne'em wyjęli drzwi z wraku „Czarnej Lilii”. Ułożyliśmy na nich ciało Marjan. Znalazłam kilka małych fioletowych kwiatków rosnących w pewnej odległości od brzegu, zrobiłam bukiet i włożyłam go w jej dłonie. Zmoczyłam w fali przyboju szmatkę, wytarłam krew ze skóry Marjan. Leżała blada, wilgotna i zimna, jak kwiat zakwitający pod wodą.

Thomas położył na zamkniętych powiekach dwa płaskie kamyki. Stałam przy boku Marjan, gdy pozostali przygotowywali pochówek. Kiedy zamknęłam oczy, wciąż widziałam jej twarz. Czułam się odrętwiała, jakby dusza opuściła ciało i gdzieś się zabłąkała.

Daniel i Wayne zanieśli ciało Marjan na wrzynający się w morze skalny przylądek. Wlekliśmy się z Thomasem za nimi. Obawiałam się, że gdy położymy Marjan na wodzie, jakaś fala pchnie ją z powrotem i roztrzaska o skały. Ale powoli zaczął się przyływ, morze się uspokoiło.

Mężczyźni zeszli między kamieniami i ostrożnie położyli na wodzie drzwi z ciałem Marjan. Morze ją

zabrało. Przyglądaliśmy się przez kilka chwil, jak oddalała się od nas, a potem fala wezbrała, pochłaniając ją. Już nie zobaczyliśmy, by ciało wypłynęło.

Morze znów się uspokoiło, jego powierzchnia się wygładziła. Nad nami krzyczały mewy, kilka zanurkowało, polując w miejscu, w którym zniknęła Marjan. To, jak pochłonęła ją woda, przywiodło mi na myśl tamtego mężczyznę, którego wrzuciłyśmy z Pearl do morza, zanim cała ta sprawa się zaczęła. Mężczyznę, który powiedział mi, że Row jest w Valley. Wtedy byliśmy tylko Pearl i ja. Być może zresztą wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej. Może coś we mnie ustawiono, niczym alarm w budziku, gotowe zadziałać. Ale myślałam o tym z roztargnieniem, jakby przydarzyło się w innym życiu, komuś innemu.

W drodze powrotnej do ogniska milczeliśmy. Wayne ułożył na żarze jeszcze kilka kawałków drewna wyrzuconego na brzeg. Thomas owinął się kocem. Staralam się skupić na prostych czynnościach, siłą woli przywrócić umysłowi opanowanie i jasność. Wyprałam szmatkę, której użyliśmy do opatrzenia rany Marjan. Uklękłam obok Thomasa, oczyściłam rozcięcie na jego nodze, mając nadzieję, że słona woda pomoże zapobiec zakażeniu, dopóki nie będziemy mogli poszukać lekarstw.

Daniel ułożył w stertę koło ogniska wszystko, co zdołał znaleźć we wraku „Czarnej Lilii”. Puszki sardynek, torby mąki, dzbany pitnej wody. Kilka kurtek, zapasową parę butów. Jeszcze trochę zapalek, a także maleńką puszkę nafty. Mniej, niż się spodziewaliśmy, ale podpokładzie było zatopione i zanadto zniszczone, by można się tam dostać. Lodowata woda uśmierciłaby każdego, zanim zdołałby cokolwiek znaleźć. Daniel mógł przeszukać tylko kabinę w nadbudówce.

Pozwoliłam sobie zlustrować wzrokiem morze i ląd w poszukiwaniu Pearl. Na usta wciąż cisnęła mi się modlitwa o to, by wyłoniła się zza skały czy zakrętu.

Dotknęłam ramienia Daniela.

- Już czas - powiedziałam.

Skinął głową.

- Kiedy wrócimy, trzeba będzie wyłamać drewno z tego wraku.

Uświadomiłam sobie, o co mu chodzi, kiedy popatrzyłam na kilka wątych osik rosnących na zboczu góry. Odkąd tu wylądowaliśmy, moje myśli były spóźnione i ospałe. Zauważałam rzeczy dopiero kilka chwil po spojrzeniu na nie. Kojarzyłam z opóźnieniem znaczenia, które powinny być dla mnie oczywiste. Dopiero teraz pojęłam, że utknęliśmy tutaj. Nie mogliśmy zbudować innego statku z tak niewielkiej ilości drewna. Jeżeli w Valley nie

znajdziemy niezbędnego budulca... Nie odważyłam się dokończyć tej myśli.

- Muszę odszukać Pearl - oznajmiłam Wayne'owi i Thomasowi.

- Gdzie ona jest? - spytał Wayne, marszcząc brwi.

- Wsadziłam ją do kanu - odrzekłam.

Wayne powiódł wzrokiem po morzu, a ja wiedziałam, że wątpi, by przeżyła.

- Kazałam jej pójść do Valley - wyjaśniłam.

Pragnęłam, aby powiedzieli, że na pewno tam jest i nic się jej nie stało.

- A co z epidemią? - zapytał Wayne. - Czy nadal się tam szerzy?

Serce ścisnął mi strach. Nie wiedziałam, jak długo epidemie dżumy trwały w miasteczkach, ale słyszałam, że pchły roznoszą tę chorobę dłużej niż ludzie czy gryzonie.

- Możliwe - odparłam. - Ale potrzebujemy schronienia, więc będziemy musieli zaryzykować. - Przykucnęłam przed ogniskiem i dołożyłam patyk do ognia. - Powinniśmy wyruszyć, zanim zacznie się ściemniać.

- Myro, tylko my musimy tam iść - rzekł Daniel łagodnym tonem.

- Co takiego? - rzuciłam, podnosząc na niego wzrok. - Potrzebujemy pomocy, żeby uporać się ze strażnikami z bandy Upadłych Opatów.

Przypuszczalnie jest ich tam co najmniej kilku.

- Czy nie powinieneś zostać z nami? - zwrócił się Wayne do Daniela. - To ona nas w to wpakowała.

Wstałam i otrzepałam przód spodni z piasku.

- Nie chciałam, żeby to wszystko tak się potoczyło - oświadczyłam.

Nie wiedziałam, ile winy za nasze nieszczęścia spada na mnie, ale czułam na sobie brzemię, którego nie mogłam strząsnąć. Przygniatało mnie tuż pod paniką, która ścisnęła mi gardło, ilekroć pomyślałam o Pearl.

- To nie tylko jej wina - rzekł Daniel.

Uniosłam dłoń, by go powstrzymać. Nie umiałam rozstrzygnąć, co z tego jest, a co nie jest moją winą, jednak potrafiłam wziąć na siebie odpowiedzialność za wpakowanie nas w tę sytuację.

- Owszem, to moja wina - powiedziałam.

Wayne znieruchomiał, spojrzał na mnie zaskoczony. Potem odwrócił się, popatrzył na morze i potrząsnął głową.

- Wiedziałem. Wiedziałem od początku, że musi być jeszcze inny powód tego, że tak cholernie zależało ci na dotarciu tutaj. Lecz mimo to chciałem zaryzykować. Pomyślałem, że to może być dobry pomysł.

Przeszedł kilka kroków przed siebie, kopnął kamyk w morską pianę. Zwrócił wzrok na mnie, jakby

oceniał mnie po raz pierwszy i dostrzegł coś, czego się nie spodziewał.

- Thomas nie może iść z tą zranioną nogą - rzekł Daniel. - Musi odpocząć, ogrzać się. Poza tym ktoś powinien zostać na wybrzeżu na czatach.

Wymienił spojrzenia z Wayne'em. Statek Upadłych Opatów mógł lada dzień przepłynąć pomiędzy tymi górami lodowymi i zawinąć do portu, żeby mogli zebrać podatki.

Thomas zapatrzył się na morze. Twarz miał bladą, ręce drżały mu ze zmęczenia czy zimna.

- Poradzę sobie tutaj sam. Poza tym, jak tylko we dwoje zdołacie odszukać Pearl i uporać się ze strażnikami?

- Jesteś zbyt poważnie ranny, by zostać sam. A zresztą, jeśli pojawią się jakieś kłopoty, nie zdołasz samotnie przebyć góry, by nas powiadomić. Może uda się nam odnaleźć Pearl bez zaalarmowania strażników. Wemkniemy się i wymkniemy niepostrzeżenie - powiedział Daniel.

Wayne przecząco pokręcił głową.

- To nieprawdopodobne. Wykluczone, by nie zauważyli kogoś obcego.

- Nie mamy czasu, by dokładnie wszystko zaplanować. - Podniosłam plecak. - Musimy zdać się na bieg wydarzeń.

Wayne popatrzył na mnie, a potem pokiwał głową.

- Zostaniemy tutaj z Thomasem i będziemy próbowali wydobyć coś jeszcze z tego wraku - oświadczył. - Idźcie we dwoje, żebyśmy was nie spowalniali.

Daniel wyjął z jednego z plecaków mapę Valley i rozłożył ją.

- Będziemy musieli przebyć tę górę - powiedział. Spojrzał na klify po prawej stronie. - Te urwiska są zbyt strome, by dało się na nie wspiąć.

Spojrzałam w górę. Zobaczyłam mewę nurkującą ze szczytu klifu nad nami w kierunku wody. A więc właśnie stąd startowały na łowy na brzegu.

Wyjęłam Danielowi z rąk mapę i wskazałam na nią.

- Czy nie powinniśmy najpierw pójść do tej zatoczki? Zobaczyć, czy nie ma tam Pearl?

Część mnie nie chciała jeszcze wejść do Valley, obawiała się, co tam zastaniemy. Poza tym jeśli Pearl była w zatoczce, mogliśmy się z nią rozminąć, zmierzając prosto do Valley. Mieliśmy przecież wpłynąć do tej zatoki. Tylko że wszystko poszło całkiem inaczej, niż zaplanowaliśmy. Behir, Jessa, Abran i Marjan nie żyją, a Pearl zaginęła. To nie tak miało być. Umysł wciąż wzdragał się przed zaakceptowaniem faktów, wciąż pragnął wierzyć, że wypadki potoczyły się inaczej. To nie może tak się dla nas skończyć, pomyślałam.

- To co najmniej osiemnaście kilometrów stąd -

rzekł Daniel, wskazując na mapie długą linię brzegową dzielącą nas od zatoczki. – Poleciałś jej dotrzeć do Valley. O ile ją znam, już tam jest.

Już tam jest. Samotna, przemarznięta.

Zacisnęłam zęby i kiwnęłam głową. Odwróciłam się do ogniska, przykucnęłam przed stertą rzeczy przyniesionych z „Czarnej Lilii”, wyciągnęłam z niej kurtkę i zrolowałam ją.

– No, pomóż mi – powiedziałam do Daniela. – Musimy zabrać ze sobą jeszcze kilka rzeczy.

ROZDZIAŁ 53

Wspinaliśmy się z Danielem przez dwie godziny bez przerwy, zanim zapadł zmrok. Po drodze napotkaliśmy bardzo niewiele drzew, co sprawiało wrażenie, jakby oprócz nas dwojga nie było niczego pomiędzy górą a czarnym niebem, które zdawało się przygniatać nas niczym olbrzymia dłoń. Wiatr smagał nas boleśnie, zapierał dech w płucach. Czułam zapach mchu i wilgotnych skał, lecz niewiele poza tym. Na łądzie często czułam woń dymu palonego drewna, solonych ryb, potu ludzi rojących się w pobliżu portu. Ale tutaj wydawało się, że na całym świecie pozostaliśmy tylko my dwoje.

Według mapy odległość pomiędzy plażą, na której wylądowaliśmy, a Valley wynosiła dziewięć kilometrów, więc uznaliśmy, że dotrzemy tam w ciągu kilku godzin. Jednak przenikliwe zimno i nierówny teren wyczerpały nasze siły szybciej, niż się spodziewaliśmy. Nie czułam już przemarzniętych rąk, twarzy ani palców stóp. Daniel niósł przed sobą małą lampę naftową, ale wiedziałam, że wypali się jeszcze przed świtem. Chmury przesłoniły gwiazdy, a księżyc był wąskim sierpem, rzucał tylko nikłą

poświętę.

- Musimy zrobić sobie krótki postój - rzekł Daniel.

Usłyszałam, jak w odległości metra jakieś zwierzę przemknęło po gładzie w zarośla. Przestraszona, popatrzyłam za nim w ciemność, lecz widziałam tylko cienie.

- Idźmy dalej - powiedziałam.

Wyciągnęłam z kieszeni mapę i drżącymi rękami usiłowałam utrzymać ją w świetle lampy.

Daniel wyrwał mi mapę.

- Zamarzniemy. Rozpalimy ogień, tu i teraz. Tamten gład osłoni nas przed wiatrem.

Poryw wichru pchnął mnie w plecy, zaparłam się nogami, chwiejąc się jak młode drzewko podczas burzy. W gardle narastało mi jakieś gorąco, a szyję zrosił pot.

- Hej - rzekł łagodnie Daniel, dotykając mojego ramienia. - Nie dotrzemy do niej ani trochę szybciej, o ile nie zatrzymamy się i nie ustalimy naszego położenia.

Wbrew woli coś we mnie pękało, determinacja słabła. Kiwnęłam głową i osunęłam się na ziemię za wysoką, poszarpaną skałą. Po prawej rosła kępa niewielkich ciernistych drzew, chroniąca nas nieco przed wiatrem. Rozpaliliśmy ogień i skuliliśmy się przy nim, owinięci aż po czubki głów wełnianymi kocami. Daniel studiował mapę przy blasku płomieni,

wyjął kompas i sprawdził pozycję księżyca na niebie. Nachyliłam się bliżej nad ogniem, tak aby ogrzewał mi twarz.

- Nie zesliśmy z trasy. Za godzinę powinniśmy dotrzeć do celu. Wypij kilka łyków wody - powiedział Daniel i podał mi manierkę.

Ujęłam ją niepewnie, pomyślałam o Pearl samotnej na zimnie. Usiłowałam sobie przypomnieć, w co była ubrana, kiedy wsadzałam ją do kanu. Jasnoniebieski sweter, brązowe spodnie oraz buty, które kupiłam jej za pieniądze od Daniela. Z tylnej kieszeni wystawała czerwona chusteczka do nosa. Miała na głowie wełnianą czapkę. Nie pamiętałam, czy nosiła rękawiczki. Zamknęłam oczy, skrzywiłam się, zacisnęłam dłonie w pięści i znów rozwarłam, przysuwając je tak blisko ognia, że zaczął mnie parzyć.

- Myra - rzucił ostro Daniel. Pochylił się do przodu, złapał mnie za nadgarstki i odciągnął dłonie od płomieni. - Przestań.

Chcę coś poczuć, pomyślałam. Spojrzałam mu w oczy.

- To niczego nie zmieni - powiedział, jakby czytał w moich myślach.

- Potrzebuję jej bardziej niż ona mnie - wyrwało mi się mimo woli.

Nie od razu odpowiedział. Wpatrywał się w ogień,

a ja zastanawiałam się, czy w ogóle mnie usłyszał.

- To nieprawda - rzekł wreszcie łagodnym głosem.

Moja nadzieja na to, że Pearl, Row i ja będziemy mogły znów być razem, była tylko złudną wizją. Nierealną, głupią mrzonką. Ptakiem bez skrzydeł.

Wszystko to nie mieściło mi się w głowie. Rejs, sztorm, atak piratów. To, jak początkowo oszukałam załogę. To, że przebyliśmy całą tę długą drogę, żeby dotrzeć do Row, a teraz straciłam Pearl. Wydawało się to w okrutny sposób sprawiedliwe, niczym urzeczywistnienie jakiegoś pradawnego ładu. Bogini Sedna wysyłająca morskie stworzenia z głębin oceanu, decydująca o ludzkich losach.

- Co czułeś? - spytałam. - Kiedy twój brat...

Poryw wiatru targnął trawą, pochylił drzewa i rozbrzmiał echem w dole zbocza. Daniel zerwał jagodę z krzaka obok nas i ścisnął między kciukiem a palcem wskazującym, aż pękła.

- To wydawało się nie w porządku. Czułem się... niekompletny. Pusty. Chciałem wszystko naprawić, odzyskać to, co straciłem. - Potrząsnął głową. - Nie można zawsze wszystkiego odzyskać; można to tylko odbudować.

Dołożył patyk do ognia. Z płonącego drewna odkruszył się popiół i rozwiął na wietrze.

- A jeśli nie odnajdę żadnej z nich? - spytałam łamiącym się głosem.

- Tak się nie zdarzy - odrzekł.

Nie poruszył się. Twarz miał nieruchomą, jak wykutą w kamieniu. Blask ognia rzucał na nią migotliwe cienie. W ciszę wdarło się pohukiwanie sowy i żółte oczy rozjarzyły się na drzewie w odległości kilku metrów.

- Jessa... Abran... Marjan... - zaczęłam.

- To nie twoja wina.

Obrzuciłam go gniewnym spojrzeniem. Zachowywał się, jakby ich śmierć nie miała znaczenia. Jeżeli to nie była moja wina, jak inaczej mogłam to zrozumieć? Tylko przyjmując odpowiedzialność za wszystko, co się stało, mogłam zaakceptować to jako rzeczywiste. Tylko tak mogłam nie czuć się bezradna i zagubiona.

- Oczywiście, że moja - warknęłam.

- No owszem, ponosisz odpowiedzialność za to, że oszukałaś załogę. Ale za nic więcej.

Przecząco pokręciłam głową. Straciłam Pearl z powodu tego, co zrobiłam. To moja kara.

- Bywały chwile, że w ogóle nie chciałam być matką - wyszeptałam. Zamknęłam oczy i przeniknęło mnie bolesne poczucie pustki. - Nie chciałam być odpowiedzialna za życie córek. Pragnęłam, żeby zniknęły.

Bałam się je stracić, jednak niekiedy na skraju tego lęku czaiło się tamto pragnienie. Mówiłam sobie, że gdybym się od nich uwolniła, mogłabym się poddać.

Umknąć w głębinę wód, by już nie walczyć, nie musieć udawać silnej.

Teraz straciłam je obie, a jednak nie potrafiłam się poddać. Oddech wydawał się kłutwą. Wciąż powracał, unosił się parą, drwił ze mnie. Własne ciało mnie zdradzało.

- Nie dam rady dłużej ciągnąć tego wszystkiego - wyznałam napiętym głosem. Poczułam piekące łzy w oczach. - Po prostu nie mogę. Już nic nie zostało mi w życiu. - Nieświadomie uniosłam ręce do piersi, szarpałam płaszcz, drapałam paznokciami skórę. - Mam wrażenie, jakby wciąż po kawałku odłupywano mi serce.

Tak jak fale nieustannie uderzające w skałę odkształcają ją, zmieniają w coś innego.

Znów szarpnęłam płaszcz, zerwałam go z siebie. Wbiłam paznokcie w piersi i szyję, czerpiąc ulgę z bólu i powiewu lodowatego powietrza na skórze.

Daniel złapał mnie za nadgarstki.

- Myra, przestań. Myra!

- Chcę ze sobą skończyć - załkałam i przywarłam do niego, ciało ogarniała słabość i ociężałość.

Objął mnie mocno, tulił moją głowę do piersi.

- Nic mi nie zostało. Nie mam już serca - mamrotałam.

- Myro, cierpisz nie z powodu braku serca, tylko dlatego, że nosisz w piersi oprócz swojego jeszcze

dwa inne. Zawsze będziesz je mieć, dźwigać. To twój dar i twoje brzemie.

Przecząco pokręciłam głową, potargane włosy spadły mi na twarz. Nie mogłam już dłużej; czułam, że sobie nie poradzę. Nie wiedziałam nawet, jak mam dalej żyć, jaki kierunek obrać.

„Twoje zadanie jest najtrudniejsze”, powiedziała Marjan.

Muszę stać się kimś, kim dotąd nie musiałam być. Ta myśl napłynęła z jakiegoś miejsca we mnie, o którego istnieniu dotychczas nie miałam pojęcia. Przypomniałam sobie ryby latające, które wzbijają się z wody w powietrze, a ich płetwy trzepoczą jak skrzydła.

Pomyślałam o ojcu i o tym, jak wielka rozpacz musiała nim targać. Rozpacz nie tylko z powodu tego, co już się wydarzyło, lecz również tego, jak to może go zmienić.

Rok przed tym, nim się powiesił, w fabryce, w której pracował, wybuchł pożar. Doszło do zwarcia w instalacji elektrycznej i jaskrawy rozbłysk spowodował u ojca częściową utratę wzroku. Świat, w którym żył, stał się światem niewyraźnych cieni.

Z głębi pamięci napłynęło nieproszone, dawno zapomniane wspomnienie. Pewnego wiosennego dnia, już po wypadku ojca, próbowałam znaleźć w trawie robaki na przynęty. Matka siedziała na

frontowej werandzie, a ojciec właśnie szedł do domu po całym dniu szukania nowej pracy. Codziennie przemierzał ulice, pukał do drzwi sklepów o witrynach zabitych deskami, błagał, by przyjęto go do roboty u jakiegoś farmera.

Tego dnia zatrzymał się metr od mojej matki.

- Dopiero z tej odległości widzę twoją twarz - rzekł cicho.

Matka zacisnęła usta, rzuciła okiem na mnie, wzięła głęboki wdech. Nawet wtedy, jako mała dziewczynka, wiedziałam, że usiłuje się nie rozpłakać. Wstała, ujęła ojca za rękę i poprowadziła do domu.

W trakcie tamtego roku ja też brałam ojca za rękę, oprowadzałam go po okolicy i mówiłam mu, co widzę. Dla mnie to była zabawa, gra. Dla niego musiało to być jak wpełznięcie z powrotem do łona. Docierały do niego tylko stłumione dźwięki i niewyraźne obrazy, gdy coraz bardziej zamykał się w sobie, rozpamiętując to, czego już nie mógł robić.

Wiatr zawył między skałami, chmury przepływały przez księżyc, pogrążając nas w ciemności, a potem w jego łagodnej poświacie. Miałam wrażenie, jakbyśmy siedzieli na skraju świata.

Byłam szczęśliwa, że mogę być twoimi oczami, pomyślałam. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Gdybym ci wystarczyła, nie odszedłbyś z tego świata.

Poczułam, że coś się we mnie zmieniło, że rośnie we mnie bunt. Nie przebyłam całej tej długiej drogi po to, by ktoś inny decydował, kim jestem i ile jestem warta. Nie przebyłam jej, żeby teraz się zatrzymać. Być może pozostałam nadal tamtą małą dziewczynką, ale jestem też kimś innym – tak jak podczas żeglugi niebo staje się morzem, horyzont się przesuwa, nieustannie się wznosi.

Oparłam się o Daniela, ogień powoli nas rozgrzewał. Dałam się nieść nurtowi czasu. Wreszcie wsparłam się rękami o głaz i wstałam. Chmury odpłynęły ku wschodowi, blask gwiazd delikatnie rozświetlił krajobraz. Pomędzy kamieniami rosły kępy niewielkich kwiatków. Mrok opadł długim cieniem na widniejące w oddali Valley.

ROZDZIAŁ 54

Weszliśmy do miasteczka przed świtem. Bładoróżowy brzask na horyzoncie dawał nam dość światła, gdy schodziliśmy zboczem góry. Z oddali zasnuła mgłą Valley wyglądało jak niedawno opuszczone. Na ulicach przewrócone wiadra, zdziczały kot skradający się po krawędzi studni, otwarte drzwi budynków, ubrania i sprzęty domowe wyrzucone na trawniki, kominy, z których nie unosił się dym, panująca wszędzie cisza.

Gdy podeszliśmy bliżej, poczułam zapach śmierci. Ostry, ciężki odór, którego nawet wiatr nie zdołał rozwiać. Przełknęłam z wysiłkiem. Na razie nie dostrzegliśmy żadnego śladu strażników z bandy Upadłych Opatów.

Na obrzeżach osady rozmieszczono stosy pogrzebowe. Miały podstawy z kamieni, a wewnątrz bezładnie leżały zwęglone drewno, kości i popioły. Wiły się z nich w niebo cienkie smużki dymu. Nad odległym stosem krążył kruk, zanurkował ku ziemi i zniknął za chatą.

Niektóre chałupy na skraju osady wyglądały na pospiesznie sklecone z metalowych listew przybitych

do drewnianych desek. Inne budynki, położone w głębi miasteczka, były zbudowane z kamieni i miały dachy kryte strzechą. Kilka pomalowano na żywe kolory - szkarłatny, żółty, intensywnie niebieski. Te barwy wyglądały na zbyt jaskrawe na tle szarzielonego krajobrazu. Wydawały się tutaj nie na miejscu. Ich urok w połączeniu z wonią śmierci dezorientował i irytował.

Zeszliśmy ze zbocza na wąską ścieżkę wydeptaną między skałami. U podnóża góry rosły takie same fioletowe polne kwiaty, jakie włożyłam w dłonie martwej Marjan. Od miejsca, w którym staliśmy, osada rozciągała się mniej więcej półtora kilometra na wschód.

- Pójdiesz na wschód południową stroną, a ja pójdę północną. Spotkamy się na drugim końcu miasteczka - powiedział Daniel.

Zdiczały kot zeskoczył ze studni. Żołądek podjechał mi do gardła. Studnia była zabita deskami, lecz mimo to wydobywał się z niej trupi smród rozkładającego się ciała.

- Dobrze - odrzekłam.

- Myro. - Daniel ujął moją dłoń i ścisnął pokrzepiająco. - Znajdziemy ją.

Kiwnęłam głową i odwzajemniłam uścisk. Wyraz pewności, jaki zobaczyłam na jego twarzy, dodał mi otuchy. Daniel naprawdę w to wierzył.

Rozdzieliliśmy się, ja zaś poszłam południowym skrajem osady, kierując się na wschód. Budynki stojące najbliżej studni miały na metalowych sidingach wymalowane jaskrawoczerwoną farbą napisy drukowanymi literami „TRUP W STUDNI”.

Przypomniałam sobie, jak od właścicielki sklepu w Harjo usłyszałam po raz pierwszy o ataku na Valley. Pamiętałam, że jej głos zdawał się dobiegać z wielkiej odległości. I że pośród wszystkich tych sklepowych półek doznałam nagłego napadu klaustrofobii.

Powiodłam wzrokiem po miasteczku i wemknęłam się chyłkiem za zrujnowany kamienny mur. Powietrze wydawało mi się jakby wełniste, zbyt gęste, by dało się nim oddychać. W otwartych drzwiach pobliskiego domu poruszył się jakiś cień.

Podkrađłam się do futryny, zatrzymałam się na progu i zajrzałam do ciemnego wnętrza, z dłonią na rękojeści noża u pasa.

Ciszę przecięło skrzypnięcie desek podłogowych. Weszłam do środka, wzrok przystosowywał się do panującego tutaj półmroku. Słoneczne światło sączyło się przez koronkowe zasłony. Widocznie przyniesiono je z domu stojącego niżej, kiedy poziom wody się podniósł. Dziwne, jakie rzeczy ludzie zabierali ze sobą, uciekając na wyżej położone tereny.

W pokoju znajdował się osobliwy zestaw mebli – stary stół z jadalni, niewielka kanapa, kilka lamp naftowych zawieszonych pod sufitem. W domu śmierdziało brudem, kałem, moczem i gnijącym jedzeniem. Wszystko było powalane błotem. Weszłam do sypialni, trzymając przed sobą nóż.

Na łóżku siedziała chuda kobieta mniej więcej w moim wieku. Miała szeroko otwarte oczy, uniesione ręce.

- Proszę – wymamrotała z akcentem, którego nie rozpoznałam. – Proszę.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić – powiedziałam, opuszczając nóż. – Czy jest tu ktoś jeszcze?

Przecząco pokręciła głową, ale nadal wodziłam wzrokiem po pomieszczeniu i wciąż trzymałam w ręku nóż.

- Czy widziałaś może małą dziewczynkę? – zapytałam, unosząc dłoń na wysokość piersi, by pokazać wzrost Pearl. – Ma rudawe włosy, jasnobrązową skórę. Nosi niebieski sweter.

Zdałam sobie sprawę z absurdalności podawania tyłu szczegółów. Każda obca dziewczynka zostałaaby zauważona w osadzie, której większość mieszkańców zmarła na dżumę.

Kobieta znowu zaprzeczyła ruchem głowy, lecz wydawało się, że uczyniła to bardziej ze strachu niż w odpowiedzi na moje pytanie. Wzrok miała

zamglony, wyczułam, że ucieka ode mnie, zamyka się szczelniej w sobie. Opuściła ręce na kolana i siedziała nieruchoma jak posąg.

Wycofałam się z sypialni i wyszłam na dwór. Mgła już wyparowała w słońcu, robiło się ciepło. Poszłam dalej, mijając opuszczone domy i wypatrując jakiegokolwiek śladu Pearl. Na krótko zapomniałam, że przebyłam całą tę długą drogę z powodu Row.

Dostrzegłam ruch w oknie innego domu. Mocniej ścisnęłam w rękę nóż, czekając, aż ktoś pojawi się w drzwiach. Ale nikt się nie pokazał. Może to było jakieś zwierzę. Albo człowiek kryjący się przede mną. Czy śledzący mnie.

Byłam już niemal w połowie drogi do wschodniego skraju osady. Miałam przed sobą jeszcze tylko kilka domów, a w odległości kilkuset metrów od nich, na samym południowowschodnim krańcu miasteczka stał samotny budynek. Za nim wznosiło się strome zbocze. Popatrzyłam na mapę. To zbocze prowadziło do urwiska w pobliżu miejsca, w którym rozbiła się „Czarna Lilia”.

Minęłam skupisko budynków. Z jakiegoś niejasnego powodu ten stojący osobno dom przyciągał mnie niczym magnes. Gdy zbliżyłam się do niego i do podnóża zbocza, zobaczyłam na trawniku kawałek jaskrawoczerwonej tkaniny. Spojrzałam jeszcze raz. To była chusteczka Pearl. Schyliłam się, podniosłam

ją i potarłam materiał w palcach.

Skradałam się w kierunku domu, nasłuchując. Jeżeli Upadli Opaci schwytali Pearl i przetrzymywali ją wewnątrz, musiałam wykorzystać element zaskoczenia. Jednak nie słyszałam niczego oprócz krzyków morskich ptaków, które nawoływały się na urwisku, skąd obserwowały wodę i nurkowały po swoje ofiary.

Poza tym panowała niezwykła cisza. Zdawało się, że nawet wiatr nie wieje w tej części Valley.

Podobnie jak w niemal wszystkich innych budynkach, drzwi były uchylone. Dom zbudowano z gładkich heblowanych desek o idealnie wpasowanych złączach, bez żadnych szpar, które trzeba by zatykać mułem, mchem czy trocinami.

„Pewnego dnia zbuduję nam dom”, oznajmił przed laty Jacob. Było to na pikniku nad rzeką Missouri, kiedy poprosił mnie, żebym go poślubiła. Nikt nie powiedział mi niczego równie romantycznego. W tamtym czasie Jacob zrobił dla nas tylko meble, ale marzył o wzniesieniu domu. Uwierzyłam w to jego marzenie, a kiedy wyobrażałam sobie ów dom, wyglądał niemal jak ten tutaj. Niewielki i prosty, stojący w cichym, spokojnym miejscu.

Krew dudniła mi w uszach, gdy podkradałam się do niego i wchodziłam po schodkach werandy. Jeden ze stopni zaskrzypiał. Zastygłam w bezruchu,

nasłuchując. Wydało mi się, że usłyszałam głosy, ale nie byłam pewna, czy sobie tego nie uroiłam.

Stałam na progu i zajrzałam do środka. Przy ścianie stały wykonane ręcznie stolik i bujany fotel. Były dla mnie równie rozpoznawalne jak zapach danej osoby. Te meble zrobił Jacob.

Głos, który, jak mi się wydało, przed chwilą usłyszałam, rozbrzmiał teraz donośniej. Należał do Pearl.

Miałam wrażenie, że znalazłam się pod wodą i wyrywam się ku powierzchni. Że coraz bardziej brakuje mi powietrza; płuca pracują, lecz nie wciągają ani odrobiny.

Rzuciłam się przez salon ku miejscu, skąd dochodził ten głos. Wpadłam do kuchni. Pearl siedziała z ojcem przy kuchennym stole, z filiżanką herbaty w ręce.

ROZDZIAŁ 55

Jacob. Wgapiłam się w niego, znieruchomiała, zbyt zszokowana, by powstrzymać cichy jęk, który wyrwał mi się z ust. Odruchowo przycisnęłam dłonie do piersi, jakbym chciała spowolnić bicie serca. Zesztywniałam, w głowie miałam pustkę. Stałam osłupiała i nie potrafiłam oderwać wzroku od Jacoba.

W końcu otrząsnęłam się z oszołomienia.

- Odstaw to - powiedziałam do Pearl.

Zaskoczona Pearl usłuchała, ostrożnie postawiła filiżankę na stole. Podbiegłam do niej i porwałam ją w ramiona, łapczywie wdychałam jej zapach, a jednocześnie nie spuszczałam z oczu Jacoba. Posadziłam Pearl przy sobie, nieco z tyłu, i trzymałam dłoń na jej ramieniu. Nadal nosiła przewieszony przez ramię gruby płócienny worek z węzami.

Kuchnia była ciasna, zagracona, naczynia leżały na małym wózku i na półkach. Wszędzie do drewnianych ścian przypięto dziecięce rysunki. Dienne światło wpadało przez okno nad stołem, wychodzące na porośniętą trawą stok. Przez okno nie było widać nieba, więc odnosiło się wrażenie, że dom zaraz pochłonie olbrzymia trawiasta fala. Zatęskniłam do

nieustannego ruchu morza, nie chciałam zostać z jednym mężczyzną w jednym pokoju, gdzie wszystko jest takie solidne i nieruchome.

Jacob się nie zmienił, z wyjątkiem tego, że schudł i wyglądał bardziej słabowicie. Wciąż miał kasztanowe włosy, twarz gładką, bez zmarszczek, brązowe oczy o łagodnym spojrzeniu.

- Cześć, Myro - rzekł cicho.

Ton, jakim to powiedział, sprawił, że poczułam się słabsza, jakby wbrew mojej woli runęły jakieś mury obronne. Rozpaczliwie usiłowałam opancerzyć się przed nim. Przed jego znajomą postacią, zarysem podbródka, sposobem, w jaki siedział pochylony nad stołem, lekko uniesionymi brwiami, jakby miał zaraz zadać jakieś osobiste pytanie.

Pearl spojrzała na mnie i odezwała się:

- On mówi, że jest moim ojcem. Powiedziałam mu, że mój ojciec nie żyje.

- Myro, czy ona... - Jacob nie dokończył. Twarz miał wymizerowaną, ze sterczącymi kośćmi policzkowymi. - Nazwała mnie przyjacielem rodziny. Ty... musisz mieć jakąś fotografię.

Przypomniałam sobie o zdjęciu przedstawiającym Row i Jacoba, które przez wiele lat pokazywaliśmy ludziom w faktoriach. Pearl dawniej lubiła je oglądać.

- Powiedziała: „Ty pewnie jesteś przyjacielem mamy. Gdzie Row?”. Przyjrzałem się uważniej i...

zaparło mi dech. To, że stała tutaj. Pomyślałem... że jest widmem, zjawą. Zapytałem, kto jest jej matką, a ona wymieniła twoje imię - rzekł Jacob i spojrzał na mnie oczami błyszczącymi od łez.

- On upadł - oznajmiła spokojnie Pearl.

Jacob się roześmiał, łzy płynęły mu po policzkach i kapały na stół.

- To istny cud.

- Jesteś dla niej nikim. Jesteś nikim - powiedziałam.

Jacob zacisnął usta w cienką linię i przytaknął lekkim skinieniem głową.

- Nigdy nie byliśmy mili dla siebie nawzajem, prawda? - rzekł.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Czasami potrafiłam pamiętać tylko o jego zdradzie, porzuceniu Pearl i mnie. Łatwo było zapomnieć krótkie momenty egoizmu i apatii, niezliczone sposoby, w jakie ignorowaliśmy się nawzajem. Sytuacje, gdy wychodził z domu, spędzał po kilka dni z ludźmi, których nie znałam, zamiast pomagać nam w przygotowaniach do ucieczki przed powodzią. Sytuacje, kiedy próbował mówić o swoich obawach, a ja odwracałam się do niego plecami, udawałam, że niczego nie słyszałam. Nie chciałam tego pamiętać - te wspomnienia wszystko gmatwały i odbierały mi jasność myślenia.

Skierowałam nóż w stronę Jacoba. Ręka drżała mi tak bardzo, że ostrze dygotało. Pulsował we mnie

gniew, a ściany zdawały się na mnie napierać. Pod furią odczuwałam rosnącą bezbronność, kiełkującą we mnie tęsknotę za światłem. Pragnęłam dowiedzieć się wszystkiego i usłyszeć odpowiedzi na wszystkie moje pytania, lecz zarazem chciałam zmusić Jacoba do milczenia.

- Gdzie jest Row? - zapytałam stanowczo.

Przez jego twarz przemknął wyraz bólu i Jacob spuścił wzrok. Poczułam się odrzucona, zawieszona w powietrzu. Chciałam poczuć uderzenie upadku po drugiej stronie. Musiałam się dowiedzieć. Być może tylko po to tu przybyłam.

- Gdzie ona jest? - powtórzyłam.

- Ta choroba... - zaczął Jacob.

Wyglądał tak samo jak przed chwilą, ale jego głos zabrzmiał inaczej, łagodniej. Głos człowieka złamanego. Podniósł na mnie wzrok, a ja zamknęłam oczy. Jego głos wydrążył mnie, jak nóż wyskrobujący wnętrzności z brzucha ryby. Wstałam, ogarniał mnie bezwład, czułam, jak wibruje we mnie pustka.

- Pokażę ci - rzekł cicho, wstając.

Wyszliśmy na dwór. Jacob poprowadził nas wokół domu na tyły. Była tam siekiera wbita w pniak, a obok sterta drewna na opał. Na ziemi, pod oknem z pękniętą żaluzją leżało kilka narzędzi.

Wiatr się wzmógł, powiał w dół stoku, trawy zafalowały. Podmuch zwiął mi włosy na twarz. Niebo

pociemniało, ale trawa lśniła jaskrawo, złociście.

Okrążyliśmy niewielki ogródek i drewnianą przybudówkę. Wtedy to zobaczyłam. Kopczyk kamieni i drewniany krzyż w połowie zbocza.

Kiedy doszliśmy do grobu, padłam na kolana i czekałam, aż poczuję to uderzenie. Czekałam, aż znajdę się po drugiej stronie żalu. Przez wszystkie te lata żałowałam, że nie ma przy mnie Row, ale nie mogłam opłakiwać jej śmierci. Teraz byłam po drugiej stronie - po stronie pełnej świadomości ogromu mojej utraty.

Czekałam i czekałam, ale nic się nie pojawiło.

Pearl uklękła obok mnie, ujęła moją dłoń w swoje. Gdy mnie dotknęła, załamalam się wewnętrznie, niczym lodowce wpadające do morza i znikające w nim powoli. Odwróciłam się ku niej, oparłam bezwładnie głowę na jej drobnym ramieniu i szlochałam, a ona gładziła mnie po włosach.

Przypomniałam sobie twarz Row, to, jak marszczyła nos, gdy się uśmiechała. Drobne ząbki. Zastanawiałam się czasami, kiedy staną się większe, odpowiednie do jej wieku. Głos tak wysoki, że brzmiał jak ptasi śpiew. Sięgnęłam pamięcią do następnych wspomnień związanych z nią, pragnęłam cofnąć się w czasie.

Ukucnęłam, objęłam Pearl i znów wdychałam jej zapach, tak długo, aż przyniósł mi ukojenie. Gdy

w końcu odchyliłam się do tyłu na piętach, kątem oka zobaczyłam Jacoba stojącego na uboczu ze spuszczoną głową, z rękami założonymi za plecami. Nie tak to sobie wyobrażałam - że będę klęczała przy grobie Row, a nieopodal będzie stał Jacob. Wyobrażałam sobie, że Row, Pearl i ja będziemy razem, a Jacob zniknie, jakby nigdy nie istniał.

Moje odrętwienie stopniowo ustąpiło miejsca znajomemu płomiennemu gniewowi. Spiorunowałam wzrokiem Jacoba, ale gdy odpowiedział mi spojrzeniem, miał na twarzy pustkę, żałośnie opuszczone kąciki ust, a w oczach znużenie.

- Kiedy? - zapytałam.

Przygryzł wargę i spuścił wzrok.

- Zbudowałam ten grób przed czterema dniami. Tamci chcieli zabrać ją ze sobą, żeby pracowała na statku. Ale ona zachorowała.

Gdybyśmy dotarli tutaj tylko trochę wcześniej, mogłabym ją odzyskać. Poczuć ciepło jej skóry, spojrzeć w oczy. Usłyszeć jej głos. Mogłabym zachwycać się nawet półkolistym zarysem rzęs, szorstkością łokci. Zachować je w pamięci i pielęgnować te wspomnienia każdego dnia. Podobnie, kiedy malutką szczypałam w czubek każdego palca i razem obserwowałyśmy, jak z powrotem napływa do nich krew. Byłyśmy obie zafascynowane jej ciałem. Pragnęła poznać nazwę

każdej jego części i każdego doznania, a ja czułam się szczęśliwa, mogąc być naocznym świadkiem rozkwitu nowego życia. Życia już nie w moim ciele – owo życie nigdy nie wydawało mi się dostatecznie realne – lecz w ciele Row. Cudownego przebudzenia dla nas obu. Ona była moim drugim przebudzeniem, moimi drugimi narodzinami.

Jacob ukucnął przy grobie i przełożył jeden z kamieni. Trawa wokół Jacoba zafalowała na wietrze, jego kasztanowe włosy odcinały się jaskrawo na tle szarego nieba. Potrząsnął głową i mówił dalej:

- Wbrew temu, co sądziliśmy, epidemia nie wygasła. Nie pozwolili mi... zabrać ciała. Spalili je razem z innymi. Pogrzebałem tutaj kilka z jej ulubionych rzeczy.

Wstałam zszokowana. Obok mnie Pearl też się podniosła i otrzepała nogawki spodni. Nienawidziła brudu. Nie przywykła do niego. Wydawało się, że wszystko tutaj pachnie pyłem i ziemią.

- Nie byłeś przy niej? - spytałam.

- Zabrali mi ją kilka miesięcy temu. Zabrali wszystkie dziewczynki mniej więcej w jej wieku. Trzymali je w areszcie. - Jacob popatrzył w dół z bocza na niewielki kamienny budynek stojący w pobliżu środka osady. - Początkowo pozwalali mi ją odwiedzać, ale potem powiedzieli, że zachorowała i musi być odizolowana. Nie wiedziałem nawet, że

umarła, dopóki nie spalili ciała. Kiedy ją zabierali, próbowałem z nimi walczyć, przez co pobito mnie niemal na śmierć. Próbowałem, Myro, próbowałem – powiedział i rozłożył ręce w błagalnym geście, a jego czoło między brwiami przecięły pionowe bruzdy.

- Gdybyś próbował, nie byłoby cię nadal tutaj – rzuciłam. Przy Row nie było nikogo, kto pielęgnowałby ją w jej ostatnich dniach przed śmiercią. Kto trzymałby ją za rękę. Poryw zimnego wiatru targnął trawą. – Dlaczego wciąż tu jesteś?

Przez twarz Jacoba przemknął cień urazy.

- Skąd wiesz, że ona... – zaczęłam.

- Do portu nie zawinęły żadne statki reprodukcyjne. Obserwowałem wybrzeże. – Jacob ruchem głowy wskazał w kierunku urwiska, z którego rozpościerał się widok na całą południową linię brzegową. – Pewnego ranka niebo przesłonił dym ze stosu pogrzebowego, a areszt był niemal pusty. Row i druga dziewczynka zmarły poprzedniej nocy. Tamci nie mieli żadnego powodu, by mnie okłamać.

Wyobraziłam sobie Row leżącą na jakiejś brudnej pryczy w jednym z budynków, które minęłam. Może w niewielkim baraku z pustaków albo w kamiennej chacie niemal bez okien. Wyobraziłam ją sobie usychającą z pragnienia, jej drobne ciało wstrząsane dreszczami z zimna. Strażników przy drzwiach, jedzenie wsuwane na tacy po podłodze.

Nie, pomyślałam. Ona nie mogła skończyć w taki sposób.

Chciałam sięgnąć po nóż, ale się rozmyślałam. Otarłam dłonie o spodnie i starałam się oddychać głęboko, by zapanować nad wzbierającą we mnie furią. Od dawna wiedziałam, że Jacob potrafi być bezlitosny w swojej słabości, jednak nigdy nie przypuszczałam, do czego to może doprowadzić, jak bardzo wpłynie na mnie.

- Powiedzieli mi, że tylko pogorszę jej sytuację, jeżeli nadal będę próbował odzyskać ją siłą - rzekł Jacob. - Czy nie widzisz? - Uniósł ręce, odwrócił się i wskazał dolinę poniżej, urwiska, morze za nimi. - Jesteśmy teraz całkiem sami. Tutaj nie jest już tak, jak było wcześniej.

Mogłabym powiedzieć Jacobowi to, co już wiedziałam - że możemy wybrać samotność równie dobrze jak cokolwiek innego. Nic na świecie nie zmieni tego, że wybór zawsze należy do nas. Nadzieja nigdy sama nie zapuka do drzwi. Musimy wywalczyć sobie drogę do niej, wyrwać ją ze szczelin w naszych klęskach i utratkach, z których wyrasta jak zielsko, i trzymać ją mocno.

Ale nie powiedziałam mu tego. Ledwie mogłam wydobyć głos, wściekłość dusiła mnie za gardło.

- Nigdy nie wierzyłeś we mnie i Pearl. W żadną z nas - rzuciłam, mierząc go ostrym spojrzeniem.

Ciało miałam napięte jak linę naciągniętą na bloczku.
- Dlatego zostawiłeś nas na śmierć.

Złocista trawa zakołysała się w podmuchu wiatru, który powiał znad urwiska, a potem spłynął w dół wzgórza. Z ziemi uniósł się zapach roślinności usychającej w zimowym chłodzie i zawirował obok nas. Niebawem to wzgórze pokryje śnieg.

Jacob zamknął oczy.

- Tam nie było więcej miejsca.

- Nie było więcej miejsca? - powtórzyłam ledwie słyszalnym szeptem.

Zwiesił głowę, ukrył twarz w dłoniach, a potem bezwładnie opuścił ręce. Gdy się odezwał, mówił tak, jakby recytował opowieść, której już dawno nauczył się na pamięć:

- To była łódź Davisa. Spotkałem się z nim kilka tygodni przed tym, zanim woda przerwała tamę. On i jego rodzina planowali ucieczkę przed powodzią. Powiedział, że w jego łodzi jest miejsce jeszcze tylko dla dwóch osób. Zapytałem go... zapytałem, czy nie znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednej, żebym mógł przyprowadzić i ciebie, i Row, ale odpowiedział, że nie. Zagroził, że nie zabierze nikogo z nas. Zwłaszcza kiedy się dowiedział, że jesteś w ciąży... - Jacobowi głos się załamał.

Popatrzył na Pearl. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Twarz miała pozbawioną wyrazu, ręce zwisały

bezwładnie wzdłuż ciała. W jej płóciennym worku coś się lekko poruszyło.

- A poza tym - podjął Jacob - zapytałem cię o to tamtego dnia, kiedy pielęłaś grządkę warzywną, a ty odmówiłaś. Nie mogłem czekać, aż twój dziadek ukończy budowę łodzi. Bałem się, odchodziłem od zmysłów ze strachu. Wiedziałem, że powódź przerwie tę zaporę.

W dole fale rozbijały się z hukiem o skały, a ciszę między kolejnymi uderzeniami wypełniało głucho wycie wiatru.

- Mogłeś zaczekać. Mogłeś powiedzieć mi coś więcej - odparłam.

- Myro, ty nigdy mnie nie słuchałaś!

- Teraz próbujesz obwinić mnie? Zaplanowałeś ucieczkę, a potem zrealizowałeś ten plan i porzuciłeś nas, lecz mimo to sugerujesz, że to ja zawiniłam?

- To nie była twoja wina. Chodzi tylko o to, że... ciągle się obawiałaś, że stanę się taki jak twój ojciec.

Zesztywniałam, gdy wspomniał o moim ojcu. Ogarnęło mnie nerwowe napięcie, spocły mi się dłonie. Od strony Valley dobiegł wrzask jakiegoś niewielkiego zwierzęcia upolowanego przez drapieżnika. Być może jastrząb wbił szpony w brzuch swojej ofiary. Przecząco pokręciłam głową, jednak wiedziałam, że Jacob ma rację.

Pospiesznie mówił dalej:

- Traktowałaś mnie zawsze jak kogoś słabego i niegodnego zaufania. Stale obrzucałaś mnie takim samym spojrzeniem jak teraz.

- Jakim? - spytałam.

- Mówiącym, że spodziewasz się, iż cię rozczaruję.

- A ty zawsze spełniałaś to oczekiwanie.

Jacob zamknął oczy i westchnął.

- Kiedy cię porzuciłem, wyrzuty sumienia niemal mnie zabiły - wyznał. - Chciałem umrzeć. Ale postanowiłem dalej żyć, żeby opiekować się Row.

- Świetnie się spisałeś! - rzuciłam z furją.

Poczułam do siebie nienawiść. Jak mogłam kiedykolwiek kochać tego człowieka?

- Żałuję tego, Myro. Ogromnie żałuję, ale... nie mogłem nic poradzić na to, co się z nią stało. - Wzruszył ramionami, rozłożył szeroko ręce, a potem opuścił je bezwładnie wzdłuż ciała. - Na tym świecie nie pozostało już nic prawego.

Zadrżał mu podbródek i Jacob zamrugał, powstrzymując łzy. Nisko nad nami przeleciał jakiś ptak i usiadł na krzyżu grobu Row.

- Wybrałaś łatwe wyjście. Zawsze robisz to, co jest dla ciebie najłatwiejsze.

Jacob zamknął oczy, a gdy je otworzył, ujrzałam w nich strach. Ukrył twarz w dłoniach i tarł oczy kłykciami. Potem spojrział w dół z boku na Valley - wydawało się, że kogoś wypatruje. Ogarnęło mnie

nagle osobliwe wrażenie, że Jacob czeka na czyjeś przybycie.

Ptak tupał nóżkami i niecierpliwie skrobał pazurkami drewniany krzyż. Rzuciłam na niego gniewne spojrzenie. Kiwnął głową, jakby oczekiwał, że dostanie jakiś smakołyk za dobrze wykonane zadanie.

Na nóżce miał metalową obręczkę. Poczułam, że świat wokół mnie się kurczy.

- Powiedziałaś im - wyszeptałam, oglądając się do tyłu na Jacoba.

Wysłał wiadomość do strażników, że w Valley wylądowali obcy. Wezwał ich, żeby przyszli po nas.

ROZDZIAŁ 56

Nim się zorientowałam, już trzymałam w ręku nóż. Rzuciłam się na Jacoba, a on zatoczył się do tyłu, odwrócił się i pobiegł w górę zbocza.

Popędziłam za nim. Obejrzał się na mnie przez ramię. Biegł szybko, pęd rozwiewał mu włosy. Strach, który ujrzałam w jego oczach, był odbiciem mojego własnego przerażenia. Tylko mgliście zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Dogoniłam Jacoba po kilkunastu krokach i skoczyłam na niego. Chwyciłam go za poję koszuli, oboje upadliśmy, potoczyliśmy się po kamieniach i suchej trawie. Przemknęło mi przez głowę wspomnienie tego, jak w naszym domu w Nebrasce walczyliśmy kiedyś w łóżku o list, którego Jacob nie chciał mi pokazać, spleceni ze sobą, z twarzami jedna przy drugiej.

Teraz wysliznęłam się spod Jacoba i mocno rąbnęłam go łokciem w plecy, a potem przygniotłam go kolaniem, wkładając w to cały mój ciężar. Dusił się z braku powietrza, usiłował rozorać mi paznokciami nogę, lecz nie mógł jej dosięgnąć.

Złapałam go za włosy, szarpnęłam mu głowę do tyłu i przystawiłam ostrze noża z boku do gardła.

Z dreszczem zgrozy uświadomiłam sobie, że od dawna właśnie tego pragnęłam - niemal równie mocno, jak ujrzenia znowu Row. Pragnęłam odwrócić przeszłość, nie być już tamtą bezsilną sobą.

- Nie - wychrypiał.

Mocniej ścisnęłam rękojeść noża, moje mięśnie się naprężyły. Jacob miał wzrok utkwiony w czymś w dole wzgórza. Popatrzyłam w tamtym kierunku.

Pearl stała na zboczu poniżej nas, przy grobie siostry. Zadarła głowę i zrobiła kilka kroków ku nam, trawa falowała wokół jej kostek. Była jedynym ruchomym kształtem na tle szarego nieba.

Poczułam się, jakbym znów znalazła się na rozbitym statku gnany przez wiatr ku brzegowi. Podmuch targnął kosmykami rudych włosów Pearl. Widziałam idealny zarys jej podbródka. Przypomniałam sobie brzmienie głosu wydobywającego się z małych ust.

Nie zasługiwała na wszystkie te okropieństwa, jakie ją spotykały. Na oglądanie tego, jak jej matka zabija jej ojca. Jak wiele już widziała rzeczy, których nie powinna być świadkiem? Wzbierał we mnie szloch, a z gardła wyrwał mi się chrapliwy skowyt, niczym erupcja mroku. Jakbym pozbywała się w ten sposób żądzę mordu oraz żalu powracającego do pustki, z której wyrósł.

- Pozwól, żebyśmy ci pomógł - wyszeptał Jacob.

Spróbował unieść rękę z ziemi, ale drżała tak bardzo, że znów ją opuścił. – Zajmę się nimi, abys mogła uciec.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – warknęłam.

Odwróciłam go na plecy, by móc spojrzeć mu w twarz, lecz nadal trzymałam nóż wymierzony w niego.

– Myro, kiedy ona przyszła do mojego domu, nie wiedziałem...

– Nie wiedziałeś, że jest twoją córką? Ale odesłałeś do nich swoje drugie dziecko. Czy właśnie tym się parasz? Wzywasz ich, kiedy ludzie przybijają do tego brzegu?

Jacob zamknął oczy.

– Nie jestem dumny z niczego, co zrobiłem. Kiedy się zorientowałem, kim ona jest...

Głos mu się załamał i Jacob przygryzł usta. Po chwili opanował się i wyjaśnił, że najpierw zobaczył ją z oddali, a zanim się zbliżyła, już wysłał wiadomość do strażników.

– Torturowali mnie, jeśli porzucałem obserwowanie wybrzeża. Właśnie dlatego pozwolili mi mieszkać tutaj, na uboczu. Nieustannie wypatrywałem ze zbocza wzgórza i ze szczytów urwisk nadpływających statków. Kiedy zbliżyła się do mojego domu, miałem wrażenie, że ujrzałem ducha. Od lat dręczyły mnie myśli o niej. – Jacob potrząsnął głową. – Po prostu

pozwól mi zrobić tę jedną rzecz, żebyście mogły obie uciec. Od śmierci Row pragnę choć raz postąpić, jak należy. Myślę, że przez cały czas czekałem na ciebie.

Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam, że mówi szczerze. W przeszłości często ukrywał przede mną prawdę, jednak nie potrafił skłamać mi prosto w oczy. Brakło mu odwagi i pewności siebie, żeby być przekonującym kłamcą.

Jednak zamiast wdzięczności poczułam, że mam władzę nad Jacobem. Mogłam odmówić mu wszystkiego, tak jak on kiedyś odmówił mnie. Przypomniałam sobie, jak jeszcze na „Sednie” pragnęłam znaleźć coś pomiędzy zemstą na Jacobie a wybaczeniem mu. Lecz teraz nie chodziło mi o coś takiego. Chciałam odebrać Jacobowi wszelką możliwość wyboru, upokorzyć go.

- Nic cię nie rozgrzeszy - powiedziałam.

Ściągnął brwi.

- Wiem - wyszeptał. - Nie zdołam cię uratować. Ale ty możesz sama się ocalić. Pospiesz się, Myro, tamci lada moment się zjawią.

Morskie ptaki jakby w odpowiedzi na niesłyszalny zew wzbiły się nagle z urwiska w powietrze, szaleńczo bijąc skrzydłami. Widziałam ich białe piersi, czarne skrzydła, pomarańczowe smugi powyżej dziobów. Pofrunęły z wyciągniętymi szyjami, wpatrzone w coś w oddali.

„Twoje zadanie jest najtrudniejsze”.

Pearl szła ku nam w górę zbocza. W trawie w pobliżu Jacoba chwiały się na wietrze fioletowe kwiatki. Dopiero teraz spostrzegłam, że są podobne do kwiatów, które położył na tacy tamtego ranka, kiedy przyniósł mi śniadanie do łóżka. Zapomniałam o nich, o tym, że pachniały spadzią, o ich jasnofioletowej barwie w świetle zachodzącego słońca. Zapomniałam też, że poprzedniej nocy pokłóciliśmy się o coś, czego teraz już nie pamiętałam. Może chodziło o różnicę zdań w kwestii racji żywnościowych, Row albo sposobu postępowania wobec migrantów przechodzących przez nasze miasteczko.

Pomyślałam, że Jacob tym gestem próbował wtedy pomóc nam przewyciężyć tę sprzeczkę. Miał mnóstwo wad, ale umiał wyciągać rękę do zgody i starać się łagodzić konflikty, rozwiązywać kryzysowe sytuacje.

Teraz razem z córką musiałyśmy właśnie poradzić sobie z taką sytuacją. A upokarzanie Jacoba nie pomoże nam w tym. Pearl zatrzymała się obok mnie, czekała, by się przekonać, jak postąpię. Puściłam Jacoba i przykucnęłam na piętach, ale nadal przyglądałam mu się nieufnie, trzymając nóż wymierzony w niego.

- To nie zmienia tego, co zrobiłeś - powiedziałam.

Jacob odczłgał się na plecach ode mnie. Wskazał kępę krzaków i młodych drzewek rosnących na zboczu kilka metrów poniżej nas.

- Schowajcie się tam. Powiem im, że uciekłyście w tamtą stronę - rzekł, wyciągając rękę w kierunku przeciwnym do zarośli. Od jego domu dobiegły głosy. Popatrzył w dół na niego i zaklął. - Cholera, już tu są. Nie zdołam załatwić trojga, ale spróbuję zyskać dla was czas. Jeśli mnie zabiją, musicie uciec do Valley i kryć się w pustych domach. No, ruszajcie.

Chwycałam Pearl za rękę i pociągnęłam w stronę zarośli. Wczołgałyśmy się między drzewka i przywarłyśmy do ziemi za krzakiem uginającym się od jagód.

Jacob zaczął schodzić zboczem wzgórza w kierunku strażników. Zjawili się wszyscy troje. Na czele grupki szła ogolona na łyso kobieta, a za nią podążali dwaj mężczyźni: jeden wychudły i utykający, drugi wysoki, z wydatnym torsem. Widziałyśmy ich pomiędzy gałęziami i jagodami, ale nie mogłyśmy ich usłyszeć, gdy zaczęli rozmawiać z Jacobem.

Kobieta z irytacją marszczyła brwi, wymachując niewielkim toporkiem. Powiedziała coś do Jacoba i ruchem głowy wskazała w górę zbocza na miejsce, w którym go zaatakowałam. Serce mi zamarło, gdy uświadomiłam sobie, że widziała nas wtedy. Zapewne mogła nas zobaczyć z domu, gdy znajdowaliśmy się

na odsłoniętym stoku.

Jacob gestykulował obszernie rękami, nie zgadzając się z czymś, co mówiła. Kobieta zachowywała niewzruszony wyraz twarzy, usta miała mocno zaciśnięte. Poczulałam mdłości z niepokoju.

Wysoki mężczyzna poruszył się niecierpliwie i wytarł ostrze noża w połą koszuli. Drugi, wychudły, zamierzył się nożem na Jacoba, który odskoczył do tyłu, wyciągnął zza paska nóż i cisnął nim w napastnika. Ostrze wbiło się w pierś chudego mężczyzny, który zatoczył się i upadł na trawę.

Dwoje jego towarzyszy popatrzyło ze zdumieniem na Jacoba. Nawet mnie zaskoczyła zmiana, która w nim zaszła. Jacob, jakiego znałam, był łagodnym człowiekiem unikającym walki. Teraz pierwszy raz wyglądał naprawdę na ojca Pearl. Stał w postawie, jaką czasami przybierała, wyprostowany, z szeroko rozstawionymi nogami, jakby wiedział, że chociaż nigdy nie podbije świata, jednak mu się nie podda.

Kobieta zamachnęła się na niego toporkiem. Jacob uchylił się i rzucił na wysokiego mężczyznę, oplótł go ramionami, usiłując przewrócić na ziemię.

Pearl chwyciła mnie za rękę i ścisnęła. Popatrzyłam jej w oczy i zrozumiałam, że obie wiemy, iż będziemy świadkami śmierci Jacoba. Poza tą świadomością oczy córki były ciemne, nieodgadnione, jak okna ze spuszczoneymi żaluzjami. Oddychałam szybko i płytko,

próbowałam przełknąć, ale czułam w ustach suchość, jakby napchano do nich wełny.

To się nie uda, uświadomiłam sobie. Jacob miał rację. Nie zdoła w pojedynkę pokonać wszystkich trojga.

Pozbawiona kołysania morza, nie potrafiłam jasno myśleć. Zapach ziemi, gałęzie nad głową – wszystko to przytłaczało mnie, sprawiało, że czułam się osaczona i bezradna.

Przypomniałam sobie, jak Jacob spoglądał na mnie, gdy szliśmy główną nawą kościoła w dniu naszego ślubu. Wyraz uwielbienia na jego twarzy, lękliwe drżenie dłoni.

Przypomniałam sobie, że czasami umiałam wczuć się w niego, dręczonego niepewnością i brzemieniem odpowiedzialności. Jak przyglądałam mu się, gdy stał w świetle padającym z okna, i wiedziałam, że każde z nas patrzy na świat inaczej.

Przypomniałam sobie, że unikał spojrzenia na mnie, gdy wsadzał Row do łódki. Wciąż płonęła we mnie ta sama wściekłość na niego, nadal nie potrafiłam mu przebaczyć, lecz zarazem wiedziałam, że jeśli nie zacznę działać, wszyscy zginiemy.

Jacob mocował się z wysokim mężczyzną, usiłował powalić go na ziemię, ale przeciwnik uderzył go pięścią i Jacob upadł. Zerwał się znów na nogi, a wtedy kobieta zamierzyła się na niego toporkiem.

Zamknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, Jacob klęczał, z jego brzucha tryskała krew.

Poczułam się, jakbym to ja otrzymała ten cios. Ścisnęłam w pięści pęk trawy i wyrwałam go, w nozdrza uderzył mnie wonny, obcy zapach ziemi. Przygryzłam usta tak mocno, że poczułam smak krwi. Jacob powiedział, żebyśmy ukrywały się w pustych domach. Ale jak długo? Dopóki tamci nas nie odszukają. Dzielilo nas od nich zaledwie kilkanaście metrów. Najpierw przetrząsną te zarośla, jedyną kryjówkę na tym nagim zboczu. A jeśli natychmiast pobiegniemy do Valley, zobaczą nas. Musiałam zakończyć to teraz.

ROZDZIAŁ 57

- Zostań tutaj - poleciłam Pearl.

- Nie. - Zaczęła podnosić się z ziemi.

Złapałam ją za ramię i pociągnęłam w dół.

- Rób, co mówię - warknęłam.

Tamci zataczali kręgi, przeszukując zbocze, wypatrując jakiegokolwiek naszego śladu. Przekradłam się między drzewami i wyszłam z krzaków przed ich oczy. Zobaczyli mnie. Ruszyli ku mnie, a ja odwróciłam się i zaczęłam wchodzić po stoku, oddalając się od grobu Row poniżej, a zbliżając do skraju urwiska.

Zatrzymałam się metr od krawędzi. Trawa była tak sucha, że kilka łodyg ułamało się, gdy po nich przeszłam, wiatr porwał je w górę, z dala od morza. Poczułam zapach dymu płonącego drewna dochodzący z naszego obozowiska w dole. Ten dym nasunął mi na myśl to, jaki smród musiał unosić się w Valley, gdy Upadli Opaci zaatakowali osadę, jak wszędzie zapanowały ciemność i brud, kiedy mieszkańcy ginęli. Pożary, huk armat, trupy leżące na ziemi. Nasze życie to ciemna chmura, której nie da się przeniknąć wzrokiem.

Drżałam. Zgarbiłam się, pochyliłam głowę, spuściłam wzrok. Staralam się wydać niska i drobna.

- Moja córka - jęknęłam, gdy tamci zbliżyli się na tyle, by móc mnie usłyszeć. - Spadła tam.

Wyjrzałam za skraj urwiska, jakbym wpatrywała się w martwe ciało na dole.

Z rozcięcia na czole mężczyzny sączyła się krew. Otarł ją ręką. Kobieta miała bladą, pomarszczoną twarz. W ręce trzymała luźno toporek. Zacisnęła usta w stanowczym wyrazie i ze zniecierpliwieniem wodziła wzrokiem pomiędzy mną a brzegiem urwiska.

Przycisnęłam dłonie do piersi, jakby targana żalem, i zachwiałam się jeszcze bliżej krawędzi klifu.

- Hej, posłuchaj - rzucił mężczyzna, postąpił naprzód i złapał mnie za nadgarstek, żeby odciągnąć od przepaści.

Wyswobodziłam rękę, stanęłam za nim, po czym zepchnęłam go z urwiska. Usłyszałam jęk kobiety. Mężczyzna nie spadł w sposób, jakiego się spodziewałam: tak, że mogłabym to prześledzić. Po prostu zniknął mi z oczu, a potem pojawił się na dole, leżąc bezwładnie na ziemi.

Cofnęłam się kilka kroków od skraju urwiska, zwrócona twarzą do kobiety. Przepaść była bronią, której mogłam użyć tylko raz, skoro przeciwniczka już poznała moje zamiary. Wyciągnęłam z pochwy

długi nóż. Kobieta wzniosła toporek i trzymała go oburącz, jakby miała zamachnąć się nim niczym kijem baseballowym.

Przestraszył mnie krzyk przypominający dziki wrzask zwierzęcia polującego w ciemności. Poniżej Pearl biegła ku nam w górę zbocza.

Kobieta zaatakowała mnie toporkiem. Uchyliłam się i rzuciłam się na nią, mierząc nożem w szyję. Tylko drasnęłam jej skórę, kobieta przycisnęła dłoń do skaleczenia. Zmierzyła mnie posępnym spojrzeniem, znów uniosła toporek na wysokość ramienia i ruszyła ku mnie.

Za nią widziałam zbliżającą się coraz bardziej Pearl. Strażniczka zamachnęła się toporkiem, celując w brzuch, a ja odskoczyłam do tyłu, jednak ostrze trafiło mnie tuż nad prawym biodrem. Przeszył mnie ból, nogi miałam jak z waty, upadłam.

Pearl dotarła na szczyt wzgórza i zatrzymała się nieopodal nas, wiatr rozwiewał jej rude włosy. Miała puste ręce, jedną trzymała przy boku, drugą opierała o otwór torby na ramieniu.

Usiłowałam wstać, zaatakować kobietę, zanim zdoła dopaść Pearl, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i znów osunęłam się na ziemię.

Z ostrza toporka skapywała krew. Kobieta znowu go uniosła, zamierzając się na Pearl. Pot zalewał mi oczy; zacisnęłam zęby i rzuciłam się w kierunku

strażniczki. Wbiłam nóż przez jej but w stopę, przygważdżając ją do ziemi. Kobieta wrzasnęła z bólu i szarpnęła za nóż, próbując go wyciągnąć. Potem poderwała stopę z wciąż tkwiącym w niej nożem, zatoczyła się do tyłu i upadła.

- Pearl, uciekaj! - krzyknęłam.

Znów spróbowałam się podnieść, lecz nogi ugięły się pode mną z osłabienia. Przycisnęłam dłoń do rany i oparłam się na drugiej ręce, wbijając kłykcie w ziemię.

Pearl rzuciła mi poirytowane spojrzenie. Sięgnęła do torby i wyjęła węza wijącego się w jej ręce. Do tej pory go nie widziałam, zastanawiałam się zmaconym umysłem, dlaczego Pearl z dumą demonstruje napastniczce swoje węże.

Leżąca kobieta z przerażenia wytrzeszczyła oczy, podparła się na łokciach i zaczęła pełznąć do tyłu, odpychając się nogami, ryjąc obcasami ziemię. Wydawała ciche piski, gdy Pearl podchodziła do niej z węzem w ręku. Ogarnęła mnie zgroza, gdy zorientowałam się, że to żmija. Pearl przez cały ten czas łamała mój zakaz. Zalała mnie fala zaskoczenia i ulgi. Pearl cisnęła w strażniczkę żmiją, która przeleciała łukiem obok mnie niczym brązowa smuga i upadła na jej pierś. Gdy kobieta uniosła rękę, by ją zrzucić, żmija strzyknęła jej w oczy jadem.

Strażniczka wrzasnęła, zaczęła trzeć oczy, a gad

odpełził w trawę. Pearl podeszła jeszcze o krok bliżej i rzuciła następnego węża. Ukąsił ją błyskawicznie trzy razy w szyję, a potem ześliznął się i zniknął pośród traw.

Kobieta czołgała się do tyłu, coraz bliżej krawędzi urwiska, aż wreszcie strąciła kilka kamieni, które spadły w przepaść i uderzyły z grzechotem o skały w dole.

- To jest Charlie, mój ulubieniec - oznajmiła uprzejmym tonem Pearl, jakby go przedstawiała.

Ujęła węża tuż za łbem, a drugą ręką trzymała jego zwinięte ciało niczym dzbanek do herbaty.

Oczy kobiety były wąskimi szparkami otoczonymi opuchniętą czerwoną skórą. Przypomniałam sobie treść tych broszurek wręczanych w portach. Kazałam Pearl przeczytać je uważnie, żeby się dowiedziała, które węże są jadowite. Jad żmii pali jak rozżarzone żelazne piętno. Sprawia, że krew krzepnie w żyłach, ciało skręca się z braku tlenu, a w górę kręgosłupa pełźnie potworny ból.

Mnie też mącił się wzrok, świat przed moimi oczami stawał się płaski, odległy. Odsunęłam dłoń od rany w boku i w świetle słońca zobaczyłam na palcach jaskrawą krew. Zaskoczyło mnie to, chociaż przecież już wiedziałam, że krwawię.

- To potrwa cały dzień, zanim umrzesz - rzekła Pearl do strażniczki. - Chociaż może trochę krócej,

bo masz kilka ukąszeń.

Osunęłam się na trawę i usłyszałam, jak ciało kobiety uderzyło o skały w dole. Ostatnim, co zobaczyłam, były ptaki. Kilka mew wzbiło się w powietrze ze skraju urwiska, przeleciało nade mną i Pearl, minęło grób Row i zniknęło po przeciwnej stronie horyzontu niczym duchy.

ROZDZIAŁ 58

Ocknęłam się w łóżku Jacoba. Jego gruba flanelowa koszula i ciepłe spodnie leżały na półce za drzwiami. Na nocnym stoliku stał wazonik z niewielkim pękiem fioletowych polnych kwiatów. Przez otwarte drzwi prowadzące do kuchni wpadało słoneczne światło.

Do pokoju wszedł Daniel, szurając podszwami butów po drewnianej podłodze. Stanął lekko przygarbiony i przyglądał mi się poprzez pasmo włosów spadających mu na oczy. Dłoń miał obwiązaną białym bandażem. W ręku trzymał szklankę wody błyszczącą w świetle słońca. Wzięłam gwałtowny wdech. Daniel ze szklanką wody to był cudowny widok, więc napawałam się nim przez dłuższą chwilę.

Przytknął szklankę do moich ust, wypiałam łyk. Woda obmyła przymulone zmysły, rozjaśniła w głowie. Daniel wyszedł i wrócił z Pearl. Przez chwilę stała przede mną, milcząc, zanim się odezwała. W ciągu tych ostatnich godzin, które spędziła beze mnie, wyraz jej twarzy się zmienił. Miała w oczach mrok, wiedziałam, że nie zdołam do niego dotrzeć.

- Chciałam ją poznać - rzekła cicho.

- Ja też chciałam, żebyś ją poznała - powiedziałam.

Pomyślałam, że Pearl widziała zbyt wiele grobów, w morzu i na ziemi. Przełknęłam przez ściśnięte gardło.

Pearl wpełzła do łóżka obok mnie i wtuliła twarz w moją szyję. Wstrząsnął nią szloch. Gładziłam ją po włosach, szeptałam do niej. Czasami łatwo było zapomnieć, że w gruncie rzeczy jest jeszcze małą dziewczynką.

Gdy unosiłam się w łóżku i siadałam, mogłam zajrzeć do kuchni, przyglądać się, jak Daniel z Pearl szperają po szafkach, szukając jedzenia. Niewiele zostało, ale znaleźli zgniły pomidor, pół torebki mąki, a w lodówce dwa jajka. Daniel rozbił jajko do drewnianej miseczki, powąchał je, a potem rozbił drugie. Widocznie nie były zepsute, bo rozpalił ogień w piecu kuchennym i usmażył je dla nas. Następnie zmieszał mąkę z wodą i usmażył na patelni nieforemny naleśnik.

Zjedliśmy w milczeniu. Pearl oblizwała kciuk i zebrała nim okruszki z talerza. Popatrzyłam na jeden z wiszących na ścianie rysunków Row. Był to szkic węglem przedstawiający wieloryba - być może tego, którego morze zniosło na plażę u podnóża urwiska, ponieważ narysowała go nie w wodzie, lecz

na łądzie.

Przez cały dzień odpoczywałam, starając się nie ruszać, żeby nie otworzyła mi się rana w boku, którą Daniel ciasno obwiązał starym prześcieradłem. Następnego popołudnia powiedziałam do niego:

- Powinniśmy już wrócić do pozostałych.
- Wypocznij jeszcze kilka godzin - odparł.

Wyjaśnił, że dał im sygnał flagą i napisał na kartce, że jesteśmy bezpieczni. Owinął nią kamień i zrzucił im z urwiska.

- Nigdzie się stamtąd nie ruszą, mają wystarczający zapas jedzenia i wody - powiedział.

Przysunął krzesło do łóżka, usiadł i ujął mnie za rękę.

- Kopiemy grób dla Jacoba obok grobu Row - oznajmił. - Grunt jest zmarznięty, więc zajmie nam to jeszcze kilka godzin.

Skinęłam głową. Daniel spoglądał na mnie w oczekiwaniu, że coś odpowiem, ale się nie odezwałam.

- Dziś rano myślałem o matce - wyznał. - Przypomniało mi ją coś w tutejszym świetle. Gdy towarzyszyłem jej w ostatnich dniach przed śmiercią, widywałem, że unosiła palce i zanurzała je w słonecznej smudze, a potem odwracała dłoń, jakby światło było strugą wody opływającą skórę. - Daniel potrząsnął głową i musnął kciukiem moje włosy. -

Przyzwyczajamy się do utraty tak samo, jak przyzwyczailiśmy się do wszechobecnej wody. Nie umiemy sobie nawet wyobrazić, jak by to było nie mieć jej wszędzie wokół nas.

Pomyślałam o tym, jak podczas powodzi trupy leżały na każdym nowym utworzonym przez nią wybrzeżu. Słońce wypalało im skórę i ciało, a fale polerowały kości.

Row nie żyje, powtarzałam sobie wciąż, usiłując zmusić się, by w to uwierzyć. Będę musiała się nauczyć, jak mam dalej żyć po jej śmierci, jak znaleźć w sobie miejsce dla tej utraty, ale też dla nadziei, i pogodzić się z tym, że obydwie z czasem się zmienią.

Na podbródku Daniela widniał siniak. Dotknęłam go ostrożnie. Daniel się wzdrygnął. Miał takie przejrzyste oczy, że odnosiłam wrażenie, iż w nich tonę. Odgarnął mi włosy z twarzy. Pochyliłam się do przodu, czując przy tym ból promieniujący z rany, i pocałowałam go.

Tego popołudnia wstałam z łóżka, żeby sprawdzić, czy utrzymam się na nogach. Przez niewielkie okno widziałam Daniela z Pearl dźwigających kosze jabłek. Widocznie w pobliżu jest sad, pomyślałam. Szli obok siebie. Gdy znaleźli się bliżej, zobaczyłam, że Daniel grzbietem dłoni ociera łzy, odwracając głowę, żeby

Pearl nie widziała. Wiedziałam, że tamtej nocy na zboczu góry obawiał się, że nigdy nie odnajdziemy Pearl, i tylko ze względu na mnie udawał pewność.

Poszperałam w komodzie Jacoba, szukając ciepłych ubrań. Dom dygotał od porywów zimnego wiatru wiejącego w dół zbocza. Odsunęłam na bok wełniane spodnie i wybrałam gruby sweter z żółtej przędzy. Pod nim leżał arkusz papieru.

Był to jeszcze jeden rysunek Row. Przedstawiał rzekę i żurawie kanadyjskie. Widok był dokładnie taki jak tamtego dnia przed laty. Row narysowała nasze wspomnienie. Jeden z żurawi na obrazku leciał nad rzeką, kierując się ku górnemu rogowi kartki. U dołu widniało nagryzmołone niemal nieczytelnym dziecięcym pismem słowo: matka. Wyobraziłam sobie, jak Row w tym samym czasie co ja chroniła się w owym wspomnieniu, w naszej wspólnej kryjówce.

Zabrakło mi tchu i zakręciło mi się w głowie. Oparłam się plecami o ścianę, osunęłam się na podłogę, wsparłam głowę o kolana. Rysunek wypadł mi z rąk. Dałam upust łzom, podtrzymywana przez twarde podłoże pode mną.

Fale emocji zalały mnie niczym powódź – nie tylko żalu, lecz także tęsknoty. Wiedziałam, że muszę je przeczekać. Te emocje wzbierały i miażdżyły mnie swoim ciężarem, a gdzieś w głębi serca wszystko poruszało się, zmieniało.

Kiedy przebyliśmy górę i wróciliśmy do obozowiska na plaży, mgła właśnie zaczynała się rozwiewać. Wayne z Thomasem zobaczyli, że się zbliżamy, na ich twarzach rozlała się ulga. Zerwali się na nogi i pobiegli ku nam. Zdjęli nam z ramion plecaki, uściskali nas.

Podczas naszej nieobecności wydobyli z wraku „Czarnej Lilii” wszelkie nadające się do wykorzystania drewno i liny. Rozłożyli je na piasku, żeby wyschły. Wiedziałam jednak, że nie zrobili tego po to, abyśmy wyremontowali statek i odpłynęli. Drewna nie wystarczyłoby na to, a poza tym mieliśmy już dość żeglowania. Nasze miejsce było teraz tutaj – choćby tylko dlatego, że właśnie tu nasze życie legło w gruzach i tutaj będziemy musieli je odbudować.

Rozpaliwszy ognisko za wielką czarną skałą, skupiliśmy się wokół niego. W ciągu minionych kilku dni Thomas i Wayne nazbierali małże do wiaderka. Ugotowaliśmy je nad ogniem, a w trakcie jedzenia rozmawialiśmy o osadzie.

Opowiedzieliśmy z Danielem o epidemii, pustych domach, zatrutej studni, zabiciu strażników. Dyskutowaliśmy o tym, że Upadli Opaci wkrótce powrócą. Prawdopodobnie zacumują w zatoczce na wschód stąd, wespną się po zboczu góry i zejną do Valley, żeby zebrać podatki. A my musimy przygotować się na ich przybycie.

W północnej części osady Daniel widział ogród i sad, teraz opuszczone, zaniedbane. Moglibyśmy przekopać grunt i przyciąć gałęzie, żeby uzyskać nowe plony. Wprowadzić się do kilku pustych domów i wyremontować je, wykorzystując drewno odzyskane z wraku. Moglibyśmy zbudować drabinę na ścianie urwiska, żeby mieć łatwiejszy dostęp do brzegu i móc łowić ryby. W razie ataku drabinę można będzie wciągnąć.

W drodze powrotnej przez osadę widzieliśmy jeszcze kilkoro ludzi błakających się w pobliżu swoich domów i po ulicach. Sprawiali wrażenie nadal przestraszonych, jednak po śmierci strażników zachowywali się nieco śmieiej. Gdy szliśmy przez miasteczko, przyglądali się nam z zaciekawieniem.

Idąc, obmyślałam, jak do nich przemówię. Nie miałam charyzmy Abrana, jego zdolności skupiania ludzi, jednak będę musiała spróbować. Będziemy potrzebowali ich pomocy, jeśli zamierzamy stworzyć z Valley bezpieczną przystań, o jakiej marzyli Abran i jego brat.

Lecz nurtowały mnie wątpliwości. Czy ci ludzie przyłączą się do nas? Czy będziemy wśród nich bezpieczni? Jakie skrywają historie i sekrety, które mogą podkopać fundamenty naszej społeczności?

Powiodłam wzrokiem po twarzach moich towarzyszy, oświetlonych blaskiem ognia. Zanim to

wszystko się zaczęło, radziłyśmy sobie same – tylko Pearl i ja. A teraz każda z tych twarzy była dla mnie jak boja świetlna na ciemnym morzu. Thomas obdarzony energią i zapałem, które zdawały się nienaruszone przez ponure czasy. Wayne nieustraszony i zawsze skory do walki. Daniel wierny i nieugięty. I Pearl o temperamencie dzikiego zwierzątka, której nigdy nie będę chciała poskromić. Ogarnęły mnie macierzyńskie, opiekuńcze uczucia wobec każdego z nich. Poprowadzę ich w przyszłość, jakakolwiek będzie; postaram się wypełnić obietnicę daną Abranowi. Kiedy powodzie zatopiły ziemię, wydawało się, że zmywają nas z jej powierzchni. Cały świat stał się grobem. Ale podniesiemy się, tak jak stale wznosi się horyzont, gdy żeglujemy. Nasze sylwetki odznaczają się na tle nieba, zanim znikniemy za widnokrzem.

Przypomniałam sobie, jak zabrałam Row na wędkowanie z dziadkiem i złapaliśmy rybę, która trzepotała skrzelaми na dnie łódki.

- Leć, leć - rzekła Row.

Wrzuciliśmy rybę z powrotem do wody i odpłynęła.

Sądziłam wówczas, że powiedziała tak, bo nie pojmowała jeszcze różnicy pomiędzy słowami „płyn” i „leć”. Ale teraz przyszło mi do głowy, że może naprawdę miała na myśli lot, ponieważ pragnęła, żeby wszystko było jak ptak. Ja też marzyłam o takim

wzlatywaniu. O tym, żeby wszystko wzniosło się ponad ziemię, ponad nieuchronną śmierć, żeby w każdym z nas kryła się cząstka, która zawsze wzlatuje i pozwala nam wznieść się ponad to, co utraciliśmy.

Było we mnie coś, co skłaniało mnie do zaprzeczenia śmierci Row. Do wiary, że ona może jednak gdzieś żyje. Ale wiedziałam, że to zdradliwy rodzaj nadziei. To nadzieja, która jest złudna i przykuwa nas do naszych pragnień. Potrzebowałam nadziei zbudowanej na rzeczywistości. Nadziei, że uda nam się tutaj, że zdołam zapewnić tym ludziom lepszą przyszłość. Jacob nie miał żadnego powodu, by mnie okłamać, a Upadli Opaci nie mieli powodu okłamać jego. Mogli umieścić Row na statku reprodukcyjnym, kiedykolwiek zechcieli; zawsze tak postępowali.

Pora, abym pogodziła się z tym wszystkim i znalazła coś, co pozwoli mi żyć dalej. Row umarła. Większość życia przeżyła beze mnie. Nie będę już więcej szukała żadnej innej prawdy niż ta. Row była moją córką, a zarazem nie była. Należała w pełni do samej siebie. Ale nasze wspomnienia połączyły nas tak mocno, jak były złączone nasze ciała, zanim się urodziła. Jej duch pozostanie we mnie niczym płomień.

Widziałam teraz, że wyruszyłam w ten rejs nie tylko

po to, żeby uratować Row. Żeglowałam po jakąś część mnie, która jeszcze się nie narodziła; żeglowałam ku niej, jakby była jakimś duchem z przyszłości, którego muszę dopiero stworzyć.

Czekałam tak długo, by odkryć, że się myliłam. Odkryć, że jest we mnie miejsce, na wszystko, co utraciłam i co jeszcze utracę. I że to miejsce w moim sercu będzie po każdej stracie powiększało się, a nie kurczyło. A właściwie nie tyle odkryłam tę prawdę, co sprawiłam, że się nią stała. Nie jestem odłamkiem rozbitej szklanki, lecz wodą, która się z niej uwolniła. Czymś, czego nie da się ograniczyć i co nie pęknie ani się nie zmniejszy.

Spostrzegłam, że Pearl odeszła od ogniska, więc rozejrzałam się po plaży za nią. Tańczyła przed szkieletem wieloryba, wzbijając stopami kłęby piasku. Wciąż wirowała, włosy powiewały wokół twarzy. Jej postać wydawała się drobna na tle szkieletu, szarego nieba i morza z linią horyzontu tak cienką, że niemal niedostrzegalną.

Poczułam przypływ wewnętrznego ciepła i uśmiechnęłam się. Pomyślałam, że Pearl zapewne tańczy do jakiejś muzyki rozbrzmiewającej w jej głowie. Ale potem usłyszałam tę muzykę. Mewy w górze, na szczycie urwiska, już nie nurkowały za rybami. Ich głosy niosły się na wietrze, czyste i wyraźne jak dźwięk dzwonków. Brzmiało to, jakby

te ptaki śpiewały.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Victorii Sanders i Rachel Kahan, za wiarę w tę książkę i pomoc w uczynieniu jej lepszą, a także Hilary Zaitz Michael, Bernadecie Baker-Baughman, Jessice Spivey, Benee Knauer oraz zespołowi wydawnictwa HarperCollins. Miałam szczęście, że mogłam

współpracować z Wami wszystkimi.

Składam podziękowania mojej internetowej grupie pisarskiej: Theodore'owi Wheelerowi, Felicity White, Ryanowi Borchersowi, Amy O'Reilly, Bobowi Churchillowi, Drew Justice'owi oraz Ryanowi Norrisowi; ponadto dziękuję Kate Sims, która doskonale wcieliła się w rolę krytyka literackiego, a także moim nauczycielom akademickim za to, że zawsze chętnie służyli mi pomocą.

Słowa uznania kieruję pod adresem Adama Sundberga, który dzielił się ze mną bogatą wiedzą i poglądami na temat historii środowiska naturalnego. Wszelkie ewentualne błędy w tym zakresie należy zapisać wyłącznie na moje konto.

Jestem wdzięczna mojej rodzinie, na której wsparcie podczas pracy zawsze mogłam liczyć; ojcu –

za to, że kształtował mnie, odkąd byłam małym dzieckiem, a jedynej, niezastąpionej Fetty za to, że nauczyła mnie czytać oraz pisać i do dziś pozostała pierwszą

czytelniczką moich tekstów.

Donowi dziękuję za dodawanie mi otuchy i nadziei.

Moim synom i mężowi – za wszystko.



KASSANDRA MONTAG dorastała na wsi w Nebrasce, a obecnie mieszka w Oklahomie z mężem i dwoma synami. Była wielokrotnie nagradzana za utwory poetyckie i nowele publikowane w magazynach oraz antologiach, między innymi w *Midwestern Gothic*, *Nebraska Poetry*, *Prairie Schooner* i *Mystery Weekly Magazine*. *Świat po powodzi* to jej pierwsza powieść.

